

ŚWIADECTWA
NIEMCY **XX** WIEK

LEHNDORFF

Dziennik z Prus Wschodnich



Karta

ŚWIADECTWA. NIEMCY XX WIEK

HANS VON LEHNDORFF

**DZIENNIK Z PRUS
WSCHODNICH**

ZAPISKI LEKARZA Z LAT 1945–47

Warszawa 2013

WPROWADZENIE

Kres epoki, ogarniający wszystko i wszystkich, jest zawsze także przeżyciem indywidualnym. Hans von Lehndorff doświadczył go w Prusach Wschodnich w kwietniu 1945. „Płyniemy pośrodku strumienia lawy, która spływa na ziemię z jakiejś złowrogiej planety” – odnotował swoją obecność w Königsbergu po wkroczeniu wojsk sowieckich, postrzegając siebie jako jednego z niezliczonych statystów na scenie wielkiej historii. W momencie rozpoznania swojej nic nieznaczącej i kruchej obecności objawił mu się ocalający imperatyw: „Otwórz tylko oczy i patrz”. Ów nakaz odczytujemy po latach jako motyw przewodni *Dziennika z Prus Wschodnich*.

Hans von Lehndorff, potomek starego rodu pruskiej szlachty, urodził się w 1910 roku w saksońskim Graditzu, zaś od dwunastego roku życia sceneria jego dzieciństwa sytuowała się w Trakehnen w Prusach Wschodnich, majątku ze słynną stadniną koni. Drugą siedzibą rodziny, a zarazem miejscem wielokrotnych wakacyjnych pobytów, była posiadłość Januschau (Januszewo) na Mazurach, skąd pochodziła matka autora, również wywodząca się ze znanej rodziny szlacheckiej. Po maturze we wschodniopruskim Gumbinnen Lehndorff postanowił podjąć studia medyczne. Rozpoczął je jednak dopiero dwa lata później, po kilku semestrach prawa w Genewie, Paryżu i Oksfordzie, dokąd wysłali go rodzice, „by rozejrzał się po świecie” – jak zapisał w swej wspomnieniowej książce^[1]. Medycynę zgłębiał w Königsbergu, potem w

[1] Hans Graf von Lehndorff, *Menschen, Pferde, weites Land*, Biederstein Verlag, München 1980.

Monachium i Berlinie.

Był lekarzem z powołania, co zasadniczo determinowało jego miejsce wśród ludzi: pacjenta nie traktował jako „przedmiotu medycznych zabiegów”, lecz powierzonego mu „człowieka z ciałem i duszą” – jak odnotował. Jednak początek jego pracy zawodowej przypadł na okres panowania nazistów. Nieprzypadkowo już w 1938 roku, po zakończeniu studiów i rocznym okresie asystentury w berlińskim szpitalu, przeniósł się do Insterburga, niewielkiego miasta w Prusach Wschodnich, gdzie dostał posadę w Szpitalu Miejskim i Powiatowym. Pewną rolę w tej przeprowadzce odegrało pragnienie powrotu do wyidealizowanej krainy dzieciństwa, jednak równie ważnym motywem była decyzja odsunięcia się od centrum nazistowskiego reżimu. We wschodniopruskiej prowincji Lehndorff zdołał do końca zachować stosunkową niezależność: jako obywatel totalitarnego państwa, ale także jako lekarz, który mógł sobie pozwolić na niewykonywanie zleceń niezgodnych z jego sumieniem.

Niewątpliwie był przeciwnikiem reżimu – skutecznie unikał zachowań konformistycznych, a także odnalazł własną formułę na obcowanie z opresyjną rzeczywistością. Podporą i drogowskazem były dlań cytaty z Biblii, wydawane przez istniejącą do dzisiaj w ramach Kościoła ewangelickiego wspólnotę braci morawskich, czyli herrnhutów. W broszurach z biblijnymi cytatami przeznaczonymi na każdy kolejny dzień roku znajdowały się puste kartki na notatki. Na nich umieszczał zapisy swego dziennika. Pierwsze – opublikowane – pochodzą właśnie z Insterburga i stanowią swego rodzaju introdukcję do najbardziej dramatycznego okresu königsberskiego.

Dziennik, opatrzony w podtytule skromnym dodatkiem „zapiski lekarza”, powstał krótko po wojnie, już na Zachodzie.

Nie wiadomo, w jakim stopniu autor przejął *in extenso* sporządzane na gorąco notatki, na ile zaś uzupełniał je z pamięci. Niemniej jednak

uznał dziennik za najbardziej nośną formułę przekazania doświadczeń z lat 1945-47. Nie ma tu najdrobniejszej nawet wzmianki o przyszłym czytelniku, Lehndorff spisuje wyłącznie dla siebie własną kronikę wydarzeń. Świadom jest przy tym ich apokaliptycznego wymiaru.

To, co odróżnia zapis Lehndorffa od innych kronikarskich świadectw, wywodzi się z niezwykłej osobowości tego diarysty. Nadchodzący moment historii jest wyzwaniem – w planie metafizycznym, ale też na płaszczyźnie konkretnych obowiązków w codzienności obłąkanego miasta-twierdzy. Nieuchronne oblicze „zwycięstwa 1945 roku”, jakie objawia się w Königsbergu, nie jest dla Lehndorffa przypadkiem czy zbiegiem okoliczności, lecz konsekwencją, Bożym wyrokiem. Próżno jednak szukać w *Dzienniku* roztrząsania win, rzucania oskarżeń czy rachunku krzywd – wszystko to mieści się już w samym rozpoznaniu „sądu nad światem”, jest poniekąd oczywiste. „Im bardziej rozprzestrzeniały się przerażające nowe Niemcy, tym mocniej zawężyła się przestrzeń prywatnego życia i nie miałem już żadnych wątpliwości, że świat, w którym się urodziłem i za który czułem się współodpowiedzialny, ginie bez reszty...” – odnotował jeszcze kilka lat przed końcem wojny^[2]. W końcowym jej momencie konfrontowany jest nie tylko z barbarzyństwem przeciwnika, lecz również ze wszechogarniającym rozpadem w gronie „swoich”, dramatyczną destrukcją, która redukuje jednostkowe zachowania do walki o nagie przetrwanie.

Topografię *Dziennika* wyznacza trasa wschodniopruskich peregrynacji Lehndorffa – tych podejmowanych spontanicznie, zgodnie z wewnętrznym impulsem, podczas kolejnych ucieczek, a także przymusowych, w kolumnie niemieckich więźniów pojmanych przez sowieckie wojska. Ta odyseja prowadzi go śladami dzieciństwa i życia przed katastrofą,

[2] Hans Graf von Lehndorff, *Die Insterburger Jahre. Mein Weg zur Bekennenden Kirche*, Verlag C.H. Beck, München 1991.

zwłaszcza na ziemiach zajętych już przez Polaków, w okolicach Susza, gdzie zna on „każde drzewo”. Rejestruje swoją obecność w miejscach tych samych, a zarazem drastycznie zmienionych, bo naznaczonych piętnem wojennego spustoszenia i powojennych dewastacji zwycięzców. Rzeczywistość pęka na dwie części, przeszłą i teraźniejszą, połączone tylko cienką nitką świadomej tożsamości obserwatora.

Miesiące spędzone w Königsbergu, najpierw oblężonym mieście-twierdzy, potem w obozie internowania, a wreszcie „na wolności”, w prowizorycznie urządzonym „niemieckim” szpitalu, skazują Lehndorffa na bezustanne obcowanie z umieraniem. Doświadcza tu własnej bezsiły, mając poczucie, iż medyczne i ludzkie powinności wypełnia zaledwie na najbardziej elementarnym poziomie. Nakaz pomocy, trud przetrwania, potrzeba zachowania resztek godności, poczucie wspólnoty z podobnie myślącymi i czującymi – tylko to określa godzinę po godzinie. Sama myśl o powrocie do „normalności” napawa Lehndorffa przerażeniem. W obliczu niezliczonych wariacji bezsensownej śmierci własne istnienie objawia się jako rodzaj zdrady wobec umarłych. Dopiero po kolejnej karkołomnej ucieczce z Königsbergu na tereny przyłączone już do Polski spotyka się z innymi niemieckimi niedobitkami, wysłuchuje innych historii o śmierci i ocaleniu i niejako zwolniony zostaje z winy ocalonego. Pomaga mu w tym wiara w zbawczą moc wybaczenia – również wybaczenia sobie.

Wydawałoby się, iż postawę Lehndorffa można określić tyleż pojemną co ogólnikową formułą „głęboka religijność”. Jednak jego obecność w świecie zapisana na kartach *Dziennika* nie pozwala poprzestać na takim opisie – jest to doświadczenie człowieka, który całym swym istnieniem przyjmuje kolejne wyzwania, pamiętając o istnieniu nadrzędnego, metafizycznego porządku. Zachowuje przy tym dystans, poczucie humoru, nierzadko ironię. Głęboka akceptacja własnego miejsca nie oznacza jednak ograniczenia jednostkowej wolności ani biernego przyzwolenia

na zrządzenia losu. Lehndorff jest zaangażowanym uczestnikiem i wrażliwym obserwatorem jednocześnie, jest działającym „ja”. Wybór pozostaje zawsze – świadczą o nim wielokrotne ucieczki, podejmowane nierzadko wbrew racjonalnym przemyśleniom. Wątpliwości topnieją jednak wobec poczucia prowadzenia przez siłę wyższą.

Wobec takiego duchowego zaplecza *Dziennik* nie może pozostać jedynie zapisem wielkiej katastrofy i rozpadu świata. Lehndorff ponosi porażki, przeżywa destrukcję hierarchii wartości, doświadcza niegodnych zachowań innych, zmaga się z postępującą redukcją własnych sił i zanikiem woli, kilkakrotnie zdaje się stać nad przepaścią. Jest jednak źródło, z którego bezustannie czerpie. Sięga do cytatów z Biblii, które są dlań jak kostur wędrowca, dają mu pewność wyższego sensu i każą ciągle od nowa osiągać dystans konieczny do przeżycia w godności. Choć pozostaje zanurzony w istnieniu, gdzie dotykają go bezmierne ludzkie cierpienia, zdrady i podłości, a w końcu i własna słabość, to przecież porusza się też w innym wymiarze, w innej, chroniącej go rzeczywistości. To ona pozwala mu doświadczać niepojętego – choć w jego świadectwie wiarygodnego – metafizycznego ładu. Stąd zresztą wypływa też poczucie wielkiej wartości życia.

Manuskrypt *Dziennika z Prus Wschodnich* powstał już w 1947 roku, jednak jego pierwsze wydanie książkowe przypadło dopiero na rok 1960 i pozostało niemal bez echa. Rok później tekst opublikowała monachijska oficyna Biederstein, bez wielkich nadziei na wydawniczy sukces. Tymczasem przez kilka miesięcy sprzedano ponad 100 tysięcy egzemplarzy, a *Dziennik* przez wiele tygodni zajmował pierwsze miejsce na liście bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”. Autor pracował wówczas jako ordynator szpitala w Bad Godesbergu pod Bonn. I niemal nie dziwi fakt, że zrezygnował z wydawniczego tantiemu, przeznaczając je na budowę świątyni dla pielgrzymów w burgundzkim Taize. Podobnie

oczywista wydaje się informacja, że wśród rozlicznych gości, dla których dom Lehndorffa w Godesbergu stał zawsze otworem, napotkać można było niemało intelektualistów i artystów z Polski.

Na starym planie Königsbergu z 1931 roku można dokładnie prześledzić tropy Lehndorffa w mieście – widnieją tu szpitale, do których po kolei trafiał, ulice, którymi chodził, urzędy pocztowe, w których w 1945 roku urządzano punkty opatrywania rannych, zaznaczony jest nawet most Drewniany na Pregole. Takie poszukiwanie śladów przypomina odkrywanie zaginionej Atlantydy – w dzisiejszym Kaliningradzie nie pozostało nic ze świetności dawnej pruskiej metropolii, a na miejscu królewskiego zamku straszy absurdalną brzydotą rozpadający się betonowy kłoc dawnej siedziby sowietu. *Dziennik* utrwalił moment kresu pewnego świata. Jednak w swym historycznie osadzonym zapisie Hans von Lehndorff dotarł do rozpoznań uniwersalnych – te zaś odnoszą się do ludzkiej egzystencji naznaczonej piętnem tymczasowości. W *Dzienniku* nie ma nic ważniejszego niż kolejna chwila – zaraz przeminie, a jednak zawiera w sobie całą wieczność. Trzeba tylko otworzyć oczy.

Ewa Czerwiakowska

UJRZELIŚMY CHWAŁĘ TWOJĄ

Relacja ta została spisana już przed laty, po części na podstawie zachowanych zapisków dziennika, po części zaś w odwołaniu do ciągle żywej pamięci. Do tej pory autor wstrzymywał się z publikacją, gdyż brakowało mu niezbędnego dystansu. Z czasem wydarzenia tamtych dni stały się historią, a to, co osobiste, wykroczyło poza granice osoby. Dlatego teraz podjęta zostaje próba upublicznienia przeżyć, nawet jeśli trzeba będzie na nowo obcować z dawnym bólem.

Niechby te stronicę pomogły zrozumieć część przeszłości i służyły życiu, które każdego dnia stawia nam nowe wymagania.

H. L.

INSTERBURG

Lato 1944 do 12 stycznia 1945

Zanim przez te ziemie przetoczyła się wojenna nawałnica, moje ojczyste Prusy Wschodnie raz jeszcze ukazały się w całym swym zagadkowym przepychu. Chłonąc wszystkimi zmysłami te ostatnie miesiące, można było odnieść wrażenie, że nigdy dotąd światło nie było tu tak silne, niebo tak wysokie, a dal tak rozległa. Zaś nieuchwytnie, wyczuwane drgnieniem duszy, piękno krajobrazu objawiało się z wyrazistością możliwą tylko w godzinie pożegnań.

Zwiastuny katastrofy dawały się zauważyć już w ostatnich dniach czerwca 1944 – lekkie, ledwo wyczuwalne tąpnięcia, jakby echo dalekiego trzęsienia ziemi, od którego drżała zalana słońcem kraina. Potem nagle drogi zapełniły się uchodźcami z Litwy, a na przełaj przez dojrzałe do żniw pola ciągnęło bezpańskie bydło, pchane tym samym, nieprzewyciężonym parciem na zachód.

Trudno było jeszcze pojąć, co właściwie się stało, ale nikt nie śmiał otwarcie wyrażać swych skrytych obaw. Jednak kiedy przeszło lato i bociany zaczęły sposobić się do odlotu, nie można już było ukrywać prawdy o tym, co nadchodzi. We wszystkich wsiach widziało się ludzi wpatrzonych w niebo, na którym krążyły te wielkie, znajome ptaki, jakby tym razem miało to być ostatnie pożegnanie. I patrząc na nie, chyba każdy musiał pomyśleć to samo: „No tak, wy odlatujecie! A my? Co będzie z nami, z naszą ziemią?”.

Wkrótce potem wzdłuż biegu rzek zaczęły nadciągać ogromne stada bydła i gromadziły się w płaskiej dolinie, poprzecinanej wieloma zakolami Pregoly. Przepędzone ze wschodnich części prowincji stały teraz tysiącami na rozległych łąkach, tworząc spektakularne widowisko. Na razie było tam dość paszy. Każdemu jednak, kto podszedł bliżej i przyjrzał się pojedynczym zwierzętom, już teraz ścisnęło się serce. Pozbawione stadnych instynktów ciągnęły przez okolice, w człowieku widziały wroga, tratowały ogrodzenia, z impetem pustoszyły zagrody i sady, ogoławając z liści krzewy i drzewa. Wyglądało, jakby przybyły z krainy całkowicie pozbawionej porządku, choć po wielu z nich widać było jeszcze, że pochodzą z przednich hodowli. Utraciły jednak już to, co je chroniło, co czyniło z nich stado.

Nocami widać było w rzędzie jak na mapie miasta graniczne na wschodzie. Memel, Tilsit, Schirwindt, Eydtkuhnen – raz po raz rozświetlane wybuchami bomb najjaśniejsze punkty na ciągnącej się łukiem z północy na południe linii natarcia. Aż któregoś dnia nadeszła wiadomość, że nikt już nie broni granic. Przeciwnik przekroczył je na głębokość 20–30 kilometrów, a potem front znów się zatrzymał. Nikt nie wiedział, co się dzieje na tyłach. Można było jedynie mieć nadzieję, że nikt tam nie został, bo z wysuniętych na wschód miejscowości, które wojska nieprzyjacielskie zajęły na krótko, a potem się z nich wycofały, docierały mrozące krew w żyłach wiadomości.

Jeszcze przez parę dni wszystkie drogi były widownią nieopisanej gehenny uchodźców, aż nagle nastął spokój, niemal niepojęty spokój. Zamilkło dudnienie frontu, wygasły pożary, nocami nie słychać było nawet bombowców. Opuszczona ziemia, zagrody i wioski trwały jak zaczarowane w blasku tej niebywałej jesieni, dostarczając doznań o niezmierzonej głębi tym nielicznym, którzy wrócili z powiatów bardziej wysuniętych na zachód, by zabrać coś jeszcze z domu albo uporządzić

zwierzęta.

Upiorna cisza panowała jeszcze po listopadowych nawałnicach, które огоłociły całą okolicę, potem zaś mróz oszronił ostatnie trawy na łąkach. W promieniu wielu mil widać było teraz na polach, drogach i torach kolejowych stojące pojedynczo lub w grupkach zdziczałe krowy, niezdolne już do marszu, z wyschniętymi wymionami i sterczącym grzbietem. Miały w sobie coś groźnego i oskarżającego zarazem. A kiedy spadł pierwszy śnieg, jedna po drugiej bezgłośnie osuwały się na ziemię.

Nadeszło Boże Narodzenie, a ci, którzy jeszcze byli w domu, świętowali je prawie tak, jak w czasach pokoju. Organizowano nawet polowania, a ludzie spotykali się, chcąc jeszcze raz utartym zwyczajem wspólnie zakończyć rok.

Czternaście dni później wszystko się skończyło. Rosjanie odczekali trzy miesiące, żeby przygotować ostatni szturm, teraz zaś uderzyli z całą siłą.

13 stycznia

Rankiem, około siódmej budzi mnie miarowy huk i dudnienie. Drżą szyby w oknach. Mam wrażenie, jakby wokół domu stało wiele ciężkich pojazdów z pracującymi bez ustanku silnikami. W szarówce trudno cokolwiek zobaczyć. Stoję przy oknie i zbieram myśli. To może oznaczać tylko koniec.

Koło południa huk staje się tak silny, jak odgłos schodzącej lawiny. Podmuchy powietrza zapierają dech. Ludzie wymieniają znaczące spojrzenia i próbują pocieszać się wizją, że jest to na pewno działanie naszej nowej *Wunderwaffe*.

Potem zupełnie nieoczekiwanie nastaje cisza. O zmierzchu nadlatują samoloty. Trzy-cztery myśliwce wypadają spod szarych, zimowych chmur

i ostrzeliwują dworzec i lotnisko. Nadlatują kolejne maszyny. Wywiązuje się walka powietrzna. Po kilku minutach groza mija.

17 stycznia

Rosjanie przebili się w wielu miejscach i prą naprzód. Gumbinnen płonie. W nocy cały wschód jest jednym wielkim morzem ognia. Pojedyncze samoloty nadlatują aż do nas i zrzucają race świetlne na spadochronach. Wszystkich znajdujących się jeszcze w budynku pacjentów przenieśliśmy na najniższe piętro.

18 stycznia

Można jeszcze telefonować. Rozmawiałem z matką i starszym bratem, który właśnie przyjechał do domu na urlop z południowego odcinka frontu wschodniego. Są w trakcie przygotowywania konwoju uchodźców. Dzieje się to po kryjomu, gdyż nie ma jeszcze oficjalnego zezwolenia. Ojciec zastanawia się nad zorganizowaniem polowania. Lasy pełne są jak nigdy zwierzyny płowej. Tylko skąd miałby wziąć myśliwych?

19 stycznia

Evakuacja naszego szpitala w toku. Wszyscy pacjenci pod opieką większości pielęgniarek jadą na Pomorze, gdzie ma się ich rozlokować po prywatnych kwaterach na wsi. Pozostajemy bez pracy. Kilka przedmiotów, które uznaję za wartościowe, pakuję do jednej z wielu tysięcy przygotowywanych od miesięcy skrzyń, w których cały inwentarz miasta ma pojechać na zachód. Skrzynię ładuję na sanki i wiozę na dworzec towarowy. Tam znika pośród setek innych.

W drodze powrotnej zwracam uwagę na pewną panią, która stoi

na skraju chodnika w otoczeniu pakunków. Kiedy powoli ją mijam, zwraca się do mnie: „Ach, może zechciałby pan polecić mi jakąś firmę spedycyjną? Chciałabym wywieźć stąd moje antyczne meble. Ledwo zdołaliśmy je wydostać z Gumbinnen, ale żołnierze, którzy mi pomogli, nie mogli mnie zabrać dalej. To są wszystko wartościowe meble, które dwa lata temu z powodu bombardowań przewiozłam z Wuppertalu do znajomych w Gumbinnen. To tutaj, to tylko drobiazgi, duże rzeczy stoją tam, na podwórzu”. Przechodzimy na drugą stronę ulicy, żeby się im przyjrzeć. Jest to osiem sztuk wielkich mebli, między innymi dębowy kredens, który waży co najmniej dziesięć cetnarów.

Dziwię się, jak udało się jej wywieźć to wszystko z płonącego miasta, otoczonego z trzech stron przez wroga. Potem stajemy znowu na krawężniku i próbujemy zatrzymać któryś z przejeżdżających z szaleńczą prędkością wojskowych pojazdów, gdyż znalezienie działającej jeszcze firmy spedycyjnej nie jest już chyba możliwe. Jednocześnie nieśmiało próbuję nakłonić tę panią do wyjazdu bez mebli. Ale ona nie chce o tym słyszeć. Jej mąż poległ, dzieci nie ma, dom został zniszczony – te rzeczy są wszystkim, co posiada i do czego jest przywiązana.

Jeszcze w trakcie naszej rozmowy, nad miastem ukazują się lecące na niskiej wysokości ciężkie samoloty. Nie wierzę własnym oczom, widząc, jak wszyscy żołnierze błyskawicznie znikają z ulic i kryją się w okolicznych domach. Zostają tylko cywile. Ale po chwili tam, w górze, zaczyna już błyskać i terkotać. Ach tak! To Rosjanie! I to tak blisko! Za dnia nie widzieliśmy ich jeszcze z takiej odległości. Zataczają łuk i ostrzeliwują dworzec. Wreszcie odzywa się nasza artyleria przeciwlotnicza. Ciężkie maszyny, którym towarzyszą myśliwce, unoszą się i opadają jak statki na pełnym morzu, i zawracają na wschód.

Olbrzym cofa swe macki, jakby się sparzył. Brama stoi już jednak otworem. W drodze powrotnej do szpitala czuję powiew lodowatego

wiatru. Po południu panuje kompletna cisza. Tylko wysoko na niebie niewidoczne samoloty ciągną za sobą zamaszyste smugi. Idę w słońcu przez głęboki śnieg jeszcze raz przez Turnierplatz nad Węgorapą. Jemiołuszki wydziobują z krzaków czerwone jagody. Nikogo tutaj nie ma. Wszyscy już się pożegnali.

Wieczorem, po zmroku, jestem jeszcze raz w naszym kościele. Od nalotu bombowego minionego lata przychodziliśmy tutaj codziennie na wieczorne nabożeństwo. Drzwi są wyrwane, od głównego wejścia ciągnie się między ławkami zaspą śnieżną. Siadam pod amboną i na pożegnanie śpiewam: „Tyś na ziemi mą najpiękniejszą ozdobą i klejnotem, Jezu Chryste, Panie mój, Tobie chcę się powierzyć”^[3].

20 stycznia

Idę rozejrzeć się na dworzec i widzę, że meble pani z Zachodu jeszcze stoją w komplecie. Ona sama zajęta jest pakowaniem mniejszych przedmiotów w poręczne paczki, które zamierza wysłać koleją. Odprowadzam ją na dworzec. Roi się tu od ludzi, którzy chcą jeszcze nadać skrzynie i kufry. Stoimy w długiej kolejce przed kasą, kiedy nagle rozlega się huk i szyby z okien lecą nam na głowy. Wszyscy pędzą do wyjścia, spoglądają w górę, szybko się kulą i przyspieszają. Chwytam moją towarzyszkę za rękę i biegniemy. Dziesięć, może dwanaście bombowców – wiszą nad nami w powietrzu jak latawce. Przebiegamy przez plac przed dworcem i wskakujemy do pełnego ludzi okopu. W tym samym momencie rozlega się potężny szum i walą się na nas bomby. Krótki, rozdzierający bębenki w uszach trzask i huk – potem strumień ludzi wylewa się spod ziemi i w okamgnieniu rozpierzcha na wszystkie strony. Obok nas leżą na

[3] Popularna pieśń w Kościele ewangelickim. O ile nie podano inaczej, przypisy pochodzą od tłumacza.

bruku dwa martwe, parujące konie. Z tyłu podziurawiony jak sito hotel przypomina papierowe kulisy. Wszędzie trzaska ogień. W mojej pamięci niebo przesywają błyskawice z czasów szczęśliwego dzieciństwa, kiedy to często przejeżdżaliśmy tędy z Trakehnen w drodze na turnieje do Insterburga. Teraz nastał dzień sądu nad światem.

Dworzec chwilowo nie został trafiony. Stoją tam pociągi sanitarne z wieloma rannymi. Nasza obrona przeciwlotnicza tym razem milczała. Podobno lotnisko już ewakuowane.

Idąc Danziger StraÙe, spostrzegam kolejne nadlatujące bombowce, wskakuję do piwnicy pustego domu i czekam, aż zrzucą bomby, tym razem najwidoczniej bliżej centrum. Po chwili nagle widzę, że wiele z nich lata wahadłowo nad terenem na północny wschód od miasta. Pewnie więc tam przebiega linia frontu. Znowu zbliża się do miasta kolejna eskadra. Od zachodu nadlatują trzy myśliwce i lotem nurkowym atakują nieprzyjaciela. Jak klucz dzikich gęsi napadnięty przez sokoły maszyny chybcą się ocięzale, szyk się łamie, a potem tuż nad dachami dochodzi do pojedynków. W zaledwie kilkumetrowych odstępach przelatują nad naszymi głowami dwa myśliwce. Ten z tyłu ostrzeliwuje nieprzerwanie ściganą maszynę, z której na naszych oczach zostaje tylko szkielet. Na tle spichlerzy widać wyskakującego pilota – runął na ziemię, zanim otworzył się spadochron. Jego płonąca maszyna leci dalej, a ścigający nawraca ostro w górę.

Rozglądam się i spostrzegam obok mnie Doktorę, naszą młodą lekarzkę asystentkę. Właśnie przyjechała z Königsbergu, dokąd wysłaliśmy ją na wypoczynek u rodziców po przebytych ciężkim dyfteryście. Nie wytrzymała tam jednak zbyt długo – targana niepokojem ruszyła okrężnymi drogami i wojskowym transportem dotarła nocą w okolice miasta. Brnąc pod prąd tłumu uchodźców, bliska była zawrócenia, gdyż zapewniano ją, że Rosjanie są już w mieście. Teraz cieszymy się oboje, że udało się jej

przedrzeć, choć, prawdę powiedziawszy, nic tu po niej.

Około trzeciej po południu rozlega się buczek – namiastka niedziałających już syren – i wzywa resztę mieszkańców do ostatecznego opuszczenia miasta. Odprowadzamy pozostałe pielęgniarki na dworzec, gdzie stoi pod parą ostatni pociąg, i machamy im z ulgą, kiedy w zapadającym zmroku pociąg powoli opuszcza zagrożony teren dworcowy i wolno toczy się na zachód. Na peronie pozostała z nami pani z Zachodu, która odwiedziła nas już wcześniej w szpitalu i pomogła zataszczyć na dworzec nosze załadowane walizkami sióstr. Tymczasem pożegnała się już psychicznie i fizycznie ze swymi meblami i ze śmiechem obiecuje wyjechać samochodem z miasta przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Wróciwszy do szpitala, najadamy się w kuchni jeszcze raz do syta. Szafy stoją otworem i wszystkiego jest jeszcze po trochu. Od miesiąca każdego dnia w myślach przygotowywaliśmy się do pożegnania, więc teraz nie możemy poddać się smutkom. Ostatnie godziny kończącej się epoki trzeba przeżyć przytomnie i pogodnie. Oto Bóg domaga się zwrotu powierzonych nam wcześniej dóbr i pyta, co z nimi uczyniliśmy.

Późnym wieczorem przyjeżdża po nas szef szpitala swoim samochodem. Za nim podąża ciężarówka Czerwonego Krzyża, na którą ładujemy najcenniejsze sprzęty z sali operacyjnej. Tymczasem znów nadlatują pojedyncze samoloty, zrzucają race na spadochronach i bomby zapalające. Na ulicy stoją ludzie z *volkssturmu*^[4] z myśliwskimi śrutówkami i przyglądają się pakowaniu. Na koniec wrzucam na ciężarówkę rower, a potem powoli, omijając gruzy i zwisające druty, wyjeżdżamy z rozjaśnionego pożarami miasta. Około północy jesteśmy w Gerdauen. Chcieliśmy uniknąć tłumu uchodźców i zmierzających w

[4] Der Deutsche Volkssturm powstał w 1944 roku jako rodzaj pospolitego ruszenia w obliczu klęsk niemieckiej armii. W jego szeregi powoływano chłopców od 16. roku życia oraz starszych mężczyzn.

przeciwnym kierunku pojazdów wojskowych, ale nie oczekiwaliśmy, że drogi objazdowe będą aż tak puste. Ani jednego samochodu, ani też najmniejszych oznak, że ktoś jeszcze zamierza bronić Prus Wschodnich od tej strony. Jedzie się tędy już jak przez ziemię niczyją.

Nad ranem, około czwartej, w przejmującym zimnie wjeżdżamy do Königsbergu. Przed naszymi oczami przesuwiają się upiorne, zaśnieżone ruiny Sackheimu^[5]. Potem rozchodzą się nasze drogi. Na razie znajduję schronienie u rodziców Doktory w Juditten, na przedmieściach Königsbergu.

[5] Dzielnica w śródmieściu Königsbergu, na zachodnim brzegu Pregoly.

TWIERDZA KÖNIGSBERG

Niedziela, 21 stycznia

Promienny zimowy dzień! Ogrody pokryte grubą warstwą śniegu, na żerdziach płotów wysokie śnieżne czapy, dzieci jeżdżą na sankach. Udaję się do centralnego punktu Czerwonego Krzyża przy Kastanienallee i spotykam tam mojego szefa. Przy wielkiej mapie wysłuchujemy wykładu na temat sytuacji militarnej. Jeśli oceniać ją na tej podstawie, nie ma żadnego powodu do obaw. Führer wydał rozkaz utrzymania Prus Wschodnich. Jeśli Rosjanie przedrą się przez Wisłę i odetną prowincję – na tę myśl jeszcze w ogóle nie wpadłem – pozostaje ciągle otwarta droga morska. Słuchamy z nabożeństwem i nikt nie pyta, jak zorganizować ewakuację kilku milionów ludzi w środku zimy.

Izba Lekarska, w której szukam pracy, wysłała mnie na Dworzec Główny, gdzie przybył transport z rannymi cywilami. W okolicach Tapiau jakiś pociąg został zbombardowany albo najechał na minę. Wszystko stało się tak szybko, że nikt nie potrafi powiedzieć, co to właściwie było. Lekarz z kilkoma pomocnikami zajmuje się opatrywaniem rannych i organizowaniem ich transportu do różnych szpitali. Nawiązuję rozmowę z jedną z kobiet, która informuje mnie szeptem, że od południa rosyjskie czołgi dotarły do Elbingu, a pociągi na zachód nie mogą już przejechać. Wstrzymuję oddech – oznacza to koniec wszystkich miejscowości tak bliskich mojemu sercu. Rodzice, brat, siostra i szwagier – do nich moja troska już nie sięgnie. „O, a to partyjniacy z bagażem” – mówi kobieta,

kiedy przelatuje nad nami kilka samolotów transportowych. Dzięki Bogu! Mamy ich z głowy! Wreszcie można znowu swobodnie oddychać.

Pojawia się Doktora, żeby mi pomóc. Przed budynkiem dworca gromadzi się coraz więcej uchodźców ze wschodnich części prowincji, czasami w zdumiewających grupach. Nagle na przykład otacza mnie dziesięć Polek, wszystkie tuż przed porodem. U trzech już się zaczyna. Najpierw umieszczamy je w kiosku z gazetami, potem znajduje się dla nich znośna kwatera w baraku dla obcokrajowców za dworcem.

Zmierzcha już, kiedy rowerami wracamy do Juditten. Po drodze przejeżdżamy obok kliniki dla nerwowo chorych i odwiedzamy jej dyrektora, który jako wyższy oficer sanitarny jest w miarę zorientowany w sytuacji militarnej. Zgodnie z jego informacjami Rosjanie nacierają już na linię Dejmy! Linia Dejmy! Jak wspaniale to brzmi! Zastanawiam się, czy nieprzyjacielski kolos po zajęciu tej uroczej dolinki z rzeką w ogóle zauważy, że miały to być umocnienia obronne. Minionej jesieni byli tam robotnicy budujący Ostwall^[6], wykarczowali parki na zachodnim brzegu, pionowo przekopali zbocza, a miejscowości otoczyli rowami, w których miały powstać stanowiska obrony okrężnej. Teraz to wszystko prawdopodobnie obsadzili ludzie z *volkssturmu* ze śrutówkami i protezami zamiast nóg.

22 stycznia

Przed południem jestem w Ponarth, na przedmieściu Königsbergu. Tam bowiem, w wielkim przeszklonym pudle restauracji „Südpark“ obok browaru powstanie prowizoryczna kwatera dla chorych przybywających z prowincji. W tej chwili stołuje się tu dziennie 3000 robotników. Sze

[6] Pas niemieckich umocnień w Prusach Wschodnich, który miał przebiegać od wybrzeża Bałtyku do Dniepru (red.).

restauracji, którego informuję o planowanych zmianach, jest bardzo zadowolony, bo wyżywienie tak wielu ludzi sprawiało mu zapewne trudności. Chorych jeszcze nie ma, jest tylko paru mężczyzn, którzy z pobliskiej szkoły mają przynieść składowane tam prycze.

Korzystam z wolnego popołudnia, by odwiedzić krewnych w Preylu^[7]. Droga jest jak wymarła. W samotności brnę rowerem przez nietknięty śnieg. Nowe lotnisko, obok którego przejeżdżam, też wydaje się nieużywane. Na polach po prawej i lewej wykopanych jest kilka okopów łącznikowych. Krewnych zastaję jeszcze na miejscu; po dłuższych poszukiwaniach odnajduję ciotkę w jakimś zakamarku pałacu zajętego przez wojsko. Wuj pojawia się później, po powrocie z przejażdżki na swym siwku Jaromirze. Nie podjęli jeszcze ostatecznych decyzji, nie wiedzą też, co postanowiła ich córka mieszkająca 100 kilometrów dalej, z którą nie mogą się już skontaktować telefonicznie.

Spędzamy wspólnie miły wieczór, nie troszcząc się o to, co nas czeka. Nie jest tak ważne, co z nami będzie, skoro już jeden po drugim polegli synowie tego domu, bracia, będący nadzieją tej ziemi, do której jesteśmy przywiązani. Zostaję na noc i śnią mi się najpiękniejsze chwile spędzone w tym domu.

23 stycznia

Rano rozległy plac przed königsberskim Dworcem Głównym zapchany jest uchodźcami. W gęstych rzędach poustawiały się wozy drabiniaste, załadowane spiętrzonymi bagażami, a z bocznych ulic stale nadjeżdżają kolejne, powożone najczęściej przez kobiety. Aż strach pomyśleć, jak się to wszystko skończy. Z zachodu pociągi wracają, bo trasa jest już

[7] Majątek ziemski z pałacem, należący do jednej z gałęzi rodziny Lehndorffów, 15 kilometrów na zachód od Königsbergu.

zablokowana. Pozostaje jedynie szosa do Pillau. Wydaje się jednak, że chwilowo nikogo to nie niepokoi. Wozy spokojnie przemieszczają się ulicami, ostrożnie wyprzedzają inne i próbują włączyć się do jakiejś kolumny.

Pastor Müller z Haberbergu^[8], którego po drodze odwiedzam, prowadzi mnie do dużego pomieszczenia, gdzie część uchodźców spędziła noc. Jest wśród nich kilku chorych i mam ich obejrzeć. Również tu panuje spokój i porządek jak na ćwiczeniach. Odnoszę wrażenie, że nikt z obecnych nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistego położenia. Jedna z kobiet pokazuje mi nogę z wielkim wrzodem na żyłakach. Ma go od kilku lat, ale dotąd brakowało jej czasu na leczenie. Chce to zrobić teraz. Próbuję jej wytłumaczyć, że najpierw powinna wydostać się z Königsbergu, a potem może spokojnie poddać się leczeniu. „Dokąd pani zmierza?” – pytam. Nie wie, wie tylko, że wszyscy mają dotrzeć do Rzeszy. Potem nieoczekiwanie dodaje: „Führer nie zostawi nas pod Ruskimi, prędzej nas zagazuje”. Rozglądam się ukradkiem wokół, ale najwidoczniej nikt w tej wypowiedzi nie widzi nic dziwnego. Boże mój, myślę sobie, gdybyż to do Ciebie mieli tyle zaufania!

W Ponarth znaleźli się chorzy z przytułków w różnych miastach na wschodzie, a ponadto kilka obdartych sióstr, które na łeb na szyję musiały opróżnić oddalony o 50 kilometrów szpital. Lekarz i siostra przełożona wzięły już wcześniej nogi za pas, zabierając ze sobą dwa cetnary masła, o czym donoszą mi zdenerwowane pielęgniarki. Z ciężko chorymi została młoda lekarka.

Moi nowi pacjenci leżą już w łózkach. Niewielu z nich zdaje sobie sprawę, dlaczego ich tu przeniesiono. Jedzenie mają zapewnione, ja też dostaję istic świąteczny posiłek, jakiego już dawno nie spożywałem. W pobliżu restauracji „Südpark“ wynajmuję pokój i zostawiam tam plecak.

[8] Dzielnica Königsbergu w pobliżu Dworca Głównego.

Po południu jestem na Maraunenhofie^[9], żeby pożegnać się z szefem. Chce spróbować przedostać się samochodem przez Elbing i Marienburg na zachód. Podobno do Elbingu dotarło tylko kilka rosyjskich czołgów. Potem jestem znów w Czerwonym Krzyżu i próbuję odzyskać część sprzętu operacyjnego, który zabraliśmy z Insterburga. Składowany jest pośród ogromnej masy wyposażenia innych ewakuowanych szpitali. Kierowcy ciężarówek siedzą beczynn timer przed barakami, najwyraźniej pozostawieni sami sobie, i jak się zdaje, gotowi są wyładować na mnie swą agresję. Jestem jednak uparty i udaje mi się wyciągnąć tyle, ile mieści mi się na rower.

Wieczorem, tak jak się umówiliśmy, spotykam się z Doktorą w klinice dla nerwowo chorych. Tam już wiadomo, że Rosjanie przekroczyli linię Dejmy, a ich szpice stoją pod Königsbergiem. Miasto nie przyjęło tego jeszcze do wiadomości. Normalnie jeżdżą tramwaje, ludzie chodzą do fryzjera i do kina.

24 stycznia

Główna masa przybyłych ze wsi uchodźców powoli rusza w drogę. Wozy jeden po drugim wyjeżdżają z szeregu i kierują się w stronę Alte Pillauer Landstraße, ulicy, po której przetacza się nieskończony łańcuch pojazdów. Mówi się, że w porcie w Pillau stoi wiele przepełnionych statków, które nie mogą wyjść w morze z powodu zagrożenia minami. Na ich pokładzie znajduje się też wielu chorych z rozlicznych klinik ewakuowanych z Königsbergu.

Z Doktorą spotykam się u jej rodziców w Juditten. Odrzuciła kilka propozycji opuszczenia miasta w charakterze opieki lekarskiej transportów. Przejęła natomiast gabinet lekarza, którego służbowo

[9] Dzielnica w Königsbergu na północ od Górnego Stawu.

skierowano w inne miejsce. Próbujemy naradzić się z jej rodzicami, czy i w jaki sposób powinni uciekać, kiedy nagle telefonicznie wzywają nas do kliniki dziecięcej. Oczekują tam dużego transportu dzieci. W klinice zastajemy pustkę. Znajduje się tam jeszcze tylko kilka osób z personelu. Budynek jest ogrzany. Chwytamy za miotły i ścierki i porządkujemy parę sal dla chorych, ale na próżno czekamy na zapowiedziane dzieci.

Około północy roznosi się pogłoska, że jeden ze statków wypłynął z Pillau i zatonął. Dolnym korytarzem przechodzi obok nas nieobecny duchem ordynator kliniki. Właśnie wrócił z Pillau, gdzie wsadził na statek swą żonę z siedmiorgiem dzieci.

25 stycznia

Przed południem panuje jeszcze spokój. Siedzę w budynku dawnej restauracji w Ponarth, gdzie zebrało się tymczasem sporo starych, zniedołężniałych ludzi. Wymagają opieki, ale specjalna pomoc medyczna nie jest tu konieczna. Wieczorem przychodzi Doktora, która chce poznać moje nowe pole działania. Kiedy późną nocą wsiada na rower, żeby wracać do Juditten, słyszymy nadlatujące samoloty. Niezależnie od niebezpieczeństwa długiej drogi, próbuję ją zatrzymać, ponieważ zrobiło się bardzo zimno, a Doktora zgubiła rękawiczki. Po chwili wahania odjeżdża jednak. Ledwie minęła pierwszy zakręt, cała okolica staje w siarkowożółtych płomieniach. Wysoko ponad nami wiszą race na spadochronach jak lampy w warsztacie jakiegoś olbrzyma. Biegnę za Doktorą i zatrzymuję ją. Stoimy i patrzymy ze zdumieniem: za wielką płaszczyną żółtego śniegu przed naszymi oczami rozciąga się widoczny lepiej niż za dnia Königsberg z jego dachami i wieżami. I kiedy powoli idziemy w tamtą stronę, tu i tam spadają pojedyncze bomby.

26 stycznia

Rosyjska artyleria zaczyna ostrzelać miasta. W Ponarth jestem mało potrzebny, dlatego udaję się do rezerwowego lazaretu na Maraunenhofie, gdzie w razie potrzeby mogę przydać się jako chirurg. Jednak lazaret został kilkakrotnie trafiony i kiedy rozmawiam ze znajomą, pracującą tam jako instrumentariuszka, nadchodzi rozkaz ewakuacji. Część rannych ma zostać przeniesiona do Pillau, jakkolwiek docierające stamtąd wiadomości są niezbyt pocieszające. Ludzie tłoczą się na wydmach. Od czasu do czasu pojawiają się sowieckie samoloty i krążą nad portem. Zapchane uchodźcami statki stojące na kotwicy są stale narażone na bombardowania i zatopienie.

Zgłaszam się do naczelnego lekarza i pytam, czy mógłbym się przydać w którymś z pozostałych lazaretów, ponieważ nie mam zajęcia. Nie widzimy się pierwszy raz – już od lat dokłada starań, by powołano mnie do wojska. Tym razem też nie mamy do siebie szczęścia. Z rozmowy telefonicznej z szefem Izby Lekarskiej wynika, że nie zamierzają mnie zwolnić.

Pastora z Haberbergu zastaję tego wieczora samego. Odwiozł żonę i córkę do portu, gdzie znalazło się dla nich miejsce na małym parowcu pewnego znajomego. Wielu jego parafian jest jeszcze w mieście, ponieważ podczas letnich nalotów bombowych większość domów na Haberbergu pozostała nietknięta. W najbliższą niedzielę chce u siebie w mieszkaniu odprawić nabożeństwo, na które mnie zaprasza.

Później znowu spotykam Doktorę w klinice dla nerwowo chorych. Zgromadziła się tam większość profesorów wydziału medycznego. Jako posiadacze wyższych rang wojskowych otrzymali rozkaz opuszczenia miasta. Najwyraźniej dowództwo armii nie zamierza traktować Königsbergu inaczej niż jakiegokolwiek miasta zajętego przez wroga,

które trzeba odstąpić. Z tym muszę się dopiero oswoić. Prawie się wściekam, widząc, jak ochoczo ci panowie wykonują ów rozkaz. Mimo woli przypomina mi się siedem nowych katedr, w tym jedna na wydziale medycznym, które ostentacyjnie otwarto pół roku temu, z okazji 400-lecia uniwersytetu. Teraz, przy przekazaniu rannych Rosjanom ma podobno pozostać tylko jeden lekarz na tysiąc osób. Dokładniej nic nie wiadomo. Tak czy inaczej duża klinika, będąca teraz lazaretem, pozostała bez lekarskiego nadzoru. I propozycję przejścia do niej przyjmuję z radością jak dar Boży. Doktora dostaje od jednego z panów klucz do jego gabinetu, w którym jest ponoć jeszcze całkiem przytulnie. Poleca nam szczególnie jedną ze stojących tam szaf z pożywną zawartością.

Kiedy opuszczamy budynek, jest noc. Na Alte Pillauer Landstraße mijają nas, skrzypiąc kołami, wozy w niekończącym się szeregu. Pomiedzy nimi przemieszczają się ludzie w różnym wieku, z różnych środowisk, ciągną sanki lub pchają załadowane wózki dziecięce – nikt nie ogląda się za siebie. Jak tu nie pomyśleć o słowach Pisma Świętego: „Módlcie się tylko, aby wasza ucieczka nie wypadła zimą”^[10]. To szczęście mieć pod ręką cytaty Jednoty Braterskiej^[11] – jedyna rzecz, którą można się jeszcze kierować.

Klinika chirurgiczna stosunkowo dobrze się zachowała, mimo że położona jest na skraju centrum miasta, zniszczonego przez naloty bombowe. Górne piętra zostały opróżnione. Wszyscy ranni, w liczbie około 180, leżą w piwnicy na materacach i w bocznym skrzydle na dwupiętrowych łózkach polowych. Z podwórza trzeba zejść kilka stopni i

[10] Mt 24,20; wszystkie cytaty biblijne w języku polskim pochodzą z tzw. Biblii Warszawskiej, używanej w Kościele Ewangelicko-Augsburskim w Polsce.

[11] Mowa tu o *Losungen*, zbiorze cytatów biblijnych, losowanych na poszczególne dni roku, wydawanym przez Jednotę Braterską herrnhurów, czyli braci morawskich (red).

już jest się wśród nich. Naprzeciwko wyjścia znajduje się pomieszczenie, w którym przeprowadzane są operacje. Ku naszemu zaskoczeniu spotykamy znanego nam z Insterburga ginekologa – przypadkowo tu trafił i zaraz siostry poprosiły go o przeprowadzenie pilnej operacji. Przez kilka godzin pracujemy razem, potem ustępuje nam pola.

27 stycznia

O brzasku wracamy do przerwanej na kilka godzin pracy. Ostrzał artyleryjski wzmógł się nieco, a ponieważ nic nie wskazuje na podjęcie obrony miasta, zakładamy, że Rosjanie pojawią się u nas jeszcze dziś.

Dzisiejszy cytat z Biblii jest dla mnie szczególnie niespodzianką: „Synu mój, daj mi swoje serce, a twoje oczy niechaj strzegą moich dróg!”^[12]. To sentencja, którą dostałem na chrzest, i może oznaczać tylko stan najwyższej gotowości. Zostań tu, miej oczy otwarte! Nie zastanawiaj się już, jak się stąd wydostać. Spójrz, jak tracą głowę wszyscy, którzy tak myślą. Zostań tutaj, przy mnie, a ujrzysz moją chwałę.

Po południu ostrzał artyleryjski nagle milknie. Nadlatują samoloty szturmowe i ostrzeliwują ulice z niedużej wysokości. Ostre terkotanie karabinów maszynowych rozbrzmiewa na przemian z głuchym paf-paf-paf pokładowych armatek. Dopiero teraz ludzie zaczynają pojmować, co właściwie się dzieje. Niedaleko nas wszyscy pchają się do wielkiego schronu przeciwlotniczego pod przykościelnym placem. Dziwne, że obcokrajowcy stanowią wśród mężczyzn zdecydowaną większość, nie wzięli jeszcze sprawy w swoje ręce. Nadlatują samoloty i do naszych piwnic też przybiegają ludzie z ulicy w poszukiwaniu schronienia. Po zakończonym nalocie przynoszą do nas rannych. Towarzyszą im ich bliscy, którzy nie chcą się z nimi rozstać. Robi się u nas coraz ciasniej,

[12] Prz 23,26.

jak w szalupie ratunkowej. Przyzywałam na to. Pielęgniarki i sanitariusze zachowują wspaniały spokój. Pracujemy, jakbyśmy byli zgrani ze sobą od lat.

Wieczorem dzwoni do nas przełożona służby sanitarnej armii – zadziwiająco, ale telefony jeszcze działają – i oznajmia, że mamy natychmiast zwolnić cały żeński personel pomocniczy, który ma starać się na własną rękę opuścić miasto jeszcze tej nocy. Pielęgniarki naradzają się chwilę, potem przychodzi do mnie siostra przełożona i pyta, czy akceptuję ich odmowę wykonania rozkazu. Ważniejsze jest dla nich pozostać przy rannych. Mówię jej, jak bardzo jestem rad z takiej decyzji. Pozostali zatrudnieni otrzymują oficjalnie zwolnienie z powodu zagrożenia ze strony Rosjan. Ponieważ jednak nie chcą się rozstać z pielęgniarkami, wszystko zostaje po staremu i można pracować bez zakłóceń.

Tymczasem w sali operacyjnej pojawił się znów były ordynator kliniki, doktor Hetzer. Trzymano go przez kilka dni na jakiejś wojskowej placówce, a po jej likwidacji pozostawiono samemu sobie. Obiecane miejsce w samochodzie zostało zajęte przez kogoś innego. Ma niedowład nogi, nie chciał więc iść pieszo do Pillau i wrócił do kliniki. Sprawia wrażenie przybitego i jako jedyny z nas stale mówi o rychłej śmierci.

28 stycznia

Minęła spokojna noc. Od wczesnego ranka grubymi płatkami pada śnieg. Jest tak cicho, że trzeba przyjąć, iż miasto jest już w rękach nieprzyjaciela. Ale około dziesiątej znów rozlegają się strzały. Nagle przychodzi mi do głowy, że pastor z Haberbergu pewnie właśnie zaczyna zapowiadane nabożeństwo. Chwilowo nie ma nic ważnego do roboty, uznajemy więc, że można sobie pozwolić na mały wypad. Rowerami szybko docieramy na miejsce. Na plebana ku swej radości jako pierwszego

napotyamy brata Martina. Ze swoją wojskową placówką z Insterburga trafił, jak my, do Königsberg u i zakwaterowano go w koszarach przy Trommelplatzu. Blisko 40 uczestników nabożeństwa wysłuchuje kazania na temat lekcji z pierwszego listu św. Pawła do Koryntian: „Czy nie wiecie, że zawodnicy na stadionie wszyscy biegną, a tylko jeden zdobywa nagrodę? Tak biegnijcie, abyście nagrodę zdobyli”^[13]. Podczas Wieczery Pańskiej nad miastem znów przelatują z hukiem samoloty szturmowe.

Po powrocie zastajemy w klinice nowych rannych. Koszary przy Trommelplatzu znalazły się pod silnym ostrzałem artyleryjskim i wiele łączniczek odniosło tak ciężkie rany, że lekarz nie może im już pomóc. Leżą na noszach w korytarzu, bo nigdzie nie ma miejsca. Inni ranni dotarli tu pieszo i cierpliwie czekają na swą kolej. Wśród nich jest kilku z ciężkimi obrażeniami, chociaż jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy. Jedna z kobiet na przykład pokazuje mi lewą rękę, która w stawie łokciowym przebita jest drzazgą grubości trzonka od miotły i wygląda jak krzyż. Prosi, bym zechciał wyciągnąć jej to drewno. Sama już próbowała, próbowali inni, ale bezskutecznie.

Późnym popołudniem wpadamy na chwilę do Juditten, żeby zobaczyć, co u rodziców Doktory. Nie zdecydowali się na ucieczkę i noszą się z zamiarem odebrania sobie życia. Wizja, że po 30 latach szczęśliwego małżeństwa mogliby zostać przemocą rozdzieleni, jest dla nich nie do zniesienia. Wobec ich argumentów pozostaje nam tylko odwołać się do wiecznej prawdy, zgodnie z którą to nie my stanowimy o swym życiu.

Nie oni jedni stoją przed taką decyzją. Zewsząd słyhać, jak ludzie rozmawiają o cyjanku potasu, jakby dostępny on był w nieograniczonych ilościach. Przy czym kwestia, czy w ogóle wolno po coś takiego sięgać, nie jest przedmiotem dyskusji. Rozprawia się jedynie o niezbędnej dawce, i to w tak lekkim i niefrasobliwym sposobie, jakby mówiło się, powiedzmy, o

[13] 1 Kor 9,24.

jedzeniu.

Potem nocą zaglądamy jeszcze raz do Juditten i zastajemy oboje zmarłych ułożonych starannie na łózkach, o co zadbała ich starsza córka, która opuściła już dom. Okno jest otwarte, a w pokoju panuje lodowate zimno. Przez chwilę stoimy bez słów. Na schodach odmawiamy *Ojciec nasz*. Kiedy wychodzimy z domu, z przeciwnej strony ulicy podbiega do nas kobieta i woła: „Pani doktor, to pani? Proszę do mnie, szybko, mój mąż zatrał się gazem!”. Doktora idzie za nią. Po chwili dołączam i widzę leżące na podłodze tęgiego mężczyznę. Doktora klęczy, bada go, wstaje i nakazuje roztrzęsionym kobietom, by zostawiły go w spokoju. Potem przez chwilę spogląda na mnie twardo i mówi, że możemy już iść.

W klinice czeka na nas siostra Doktory. Przyszła okrężną drogą i chce u nas pracować jako siostra Ina.

29 stycznia

Również i ta noc minęła, a nasza sytuacja nie zmieniła się w żaden sposób.

Przed południem wybucha nagłe zamieszanie wśród rannych, kiedy czeski sanitariusz chce zabrać im broń. Ten szczywany lis wpadł mi już wcześniej w oko. Wezwany na rozmowę, oświadczam, że kiedy wkroczą Rosjanie, w żadnym razie nie można dopuścić do strzelaniny. Daję mu do zrozumienia, że to nie jego sprawa, i proszę rannego majora, który już od dłuższego czasu przebywa w lazarecie i może się poruszać, by podjął niezbędne według niego działania. Proponuję omówić tę kwestię z ordynatorem i spotkać się około trzynastej w jego gabinecie.

Kiedy zbliża się umówiona godzina, jestem zajęty operacją, tak więc doktor Hetzer idzie już na pierwsze piętro, żeby major nie musiał czekać. Wtem nad nami rozlega się szum, następuje kilka ogłuszających uderzeń,

ściany się chwieją, a my spowici jesteśmy wapienną chmurą. Stojący naprzeciwko mnie sanitariusz krwawi z czoła, w głębi jakaś kobieta przeraźliwie krzyczy. Potem przez mgłę dobiega uspokajający głos starej instrumentariuszki Idy: „Niechże pani będzie cicho, przecież nic się nie stało”. Kiedy chmura opada, widzimy, że ma rację. W naszym otoczeniu odłamki cegieł spowodowały tylko drobne obrażenia.

Stojący przede mną sanitariusz jako pierwszy otrząsa się z osłupienia. Macha do mnie ręką i wychodzi. Podążam za nim schodami na pierwsze piętro. Rozpaczliwy widok. Wyleciały wszystkie drzwi, runęła większość ścian działowych, a w gabinecie ordynatora, do którego zmierzamy, nie ma całej ściany zewnętrznej. Na podłodze leży sterta roztrzaskanego drewna pokryta czerwoną warstwą pyłu ceglanego i zaprawy. Pod nią znajdujemy najpierw zabitego doktora Hetzera z wielką rozwartą raną głowy, a następnie, po dłuższym poszukiwaniu, majora, w którym jeszcze tli się życie. Wyciągamy go. Jego twarz, naszpikowana tysiącami drobnych odłamków cegieł, wygląda jak papier ścierny. Oczy ma okaleczone, poza tym nie doznał innych obrażeń. Znosimy go na dół. Posyłamy po jego żonę pracującą w pobliskim punkcie Czerwonego Krzyża, żeby była przy nim.

Przemierzam budynek, chcąc ustalić szkody. W piwnicy rozbite są tylko magazyny z zapasami, chorym nic się nie stało. Całą przestrzeń między skrzydłem operacyjnym i skrzydłem bocznym od strony podwórza wypełnia ogromnych rozmiarów lej po bombie. Ściana domu, za którą leżą ciasno słóczy ranni, wytrzymała nalot. Na zewnątrz, w szarym zimowym powietrzu roznosi się woń prochu, żelaza i śniegu. Drzewa leżą wyrwane z korzeniami, w sąsiednich domach szaleje ogień. Jeden zabity, jeden ociemniały – a ja zupełnie bez szwanku. Cicho podeszła do mnie Doktor. Przez chwilę wpatrujemy się w szare opary.

Tymczasem doprowadzono do porządku salę operacyjną. Po nalocie

przybyło nowych rannych. Przez następne godziny pracujemy niemal w euforii wynikającej z najpiękniejszego współdziałania wszystkich sił. Nawet w mocno nadszarpniętej kuchni pracują na pełnych obrotach i organizują warty, żeby nie przeoczyć żadnego momentu, kiedy mogą być potrzebni. Wszystkie drugorzędne sprawy nie mają najmniejszego znaczenia.

Późnym wieczorem pojawiają się nieoczekiwanie trzej oficerowie służby czynnej i sprawdzają stan lazaretu. Każą mi wyjaśnić, w jaki sposób objąłem tu stanowisko. Potem oglądają szkody i obiecują może jeszcze tej nocy przysłać kolumnę sanitarną, by przetransportować rannych na dworzec. Stoi tam gotowy do odjazdu pociąg, który będzie próbował wydostać się z miasta jeszcze przed brzaskiem. Zaraz zabierają ze sobą niewidomego majora, który chce, by obejrzał go okulista.

W tym samym czasie w budynku zaszło coś, czego początkowo nie potrafię sobie wytłumaczyć. Wzorowy dotąd personel jest coraz bardziej niespokojny. Mężczyźni biegają gdzieś gorączkowo i nagle widzę, jak jeden z nich idzie w moją stronę z kilkoma butelkami pod pachą. Zastępuję mu drogę, on upada i leży w kałuży czerwonego wina. Chodzi o alkohol. Intruzi z ulicy wdarli się przez wyłom w murze i plądrują zapasy. Część naszych ludzi wdała się z nimi w przepychanki, a przy okazji zaczęło się grabienie i po tej stronie. Nikt już nie zwraca uwagi na rannych, obok nich toczy się polowanie. Może to doprowadzić do rozpacz. Na szczęście pojawiają się samochody sanitarne. Podjeżdżają jeden za drugim. Nasi ludzie opamiętują się, intruzi czmychają, a potem już w spokoju odbywa się przeładunek rannych. Pozostają jedynie umierający.

Około jedenastej w nocy rusza długa kolumna samochodów, a każdy z nich wiezie dziewięciu rannych. Rozpoczyna się upiorna jazda przez zaśnieżone Stare Miasto, które w ciągu jednej nocy nalotów bombowych stało się polem ruin. Na ulicach nie widać żywego ducha. Zimny, jasny

księżyc stoi nad rzędami domów bez dachów. Pojedyncze pociski artyleryjskie tną z gwizdem powietrze i uderzają gdzieś z hukiem.

Kierowcy są bardzo podenerwowani; w szalonym tempie jedziemy w kierunku dworca towarowego. Na ostatnim torze stoi długi pociąg, w którym znajduje się już wielu rannych z innych lazaretów. Większość ma usztywnione szynami ręce oraz nogi i leży po dwóch na jednym legowisku. Rampa przeładunkowa jest tak pochyła, że samochody niemal się przewracają. Załadunek ciągnie się w nieskończoność. Sanitariusze klną, z kierownikiem transportu prawie nie da się rozmawiać, Doktora krąży całą noc pomiędzy rozdrażnionymi mężczyznami i uspakaja. Sądząc po łunie ognia, miasto jest już całkowicie otoczone i marne są widoki, by pociąg zdołał jeszcze stąd wyjechać. Ponad wzniesieniem w Ponarth, na którym płoną już niektóre domy, przelatują pojedyncze pociski artyleryjskie i spadają między tory. Noc jest przejmująco zimna.

Około czwartej nad ranem Doktorze udaje się nakłonić jednego z kierowców do powrotu do miasta. Chcemy odebrać pielęgniarki, które za moją radą są gotowe do wyjazdu. Druga ciężarówka jedzie za nami. Zatrzymujemy się przed kliniką, ale siostrom nie udaje się nawet wsiąść, bo tłum obcych ludzi z walizkami rzuca się na samochody. Polecam kierowcom, żeby wolno ruszyli w przeciwnym kierunku, i wszyscy nieproszeni pasażerowie jeden po drugim zeskakują. Potem nasze auta wracają okrężną drogą i zatrzymują się tam, gdzie czekają pielęgniarki. Siostry wsiadają szybko i odjeżdżają. Jest dla nich jeszcze miejsce w pociągu sanitarnym, są tam zresztą potrzebne.

W klinice zapanowała zupełna cisza. Został Czech, który wita nas w pewnym sensie jako gospodarz. Obok niego stoją dwie panie, blondynka i brunetka. Zadomowiły się w pomieszczeniu operacyjnym i częstują nas kawą na rozgrzewkę. Później idziemy jeszcze raz do umierających; nasz Czech przejął nad nimi opiekę. Na materacu między dwojgiem z nich

leży nowo narodzone dziecko. Jakaś Polka przyszła tu je powić. Potem zniknęła, ale obiecała, że później odbierze niemowlę. Dnieje, kiedy kładziemy się spać.

30 stycznia

Przed południem przychodzi się pożegnać dwóch młodych ludzi, którzy w ciągu ostatnich dni bardzo mi się przysłużyli jako asystenci. Teraz dopiero dowiaduję się, że to studenci medycyny, którzy z braku możliwości lepszego wykorzystania trzydniowego urlopu spędzili go u nas. Na szczęście we wspomnianej już szafie jest jeszcze butelka szampana, i to czerwonego, którą wspólnie wypijamy. Wypisuję każdemu z nich zaświadczenie, gdzie przebywał podczas urlopu. Potem ruszają w drogę, chcąc odnaleźć swój oddział, chociaż nie wiedzą, czy jeszcze istnieje.

Tymczasem znowu zmieniło się oblicze ulic. Pojedynczy oficerowie z pistoletami w dłoni kontrolują schrony i piwnice w poszukiwaniu ukrytych żołnierzy. Na moją prośbę jeden z nich przychodzi do piwnicy w klinice, gdzie znowu uaktywnili się szabrownicy. Oddaje kilka strzałów, na co intruzi przemykają do wyjścia jak szczury.

Żegnamy się z Czechem i przenosimy nasze bagaże do kliniki dziecięcej. Tam, we wbudowanym w zbocze schronie leży 50 chorych cywilów. Większość z nich jest w gipsie i nie może się poruszać. W głąb schronu prowadzą żelazne drzwi. Za nimi, pośrodku dwupiętrowych łóżek biegnie wąski korytarz, który po kilku zakrętach kończy się drugimi drzwiami, prowadzącymi znowu na zewnątrz. Pięć pracujących tu siostr znajduje dla nas miejsce i przyjaźnie nas wita. Obok, w pustej klinice dziecięcej ciągle jeszcze jest gorąca woda do kąpieli. Zachwyceni korzystamy z tej okazji. Kiedy przychodzi moja kolej, znów nadlatują

bombowce, i ta okoliczność sprawia, że dwukrotnie muszę szybko wychodzić z wanny, która stoi na drugim piętrze.

Po południu leży gruba warstwa śniegu i świeci słońce. Na ulicach, na których jeszcze przed dwoma dniami tłoczyli się uchodźcy, nie ma żywego ducha. Pojedyncze myśliwce jak sokoły przelatują nad miastem. Ruszam w drogę do Ponarth, tym razem pieszo, bo śnieg jest za wysoki na jazdę rowerem. Doktora i jej siostra chcą w tym czasie rozejrzeć się po centrum i dowiedzieć, czy nie ma dla nas nowej pracy.

W dziwnie podniosłym nastroju brnę w śniegu, zostawiając za sobą ślady, jakby całe miasto z jego losem należało tylko do mnie. Po drodze śpiewam ku chwale Bożej, a własny głos wzrusza mnie do łez. Kiedy dzień sądu jest blisko, przychodzą największe momenty w życiu człowieka. Ziemia pod jego stopami kręci się jak kula.

Mijając dworzec, stwierdzam z przerażeniem, że pociąg z moimi rannymi stoi nadal na torach. Wyruszył dopiero o brzasku, ale nie zdołał przejechać. Teraz znów tu stoi i czeka na kolejną noc. Trudno sobie wyobrazić, co się stanie z tymi tysiącami młodych ludzi pozbawionych opieki, jeśli się stąd nie wydostaną. Na razie są jeszcze pełni nadziei, że za drugim razem się im poszczęści.

Ponarth ucierpiał już podczas ostrzału artyleryjskiego. W budynkach po południowej stronie widać wielkie dziury. Trafiony został też dom, w którym się zakwaterowałem, i zginęło starsze małżeństwo z drugiego piętra. Z przeciwnej strony żwawym krokiem zbliża się kilka kobiet. Chcą jeszcze uciekać do Pillau.

Przejeżdżają niemieckie czołgi. Żołnierze rzucają bawiącym się na ulicy dzieciom tabliczki czekolady. Może ma to poprawić nastrój. Dzieci łapią je ochoczo.

Pawilon „Südpark“ stracił większą część dachu i dookoła leży pełno odłamków szkła. Chorzy schronili się do piwnicy. Przy kuchennym piecu

stoi młoda kobieta i pośród potłuczonych naczyń gotuje dla wszystkich jedzenie. Obok niej młody podoficer, czołgista, ze scyzorykiem w ręce przyrządza sobie smażone ziemniaki. Siadam przy stole kuchennym i pośród ogłuszającego huku dowiaduję się, jak wygląda sytuacja. W tym momencie rozgrywa się właśnie potyczka pancerna. Rosjanie celują w skrzyżowanie ulic, na którym stoi nasz pawilon. Strzelają jednak za wysoko, trafiają więc za każdym razem tylko w dach. W odległości około 100 metrów stoją nasze czołgi, które odpowiadają ogniem. Pytam, czy widać stąd czołgi rosyjskie. Nie, stoją trochę niżej, około 1500 metrów dalej, w kierunku Wandlacken.

Podczas wspólnego spożywania smażonych ziemniaków, dowiaduję się więcej o naszych czołgach. Przybyły tu niedawno z Tilsitu i dwukrotnie przekroczyły sowieckie linie. Zrobią to jeszcze raz, kiedy wejdą tu Rosjanie, może nawet w ciągu najbliższej godziny. Spoglądam na dziewczynę, która ze spokojem gotuje, jakby to wszystko w ogóle jej nie dotyczyło. Dalszego opowiadania słucham jednym uchem. W końcu podoficer proponuje mi, żebym zabrał się z nim. Jego dowódca to fajny facet i na pewno by się ucieszył. Waham się przez chwilę. Kusząca jest myśl, że na krótko przed końcem mógłbym jeszcze pojechać z ludźmi, którzy przynajmniej mogą się bronić. Ale strzelanina nagle ustaje, wraca zdrowy rozsądek i żegnamy się, życząc sobie wszystkiego najlepszego. On pochodzi z okolic Berlina, a Königsberg jest tylko jednym z wielu przystanków na jego ryzykownym szlaku.

W drodze powrotnej do miasta widzę, że tory przy dworcu są puste. Wydaje się zatem, że pociąg kolejny raz ruszył w drogę. Przez rozległą otwartą przestrzeń biegną ku mnie żołnierze, rzucają się brzuchem w śnieg, podnoszą i pędzą dalej. Jednego z nich, który pada na ziemię tuż przy mnie, pytam ze zdziwieniem, co to ma znaczyć. „Ostrzał piechoty” – wykrzykuje i energicznie rusza do przodu. Tak bardzo huczy mi w uszach,

że nie zwróciłem uwagi na pociski uderzające tępo w ziemię. Wydaje się, że mieszkańcy kwartału domów na tyłach dworca też niczego nie zauważyli. Przechodząc, widzę, że kobiety zamiatają przed drzwiami, a dzieci lepią w ogrodzie bałwana.

W pobliżu plebanii na Haberbergu żołnierze pospiesznie stawiają w poprzek ulicy barykadę z drewna i chrustu. Ma to być zapora przeciwczołgowa. Przypomina raczej przeszkodę na wyścigach konnych.

Pastor jest w domu i zaprasza mnie na kawę. Siedzimy przy oknie i patrzymy w stronę, z której powinny nadejść czołgi. Dowiaduję się przy tym o trudach posługi pastora. Każdego ranka przed drzwiami kościoła leżą nieznanymi zmarli, niektórzy całkiem nadzy. Trzeba ich pogrzebać, co przy zmarzniętej na kamień ziemi jest prawie niewykonalne.

Kiedy krótko potem idę Altstädtische Langgasse^[14] w kierunku centrum, znów biegną z przeciwka ludzie, żołnierze i cywile. Rozpierzchają się w bocznych uliczkach po prawej i lewej. Powodem ich pośpiechu jest zapewne jakiś czołg, który zablokował most na Pregole. Czy to Rosjanie? Jeśli tak, to nie ma już sensu uciekać. Spokojnie podchodzę i widzę z bliska, że jest to jednak niemiecki czołg, a stojący na nim człowiek wygłasza płomienną mowę. Pewnie zatrzymuje tam każdego przechodnia. Kiedy do uszu docierają mi słowa „nasz ukochany führer, Adolf Hitler”, wolę pospiesznie zniknąć w bocznej ulicy.

Jest już prawie noc, kiedy wracam do naszego schronu. Doktora, która była ze swoją siostrą w Szpitalu Miłosierdzia, też jest już z powrotem; przyniosła afisz rozwieszony tego popołudnia na wielu drzewach i narożnikach ulic. Widnieje na nim hasło: „Nienawiść i zemsta!”. Poniżej rozwlekły, pełen plugawych wyzwisk tekst przeciwko Rosjanom i wreszcie wezwanie, by sięgnąć do wszelkich dostępnych środków i ukatrupić wdzierających się wrogów. Apel ten okropnie mnie irytuje. Nie

[14] Ulica na Starym Mieście w Königsbergu.

mam zamiaru jechać na tym samym wózku, więc postanawiam udać się do komendanta twierdzy^[15] i zażądać wyjaśnień w sprawie afisza. Być może o niczym nie wie, chociaż widnieje tam jego nazwisko – co prawda dopiero jako drugie, pod podpisem szefa powiatu, który najwidoczniej zagarnął resztkę władzy.

Po bezowocnym powtórny marszu przez całe miasto do siedziby naczelnego dowództwa, odnajduję ostatecznie komendanta w naszym pobliżu, a mianowicie w dyrekcji poczty. Tu urządził swą kwaterę. Chcąc sprawiać bardziej wojskowe wrażenie, przypiąłem do pasa rosyjski pistolet, podarunek od znajomego. Straże przepuszczają mnie bez problemów. Przed drzwiami generała zatrzymuje mnie jednak jakiś major, który po prostu zagraża mi drogę. Generał nie przyjmuje pod żadnym pozorem. Jeśli chodzi o kwestię obrony, muszę się zwrócić do niego, majora. Takie jest jego zadanie. Pytam, jakie w ogóle są tu jeszcze zadania, i wpadamy w dość gwałtowną sprzeczkę. Zauważam przy tym, że tu nikomu nie przychodzi do głowy, by zacząć działać na własną rękę. Jak zawsze o wszystkim decydują zarządzenia Adolfa Hitlera. Również wezwanie do nienawiści i zemsty wszyscy zdają się akceptować. „Ma pan inny pomysł?” – pyta major całkiem uprzejmie i nieco bezradnie. Odpowiadam twierdząco i jeszcze raz usilnie proszę o dopuszczenie mnie do komendanta, ponieważ tylko osobiście mogę mu to powiedzieć. Na próżno, bo major powstrzymuje mnie siłą. Kiedy domagam się jego nazwiska, obiecuje w końcu przekazać generałowi list. Na odwrocie karty z wykresem temperatur piszę mniej więcej te słowa: „Panie Generale! Co obiecuje sobie Pan po podpisaniem przez Pana apelu, który wszędzie

[15] Komendantem „twierdzy” Königsberg był od stycznia 1945 generał Orto Lasch (1893–1971); dostał się do sowieckiej niewoli i został skazany na 25 lat gułagu, przebywał m.in. w Workucie. W 1955 roku wrócił „transportem amnestionowanych” do Niemiec Zachodnich.

porozwieszano? Königsberg nie jest byle jakim miastem, lecz ma za sobą wielką historię. Czyż nie lepiej uznać tę prawdę, którą najpewniej już wkrótce wszyscy będziemy musieli wyznaczyć przed Tronem Bożym? Swoim «Heil Hitler» nie zwabi Pan psa z kulawą nogą, a tym bardziej tych biednych wojaków, którzy chowają się teraz po dziurach. Dla nas jedynym do przyjęcia okrzykiem bojowym jest jeszcze bodaj «Kyrie eleison». Pomagał on wyjść obronną ręką z niejednej opresji. Jestem do Pańskiej dyspozycji”.

Dobrze się czuję, przenosząc to wszystko jeszcze raz na papier, chociaż wątpię, czy list dotrze do adresata. Całkiem wyczerpany wracam późno w nocy do schronu. Wokół miasta trzaska i terkocze. Ponad pierścieniem ognia wznoszą się wszędzie rakiety świetlne. Granatniki grzechoczą niczym koło fortuny na jarmarku. Nagą rzeczywistość trudno ogarnąć rozumem.

31 stycznia do 24 marca

Po wielu godzinach spania bez snów wychodzę znowu na światło dzienne i dziwię się, że jeszcze ciągle nic się nie zmieniło. Dookoła świszczą samoloty. W regularnych odstępach płasko nad nami strzelają działa z okolic starego dworca. Od czasu do czasu jakiś pocisk leci też w drugą stronę.

W klinice dziecięcej spotykam szefa tej placówki, który był już na statku, ale siłą został z niego wyprowadzony. Nie nosi munduru, więc musi tu zostać. Wyraża się negatywnie o Hitlerze i o gauleiterze Kochu^[16], ale krytyka ta wydaje mi się nieco spóźniona.

[16] Erich Koch (1896–1986) – gauleiter i ostatni nadprezydent Prus Wschodnich; do 1949 roku ukrywał się w Hamburgu. Zatrzymany przez Brytyjczyków został wydany Polsce. W procesie zakończonym w 1959 roku skazano go na karę śmierci, jednak wyroku nie wykonano. Zmarł w wieku 90 lat w więzieniu w Barczewie.

Doktora poszła ze swą siostrą do Juditten, żeby dopatrzeć domu i nieżyjących rodziców. Jednak kiedy były już blisko celu, żołnierze nie przepuścili ich z powodu bezpośredniej bliskości frontu, tak więc musiały zawrócić, niczego nie załatwiwszy. W drodze powrotnej zobaczyły, że jeden z lazaretów wprowadza się właśnie do kliniki dla nerwowo chorych. Sądząc, że możemy się tam przydać, niezwłocznie ruszamy w drogę.

Po przybyciu na miejsce stoimy przy wejściu, żeby najpierw zobaczyć, co się dzieje. Przez wąską bramę pospiesznie wjeżdżają jedna za drugą sanitarki, które rozładowuje się przed głównym wejściem. Wskazany jest pośpiech, ponieważ nadjeżdża najwidoczniej transport z drugim lazaretem, który znajdował się dotąd na skraju miasta w Ballieth^[17] i tam został ostrzelany. Musieli ewakuować się na łeb na szyję. Wielu rannych leży nago na ciężarówkach, są tylko skąpo przykryci.

Przepychamy się do wnętrza i widzimy, że klinika jest po dach zapchana ludźmi. Na korytarzach porozkładano rannych bezładnie na podłodze i stołach. W sali wykładowej na wpół leżą na rozkładanych krzesłach. Wielu z nich najprawdopodobniej już nie żyje. W morzu cierpienia, jakie nas zalewa, czuję, że wszystko się we mnie wzbrania przed indywidualnym współczuciem.

Przedzieramy się, omijając ręce i nogi leżących, i na końcu korytarza ciągnącego się wzdłuż budynku docieramy do otwartych drzwi, za którymi zdaje się panować ożywiony ruch. Wnosi się tu i wynosi rannych. Wraz z nimi dostajemy się do niewielkiego pomieszczenia, w którym roi się od personelu sanitarnego. W sąsiedniej sali widzimy wysokiego, tęgiego mężczyznę z gołymi ramionami i w gumowym fartuchu. Uwija się przy stole operacyjnym, na którym leży przed nim całkiem nagi ranny. Z wyglądu przypomina mi jednego z Cezarów. Na potężnym wypukłym czole kawałek bandaża podtrzymuje zagarnięte do tyłu przepocone włosy.

[17] Majątek ziemski na północnym skraju Königsbergu.

Zachrypnięty głos wykrzykuje najordynarniejsze przekleństwa i pogania sanitariuszy. „Ale rzeźnik!” – myślę sobie i spoglądam porozumiewawczo na Doktorę. „Kto wie, czego jeszcze można się spodziewać” – zdaje się odpowiadać jej wyraz twarzy.

Nagle mężczyzna podnosi wzrok, zauważa nas i pyta szorstko, czego sobie życzymy. „Adam!” – przychodzi mi do głowy, człowiek, jak się patrzy. Wyjaśniam mu, że jestem chirurgiem, i pytam, czy nie przydałbym mu się razem z obiema kobietami. Ku naszemu zdziwieniu odkłada skalpel, prawie bierze mnie w ramiona, wypycha na korytarz i chrypi: „Widzi pan ten bajzel! Od kilku dni muszę sam tu sobie radzić. Dłużej tak nie można. Niechże pan spróbuje zrobić tu trochę porządku. Proszę zacząć gdziekolwiek. A gdyby wszedł panu w drogę któryś z panów internistów...”. Padają bardziej niż drastyczne instrukcje, co mam z nimi zrobić w jego imieniu.

Zabieramy się do roboty. Na pierwszym piętrze, gdzie światło jest najlepsze, część rannych leży już w rzędach jeden obok drugiego. Dwóch młodszych lekarzy i kilku sanitariuszy poprawia opatrunki, które zwisają jak łachmany z rąk i nóg z ranami postrzałowymi. Klękamy na podłodze i próbujemy unieruchamiać kończyny za pomocą szyn. Wszystko ocieka ropą. Każdego z nich trzeba by co najmniej godzinę starannie opatrzyć; tu musimy to zrobić w pięć minut, bo setki innych czekają. Wielu z nich jest jeszcze w mundurach, dostali się tu prosto z okopów i nikt nie zdążył nawet obejrzeć ich ran. Personel pomocniczy troszczy się o nas w nadzwyczajny sposób, przynosząc nam kawę i najlepsze konserwy. Doktora i jej siostra są pierwszymi kobietami, którym wolno pracować w tym lazarecie, a my troje – w ogóle pierwszymi cywilami.

W nocy w pewnym momencie wzywa mnie doktor Bode, ów gruby lekarz sztabowy, bym pomógł mu przy operacjach. Jestem zadowolony, gdyż po sześciogodzinnym klęczeniu opatrywanie stało się już męczarnią.

Natomiast kobiety są jeszcze pełne sił. Na dole obwiązują mnie gumowym fartuchem i zaraz się zaczyna. Niepodobna opisać programu operacji, a następne godziny mijają jak w groteskowym śnie.

Nad ranem operuję sam. Lekarz sztabowy siedzi w kącie, chrząka, zapada w odrętwienie, przysypia, to znów wstaje, ustala kolejność zabiegów i podtyka mi pod nos na przemian a to pieczeń, a to cygare, kieliszek szampana albo kanapkę. Im trudniejszy zabieg, tym lepszy kąsek. Później sprowadzają Doktorę, która ma asystować, a lekarz sztabowy też osobiście ją karmi, tak jak mnie. Na zewnątrz przez cały czas trwa silny ostrzał. Niezbyt stabilny budynek chyboce niepokojąco. Co rusz wylatuje jakaś szyba. Nagle roznosi się pogłoska, że sześć sowieckich czołgów przejechało przez Alte Pillauer Landstraße i wdarło się do centrum miasta.

W którymś momencie robimy przerwę. Leżę na podłodze między sanitariuszami i godzinę przesypiam. Potem robota idzie dalej, bodaj jeszcze przez cały dzień, bo kiedy wreszcie kończymy i półprzutomni stajemy przed drzwiami wejściowymi, robi się znowu ciemno. Na zewnątrz już spokojniej. Zimowe powietrze i niebieskawy śnieg dobrze działają na oczy. W drzewach na cmentarzu po drugiej stronie stawu miękko drży powietrze, co zapowiada odwilż. W poczuciu głębokiego spełnienia, milcząco brniemy gęsiego z powrotem do schronu.

O dwunastej w nocy znów jesteśmy na posterunku. Tym razem we czworo, gdyż zabrałem ze schronu siostrę Minnę, która pięć lat przepracowała jako instrumentariuszka. Topnieje. Od strony frontu widać tylko słaby poblask. Między cmentarzami jest tak ciemno i tak ślisko, że droga zajmuje nam pół godziny. Po przyjsciu do kliniki od razu wpadamy w wir zajęć. Po lewej stronie od drzwi wejściowych znajdowało się kiedyś laboratorium. Teraz na podłodze wokół wielkiego stołu leżą tam nowo przyjęci. Wszyscy mają obrażenia głowy albo brzucha, albo jedno i drugie. Inni ranni przewożeni są z frontu do pięciu głównych punktów

opatrunkowych zorganizowanych w „twierdzy”.

Nie ma jeszcze mowy o planowej pracy. Kto leży bliżej, brany jest na stół operacyjny. Spośród nowo przybyłych wyszukuje się w miarę możliwości tych z wyczuwalnym jeszcze pulsem. Pozostałym najprawdopodobniej nie można będzie już pomóc, ponieważ nie ma szans na zajęcie się szokiem pourazowym. A cóż mówić o leczeniu uzupełniającym. Na dobrą sprawę nie da się też sprawdzić, kto po zabiegu jeszcze żyje i gdzie go odnaleźć. Możemy troszczyć się tylko o ułamek chwili.

Na górnych piętrach tymczasem trwa nadal selekcja. Chorych kładzie się w rzędach, zmarłych wynosi i układa przy tylnej ścianie budynku jak drewno w sagi. Tym sposobem zyskuje się miejsce na rozłożenie materaców i rozstawienie dwupiętrowych łóżek. Doszedł jeszcze jeden chirurg. Wchodzi w skład personelu jednego z dwóch lazaretów, który przejął połowę budynku.

Interniści z obu lazaretów niechętnie zachodzą do sali operacyjnej, ponieważ Bode za każdym razem obrzuca ich grubiańskimi przekleństwami. Siostra Minna od razu ma pełne ręce roboty. Sanitariusz, który dotąd pełnił funkcję instrumentariusza, z ulgą ustąpił jej miejsca. Obawiałem się, że wśród tych wszystkich mężczyzn będzie początkowo onieśmielona, ale srodze się pomyliłem. Wie, kiedy fuknąć albo łypnąć groźnie, i w ten sposób rozstawia zmordowanych chłopaków po kątach, dbając, by nikt nie stał beczynnym. Nawet Bode od czasu do czasu okazuje jej rodzaj respektu i redukuje własną ekspresję do minimum, wyraźnie rad, że może oszczędzać swe zdarte gardło.

W budynku założony też został oddział okulistyczny. Odnajduję tam leżącego na noszach ociemniałego majora. Jest przy nim żona, która pomaga opatrywać innych rannych. Zatrudnia się kolejne kobiety do opieki. Pracuje już kilka siostr diakonis. Miejscami pojawia się trochę

porządku w tym bałaganie. Dzięki temu można nawiązać osobisty kontakt z poszczególnymi rannymi. Z szarej ludzkiej masy – na pozór odciętej już od współczucia, bo przetoczyło się przez nią zbyt wiele nieszczęścia – wyłania się tu i ówdzie pojedyncza istota spragniona ludzkiego słowa.

Przy pracy z rannymi zamazuje się granica między dniem i nocą. Za każdym razem muszę się dziwić, że na zewnątrz znowu się robi widno albo zmierzcha. Rosjanie najwyraźniej się nie spieszą i w ten sposób dają nam też trochę czasu. Na ulicach zaczęto budować umocnienia; zapory z cegieł, desek, chrustu i starych pojazdów porzuconych podczas ucieczki. Zmarłych ze stosu przy ścianie budynku grzebie się na cmentarzu na stawem w ogromnym grobie, przy czym posługę odprawiają pospół dwaj kapelani z lazaretu, ewangelicki i katolicki.

Któregoś dnia mamy gościa. Naczelnny lekarz okręgu wojskowego powrócił do miasta „Bocianem” Fieselera^[18] i podjął na nowo pracę. Bode i ja, obaj tego samego wzrostu, ale o zdecydowanie różnym obwodzie brzucha, przyjmujemy gościa, stojąc obok siebie w sali operacyjnej. Naczelnny lekarz, niegdyś słynny ze swej otyłości, a i teraz jeszcze dość korpulentny, dostrzega najpierw lekarza sztabowego, mierzy go z dezaprobatą od góry do dołu i sposobi się do połajanki z powodu bałaganu w lazarecie. Obawiam się, że tamten rzuci mu się do gardła, chwytam go więc za prawy nadgarstek i mocno trzymam. Na szczęście generał już mnie rozpoznał i zwraca się do mnie o wiele uprzejmiej. Chce się dowiedzieć, kiedy zostałem tu zatrudniony. Odpowiadam, że nadal jestem cywilem i mam nadzieję nim pozostać.

Kilka godzin później jeden z obu lazaretów, w którym pracuje nasz lekarz sztabowy, otrzymuje rozkaz przeniesienia się do opróżnionego

[18] Fieseler Fi 156 „Storch“, samolot rozpoznawczo-łącznikowy, używany przez Niemców na wszystkich frontach.

w tym celu budynku Ostpreußenwerke^[19] przy Dworcu Północnym. Przeprowadzka odbywa się następująco: zanim zdołałem się obejrzeć, w drugiej połowie kliniki demontują, wynoszą i ładują na ciężarówkę wszystko, co nie jest przymocowane na stałe. Zostają jedynie ranni i musi ich przejąć drugi lazaret. 300 chorych pozostawiono nagle bez personelu medycznego, bez naczyń do jedzenia, basenów i sprzętu do mycia – chociaż tych wszystkich rzeczy było i tak niewiele. Mnie też przydzielono do lazaretu, który tu pozostaje, i mam teraz własny zespół operacyjny. Z żalem żegnam się z lekarzem sztabowym, bo polubiłem już jego nieokrzesane człowieczeństwo. Na pożegnanie dostaję jeszcze kilka radykalnych wskazówek, jak obchodzić się z wojskiem, a zwłaszcza z lekarzami sztabowymi.

Do mojego zespołu należą Doktora, jej siostra, młodszy lekarz, czterech sanitariuszy do pomocy i siostra Minna jako instrumentariuszka. Rannych dostarczają *Hiwis*, czyli ochotnicze oddziały pomocnicze^[20]. Wyposażenie uzupełniłem osprzętem z zasobów walających się bezużytecznie w mieście. Kazałem spod gruzów w klinice chirurgicznej wyciągnąć nawet stół do gipsowania. Przywożą nam już wyłącznie ludzi z postrzałami w brzuch, to znaczy zranionych odłamkami granatów, którzy poza ranami jamy brzusznej mają też obrażenia innych części ciała. Wszystkich rannych w głowę przewozi się odtąd do Ostpreußenwerku.

Zrezygnowaliśmy z mieszkania w schronie i przenieśliśmy się do domu dyrektora kliniki dla nerwowo chorych. Zakwaterowani są tam również inni lekarze z lazaretu, interniści, okulista i laryngolog. Pokoje znamy ze spokojniejszych czasów. Dostałem dziecięcą sypialnię na

[19] Budynek należący do Ostpreußenwerke AG (Spółki Akcyjnej Wschodniopruskie Zakłady Energetyczne).

[20] *Hilfswillige*, ochotnicze oddziały pomocnicze, formowane z sowieckich jeńców wojennych.

pierwszym piętrze z widokiem na staw. Wchodzi się do niej przez pokój, który zajmuje ewangelicki kapelan lazaretu. Poznaliśmy się bliżej przy okazji jego częstych odwiedzin w sali operacyjnej.

Oba zespoły operacyjne podzieliły między sobą czas pracy i każdy pełni dyżur przez dwanaście godzin. Mój zespół pracuje nocą i przychodzi spać około ósmej rano. Właśnie w tym momencie po drugiej stronie stawu, niecałe sto kroków stąd, *volkssturm* rozpoczyna ćwiczenia z pancerfaustami^[21]. Rozlega się podwójny huk, po którym dachówki nad moją głową podnoszą się w górę i opadają jak kurze pióra na wietrze, a luki w dachu są coraz większe.

Na zadrzewionych cmentarzach po prawej i lewej stronie Pillauer Landstraße piętrzą się stopy amunicji. Z pierścienia twierdzy kilka ustawionych tam dział oddaje co jakiś czas strzały – nie wiadomo, do jakiego celu. Przeciwnik niekiedy odpowiada ogniem. Generalnie jednak zrobiło się o wiele spokojniej. Walki toczą się tylko na peryferiach. Świadczy o nich odgłos „organów Stalina”^[22], krążące samoloty, a także fakt, że nieustannie dostarczają nam nowych rannych.

Podczas jednej z przerw w pracy siostrze Inie udało się dotrzeć aż do Juditten i zwerbować dwóch starych mężczyzn do pomocy w pochówku rodziców. Front oddalony jest tylko o kilkaset metrów, a domy zajęło wojsko. Dzień później, 7 lutego, idę z Doktorą na cmentarz w Juditten. W wysokim topniejącym śniegu, pośrodku pustej kwatery wykopany został dół. Siostra Ina poszła wcześniej, żeby pomóc mężczyznom. Spotykamy ją przy grobie, a po odejściu mężczyzn odmawiamy wspólnie psalm 139.

Przez kilka dni okrajone miasto było całkowicie zamknięte. Potem odbito na pewien czas szosę do Pillau. Weszły nowe oddziały, można

[21] Granatniki przeciwpancerne.

[22] Niemiecka potoczna nazwa sowieckich wyrzutni rakietowych typu „katiusza”.

było ewakuować rannych. Jednak transporty mogą jechać tylko nocą i nie zawsze docierają do celu, gdyż szosa jest pod ostrzałem. Samochody nierzadko muszą zawracać.

Ale jeszcze trudniejszy jest dalszy transport z Pillau. Nieprzebrane tłumy koczują bez schronienia na wydmach. Rannych przywożą tam teraz przez zalew również z Heiligenbeilu. Sam zalew jest w tej chwili widownią nieopisanej gehenny. Wiele tysięcy uchodźców zdąża wozami po lodzie w stronę mierzei, a nad nimi kołują sowieckie bombowce. W nocy cała okolica jaśnieje od rac świetlnych na spadochronach.

Poza tym Rosjanie idą przez Pomorze w kierunku wybrzeża. Część z nich – jak donosi radio – stoi już nad Odrą. Mało kto uświadamia sobie, co to oznacza. I prawie nikt się nad tym nie zastanawia. Führer jak dotąd troszczył się o wszystko i na pewno coś sobie pomyślał, pozwalając Rosjanom wejść tak daleko. Poza tym ludzie wierzą w nową broń, o której coś się przebąkuje, choć nikt nie byłby w stanie powiedzieć, jak jej użyć, żeby nie unicestwiła pospołu przyjaciela i wroga.

Podmiejska miejscowość Metgethen była przez kilka dni w rękach Rosjan, a potem została odbita. Ulotki pełne straszliwych detali donoszą, co się tam działo i w jakim stanie odnaleziono ludzi, a zwłaszcza kobiety. Prawdopodobnie kryje się za tym zamiar nakłonienia nas do zdeterminowanego oporu. Jednak nie można stwierdzić, by takie wiadomości odnosiły większy skutek. Ludzie nie są jeszcze w stanie pojąć, że coś takiego może się zdarzyć i to całkiem blisko.

Wraz z powrotem do twierdzy oficerów sanitarnych ze służby czynnej zaczęły się znowu biurokratyczne potyczki, a do ich ofiar należą i ja. Zostałem wezwany do naczelnego lekarza w celu wyjaśnienia stosunku do służby wojskowej, ponieważ praca cywila wśród żołnierzy zdaje się nie do przyjęcia. Z przytroczonym do pasa pistoletem udaję się do stosownej placówki obok teatru. Przyjmuje mnie oficer, który ostrożnie próbuje mi

wyjaśnić, że muszę teraz wstąpić do wojska. Pytam, czy się to opłaca na tak krótki czas i czy naprawdę nie da się uniknąć przywdziania munduru. Jeśli chodzi o mnie, nie czułbym się przez to bardziej zobowiązany niż dotąd, a w lazarecie wywołałoby to jedynie niepotrzebne komplikacje. Nazywają mnie tam zazwyczaj lekarzem sztabowym i nikt nie zwrócił jeszcze uwagi, że chodzę po cywilnemu. Natomiast zwolnienie mnie z pracy w sali operacyjnej miałyby się z celem, ponieważ i tak od dawna nie jesteśmy w stanie wykonać dziennego pensum. W odpowiedzi słyszę, że nie było to w ogóle przewidziane. W uznaniu mojej dotychczasowej ochotniczej pracy mają mianować mnie młodszym lekarzem, co byłoby antydatowane o trzy tygodnie, zaś zasadnicze przeszkolenie z bronią zostanie w drodze wyjątku położone na okres późniejszy. Ponadto z uwagi na aprowizację, przynależność do Wehrmachtu byłaby dla mnie o wiele korzystniejsza. Moje zapewnienia, że pracując w lazarecie, jestem zadowolony i syty również bez wynagrodzenia, zaś wobec Rosjan zapewne nie będziemy mogli wysuwać żadnych tego typu roszczeń – pozostają bez echa. Najwidoczniej każdy z nas mówi innym językiem. W końcu akceptuję swój los i zasięgam informacji o niezbędnych formalnościach związanych z powrotem do lazaretu. Po pierwsze muszę zameldować się u starszego sierżanta, reszta okaże się z czasem.

Kiedy się żegnam, ktoś wchodzi i składa meldunek o pociągu sanitarnym z moimi rannymi z kliniki chirurgicznej. Mimo kilkakrotnych prób nie udało się im wyjechać z miasta i stoją nadal na dworcu towarowym. Pozostałych przy życiu rozlokowuje się po lazaretach i punktach opatrunkowych w mieście. Wiele pielęgniarek trzeba było przyjąć w charakterze pacjentek. Zawodzi mnie wyobraźnia, kiedy myślę o tym, co przeszli ci ludzie przez ostatnie czternaście dni.

Po powrocie do lazaretu melduję się przepisowo u starszego sierżanta, któremu nie pozostaje nic innego, jak z zakłopotaną protekcyjnością

załatwiać dalsze sprawy. Chwilowo nie wiem, na czym to polega, gdyż natychmiast wpadam w wir operacji. Mimochodem dowiaduję się, że moja dalsza obecność przy stole obiadowym lekarzy budzi jakieś wątpliwości. Jestem zresztą zadowolony, ponieważ nie cenię zbyt tego obyczaju i zwykle w porze obiadowej wolę się przespać, aniżeli uprawiać konwersację. Oddycham z ulgą, kiedy nagle zmiana w centrali rozwiązuje cały problem szybciej, niż można się było spodziewać. Następcą lekarza naczelnego zjawia się osobiście i zawiadamia mnie, że wszystko może pozostać po staremu. Dla spełnienia wymogów biurokracji określony zostanie urzędowo jako chirurg-konsultant.

W połowie lutego dotarło do nas przez Pillau dwóch nowych chirurgów, co znacznie ułatwiło nam pracę. Tylko dwa z czterech zespołów pełnią jednocześnie dyżur. Wobec tego mamy czas na obchód, co dotąd było niemożliwe. Każdy zespół dysponuje wyuczoną instrumentariuszką. Na oddziałach pracują też prawdziwe pielęgniarki. Dolne piętro pozostaje w miarę możliwości wolne i tam przyjmujemy nowych rannych. Panuje nieustanny ruch, gdyż już po paru godzinach trzeba wynosić wielu zmarłych. Pracują tu niezapomniani ludzie – delikatna, starsza siostra Ursula z Koblencji, która niemal lewituje z bezsenności, obok niej zaś bezprzykładnie oddany sanitariusz Galia.

Kapelan lazaretu zdołał wyciągnąć z koszar przy Trommelplatzu i ulokować u nas jako sanitariusza brata Martina, którego zna z okresu studiów. Został przydzielony do mojego zespołu i wysłany prosto na salę operacyjną, znaną mu tylko z opowieści. Nie będzie miał czasu na oswojenie się z pracą. Od razu musi asystować przy amputacjach, podtrzymywać, a potem wynosić ręce i nogi. Jesteśmy wdzięczni, że mamy go u siebie. I nie ma dnia, byśmy się nie spotkali o jakiejś porze na wspólne czytanie i omawianie tekstów z Biblii na dany dzień. Naszej, tak beznadziejnej na pozór pracy, przydaje to sensu, a każdy dzień ma swą

szczególną chwilę.

Niezwykłe ciasna sala operacyjna została tymczasem powiększona. Opróżniono i przyłączono do niej przyległy, większy pokój. Tam odbywają się operacje. W przedsionku selekcjonuje się rannych, bada ich i prześwietla. Obok zakładane są opatrunki i gips do transportu. Cennym nabytkiem jest stary pielęgniarski Didszus, który 30 lat przepracował w klinice chirurgicznej. Na jego usilne prośby zatrudniłem go prosto z ulicy. Pracuje z taką precyzją, że można zaoszczędzić dwóch ludzi i wiele słów.

O dwunastej w nocy robimy zazwyczaj przerwę śniadaniową. W oba zespoły siadamy w kręgu na czym się da, pijemy kawę i zajadamy kanapki. Brat Martin przynosi je z kuchni. Wszyscy cieszą się na tę chwilę, gdyż toczą się wówczas ciekawe rozmowy i można podzielić się niejedną skrywaną troską. Poza tym ten dodatkowy posiłek stał się dość ważny, gdyż oficjalne przydziały są z dnia na dzień skromniejsze. Z mięsa dostajemy już tylko koninę, której zresztą jest pod dostatkiem, gdyż zwierzęta często padają od bomb.

Wśród dowożonych do nas rannych coraz więcej jest takich, których trudno uznać za regularnych żołnierzy. Wielu już dawno przekroczyło wiek poborowy. Jako członków *volkssturmu* przyodziewa się ich w mundury i od razu wysyła do boju. Niektórzy dokonują przy tym zadziwiających rzeczy. Pewnego razu ranny pojawia się w towarzystwie sześciu kolegów, zaopatrzonego w pismo od szefa powiatu, który domaga się otoczenia tego człowieka szczególną opieką. Mimo ciężkich obrażeń szaleje z zachwytem nad własnym wyczynem – udało mu się pancerfaustem zniszczyć kolejno cztery sowieckie czołgi.

Poza tym trafiają do nas piętnasto-, szesnastoletni chłopcy, których nierzadko przed paroma godzinami zgarnięto z ulicy i wysłano na front. Są to głównie miejscowi, stąd też oczywiście szybko zjawiają się ich matki. Pozwalamy im siedzieć przy dzieciach, bo przecież dostajemy

tylko rannych w brzuch i w większości przypadków nie trwa to już długo.

Parokrotnie mam nieoczekiwaną wizytę krewnych. Dwa razy jest to B. [Bernhard] Finckenstein, który dowodzi batalionem w Metgethen. Po odniesionych ciężkich obrażeniach jest właściwie jeszcze niezdolny do służby i porusza się na mocno opuchniętych nogach. Jednak kiedy załamał się front w Prusach Wschodnich, uznał za konieczne wrócić z Berlina do zagrożonej ojczyzny. Przy drugiej wizycie przyniósł mi koniak i papierosy, rzeczy, których w lazarecie się nam skąpi, od kiedy zabrakło grubego lekarza sztabowego. Istnieją przy tym uzasadnione podejrzenia, że zapasy wcale nie są tak marne, jak utrzymują osoby odpowiedzialne.

Innym razem odwiedza mnie kuzyn Knyphausen. Jest członkiem sztabu 5 dywizji pancernej, która stacjonuje między Königsbergiem i Pillau. Jego kwatery stoi w Vierbrüderkrug^[23]. W dywizji nikt już nie liczy się ze skuteczną obroną, jeśli przeciwnik ruszy do ostatecznego uderzenia. Rad jestem, że otrzymuję tak uczciwą informację.

Natomiast w irytację wprawia mnie tak zwany NSFO^[24], który podczas wizyty w lazarecie pod koniec lutego wygłasza dla rannych arogancki wykład o aktualnej sytuacji militarnej. Setki niemieckich czołgów, jak utrzymuje, przybyły ostatnio do Pillau. Uderzą wkrótce z użyciem nowej broni i połączą się na tyłach Rosjan, może pod Warszawą, z drugą grupą czołgów, która jest w drodze z Breslau. Ma to być od dawna przygotowywany plan führera: wpuścić Rosjan i tym skuteczniej ich potem unicestwić. Nawet jeśli teraz ludność Prus Wschodnich ucieka na zachód, to każdy powinien wiedzieć, że za kilka miesięcy będzie mógł spokojnie wrócić. Na wiosenne siewy wszyscy już będą z powrotem. Zaś defetystą jest każdy, kto zostaje w domu. Spotka go zasłużony los.

[23] Miejscowość wypoczynkowa nad Zalewem Wiślanym, cel pieszych wycieczek mieszkańców Königsbergu.

[24] Nationalsozialistischer Führungsoffizier, nazistowski oficer polityczny.

– Nie ma najmniejszego sensu w jakikolwiek sposób zaprzeczać, on sam przecież wie, jak bardzo kłamie. Z przyjemnością jednak przez cały wykład z odległości dwóch metrów patrzę mu w oczy. Rezygnuję z udziału w zapowiedzianym na wieczór spotkaniu, a następnego dnia zatroškani koledzy ganią mnie za wyzywające zachowanie wobec tak ważnej osobistości.

Poza tym uszczęśliwiają nas jeszcze w inny sposób. Fircykowaty kawiarniany skrzypek w mundurze z dziesięcioma podobnie niewojskowymi muzykami przez całe popołudnie gra dla rannych rzewne szlagiery. Potem usilnie nakłaniają nas do obejrzenia filmu *Kolberg*^[25], który wyświetlany jest w teatrze. Zważywszy, że może chodzić jedynie o szytą grubymi nićmi propagandę dla mas, rezygnuję z tej przyjemności pod pretekstem ciężkiej służby.

W pierwszych dniach marca mamy odwilż i słońce. Chwilami czuć już powiewy niezwykłego jak na tę porę wiosennego powietrza. Klucze łabędzi ciągną nad miastem. Zawsze się boję, że może je ostrzelać obrona przeciwlotnicza.

Praca w lazarecie na tyle się ustabilizowała, że ogarnia mnie znowu ciekawość, jak też wygląda świat poza murami szpitala. Podczas mojego pierwszego wyjścia napotykam między cmentarzami jelenia – wietrzy, przekracza Pillauer Landstraße i znika w zaroślach. Zmierzam do urzędu pocztowego numer V przy Dworcu Głównym, w którym mieści się punkt opatrunkowy. Przesyłają nam stamtąd czasem porządnie opatrzonych rannych.

Ale na szczególną uwagę zasługuje starannie sporządzona historia choroby każdego z nich, bo przy ogólnie panującym bałaganie coś takiego już dawno wyszło z mody. Z ciekawości chciałbym poznać lekarza, który

[25] Propagandowy film Veita Harlana, nakręcony pod koniec wojny; produkcję nadzorował osobiście minister propagandy Rzeszy Goebbels.

sygnuje te papiery jako ordynator Bothmer.

Wyprawa do niego okazuje się bardziej ryzykowna, niż sądziłem. Idę Pillauer Landstraße i zanim skręcam w prawo, spostrzegam, że na skrzyżowaniu kilku ludzi nagle rzuca się na ziemię. Automatycznie robię to samo i zaraz słyszę przelatujące nad nami samoloty. Leżę na plecach i widzę, jak pojawiają się na niedużej wysokości między chmurami, a w tej samej chwili spadają bomby, wywołując ogłuszający hałas niczym szum ogromnego wodospadu. Uderzają w ziemię, a potem wszyscy się podrywają, by iść dalej w swoją stronę.

Kilka minut później przechodzę obok miejsca, gdzie spadły bomby. To okolica stacji kolejowej Holländerbaum^[26]. Podziurawione domy po lewej i prawej stronie ulicy najwidoczniej były już puste. Ale most, który zapewne był celem nalotu, ocalał nienaruszony. Biegnę co sił na drugą stronę, bo znów zbliżają się samoloty. Jedna bomba wpada do wody, pozostałe lądują nieco dalej, w gruzach. Akurat docieram do celu, kiedy wzdłuż torów nadlatuje trzecia eskadra. Uskakuję do najbliższego wejścia do piwnicy i znajduję się w dużym, mrocznym pomieszczeniu. Przylegają do niego jeszcze inne duże sale, w których leżą ranni. W głębi kręci się wiele osób w białych fartuchach. Przyglądam się im dokładniej i próbuję wytypować człowieka, którego szukam. Nikt szczególnie się nie wyróżnia. Ale po chwili spostrzegam go nadchodzącego z naprzeciwka, prawie jak starego znajomego. Odczekuję, aż mnie minie, a potem niepostrzeżenie idę za nim aż do aparatu rentgenowskiego, gdzie każe pokazać sobie kilka zdjęć. Kiedy trzyma jedno z nich pod światło, stoję z tyłu i zadaję rzeczowe pytanie. Najpierw odpowiada, a dopiero potem spokojnie spogląda, któż to pyta. W odruchu ciekawości badawczo mierzy mnie wzrokiem. „Jest pan wojskowym?” – „Nie, w każdym razie nie całkiem. Ja tylko pracuję w lazarecie i chciałem zobaczyć, kto przysyła

[26] Dzielnica Königsbergu.

nam zawsze takie staranne historie choroby.” Mężczyzna odkłada zdjęcie i prowadzi mnie do pokoju obok. Siadamy tam na stole, rozmawiamy i wkrótce jesteśmy już daleko od tej ciemnej piwnicznej izby. Pochodzi z Kilonii, gdzie mieszka jego żona z dwójką małych dzieci. Niewiele słów może tak wiele wyrazić. Umawiamy się, że dopóki się da, pozostaniemy w kontakcie, przynajmniej telefonicznym, skoro działa jeszcze połączenie między lazaretami.

Potem odwiedzam pastora z Haberbergu, którego dom i on sam tym razem też wyszedł bez szwanku. Natomiast ocalałe z letniego nalotu budynki za kościołem zostały trafione w ciągu ostatnich godzin. Spod zwału desek leżących na ulicy wynoszą zabitych. Własne życie coraz bardziej objawia się jako cud.

Po przejściu przez miasto ruin, których potęgą za każdym razem na nowo mnie fascynuje, zachodzę do Ostpreußenwerku. Gruby lekarz sztabowy przyjmuje mnie w długim prawie do ziemi, jedwabnym fartuchu, znalezionym w opuszczonym magazynie sanitarnym SS. Wygląda jak maharadża. Ma jeszcze bardzo dobry koniak i prezentuje mi ślicznego spaniela, którego chce wyszkolić na psa myśliwskiego, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja. Uważa to chyba za całkiem możliwe.

Kiedy się żegnam, już zmierzcha. Gmach prokuratury, obok którego przechodzę, budzi wspomnienia. Wygląda jeszcze tak samo jak minionej jesieni: budynek frontowy rozplątany przez minę powietrzną, a więzienie z tyłu nienaruszone. Wówczas przetrzymywana tu była jako więzień Gestapo moja matka. Aresztowali ją w czerwcu.

Nie informując nikogo o powodzie wyjazdu, przybyła wtedy do Königsbergu, by zasięgnąć informacji o miejscu pobytu zaprzyjaźnionego z nami pastora. Nieco wcześniej został on osadzony w tym właśnie więzieniu. Przez cztery dni matka była nie do odnalezienia. Potem przeciekła wiadomość, gdzie należy jej szukać. Minęły jednak jeszcze

cztery tygodnie, zanim udzielono mi pozwolenia na rozmowę pod nadzorem. Nie zapomnę tej chwili, kiedy po godzinie wyczekiwania na korytarzu, przez który przepędzono tych wszystkich ostrzyżonych na krótko, wygłodzonych mężczyzn i spłoszone, wylęknione kobiety w więziennym odzieniu, usłyszałem wreszcie kroki matki na flizowej posadzce długiego ganka, a potem obstawa otworzyła dzielące nas żelazne drzwi. W jakim stanie ją zobaczę? Jednak zaraz wstąpiła we mnie otucha; miała na sobie jeszcze swoje ubranie, a strażniczka kontrolująca naszą rozmowę traktowała ją z widocznym szacunkiem. Matka, pełna energii i oburzenia z powodu pozbawienia jej wolności, położyła przede mną na stole całą listę zleceń, które po kolei omówiliśmy. Były to rozliczne instrukcje dotyczące majątku mojego brata, który prowadziła pod jego nieobecność. Nie uświadamiała sobie jeszcze, że grozi jej realne niebezpieczeństwo.

Więcej nerwów kosztowały mnie późniejsze pertraktacje z prokuratorem, który prowadził jej sprawę. Usiłował mi wmówić, że dopuściła się zdrady stanu, nie składając doniesienia na pastora. Wiedziała przecież, że słuca zagranicznych rozgłośni. Zasłużyła na minimum dwa lata więzienia. Niewątpliwie byłby zadowolony, gdybym zaczął go błagać, przypominając choćby o poległych braciach i bólu, jaki zgotowała nam ich śmierć. Ale nie mogłem mu zrobić takiej przyjemności. I kiedy się żegnaliśmy, dzieląca nas przepaść jeszcze się pogłębiła.

W tamtych dniach Königsberg obchodził 400-lecie swego uniwersytetu. Rektorzy wszystkich niemieckich uczelni pojawili się w togach, całymi dniami odbywały się uroczyste wykłady, przemarsze z pochodniami i koncerty, i – jak za najlepszych pokojowych czasów – kłócono się o honorowe miejsca, gdy tymczasem od wschodu dobiegało już głucho dudnienie sowieckich dział. Byłem jeszcze pod wrażeniem wizyty w Berlinie, gdzie starałem się o widzenie ze skazanym przez

Trybunał Ludowy^[27] na śmierć przyjacielem, który siedział w mocno już przez bomby naruszonym więzieniu na Moabie. Nic więc dziwnego, że odświętny nastrój Königsbergu wydał mi się w dwójnasób upiorny.

Trzy tygodnie później sytuacja zupełnie się zmieniła. Było to już po zamachu z 20 lipca [1944]^[28] i wielu moich krewnych i znajomych znajdowało się w areszcie śledczym, czekając na niepewny los. Uznałem, że właściwie na szczęście matkę aresztowano wcześniej, bo dzięki temu nie można już jej było wciągnąć w tę nową sprawę.

Kiedy pozwolono mi zobaczyć się z nią po raz drugi, zrozumiałem z jej zachowania, że była dobrze zorientowana w bieżących wydarzeniach. Nauczyła się już więziarskiego stukania i była tym razem całkowicie opanowana, rozumiałam zapewne, w czyich rękach się znajduje. Jej zachowanie przypominało czujność zagrożonego zwierzęcia, uważała na każde słowo i każdy gest, co w zestawieniu z jej żywiołowym temperamentem budziło mój najwyższy podziw. Moja własna swoboda napędliała mnie wstydem.

Krótko potem odbyła się rozprawa sądowa i mogłem w niej uczestniczyć. Pastor, którego upatrzono sobie na pokazowy proces, już nie żył. Dlatego też znacznie zmalało zainteresowanie moją matką, jak i pozostałymi osobami aresztowanymi w związku z tą sprawą. Została skazana na 9 miesięcy więzienia – według moich szacunków do tego czasu już dawno powinni tu wkroczyć Rosjanie.

Jeszcze w tym samym miesiącu Königsberg został zniszczony w trakcie bombardowań. Z dachu naszego szpitala w Insterburgu, z odległości 80 kilometrów widzieliśmy żar wznoszący się do nieba. Więźniowie

[27] Volksgerichtshof, ustanowiony w 1936 roku pozakonstytucyjny sąd specjalny, a następnie powszechny, przeznaczony do osądzania zdrady stanu i państwa, defetyzmu, sabotażu, szpiegostwa.

[28] Nieudany zamach na Hitlera.

tyczasem szaleli w celach, aż wreszcie kilku odważnych strażników przebiegło korytarzami i na własną odpowiedzialność odryglowało drzwi.

Udało mi się tam pojechać trzy dni później. Pod promiennym, wrześnieowym niebem wszędzie unosiły się dymy i tliły pożary. W niewyobrażalnym morzu ruin utorowano już drogę dla ruchu. Na jej skrajach walały się metalowe zasobniki, które, wirując, spadły na ziemię z ładunkiem bomb zapalających. Więzienie jeszcze stało, tuż przed nim zatrzymała się fala zniszczeń. Jedynie dach się zapalił, ale został ugaszony przy udziale więźniów. Budynek frontowy rozplątała mina powietrzna, więc bez przeszkód można było tam wejść i szperać w aktach prokuratury, walających się po kolana na posadzce.

Wskazując na zniszczenia, a także na fakt, że można się spodziewać dalszych nalotów na peryferyjne dzielnice miasta, zagadnąłem w sprawie zwolnienia matki jednego z prokuratorów, którym ostatnie wydarzenia tak wstrząsnęły, że przynajmniej gotów był mnie wysłuchać. Potem jednak powołał się na akta, bez których rzekomo nic nie mógł zrobić. Kiedy spytałem, gdzie mniej więcej mogą się znajdować, skierował mnie do dużego pomieszczenia na pierwszym piętrze.

Po co najmniej godzinnych poszukiwaniach w ogromnej stercie papierów zagadnął mnie stary urzędnik, który siedział za stołem w sąsiednim pomieszczeniu. Kiedy wyjaśniłem mu, o co chodzi, okazał się wzruszającym sojusznikiem. Znał sprawę mojej matki i szeptem wygłosił, co myśli o aktualnych władzach. To nie do wiary, jak obchodzą się z ludźmi, mówił. Potem poradził, bym przerwał swe beznadziejne poszukiwania, i sam udał się do prokuratora, z którym właśnie rozmawiałem. Przyszedł po mnie pół godziny później i w mojej obecności tak długo urabiał już na poły przekonanego urzędnika, aż ten obiecał zwolnić matkę na miesięczny urlop po przedłożeniu uzasadnionego podania. Z tym też poszło szybko. Mój pomocnik zawołał sekretarkę, która miała ułożone

przez nas wspólnie podanie przepisać na maszynie. Potem wysłali mnie do budynku więzienia, a po niespełna pięciu minutach matka schodziła już po schodach w eskorcie kilku strażniczek. Pożegnały się z nią serdecznie i wyraziły nadzieję, że to ostateczne zwolnienie na wolność. Oficjalnie otrzymała nakaz stawienia się po upływie miesiąca w więzieniu dla kobiet w Stuhmie w Prusach Zachodnich. Na szczęście i tego udało się potem uniknąć.

Przy wejściu do lazaretu spotykam Doktorę, która rowerem była w Vierbrüderkrugu i entuzjastycznie opowiada o tej nieco ryzykownej eskapadzie.

Na jeden z kolejnych wieczorów zapowiedział się z wizytą mój nowy przyjaciel z głównego punktu opatrunkowego. Nie zna do nas drogi, więc idę po niego. Leje jak z cebra, kiedy około dwudziestej wychodzę z naszego lazaretu. Nic nie widać na odległość wyciągniętej ręki. Po kilku krokach zatrzymuje mnie patrol i pyta o hasło. „Teatr?” Podaję odzew: „Kurtyna”, i mogę iść dalej.

Zaraz potem znowu słyszę nadlatujące samoloty. Spadają pojedyncze bomby i pobliska okolica portowa rozświetla się ciemnoczerwonym blaskiem. Nieprzyjacielskie maszyny nisko i powoli klekoczą nad miastem. Tu i tam któraś wpada w światła reflektorów i zaraz zanurza się w grubej ścianie chmur, ścigana świetlną smugą pocisków z dział przeciwlotniczych. Samoloty odpowiadają gorączkowym ostrzałem z działek pokładowych. Od ognia robi się coraz jaśniej. Waham się przez chwilę, ale potem zbieram się na odwagę, biegnę bezludnymi ulicami i bez tchu docieram do Dworca Głównego. Po zakończonym nalocie wracamy tą samą drogą rozświetloną czerwonym żarem.

Później Bothmer opowiada mi o swych wrażeniach z Afryki. Przebywał tam dwa lata, zastępując lekarza, który miał mnóstwo innych zajęć. W momencie wybuchu wojny jego narzeczona była akurat w drodze

do niego, on zaś, o niczym nie wiedząc, próbował drogą lądową wrócić do Niemiec. Jej statek został storpedowany u wybrzeży w okolicach Kapsztadu. Musiała wplaw dostać się na ląd, gdzie utknęła na rok, aż w końcu i jej udało się dotrzeć z powrotem do Niemiec.

Jest już późna noc, kiedy odprowadzam gościa do domu. Rozmawiamy o tym, co jeszcze jest ważne. Jest jednym z niewielu, którzy nie mają żadnych złudzeń odnośnie tego, co nas czeka. Kiedy rozstajemy się na moście w Holländerbaumie, klucz ciężkich ptaków ponad nami leci z szumem w ciemność przedwiosennej nocy.

Powszechnie panuje jeszcze przekonanie, że führer, prowadząc wojnę w taki właśnie sposób, realizuje konkretny plan. Fakt, że Rosjanie stoją już nad Odrą, a my żyjemy tu tylko jeszcze jak na odległej wyspie, mało kto traktuje realistycznie. Widać to każdego dnia, a jest to czasem upiorne, czasem zaś humorystyczne. I tak na przykład ponowne otwarcie banku wywołało wielkie uspokojenie. Możliwość wpłacania i podejmowania pieniędzy dowodzi najwidoczniej w przekonujący sposób, że nie może być z nami aż tak źle.

Coś podobnego przeżywam w rozmowie z jedną z naszych sióstr, która wiele lat pracowała w L. Zastanawiam się głośno, jak może tam teraz wyglądać po wejściu Rosjan. Patrzy na mnie, jakby odjęło jej mowę. Rosjanie w L.? To chyba przecież zupełnie niemożliwe. I mam wrażenie, że od tego czasu zachowuje się wobec mnie z wyraźną rezerwą.

Znamienne jest też inne wydarzenie. W drodze do kliniki dziecięcej, gdzie w schronie leży jeszcze mnóstwo pacjentów w gipsie, napotykam wiele wozów konnych załadowanych ludźmi i jadących w zachodnim kierunku – widok nieznanym już od tygodni. Pytam jedną z diakonis w schronie, co też mogło skłonić tych ludzi właśnie teraz, kiedy zrobiło się nieco spokojniej, by opuścić domostwa i ruszyć w niebezpieczną drogę do Pillau. Na to diakonisa podaje mi następujący powód: „Najpierw

nie chcieli. Ale teraz chyba napędzono im stracha, że przyjdą Anglicy i wszystko rozwalą bombami – a więc ruszyli”.

Generał von Thadden^[29], komendant tak zwanej i dywizji – o której nie wiem, czy w ogóle jeszcze istnieje – przybył do Königsbergu ze Stettina i podczas mojej wizyty w jego schronie w dyrekcji poczty opowiada mi podobną historię. Odwiedził go pewien miejscowy malarz i z zachwytem opowiadał o wielu inspiracjach artystycznych, jakich dzisiaj dostarcza mu Königsberg. Generał, któremu to zaimponowało, wyraził swoje uznanie, a przy okazji zapytał, dokąd artysta wysłał swoją rodzinę. Ach, wszyscy są jeszcze w domu i dobrze się im wiedzie. „Ale czy nie przeszkadza wam strzelanina? Rosjanie stoją przecież niecałe 1000 metrów od pana.” „To prawda. Na górze trafili już dwa razy, ale my przecież mieszkamy na parterze.” I kiedy generał ostrożnie zapytał, czy nie chciałby jednak wywieźć żony i dzieci z miasta, dopóki to jeszcze możliwe, otrzymał prostoduszną odpowiedź: „Uważa pan, że to konieczne, panie generale?”. „Konieczne? To zależy, co zamierza pan zrobić z rodziną.” Jak miał to najogólniej wytłumaczyć, by nie okrzyczano go defetystą? W końcu malarz podziękował za radę i obiecał omówić sprawę z żoną.

Radio jest niepokonane. Dowiadujemy się o straszliwych bombardowaniach Drezna, słuchamy też aroganckiego przemówienia Goebbelsa, który wprawdzie przyznaje, że można by teraz wzorem Rzymian powiedzieć: „*Hannibal ante portas!*”. Trzeba jednak zauważyć – dodaje – że nie było jednej, lecz trzy wojny punickie i zwycięzcami zostali ostatecznie Rzymianie.

Wśród internistów lazaretu, którzy w obliczu wyłącznie chirurgicznych zabiegów czują się trochę nie na miejscu, uchodzę za kogoś, kto przyciąga nieprzyjacielskie samoloty. W rzeczy samej, niemal za każdym razem,

[29] Generał Henning von Thadden (1898–1945) był przed przybyciem do Königsbergu komendantem miasta w Stettinie.

kiedy wychodzę na zewnątrz, obojętnie czy za dnia, czy w nocy, nie mija 10 minut i już są. Z tego powodu już całkiem serio mnie napominano, bym zawczasu informował wszystkich, kiedy wychodzę, jako że trzeba się przygotować.

Te samoloty są naprawdę udręką. Godzinami warczą pojedynczo nad miastem i zrzucają co jakiś czas po jednej bombie. Ponadto w całej okolicy nasz lazaret jest jedynym budynkiem, który warto zaatakować. Jeśli więc ktoś nie ma żadnych zajęć, udaje się w miarę możliwości do piwnicy. Jedynie Doktora i jej siostra wykazują niemal zuchwałą obojętność wobec bomb. Podczas nalotów są zawsze na najwyższym piętrze i dodają rannym otuchy.

Tylko jeden jedyny raz jesteśmy świadkami zaskakującego dla obu stron kontrataku. Widzę, jak grupa nadlatujących maszyn nagle się rozprasza, jakby w stado wpadł jastrząb. Myśliwiec, trzy razy szybszy od Rosjan, kilkakrotnie pojawia się w polu widzenia. Jedna z maszyn staje w płomieniach, ośmiu członków załogi wyskakuje i wisi na spadochronach nad nabrzeżami portowymi. Pozostałe samoloty salwują się ucieczką. Później dowiadujemy się, że podobno myśliwiec zestrzelił wszystkie po kolei. Nawet jeśli jest to nader wątpliwe, ta skuteczna obrona była przynajmniej jakimś wydarzeniem w naszej egzystencji w „twierdzy”.

Jacyż ludzie przechodzą nam przez ręce! I jakie straszne obrażenia! „Prawo do zdrowia” jest już tylko rodzajem łaski. Kilku pojedynczych rannych, z którymi przez przypadek jestem szczególnie związany, umieściłem w bezpośrednim sąsiedztwie sali operacyjnej, żeby co jakiś czas móc szybko do nich zajrzeć. Jest wśród nich dziesięcioletni Sepp, silny jak niedźwiedź chłopak z Innsbrucku. Stracił oko i trzeba było mu amputować nogę na wysokości uda. Druga też jest ciągle zagrożona. Często słyhać, jak krzyczy z bólu. Kiedy jednak się do niego podejdzie, cichnie zaraz i ma się wrażenie, że całym sobą mówi: „Drogi doktorze,

wiem, że w ogóle nie masz czasu, a ja też jestem przecież tylko jednym z wielu, ale zostań tu na krótką chwilę, będę naprawdę grzeczny”. I wówczas opowiada, jakie ma plany, nawet jeśli nie będzie mu już dane jeździć na nartach. Można wtedy odejść z otuchą.

Jest też tutaj dozorca ze stadniny w Trakehnen, którego jeszcze jako dzieci podziwialiśmy i ceniliśmy za brawurowe jeździectwo. Był w *volkssturmie* i w okolicach Lauthu nastąpił na minę, tak więc musiałem amputować mu prawą stopę i dłoń. Przypomina mi, że przed wielu laty siedziałem przez całą noc przy jego łóżku, kiedy doznał ciężkich obrażeń na skutek upadku z konia. Teraz daje wyraz swej radości, że znowu do mnie trafił.

A odnośnie pracy chirurgicznej w ogóle – każdego dnia i o każdej godzinie ogarnia mnie przerażenie rozmiarem odpowiedzialności, a jeszcze bardziej tempa, do którego trzeba było przywyknąć, podejmując najtrudniejsze decyzje. Co właściwie decyduje w człowieku? Czy tylko rzeczowe argumenty, czy też nie odgrywa tu pewnej roli nastrój, w którym się akurat znajdujemy? Bywa, że muszę amputować jedną po drugiej dziesięć nóg, chociaż miałem nadzieję, że uda się je uratować.

Przy tego rodzaju decyzjach stale pojawia się też pytanie, co będzie z tymi ludźmi, kiedy nagle zjawią się tu Rosjanie. Czy ci po amputacjach nie będą w najgorszym położeniu? Wprawdzie staram się odrzucać taki punkt widzenia, ponieważ nie dotyczy on poruczonych mi zadań. Jednak uparczywie powraca i nie wiem, jak mógłbym to wszystko przetrwać bez wiary w łaskę odpuszczenia. Ludzie umierają jak muchy. Tak czy siak – z osłabienia i dlatego, że nie można ich odpowiednio leczyć. Przed budynkiem piętrzy się wysoka na kilka metrów sterta zużytych opatrunków, które już zaczynają osuwać się do stawu, tymczasem na cmentarzu niepowstrzymanie wydłuża się rząd świeżych grobów. Ostatnio docierają do nas ranni nawet przez Pillau, ponieważ tam wszystkie

kwatery są przepełnione, a z powodu zagrożenia minami i nalotami rzadko kiedy odpływa jakiś statek. Słyszymy o zaciekłych walkach o Heiligenbeil, gdzie cała armia znalazła się w sowieckim okrążeniu i jest spychana w stronę zalewu. Transporty z tysiącami rannych idą przez lód w niewyobrażalnych warunkach. Na stromych zboczach nad zalewem trwa jeszcze kilka punktów oporu, kilka metrów nad nimi stoją już Rosjanie. Samoloty krążą nad plażą i ostrzeliwują stromy brzeg. Nie wiadomo, jak długo jeszcze – a potem przyjdzie kolej na nas.

Pastor Eberhard Müller został przeniesiony do Pillau. Jego stanowisko kapelana w lazarecie przejął brat Martin. Jestem rad, że nie trzeba go już wykorzystywać w sali operacyjnej, tylko można oddać bez reszty do dyspozycji rannych.

20 marca od szefa Izby Lekarskiej otrzymuję polecenie, bym zajął się oddziałem chirurgicznym Szpitala Miejskiego, który już od pewnego czasu nie ma przepisowego kierownictwa. Mogę podjąć to nowe zadanie, gdyż w lazarecie pojawił się kolejny chirurg i obejmie mój zespół. A więc znów będę cywilem. Doktora i jej siostra na razie zostają w lazarecie – są tam nieodzowne.

Udaje mi się zaprosić na wieczór Bothmera i grubego lekarza sztabowego. Spotykamy się u tego ostatniego w Ostpreußenwerku i niebawem obaj siedzą zatopieni w fachowej rozmowie na temat chirurgii głowy, przy czym neurolog z dawnej kliniki dla nerwowo chorych, pracujący teraz w Ostpreußenwerku, również służy swą wiedzą. Gospodarz raczy nas ponadto ponoć nieodwołalnie ostatnim martellem, który popijamy z małych kieliszków z czerwoną obwódką.

Początkowo nie mogę się zorientować w sposobie funkcjonowania Szpitala Miejskiego. Pojedyncze budynki są po części mocno uszkodzone, a nadające się jeszcze do użytku sale chorych znajdują się z dala od siebie, na różnych piętrach. Mam wrażenie błędzenia po jakimś labiryncie i nigdy

dokładnie nie wiem, gdzie się właściwie znajduję. Wspaniała jest sala operacyjna w piwnicy drugiego głównego budynku, należąca dawniej do oddziału ginekologicznego. Czuję się tam jak w domu. Jak w pokojowych czasach wszystkiego jest tu pod dostatkiem – są instrumenty, pościel, oświetlenie, a do tego dwie perfekcyjne instrumentariuszki, Martha i Ruth. Obie są pełne zapału i cieszą się, że znów przeprowadzane będą operacje.

Poliklinika we frontowym budynku od ulicy jest również obsadzona przez dwie energiczne, młode pielęgniarki. Mieszkają w pomieszczeniu obok, za zasłonką. Ponieważ od tygodni nie miały wsparcia żadnego lekarza, samodzielnie wyciągają odłamki granatów i zakładają gipsowe opatrunki. Przypadki przekraczające ich możliwości odsyłają do stojącego po drugiej stronie ulicy Szpitala Miłosierdzia. Piwnica, w której pracują, nie leży całkowicie poniżej poziomu ziemi, ale od strony ulicy chroni ją niezły niski murek. Zarówno tu, jak i w pobliżu sali operacyjnej leży wielu pacjentów, wprawdzie bardzo ciasno obok siebie, ale w miarę bezpiecznie. Wszystkich razem jest około 150, z czego połowa to obcokrajowcy – Francuzi, Polacy i Rosjanie, w tym nawet pewna liczba kobiet. Piętnastu Francuzów i student medycyny z Rosji pełnią rolę noszowych i pomocników. Jest tu poza tym pielęgniarz Stantus z wieloletnim doświadczeniem na chirurgii. Wśród zatrudnionych mamy kilka Rosjanek. Grono pielęgniarek jest niejednolite; po części są to „brunatne siostry”. Wiele z nich podobno opuściło już szpital. Dyrektor kompleksu szpitalnego, profesor Boettner, pozostał na miejscu wraz z internistą i dwiema asystentkami. Moim asystentem jest najczęściej młody lekarz ukraiński. Zakwaterowany zostaje w dawnym gabinecie ordynatora na drugim piętrze.

22 marca jadę rowerem do lazaretu, żeby się pożegnać. Kiedy przejeżdżam obok prezydium skarbowego, przy zapadającym zmroku

nad miastem przelatuje niczym demon wielki, czarny samolot. Z niezliczonych luf na ziemi wzbijają się w górę długie łańcuchy świetlistych punktów śledzonych przez tysiące par oczu, wznoszą się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu bezsilnie odbijają się od opancerzonych ścian. Demon niewzruszenie podąża swoim kursem. A potem, po huku eksplozji, w bezpośredniej bliskości Dworca Głównego bije w niebo słup gęstego, czarnego dymu: jedna bomba na całe miasto – a jaką budzi grozę. Musiała trafić blisko Bothmera. Nie mam czasu tam pojechać i sprawdzić, co się stało. Niepokój mija dopiero wówczas, kiedy po powrocie do szpitala znajduję list od niego. Przekazuje mi rannego Francuza. Czterech niemieckich żołnierzy, których owa groźna bomba dosięgła tuż u jego drzwi, zostawił u siebie.

Następnego dnia składam wizytę kolegom w Szpitalu Miłosierdzia. Na stole w kantynie stoi zdjęcie Churchilla, a zebrani pilnie uczą się rosyjskich słów powitania. Radzą, bym i ja się za to zabrał, i uważają, że jestem zupełnie nie na czasie, ponieważ uznają ten wysiłek za bezcelowy.

Piwnice u nich są przepełnione rannymi. Nowych chcą w przyszłości kierować do mnie. Sami też już mieli straty. Między innymi zginęła przy pracy siostra obsługująca aparat rentgenowski, trafiona przez pocisk artyleryjski. W Szpitalu Miejskim oddział rentgenologiczny obsadzony jest przez asystentkę, wysoką blondynkę, która wykonuje doskonałe zdjęcia i jest zadowolona, że znów ma więcej pracy.

Dostałem zaświadczenie, które upoważnia mnie do swobodnego poruszania się w obrębie „twierdzy”. W ostatnich tygodniach zbudowano z gruzów mnóstwo barykad i zapór. Kiedyś już nawet to uchodziłoby za twierdzę. Nie do poznania zmieniła się okolica między Stawem Zamkowym a uniwersytetem. Resztki ruin zostały w większości uprzątnięte, a wąskie, udeptane ścieżki wiodą w górę i w dół i wiją się między wielkimi zwałami cegieł. Od czasu do czasu nasila się ostrzał artyleryjski; wyraźnie odnosi

się wrażenie, że wszystko zmierza w stronę finału. W nocy dudnią z obrzeży miasta rosyjskie rozgłośnie. Na przemian z muzyką nadają apele do ludności, wzywające do bezwarunkowej kapitulacji.

Chwilowo wykorzystuję możliwość operowania jak za pokojowych czasów. Za zgodą centrali sanitarnej przenieśliem do siebie żołnierza z lazaretu, żeby zoperować mu raka żołądka. Doktora przychodzi mi pomóc i zostaje tutaj, gdyż z lazaretu już ją zwolnili.

25 marca, Niedziela Palmowa

Brat Martin odprawia nabożeństwo dla parafian w kościele na Ratshofie^[30], a my bierzemy w nim udział. Jakiż wiosenny marzec! Już od dawna nie ma śniegu. Łabędzie i gęsi przelatują nad miastem. Na cmentarzach wszystko ocieka wilgocią. Między czarnymi pniami drzew ciągle jeszcze leżą stopy amunicji, a w odsłoniętych miejscach stoją stosowne działa. Na nabożeństwo przyszło dużo ludzi. Z braku wina, podczas Wieczery Pańskiej rozdzielany jest sok truskawkowy. Na zakończenie odbywa się chrzest małego dziecka.

29 marca, Wielki Czwartek

Wezwano mnie, bym zgłosił się w Zespole Szpitali Miejskich i potwierdził tam swe nowe miejsce zatrudnienia, zaś kwestię wynagrodzenia wyjaśnił u nadburmistrza. Tego ostatniego można podobno znaleźć w Domu Miejskim przy Dworcu Północnym. Jednak budynek jest poważnie uszkodzony i moje poszukiwania okazują się bezowocne. Wynagrodzenie zresztą niezbyt mnie interesuje, daję więc sobie spokój. Zachodzę natomiast do Domu Lekarza, położonego za prezydium policji.

[30] Dzielnica w zachodniej części Königsbergu.

Zastaję tam szefa Izby Lekarskiej, kilku innych młodszych kolegów, a także nadradcę medycznego Dembowskiego, człowieka, po którym od razu widać dystans do tego, co się dzieje. Z nim można zaryzykować otwartą rozmowę.

Nieco później pojawiają się dwaj znani mi lekarze, praktykujący w okolicach Insterburga, którzy wraz z jeszcze jednym starszym kolegą przejeżdżają osieroconą centralę Czerwonego Krzyża. Jeden z młodych lekarzy zamierza się wydostać z „twierdzy”. Daję mu do zabrania list. Pocztą polową otrzymałem niedawno kartkę z niezwykle pocieszającą wiadomością, że siostrze z mężem udało się wydostać i że ojciec też jest na Zachodzie. Nie wiadomo natomiast, co się stało z matką i bratem; 5 marca konwój uciekinierów, z którym się zabrali, nie pojawił się jeszcze po drugiej stronie Odry.

Wstępuję na krótko do pobliskiej szkoły zawodowej dla dziewcząt, w której mieści się teraz główny punkt opatrunkowy. Rano kilka pocisków trafiło w górne piętra budynku. Ku mojej radości spotykam tam obu studentów, którzy pod koniec stycznia tak wiernie pomagali mi w klinice chirurgicznej. Prowadzą tu oddział rentgenowski i mają się dobrze.

Potem odprowadzam obu młodszych kolegów z Insterburga do ich miejsca pracy, które znajduje się teraz w schronie kliniki medycznej przy Drummstraße. Mają tam jeszcze zadziwiająco dobre wyżywienie. Zapraszają mnie na obiad. Potem napychają mi kieszenie artykułami spożywczymi i odwożą samochodem służbowym do Szpitala Miejskiego. Wysiadając pytam, dokąd teraz jadą. Służbowo do Juditten – brzmi odpowiedź – na kawę do Związku Kobiet^[31]. Jeden z nich ma tam wygłosić przemówienie! „Mój Boże – wyrywa mi się – widmo nazizmu ciągle jeszcze żywe?” Wzruszają ramionami.

[31] NS-Frauenchaft – nazistowska organizacja kobieca, powstała w 1931 roku, w szczytowym okresie liczyła 2,3 miliona członkiń.

30 marca, Wielki Piątek

Brat Martin miał przyjść do nas odprawić nabożeństwo, ale czekaliśmy na próżno. Wieczorem robię obchód budynku i zapraszam wszystkie napotkane siostry i personel na nabożeństwo, które sam odprawiam. Słuchamy ewangelii o dwóch złoczyńcach na krzyżu: „Zaprawdę powiadam ci, dziś będziesz ze mną w raju”^[32]. Rozmawiamy bez oporów. Wiemy już przecież dobrze, co się dzieje. Rosjanie zrzucili ulotki z wiadomością, że możemy jeszcze świętować Wielkanoc, ale potem koniec z nami. Słyszeliśmy, że czternaście dni temu zbombardowany został Gdańsk, a Breslau się jeszcze broni. Miasta na Zachodzie są nadal bombardowane, Drezno spłonęło, a z nim dziesiątki tysięcy uchodźców i mieszkańcy miasta. Dokąd ludzie mieliby jeszcze uciekać?

Późnym wieczorem odwiedza mnie Bothmer. Jakoś trafił tu rowerem, choć z powodu mgły i mżawki widoczność nie sięga nawet trzech kroków. Przy butelce niedobrego, z trudem zdobytego wina spędzamy noc w ładnej, wykaflowanej na żółto porodówce w piwnicy, rozmawiamy o wielkopiątkowych wydarzeniach i ich dla nas znaczeniu. Nad ranem odprowadzam go między zwałami gruzów, które chwilami rozświetla księżyc, aż do rynku Roßgarten^[33]. Kiedy się rozstajemy, pytam, jak ma na imię. „Niestety, Adolf – odpowiada – ale moi przyjaciele mówią do mnie Alf.” Milknę i nie zdradzam mu, że ten, z którego powodu powiedział „niestety”, był przez swych przyjaciół, dopóki ich jeszcze miał, też nazywany Alf.

1 kwietnia, Niedziela Wielkanocna

.....
Słowa o zmartwychwstaniu Chrystusa według św. Jana stoją w
[32] Lk 23,43.

[33] Dzielnica Königsbergu na wschód od Stawu Zamkowego.

centrum nabożeństwa, które odprawiamy w sali operacyjnej we własnym gronie. Rozbrzmiewa nawet całkiem znośny śpiew, choć chyba niewielu z nas ma jeszcze w zwyczaju śpiewać pieśni religijne. Doktora była w lazarecie, odwiedziła swą siostrę i brata Martina, oboje mają się dobrze. Narożnik pokoju brata Martina pod jego nieobecność wyrwała bomba. Przez okno wpadł do budynku pocisk artyleryjski i niewypał wylądował na łóżku jednego z internistów.

Wtorek, 3 kwietnia

Już wcześniej rano trwa silny ostrzał artyleryjski i w moim pokoju na drugim piętrze robi się dość niemiło, chociaż wyliczyłem sobie, że w linii prostej właściwie nie może tu trafić żaden pocisk. Prawie wszystkie manatki zniosłem na dół i złożyłem obok sali operacyjnej. Godzinę później, kiedy akurat operujemy, spada na nas wiązka małych bomb. Kawały ścian zewnętrznych odrywają się od górnych pięter starych, wysokich budowli z cegieł i z hukiem walą się na ziemię. W sali operacyjnej mamy dobre schronienie i prawie nie odczuwamy uderzeń. Krótco potem ktoś wchodzi i radzi, bym przy okazji rzucił okiem na przeciwległą ścianę budynku. Stojąc przed drzwiami, widzę wielką dziurę na drugim piętrze. Jedyna bomba, która uderzyła w budynek z boku, trafiła w moje okno i wyrwała wielką okrągłą dziurę w murze. Na górze wszystko w gruzach, ściany działowe runęły, z mojego łóżka i resztek dobytku zostały szczątki.

Środa, 4 kwietnia

Noc była jeszcze spokojna, ale rano zaczął się huraganowy ogień. Przez cały dzień ziemia drży i dudni z nieba. Co dokładnie się dzieje, stwierdzamy tylko wówczas, kiedy sypią się cegły w pobliżu. Jesteśmy

jak rozkołysany okręt na oceanie. Wszyscy chorzy zostali przeniesieni do piwnicy, nowo przybyli leżą na podłodze w sali operacyjnej i sąsiednich pomieszczeniach. Doktora i ja operujemy na dwóch stołach; jeden nie wystarcza dla tej ilości napływających rannych. Przywożą nam kobiety i dzieci z ciężkimi ranami postrzałowymi, ale też żołnierzy. Staliśmy się już rodzajem lazaretu.

Czwartek, 5 kwietnia

Dziś kolej na lotnictwo. Od wczesnego ranka tego pięknego słonecznego dnia do późnego popołudnia samoloty krążą nad wszystkimi dzielnicami miasta, najpierw na wysokości 500 metrów, potem znacznie niżej. Za każdym razem jest ich w górze po kilkaset, zrzucają bomby ciężkiego kalibru i ze wszystkich luf ostrzeliwiają ulice. Obrony ani śladu. Samoloty spokojnie i bez zakłóceń podążają swym kursem. Za każdym razem, kiedy przechodzimy obok wyjść z naszego budynku od strony Stawu Zamkowego, odsłania się przed nami imponujące widowisko. Na stalowoniebieskim niebie porywy idącej w stronę miasta wichury rozganiają wznoszące się tumany gęstego dymu. W centrum piętrzy się czarny masyw, z którego buchają płomienie. Powyżej nadlatują ze wszystkich stron samoloty, pikują do tego diabelskiego kotła i z drugiej strony wznoszą się bez szwanku w górę. Kamienne schody przed naszymi drzwiami są usiane odłamkami granatów. Jednak tylko w momencie, gdy samoloty są bezpośrednio nad nami, uskakujemy kilka kroków do piwnicy. Poza tym ciągle wychodzimy na zewnątrz i wpatrujemy się jak zakłęci w ten piekielny wir. Nie można zamienić słowa, ale nie ma też potrzeby. Wiemy przecież, że oboje myślimy o tym samym, a mianowicie o tym, co nam radził i obiecał nasz Pan i Zbawiciel na takie dni grozy i zagłady: „...wyprostujcie się i podnieście głowy swoje, gdyż zbliża się

odkupienie wasze”^[34].

Słyszę, że Doktora śpiewa. Po chwili śpiewamy oboje w huku nawałnicy: „Chwal Pana, duszo moja! Chcę wielbić go aż po zgon. Godziny me na ziemi już policzone, do Boga wznoszę dziękczynny śpiew”. Przez ostatnie dni żyjemy żarliwie. Wszystkie myśli krążą wokół nieprzemijającego centrum. A wiara jest już niemal widzeniem.

Co się tyczy naszych współpracowników, trudno sobie wyobrazić lepsze funkcjonowanie zespołu. Francuzi pracują jako noszowi i dokonują cudów, nieustraszenie przenosząc rannych przez podwórze z budynku do budynku; wzywam ich na chwilę do siebie i dziękuję za ich pełne poświęcenia zaangażowanie, do którego nikt ich już nie zmusza. Jeden odpowiada za wszystkich – czują się tu przedstawicielami swego narodu i będą do końca pełnić swą służbę.

Kiedy maszynownia między naszym budynkiem a Stawem Zamkowym zaczyna płonąć, organizujemy z Francuzami oddział gaśniczy, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia na nasze zabudowania. Szeregiem biegamy z wiadrami do stawu i wspólnym wysiłkiem udaje się nam w końcu ugasić pożar, wszyscy zaś wychodzą bez szwanku.

Brak też słów pochwały dla sióstr za ich nieustraszoną postawę i zaangażowanie. Z tamtych dni szczególnie pozostała mi w pamięci zaskakująca odpowiedź jednej z nich, wzruszającej i pełnej poświęcenia siostry Marii. Na moje pytanie, jak trafiła do „brunatnych sióstr”, odrzekła: „No cóż, panie doktorze, najpierw byłyśmy we Wspólnocie Chrześcijańskiej. Ale potem latem nadlecieli Anglicy z bombami, no i zniszczyli nam wszystkie trąbki. Czym jeszcze można było przyciągać ludzi? Poszliśmy do brunatnych sióstr”.

Kiedy pod wieczór trochę się uspokaja, z radością stwierdzamy, że wszyscy jesteśmy jeszcze w komplecie.

[34] Lk 21,28.

Piątek, 6 kwietnia

Po również nieco spokojniejszej nocy dzień zaczyna się znowu huraganowym ogniem. Psychiczne napięcie jest tak wielkie, że żyjemy w dziwnym rozdzieleniu. Podczas gdy stosunkowo spokojnie wykonuję swą pracę, a uderzenia pocisków w grube ściany budynku i kruszenie się murów staram się traktować jako coś oczywistego, coraz intensywniej ogarnia mnie imaginarna rzeczywistość. Widzę, jak siedzimy w krytym słomą szałasie u stóp grubo zaśnieżonego, pokrytego lasem zbocza. Jest noc i gromady Rosjan z pochodniami w dłoniach zstępują spomiędzy drzew. Jeszcze nas nie dosięgli, ale już wpatrujemy się w ich obce, dzikie twarze.

Od czasu do czasu jakieś zasłyszane przypadkowo słowa przywołują mnie znowu do rzeczywistości, gdyż są wyjątkowo naiwne. Nie zapomnę uwagi jednego z rannych żołnierzy leżących w rzędzie na podłodze sali operacyjnej. Chwilę po tym, jak gdzieś w pobliżu posypał się grad pocisków, słyszę, jak mówi głośno i zrozumiale we wschodniopruskim dialekcie: „No, teraz chyba nas pokonają, ale duchem – nigdy!”.

W nocy po kolei wyciągamy się na godzinę na podłodze. Miasto jest jednym wielkim morzem ognia.

Sobota, 7 kwietnia

Budzę się, kiedy w sali operacyjnej spadają jednocześnie cztery lampy, jedna z nich na mnie. Do tego odgłos potężnego wstrząsu całego budynku. Krótco potem słychać ciężkie uderzenia nieco dalej. Jest już dzień. Korytarzem z naprzeciwka nadchodzi chwiejnym krokiem pielęgniarz Stantus. Był właśnie na górnym piętrze, żeby coś zabrać z opróżnionego oddziału, kiedy spadły bomby. Impet eksplozji rzucił go o ścianę, to samo stało się z towarzyszącą mu Rosjanką, Wally, która

leży tam nieprzytomna. Spiesznie zabieramy ją na dół, gdyż znowu widać samoloty nadlatujące nisko nad domami. Na górze powyrywane są wszystkie drzwi, zburzone ściany działowe. Wschodnie wejście blokuje lej o przekroju 15 metrów. Stojący tam wcześniej wóz z łózkami zniknął bez śladu. Tylko zewnętrzna ściana budynku odgradza salę operacyjną od drugiego leju o podobnych wymiarach. Trzeci pocisk to niewypał o wysokości człowieka – utknął nad nami na pierwszym piętrze.

W ciągu popołudnia dostajemy się między fronty. Resztki uzbrojonych oddziałów wycofują się na przełaj między budynkami, przystają u nas na chwilę, opróżniają magazynki karabinów, strzelając ponad dachami ostro w górę, i biegną wokół Stawu Zamkowego w głąb miasta. Najwidoczniej po drugiej stronie stawu uformowała się nowa linia obrony. Z tamtej strony trwa tuż ponad nami nieustanny ostrzał, a u nas odpryskują kawałki dachu. Od tej linii dzieli nas niecałe 100 metrów, ale obrona brzmi jak strzelanie z małego kalibru w porównaniu ze złowrogim paf-paf-paf dział pokładowych nadlatujących samolotów.

Przeciwny brzeg Stawu Zamkowego wygląda jak pole kapusty po gradobiciu. Bezwiednie przychodzą na myśl sceny z Douaumont^[35] i innych rozbitych twierdz I wojny światowej, tyle że tamte zostały zbudowane na potrzeby wojny. Natomiast nabrzeże Stawu Zamkowego w Königsbergu zdawało się mieć wieczysty monopol na kontemplacyjną aurę. Teraz obróci się w perzynę.

Niektórym puszczają nerwy. Zauważam leżących w głębokim śnie, najwidoczniej po zbyt wielu tabletkach. Chcąc zapobiec epidemii samobójstw, zabieram krótko głos, odwołując się do Biblii: „I nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, duszy zabić nie mogą; bójcie się raczej tego, który może i duszę, i ciało zniszczyć w piekle.”^[36]

[35] Fort pod Verdun w Lotaryngii, zniszczony w czasie I wojny światowej.

[36] Mt 10,28.

Niedziela, 8 kwietnia

W ciągu niedzieli ostrzał słabnie jak maszyneria tracąca rozpęd. Jednostajne huczenie i dudnienie zmieniło się w terkot dobiegający z pojedynczych punktów. Pojawiają się pogłoski, że parlamentariusze wezwali do poddania miasta. Komendant chciał przystać na propozycję i został za to rozstrzelany przez SS. Podobno SS zabarykadowało się na zamku i zamierza walczyć do ostatniego żołnierza.

Pojawiają się dziwaczne postacie, szukają kontaktu otumanione nawalnicą i są nie całkiem przy zdrowych zmysłach. Wydają się być ucieleśnieniem losu i zadają sobie pytanie, co też ci ludzie mówili i robili niegdyś, kiedy byli jeszcze normalni. Przysłuchuję się im, przytakuję i sens wojny objawia mi się w tym, że w takie właśnie istoty przeistacza ludzi.

Późno w nocy strzelanina całkowicie ustaje. Po uderzeniach i wstrząsach ostatnich dni nie czuję ziemi pod stopami. Mam wrażenie, że upadam, osuwam się w wieczność. Z posępnym uśmiechem spoglądamy po sobie, niemal rozczarowani, że jeszcze istniejemy i że będzie jeszcze jakiś dalszy ciąg. Nikt nie oczekiwał, że wynurzy się znowu z tego ognistego morza. A teraz trzeba pływać po powierzchni i wiadomo tylko jedno, że już nikt nie sprosta nowym wymaganiom. Poczytaliśmy Pismo Święte i pomodliliśmy się, a potem na podłodze układamy się do snu.

KÖNIGSBERG POD SOWIECKIM PANOWANIEM

Kwiecień 1945

Widziałem kiedyś, jak kot bawił się myszą. Mysz była jeszcze całkiem żywa, co kotu najwyraźniej się podobało. Co rusz próbowała uciekać i kilka razy pomyślałem, że rzeczywiście umknie. Kiedy jednak przyjrzałem się bliżej znudzonemu kotu, stwierdziłem, że już dawno ma znów zwierzątko w zębach. Wiele godzin później w myszy nadal tliło się życie. Całkiem zmaltretowana nie miała już ochoty na ucieczkę, lecz przemieszczała się bez celu tu i tam, kiedy kot dawał jej ku temu okazję. Zainteresowanie kota tą nierówną grą było wymuszone. W porównaniu ze stanem myszy jego zapał wydawał się wielce przesadzony. Mógłbym skoczyć i dobić zwierzątko, żeby mieć spokój. Ale cóż by to pomogło – pomyślałem sobie – niezliczonym tysiącom myszy, które wpadają w podobną opresję i nie mają znikąd pomocy. Czy nie chodzi o to, by sprostać pytaniu, które nieustannie powraca w podobnej formie? I czy nie jest tak, że odpowiedź poznam tylko wówczas, gdy sam znajdę się w sytuacji owej myszy?

9 kwietnia

Rano, około piątej, zrywa mnie ze snu wrzawa i nerwowe kroki za drzwiami. Budzę Doktorę i proszę, żeby się ubrała. „Co się dzieje?” – pyta

zaspana. – „Przypuszczam, że weszli Rosjanie, idę zobaczyć.” „Rosjanie? Ach, już są? Całkiem już o nich zapomniałam.”

„Cóż robić – mówię – sama przecież nie chciałaś inaczej.” Potwierdza skinieniem głową. Nakładam biały fartuch i wychodzę na korytarz. Czernecki, mój ukraiński asystent, idzie już po mnie, byśmy przyjęli Rosjan. Chorzy, których mijam, podnoszą głowy: „Dwóch już było, zabrali nam zegarki, a Wally oberwała”. Wally, ta dzielna, mała Rosjanka leży bez ruchu z twarzą zalaną krwią pomiędzy chorymi na podłodze. Jakiś Rosjanin, kiedy weszła mu w drogę, chwycił ją za włosy i rzucił twarzą o ziemię. Górna szczęka złamana, kilka zębów wybitych. Jest przytomna, ale nie wydaje z siebie żadnego odgłosu.

Przed głównym budynkiem dwaj Rosjanie grzebią w jakiejś walizce. Ich widok ma w sobie coś przerażającego. Czuję się jak ktoś, kto poszedł na polowanie na niedźwiedzie i zapomniał broni. Podchodzimy do nich, na co oni zostawiają walizkę i zajmują się nami. Przykładając nam do piersi lufy karabinów, zaszczycają nas gruntownym przeszukaniem. Mój towarzysz bezskutecznie próbuje ich zagadnąć. Odpowiadają tylko krótkimi warczącymi głoskami i systematycznie kontynuują swą czynność. W tym samym czasie z głównego budynku nadchodzą dwaj kolejni, poobwieszani najdziwniejszymi przedmiotami niczym konie u sań. Oni też krótko nas przeszukują, znika moje wieczne pióro, a pieniądze i papiery fruują dookoła. Moje buty są dla nich zbyt kiepskie. Potem na swych krótkich nogach pospiesznie zmierzają przez gruzy i leje po bombach w stronę innych budynków i znikają w ich czeluściach. Poruszają się w zadziwiająco ograniczony sposób – tylko docelowo. W razie potrzeby pomagają sobie rękoma i idą na czworaka.

W głównym budynku już pilnie zabrali się do dzieła. Co chwila zatrzymują mnie i obszukują, idę więc korytarzami naszej piwnicy, jakbym przedzierał się przez gąszcze. Ze wszystkich pomieszczeń

dobiegają przytłumione odgłosy protestu. Chorych zwalają z łóżek, zdzierają im opatrunki, tu i ówdzie palą większe ilości papieru dla poprawy oświetlenia. Już wszędzie widać rozpaczliwe próby gaszenia ognia. Daremnie rozglądam się za jakimś oficerem, bo jak tak dalej pójdzie, nic z nas nie zostanie.

W ambulatorium młode pielęgniarki bronią się przed kilkoma szczególnie nachalnymi natrętami. Boję się pomyśleć, co się będzie działo, jak poczują się bezpieczniej. Na razie działają najwyraźniej w pośpiechu i nastawieni są na rabunek. Najlepiej widać to w budynku gospodarczym. Stoję osłupiały na widok niesamowitej ilości produktów żywnościowych, których oszczędzono nam przez miesiące oblężenia, i złoścuję się poniewczasie na własną łatwowierność, która cały czas kazała mi tolerować głodzenie nas i pacjentów. A teraz dzika, wrzeszcząca zgraja wrywa sobie najlepsze konserwy, a zapasy, dzięki którym setki ludzi mogłyby przeżyć cały rok, zostaną zniszczone w ciągu kilku godzin.

Pośrodku głównego pomieszczenia piętrzy się sterta rozbitych słoików i otwartych puszek. Wysypują na to worek po worku mąkę, cukier i kawę. Obok leży na wpół przykryty nieboszczyk. Poza tym uwijają się tu żołnierze i cywile, zwalając z regałów nowe sterty bezcennych zapasów. Co chwila strzelanina, wrzaski, przepychanki. Próbuję wyciągnąć parę nierozbitych słoików, ale jeden wytrąca mi je z ręki.

W sali operacyjnej Doktora opatruje pacjentów. Schroniła się tutaj gromadka sióstr, które chcą sprawiać wrażenie, jakby pilnie jej pomagały. W głębi Rosjanie tratują rannych żołnierzy w poszukiwaniu zegarków i nadających się do użytku butów. Jeden z nich, młody chłopczek, wybucha nagle płaczem, bo jeszcze nie znalazł żadnego zegarka. Podnosi do góry trzy palce – chce rozstrzelać trzech ludzi, jeśli natychmiast nie dostanie jakiegoś zegarka. Jego desperacja doprowadza do pierwszego osobistego kontaktu. Czernecki wdaje się w dłuższą gadaninę i w końcu,

nie wiadomo skąd, pojawia się jeszcze jeden zegarek, z którym chłopak znika rozpromieniony ze szczęścia.

Pojawienie się pierwszych oficerów niweczy moją ostatnią nadzieję na to, że jakoś się dogadamy. Wszelkie próby nawiązania z nimi rozmowy są całkowicie chybione. Dla nich też nie jestem niczym innym, jak tylko wieszakiem na ubrania z kieszeniami. Postrzegają mnie tylko od ramion w dół. Kiedy w drogę wchodzi im kilka siostr, chwytają je, wloką za sobą i zanim kobiety są w stanie pojąć, co się święci, puszcza je wolno w obszarpanej odzieży. Przychodzi kolej na starsze siostry. Bez celu błakają się po korytarzach. Skryć się nie ma gdzie. Rzucają się na nie coraz to nowi prześladowcy.

Wlokę się jak we śnie przez nasze piwnice i próbuje pojąć, jakież to wyzwanie Bóg stawia tu przede mną. Od jednego z Rosjan, z którym dało się rozmawiać, Czernecki dowiedział się, że przed upływem sześciu dni nie ma co liczyć na jakikolwiek porządek. Miasto zostało oddane żołnierzom we władanie. Uświadamiam sobie, że w trakcie ich wojaczki tutaj po raz pierwszy wpadła im w ręce większa grupa kobiet; myśl ta całkiem mi umknęła, a teraz przywraca mnie do bezlitosnej rzeczywistości.

Czy nie jest to tak, że odpowiedzialność przejętą w czasie oblężenia oddaliśmy już w ręce Boga, zawierając siebie i naszych podopiecznych Jego łasce? A teraz odpowiedzialność spada na nas znowu w nieznośnej formie. Spodziewałem się, iż napadnie nas nieokiełznany i nie bez racji żądny zemsty naród, a w pierwszych chwilach posieje tyle zniszczenia, że jednostka nie będzie miała czasu się zastanowić. Każdemu zaś, kto ostatecznie się żywy, objawi się tak nowa sytuacja, że sposób zachowania wyniknie tu samoistnie. Mógłby on wówczas w pewnym sensie zacząć nowe życie. Pod tym pierwszym – zbyt pospiesznie – postawiliśmy już grubą kreskę.

Jak to więc jest z nami? Właściwie nic się nie zmieniło, tyle tylko, że proces destrukcji, który zaczął się od kruszejących domów, postępuje dalej w ludziach. Ostateczna decyzja w naszej sprawie nie nastąpiła. Jestem tak wypalony, że nawet nie potrafię się już modlić.

Jednocześnie ku mojemu przerażeniu budzi się we mnie całkiem nowe odczucie, rodzaj zimnej ciekawości. Co to jest właściwie – pytam sam siebie – co się tu przed naszymi oczami rozgrywa? Wiąże się to jeszcze w jakiś sposób z pierwotną dzikością lub zemstą? Z zemstą może i tak, ale w innym sensie. Czyż nie dokonuje się tu w jednej i tej samej osobie zemsta stworzenia na człowieku, ciała na duszy, którą mu narzucono? Skąd wziął się ten typ człowieka – takiego, jak my – w okowach popędów, który stoi w tak potwornej sprzeczności z własnym wyglądem zewnętrznym? Z jakim zapamiętaniem demonstrują chaos! Do tego ta głucha, szczekliwa mowa, która już dawno pożegnała się ze słowem. I jeszcze te podjudzone piętnasto-, szesnastoletnie dzieciaki, które jak wilki rzucają się na kobiety, nie wiedząc nawet dobrze, o co właściwie chodzi. To nie ma nic wspólnego z Rosją ani z jakimś narodem czy rasą – to jest człowiek bez Boga, karykatura człowieka. W przeciwnym razie nie dotykałoby mnie to tak boleśnie – jak własna wina.

Gdybyż to jeszcze byli Mongołowie! Z nimi radzę sobie zresztą o wiele lepiej. Tworzą bardziej jednolitą masę, są lepiej wychowani i w związku z tym w swej substancji mniej zdani na działanie ducha Zachodu. Ich dzikość nie razi. Są wśród nich zwinne postacie o uderzająco delikatnej budowie ciała i naturalnej postawie.

Z jednym z takich podoficerów za pośrednictwem Czerneckiego nawiązuję po ludzku pierwszy kontakt. Ma on spróbować znaleźć jakąś placówkę dowodzenia i zainteresować ją naszymi chorymi. Jest wśród nich przecież sporo obcokrajowców. Pokładam w nim całą nadzieję. Jeśli przedrze się tam i wróci, może da się jeszcze coś uratować. Póki co,

musimy się troszczyć, o co się da.

Pod wieczór pełen zakamarków dziedziniec przemienia się w ogromne obozowisko cygańskie. Bez ładu i składu zjeżdżają się setki wozów ciągniętych przez małe kudłate koniki. Wszędzie widać nieokreślone postacie, wśród nich są cywile i kilka kobiet, a wszyscy siedzą przy małym ogniu z dwiema cegłami i coś zawzięcie gotują. Odnoszę wrażenie, jakby działo się to w najgłębszej Azji i jakby to tutaj było już od dawna zaplanowane. Wszystko jest takie nadrealne jak urzeczywistnienie powracającego snu. Wszyscy są zajęci sortowaniem zrabowanych rzeczy. Nikt nie zwraca uwagi na stojących w pobliżu pacjentów, którzy razem z krewnymi w tępej pokorze patrzą na podział łupów z ich walizek. Robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę o nocy. Na szczęście chmara nagle się podrywa i odlatuje przez Roßgarten w stronę miasta.

Zapada noc, a nasz Mongoł nie wraca. Na ile to możliwe, próbujemy nadal troszczyć się o chorych. Są jeszcze Francuzi, którzy pomagają, jak mogą. Im także wszystko zabrano. Tu i tam ktoś uratował coś do jedzenia, parę puszek z mięsem, trochę chleba – dzielimy się tym wszystkim.

Nocą w sali operacyjnej panuje upiorny ruch. Przy słabym oświetleniu piętnaście-dwadzieścia, głównie młodych, sióstr w масечkach krząta się przy leżącym na stole operacyjnym pacjencie. Od czasu do czasu z udziałem wielu osób wnosi się kolejnego. Tak wielu leży tu jeszcze bez żadnego opatrunku, chociaż zostali ranni przed dwoma-trzema dniami. Rosjan to miejsce przejmuje trochę grozą. Sterczą przez chwilę w sąsiednim pomieszczeniu, czasem sięgają do instrumentów, żeby zabrać nożyczki. Siostry są tu jednak nieco mniej zagrożone.

Nasze położenie poprawia się potem nieoczekiwanie za sprawą pewnego majora, który przygląda się nam przez chwilę, a w końcu domaga się, bym usunął mu małą brodawkę na twarzy. Wnet siedzi na stole operacyjnym. W teatralny sposób obkładamy go wielkimi białymi

chustami, co mu najwyraźniej imponuje. Nagle zeskakuje i rozkazuje swemu podkomendnemu ustawić się obok mnie z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Potem uspokojony znów zajmuje miejsce i daje rozkaz do rozpoczęcia operacji, której konieczność wydaje mi się mocno przesadzona. Tak czy owak zabieg kończy się pomyślnie: major jest zachwycony i jeszcze przez pewien czas chroni nas przed kolejnymi intruzami. Stanąwszy po naszej stronie, okazuje się poczcivcem.

Kładziemy się na zmianę na podłodze i śpimy, na ile to możliwe, siostry leżą między rannymi. Nad ranem nie pojawia się niemal żaden Rosjanin.

10 kwietnia

Przed południem wszystko zaczyna się od nowa. Chwilami w korytarzach roi się jak w ulu. Ze wszystkich stron słychać teraz krzyki kobiet. To jeszcze jeden nowy ton w tej diabelskiej muzyce, a jego przyczyna początkowo nie jest dla mnie całkiem jasna. Dotąd można było energiczną postawą zbić intruzów z tropu. Nawet Doktorze udawało się nierzadko ratować sytuację zdecydowaną interwencją. A teraz? Jak się zdaje, Rosjanie znaleźli alkohol.

Wtem w tłoku przy wejściu pojawia się nasz Mongoł. Mam ochotę go uściskać. Znalazł ponoć jakąś kompetentną placówkę i chce nas tam zaprowadzić. Natychmiast wyruszam wraz z Czerneckim. Towarzyszy nam jeszcze jeden Rosjanin i broni nas przed natrętami, którzy co chwila chcą nas zatrzymać i przeszukiwać. Idąc przez Roßgarten, dostajemy się w coraz większy tłum. Po lewej płonie Szpital Miłosierdzia – zastanawiam się, co też zrobią ze swymi chorymi, którzy leżą w piwnicy. Aż do rynku Roßgarten płonie wszystko, co dotąd nie zostało zniszczone. Miejscami bucha tak wielki żar, że prawie nie można go wytrzymać.

W górę Königstraße, przez rynek i dalej w kierunku zamku przewala się i porywa nas wielki strumień wkraczających wojsk. Szczypię się mocno w udo, by się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę, że to nie sen. „Königsberg 1945” – raz po raz powtarzam sobie w duchu. Nikomu, kto wcześniej patrzył na to stare, szacowne i nigdy nietraktowane całkiem serio miasto, nie przyszłoby do głowy, że ono tylko czekało na dzisiejsze imponujące widowisko, by zaraz potem zgasnąć. Jak dobrze podówczas skrywało przed nami swą tajemnicę, jeszcze nie tak dawno, kiedy z wyniosłą miną, niczego nie podejrzewając, zapuszczaliśmy się w jego niezmiennie przyjazne zakamarki. Dopiero nawałnice ostatniego lata, oba angielskie naloty, zdarły mu maskę z oblicza i przysposobiły zewnętrznie na tę chwilę. Płyniemy pośrodku strumienia lawy, która spływa na ziemię z jakiejś złowrogiej planety. Nagle strumień skręca łukiem w prawo – dlaczego? Ach tak, prawda, tutaj stały przecież domy, a mniej więcej w tym miejscu mieszkał nasz dentysta. Pracował tam u góry, w powietrzu. Może dawniej wyglądał czasem z okna na tę spokojną ulicę, jakby na coś czekał.

Teraz między płonącymi zgliszczami przetacza się dzika, wrzeszcząca hałastrza bez początku i bez końca. Czy to naprawdę dzieje się dzisiaj, tego dnia? A może dwa tysiące, dziesięć tysięcy lat wcześniej albo tyleż samo później? W tym momencie czas mierzy się podwójnie, potrójnie. Nie do opisanego, ile się tutaj przemieszcza ludzi, zwierząt i pojazdów. Wiem tylko jedno – to jest zwycięstwo, tak wygląda, tak musi wyglądać zwycięstwo 1945 roku. Śmieszne i straszne szczegóły, składające się na ten obraz, objawiają mi się jak czynności przymusowe, jak reakcje w obrębie jednorodnego, dynamicznego procesu fizykalnego. Mam wrażenie, że pochyłość terenu odgrywa tu jakąś rolę i skonsternowany zadaję sobie pytanie, czy Königsberg zawsze leżał o tyle niżej od Azji Środkowej, że teraz ta szara lawa tak się obsuwa. Płyną w niej, wynurzają się i znowu

nikną sylwetki, postacie! Nie, nie! Każdy jest taką postacią. Widzę siebie, jak stoję, potykam się i brnę dalej, jak się gapię rozmazanym, nieobecny wrokiem. Kim jestem dzisiaj? A inni? Niesamowite, kiedy pomyśleć, że kiedyś ludzie ustawiali się wiele godzin wcześniej, chcąc obejrzeć przemarsz wojsk. Może nawet tu, w tym miejscu. Musi zatem być w tym coś wartego obejrzenia. A teraz to wszystko tutaj, co tak bezmiernie wykracza poza wszelkie możliwe wyobrażenia – dla kogo się to dzieje i kto to w ogóle widzi? Czyż nie jest to całkiem bez sensu? A może to Bóg sam dla siebie zgotował to widowisko?

Brniemy dalej w stronę zamku. Spośród ruin wznosi się niczym wykrzyknik rozłupana wzdłuż wieża, rozdarta tysiącami pocisków, postrzępiona, rozkruszona. Widać jej wnętrze – tam, na górze, wisi jeszcze dzwon. I oto nagle głos we mnie, odpowiedź i nakaz – otwórz tylko oczy i patrz, bo wszystko, co się tu dzieje, byłoby naprawdę bez sensu i bez celu jak rechot piekieł, gdybyś ty tego nie widział. To nie jest mgnienie wielkiej historii – mgnienie, które przeminie, to jest wielka historia w jednej jedynej chwili, twojej chwili. Dlatego tylko patrz, a ujrzysz chwałę Bożą. I oto ten brudny, wynędzniały ludzki robak, jakim jestem, dygocze przesyty wielką łaską.

Znów porwał mnie prąd. Przepływają obok fizylierki na samochodach, groźne i zarazem żałosne. Z ich gestów można odczytać, że to one reprezentują zwycięstwo. Śmieję się w duchu, wiedząc przy tym, że mój wygląd dokładnie odpowiada ich oczekiwaniom wobec pokonanych.

W ruinach po prawej i lewej przemykają jak spłoszone kury niedobitki ludności. Trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby ich zauważyć. Tu i ówdzie zdradza ich zmęczone trzepotanie skrzydłami, kiedy dopadnie ich jeden z niezmordowanych psów łowczych. Pewnie szukają już chleba.

Nasza mała grupka powiększyła się o jednego cywila – w tej ciżbie ktoś z innej czeredy pchnął go w stronę Mongoła. W niewytłumaczalnym

dla mnie sposób w tym wielkim tłumie zdaje się funkcjonować jakiś system. Mężczyzna mówi po rosyjsku, został najwidoczniej złapany jako szpieg, wygląda jak lis w potrzasku. Kilka kroków dalej Mongołowi przychodzi coś do głowy. Popycha mężczyznę na stos kamieni i każe mu zdjąć oficerki. Wyciąga w jego stronę najpierw jedną, potem drugą nogę, każe ściągnąć własne obuwie i zakłada nowe. Tamtemu nie pasują buty Mongoła, musi więc jak wielu innych maszerować w skarpetach. Nie sądzę, by w swym życiu jeszcze kiedyś miał okazję nosić buty.

Po chwili Mongoł każe nam się zatrzymać po lewej stronie ulicy, a sam znika w jakiejś dziurze w ścianie. Najwidoczniej jest to wejście do piwnicy domu, może większego sklepu; nie sposób już się domyślić, co tu kiedyś stało. Mongoł znika na dłużej, za to z dziury wyłaniają się dwie postacie, inne zaś wpełzają do środka. Chyba naprawdę mieści się tu owa poszukiwana placówka. Z tego żałosnego wejścia korzystają z niepojętą powagą. Wlatują i wylatują jak osy krążące wokół gniazda. Po jakimś czasie pojawia się nasz Mongoł i bez słowa eskortuje nas z powrotem. Udaje się nam z niego wyciągnąć, że chwilowo nikt nie jest nami zainteresowany, może później, za parę dni. Wstyd mu o tym mówić. Chyba podejrzewa, co jeszcze nadejdzie.

11 kwietnia

Na dworze już świta. Sala operacyjna jest przepełniona. Mały ogarek udaje oświetlenie. Noc jakoś przeminęła. Już tylko niewielu Rosjan tłucze się po naszych piwnicach. Na stole operacyjnym leży martwa kobieta, przy której coś się robi, kiedy ktoś się pojawia. Leżę na podłodze w półśnie. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiega mnie cichy i spokojny głos Doktory, która kogoś pociesza. To cud, że wyszła z tej piekielnej nocy bez szwanku.

Tak jak się obawiałem, Rosjanie znaleźli alkohol. Tuż obok nas, w fabryce likierów Menthal, ukryte tysiące litrów zachowały się, jak na ironię, właśnie na tę okazję. Spadł na nas potop szcurów, gorszy niż wszystkie plagi egipskie. Nie było minuty, by z przodu lub z tyłu nie czuło się lufy pistoletu, a jakaś wrzeszcząca morda nie domagała się „sulfidinu”^[37]. A więc sporo tych czortów miało na dodatek choroby weneryczne. Nasze szpitalne apteki dawno już spłonęły, ogromne zapasy tabletek leżały rozdeptane w korytarzach. Nie bez złośliwej satysfakcji prezentowałem dokonane przez ich kompanów spustoszenie. Wdzierali się do nas całymi watahami z Menthalu – oficerowie, szeregowi, fizylierki – wszyscy pijani. I nie było żadnej możliwości kogokolwiek przed nimi ukryć, bo od ognia pożarów zrobiło się jasno jak w dzień.

Skupiliśmy się ciasno obok siebie i oczekiwaliśmy jakiegoś końca. Strach przed śmiercią, który od czasu ostrzału miasta nie odgrywał już żadnej istotnej roli, został teraz całkowicie wyparty przez coś o wiele straszniejszego. Ze wszystkich stron dobiegały rozpaczliwe krzyki kobiet: „No, strzelaj, strzelaj!”. Ale napastnicy woleli się z nimi mocować, niż naprawdę zrobić użytek z broni.

Wkrótce żadna z kobiet nie miała już siły na stawianie oporu. W ciągu kilku godzin dokonała się w nich przemiana, ich dusza umarła, słyhać było histeryczny śmiech, który jeszcze bardziej rozjuszał Sowietów. Czy w ogóle można pisać o tych rzeczach, o czymś najstraszniejszym, co dzieje się wśród ludzi? Czy każde słowo nie oskarża mnie samego? Czyż nie miałem wystarczająco wielu okazji, by rzucić się na napastnika i ponieść przyzwoitą śmierć? Tak, to, że jeszcze żyję, oznacza moją winę, dlatego też nie wolno mi tego przemilczeć.

Po powrocie z miasta pewien stosunkowo rozsądny major wezwał mnie do budynku z oddziałem zakaźnym. 30-40 Rosjan szalało tam wśród

[37] Sulfonamid.

chorych. Miałem mu powiedzieć, co to za ludzie. Chorzy, oczywiście, jakże by inaczej! Chciał wiedzieć, na co. No cóż, różnie, szkarlatyna, tyfus, dyfteryt – w tym momencie ryknął i jak czołg wpadł między swych ludzi. Było już jednak za późno, bo kiedy szturm zelżał, cztery kobiety leżały martwe.

Później stałem z Doktorą w tłumie, który nieustannie blokował tylne wyjście z piwnicy, i przyglądałem się skrzętnej krzątaniu hien, które ganiały w tę i z powrotem w wiadomym celu.

Zastanawialiśmy się właśnie, w jaki sposób dałoby się przynieść mój pistolet z 50 nabojami, który ukryłem w pobliżu pod zwałem gruzów. Nagle z góry rozległ się potężny łoskot i zobaczyliśmy, jak kilku Rosjan z ogromnym wysiłkiem toczy w stronę żelaznych schodów niewypał leżący od trzech dni nad salą operacyjną. Już za późno, by skryć się. Spojrzeliśmy po sobie z uśmiechem i pomyśleliśmy pewnie to samo: „Tu, w tej ciżbie przynajmniej się to oplaci”. Ale za chwilę ciężki niewypał przekoziołkował tylko i legł głucho na podeście schodów.

Po zapadnięciu zmroku udało się mi przynieść pistolet i umocować go pod blatem stołu w sali operacyjnej, by w razie czego mieć go pod ręką. Poza tym robiłem, co było konieczne. W ambulatorium na przykład między chorymi leżało kilku oficerów, którzy nie byli ranni i błagali o cywilne ubrania, wierząc, że w ten sposób będą trochę bezpieczniejsi. Oczywiście nie od razu wiedziałem, skąd je wziąć. Ale potem przypomniało mi się, że na pierwszym piętrze wśród porozrzucanych rupieci leżą zmarli. Kiedy w pobliżu kręciło się stosunkowo niewielu Rosjan, zakradłem się tam i ogolociłem ich z odzieży.

O północy w sali operacyjnej pojawił się sowiecki lekarz w towarzystwie kobiety w mundurze. Znów zatliła się iskra nadziei. Może wykaże trochę zrozumienia. Ale on też był pijany i chciał tylko zaimponować swej kompance. Stał przy stole operacyjnym

i tak długo uciskał kolano leżącemu na stole rannemu, aż ten bluznął czystym bawarskim przekleństwem („Ty świńskie ścierwo, zabierz te swoje zasrane łapska z mojej giry!”) – i były to oczyszczające słowa w atmosferze otępiełego pogodzenia się z losem.

Jak się zdawało, fizylierka przejrzała nasz fortel z umieszczeniem wielu sióstr w sali operacyjnej. Spodziewałem się z jej strony wszystkiego co najgorsze w stosunku do tych bezbronnych kobiet i odczułem wielką ulgę, kiedy w końcu skrzywiła się pogardliwie i poszła.

Szczególnie mili byli Francuzi. „*Adieu docteur!*” – zawołał do mnie jeden z nich, kiedy właśnie ruszałem, by powalić Ruska, którego dopiero co nie przepuściłem, a który teraz pośrodku ludzkiej ciżby zamierzał zrobić użytek z pistoletu maszynowego. Leżał przez chwilę na ziemi, ja zaś szybko się ulotniłem, chcąc chwilowo pozbyć się białego fartucha, by nie mógł mnie zaraz odnaleźć. Krótco potem Francuzów prawdopodobnie zabrano, gdyż już ich nie widziałem.

Szczególnie wzruszający są nasi rosyjscy pacjenci, którzy wyrażają swe ubolewanie. Wdzięczni mi są zwłaszcza czterej, którym skutecznie zoperowałem rany postrzałowe w brzuch. W obecności innych ze strachu zachowują się arogancko i ciągle czegoś się domagają. Potem zawsze ukradkiem przepraszają i podkreślają, jakie to wszystko jest dla nich okropne.

Nad ranem w wypalonej aptece szpitalnej natknąłem się na samotnego Rosjanina. Kiedy zobaczyłem, jak drepcze przede mną po ciemku, na kilka sekund zapalałem żądzą zemsty. Ileż myśli przemknęło mi przez głowę! Mojżesz i Egipcjanin! – Ale co miałbym począć z jego zwłokami? Tutaj zaraz by je znaleźli! – Nic nie szkodzi, gorzej już przecież być nie może. – Nie, zostaw go, to przecież tylko nędzne narzędzie.

Długo zmagalem się z instrumentariuszką, która chciała odebrać sobie życie. Prosiłem ją w imię Jezusa Chrystusa, żeby została z nami. Inne

argumenty już nie działają. W końcu ustąpiła.

Och, z jaką zazdrością spogląda się na zmarłych! Ta mała kobieta na stole operacyjnym jest dla wszystkich wokół uosobieniem pokoju. Co miałbym jeszcze powiedzieć o tej nocy? Teraz, o nastającym świecie czuję się już tylko tak, jakbym stał na pustym dworcu i spóźnił się na ostatni pociąg, który jeszcze mógł mnie wywieźć w przyzwoite zaśnie. Z wolna wsącza się do wnętrza obojętność – najgorszy wróg.

Przed południem kręci się u nas tylko kilku Rosjan, ale jeden z nich jest uosobieniem grozy. Nie jest to Azjata, lecz typ człowieka, jaki spotkać można wszędzie na świecie. Sądząc po mundurze – służy w marynarce. Jego zachowanie jest tak drastyczne, że od razu zwracam na niego uwagę i nie spuszczam go z oka. Od czasu do czasu rejestruję w przelocie tę potwornie wykrzywioną twarz. Pewnego razu idąc podwórzem, widzę, jak starym kobietom nożyczkami zdziera ubranie. One zaś stoją bez ruchu jak we śnie, a z wielu ran sączy się im krew. Przynoszę pistolet i chowam go w wielkim leju po bombie przed głównym wejściem, przez które musi przejść każdy intruz. Tu najłatwiej można by go dopaść w pojedynkę. Na zimno, w ośpieniu czatuję jakiś czas w leju, ale na próżno. Muszę opuścić stanowisko, bo w głównym budynku znów coś się dzieje.

Wchodzę później do sali operacyjnej i natychmiast wiem, że coś się wydarzyło. Siostry spoglądają na mnie przerażone. Doktora stoi przy stole i jak zawsze zakłada opatrunki. Ale te oczy! Mój Boże! Czuję, jakby jakiś kolec wwierał się w to, co pozostało mi z duszy. Wychodzę i rzucam się na żelazne łóżko. Spać, spać i już nic nie widzieć. Dostyc. Po chwili Doktora stoi obok mnie w poszarpanym dresie, a jej dłoń próbuje mnie pocieszać. „Mógłbyś poszukać mojej Biblii? Powinna leżeć gdzieś na podeście schodów. Wyrwali mi ją z kieszeni.” Jak idiota szukam i znajduję. Potem przez chwilę siedzimy obok siebie nieruchomo na łóżku. Chce, żebym uciekał. Uważa, że sam na pewno przedostanę się na Zachód.

„Tutaj nie możesz już przecież nic zrobić. A ja mam tabletki, poza tym wiem, że Bóg nie wymaga rzeczy niemożliwych.” Jestem zbyt zmęczony, żeby coś powiedzieć, ale też nie śmiem z obrzydzenia wydać z siebie głosu. Domyślam się, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności. Mogła przegrać tylko z tym szubrawcem – władza ciemności, na którą nie ma sposobu. (Potwierdziły to sporządzone dla mnie zapiski Doktory, które czytałem kilka miesięcy później. „Po raz pierwszy w całym tym okresie ogarnął mnie strach” – pisała. „Natychmiast wiedziałam, że tu nie dam sobie rady.”) A tamten zniknął. Schodzimy parę kroków nad brzeg Stawu Zamkowego, gdzie na trawie leży kilka łódek wywróconych do góry dnem. Nikt nas nie obserwuje. Zawiniętą w koc Doktorę wsuwam pod jedną z nich.

Po południu w budynku znowu pełno Rosjan. Wszędzie rozpalają ogień. Sąsiedni budynek tak błyskawicznie staje od góry do dołu w płomieniach, że nasz dach zajmuje się ogniem. Wprawdzie fachowcy twierdzą, że nie wypali się aż do piwnic, ale dla bezpieczeństwa zarządzam ewakuację. Na początek taszczę na plecach do rowu przy Stawie Zamkowym grubego mężczyznę ze świeżo złamanym udem na wyciągu. W zadziwiającym pośpiechu pustoszeje za mną cały budynek, a wszystkich, którzy nie mogą chodzić, przeciągamy w kilku turach przez mostek dla pieszych na przeciwległe zbocze.

Rosjanie znowu w wielkim ruchu i szaleją. Doktora, mimo moich próśb, uczestniczy w przenoszeniu chorych i nagle napada na nią i wlecze ze sobą trzech młodziutkich chłopaków. Rzucam się na nich bez specjalnej energii, tuż obok mojej głowy pada kilka strzałów z pistoletu maszynowego, co mnie na moment ogłusza. Przechodzi akurat Czernecki z sowieckim majorem i próbuje interweniować. Na próżno, major go wyśmiewa. Wkrótce Doktora się uwalnia – to były tylko ordynarne, głupie chłopaki – i kryje się wśród chorych na zboczu. Na szczęście już

tam pozostaje.

Tymczasem widzę, że w kierunku naszego zbocza podąża następna karawana sióstr i chorych – niosą ich, prowadzą, inni wloką się sami lub pełzają. Są ze Szpitala Miłosierdzia, który w końcu trzeba było opróżnić z powodu trwających tam pożarów. Wkrótce całe wzgórze jest jednym wielkim obozowiskiem chorych, pośrodku którego tu i ówdzie jak horda pawianów grasują Rosjanie – wyciągają na chybił trafił siostry i pacjentów, szarpią, po raz setny domagają się zegarków. Swój mam jeszcze ciągle nad kostką między dwiema skarpetami. Z wywleczonymi na lewą stronę kieszeniami krążę wśród pacjentów. Panuje przenikliwe zimno. Kilka razy przelotnie pada śnieg. Chorzy jęczą, niektórzy pyskują, inni w dość podejrzany sposób konferują już z Rosjanami. Przestają funkcjonować resztki wewnętrznych zasad.

Na chwilę siadam przy Doktorze. Leży cicho pod kocem i płacze. Pewien Rosjanin pomógł jej przenieść chorą dziewczynę i to wzruszyło ją do łez. Cieszę się, że wreszcie się poddaje.

Zostawiam ją samą, bo moja obecność mogłaby zdradzić jej miejsce. Szuka jej major. Kiedy wreszcie znika, próbuję rozeznac się w najbliższej okolicy. Nasze budynki wprawdzie chwilowo nie płoną, ale w każdej chwili wszystko może się zacząć od nowa, muszę więc rozejrzeć się za prowizorycznym schronieniem dla chorych przed nadchodzącą nocą. Ulicą przy Górnym Stawie, która wygląda jak zaorane pole, jeżdżą małe konne wozy, grzęzną, wygrzebują się z błota i ciągną dalej. Trzeba się bardzo wysilać, by pojąć, że niegdyś był to Königsberg.

W lekarskim fartuchu, który kiedyś był biały, docieram niezatrzymywany przez nikogo do wieży Dohny^[38], gdzie roi się od Rosjan. Podobno mieści się tu część lazaretu. Zdecydowanym krokiem

[38] Wieża Dohny, niem. Dohnaturm, część fortyfikacji Königsbergu z 1859 roku.

zmierzam do wejścia i straż przepuszcza mnie bez przeszkód. W tylnych pomieszczeniach napotykam paru niemieckich oficerów sanitarnych, lekarza sztabowego i kilku asystentów. Jest z nimi paru rannych. Nie mają pojęcia, co się z nimi stanie. Rosjanie krzają się przy zewnętrznych ścianach wieży, może chcą ją wysadzić w powietrze? Wszystko możliwe. Wymieniamy kilka smętnych dowcipów. Częstoują mnie miętowymi ciasteczkami z dużego słoja, który udało się im ocalić. Na stole leży Rosjanin i okropnie lamentuje, bo trzeba mu przeciąć ropień pod kolanem. Zastanawiają się właśnie, jakim środkiem znieczulającym mogą go uszczęśliwić. Sięgam szybko po skalpel i z wielką przyjemnością rozcinam ropień. Zaskoczony Rosjanin nagle cichnie i pozwala się spokojnie odtransportować. Chwilowo nic się nie dzieje, żegnam się więc i zapraszam kolegów z rewizytą do nas, jeśli oczywiście nie wysadzą ich w powietrze.

O zmierzchu personel Szpitala Miłosierdzia rusza w drogę, by przenieść chorych na Maraunenhof. Przydzielili im tam ponoć kilka pustych budynków. Trudno mi sobie wyobrazić, jak się tam dostaną. My zostajemy sami z naszą gromadką i zaczynamy przenosić się z powrotem do piwnic. Taszcząc znowu na plecach ciężkiego mężczyznę, przechodzę przez małą kładkę, gdzie zatrzymuje mnie Rosjanin. Towarzyszy mu Tamara, pielęgniarka z czasu oblężenia, tymczasem już z całym sztafajem fizylierki. Proszę ją o pomoc, gdyż Rusek szarpie moim chorym. Syczącym szeptem mówi: „Dzisiaj ja też się boję”, a potem znów gra swoją rolę. Muszę upuścić chorego. Rusek obszukuje go, potem strzela do niego jakby przez pomyłkę i idzie dalej. Mężczyzna siedzi i patrzy na mnie pytającym wzrokiem. Gdybym mógł dobić go jednym strzałem! Wstrzykuję mu dawkę morfiny i pozostawiam leżącego na drodze. Zanim ruszam dalej, spoglądam jeszcze raz na zbocze, by zachować je w pamięci, dopóki całkiem nie opustoszeje. Tam, na szczycie, blisko nieba,

powinien stać krzyż.

Chwilę potem opadam z sił. Podczas dźwigania chorych pękł mi mostek, co w normalnych czasach pewnie by mi mocno doskwierało, ale teraz jest tylko wielce pocieszającym dodatkiem. Inni taszcą chorych ostatkiem sił. Dołączył do nas nowy kolega i pilnie nam pomaga. Czernecki zniknął, podobnie inni cudzoziemcy. O północy na zboczu leży już tylko ośmioro, to zmarli, wśród nich nasza instrumentariuszka.

Całe miasto płonie. Samoloty krążą i zrzucają w ruiny kolejne bomby zapalne. Za to nasi prześladowcy jakby nagle zniknęli z powierzchni ziemi. Jeden z nich oznajmił, że nasza dzielnica zostanie odizolowana i wysadzona w powietrze. Godzimy się już na wszystko. Znów przyniosłem pistolet, zgromadziłem wszelkie środki nasenne i znieczulające, jakie tylko znalazłem, do tego ostatnią strzykawkę, i zdeponowałem wszystko w naszej najnowszej kryjówce. Że też wcześniej na to nie wpadliśmy! Za oknami zamurowanej od zewnątrz sali operacyjnej jest wolna przestrzeń na szerokość około 60 centymetrów. Przy tak słabym oświetleniu jest od wewnątrz niezauważalna, nie widać jej nawet, kiedy stoi się całkiem blisko. Za każdym z trzech okien jest miejsce dla dwojga ludzi. Teraz na zmianę kryją się tam siostry, a na część nocy ulokowałem tam Doktorę. Chwilę siedzę przy niej i czytam z jej ulubionego listu do Hebrajczyków. „Nie mamy bowiem arcykapłana, który by nie mógł współczuć...”^[39] Zrobiło się tu bardzo cicho. Obiecałem, że wszystkich zastrzelę, gdyby nas przysypało i gdybyśmy nie mogli się stąd wydostać. Na moment wszyscy się uspokajają.

Na podłodze leży doktor Hasten z przeciętą tętnicą. Przyniosły go tu rano siostry ze Szpitala Miłosierdzia, gdzie leżał, zanim się ewakuowali. Jedna z sióstr przekazała mi ostatnie pozdrowienia od Bothmera. Widziała, jak 8 kwietnia został ranny, a 10 kwietnia zmarł.

[39] Hbr 4,15.

12 kwietnia

Noc minęła bez szczególnych zdarzeń. Koło piątej rano zaczyna się palić w budynku od frontu. Większość piwnic udało się ewakuować, tylko w jednej zostało dwóch ciężko chorych. Nie można już się do nich dostać. Ogień jest tak silny, że nie ma widoków na ugaszenie go naszymi skromnymi środkami. Mimo to próbujemy – bardziej szukamy zapomnienia, niż działamy w obronie koniecznej. Tworzymy długi łańcuch i z rąk do rąk wędrują wszelkie dostępne, wyciągane ze studni na sznurkach wiadra i naczynia z wodą. Od ulicy Rosjanie wrzucają kolejne ładunki zapalne i strzelają z pancernałów do wnętrza budynku. Mimo to, zakrywając twarze, na zmianę walczymy z ogniem i udaje się nam go zdławić. Gdy jest już po wszystkim, pojawia się, nie wiedzieć skąd, kierownik zaopatrzenia Gudat i chce ze mną rozejrzeć się po mieście. Słyszał o jakiejś komendanturze, która ponoć mieści się gdzieś w okolicach klinik uniwersyteckich.

Usmoleni dymem ruszamy w drogę. Ulice są dziś prawie puste. Wydaje się, że zasadnicza grupa Rosjan już się wycofała. Na zachód lecą znowu potężne eskadry samolotów bojowych. Trudno sobie wyobrazić, co naszych tam czeka. Znaleźli się w niedosięgłej dali. Jak zjawy snujemy się pustymi ulicami. Pojedynczy Rosjanie, których pytamy o „komendanturę”, wskazują nam drogę obok zamku do Instytutu Chemii. Tam dostajemy się w tłum wynędzniałych ludzi, którzy najwidoczniej błąkają się tak już od trzech dni, nie znajdując nic do jedzenia ani żadnego schronienia. Ich domy spłonęły, nikt się o nich nie troszczy. Jest tam wiele kobiet z małymi dziećmi.

Nagle pojawia się trzech Rosjan, wydzielają z tłumu około 50 osób i prowadzą nas przed dawny bunkier Czerwonego Krzyża w podwórzu Kliniki Medycznej. Od czasu, kiedy byłem tam ostatni raz, okolica się

zmieniła i zdumiewająco łatwo ogarnąć ją wzrokiem. Przypuszczając, że to tu znajduje się poszukiwana komendantura, czekamy niecierpliwie na wejście do środka. Po jakimś czasie podchodzi do mnie Rosjanin, wiesza mi na ramieniu worek, narzuca wojskowy płaszcz na ramiona i każe nam obu zafasować ze stosu dwie pełne konserwy warzywne. Potem otacza nas kilku żołnierzy z bronią i pod obstawą maszerujemy przez bramę. Próbuję protestować i gorączkowo rozglądam się, jak by stąd uciec. Gudał mnie powstrzymuje, twierdząc, że to nie ma sensu. W tym momencie spada mi ciężki kamień z serca. Jestem pojmany – wolny. Zwolniony z tej straszliwej odpowiedzialności. Czuję się jak Jonasz w brzuchu wieloryba i z sercem przepelnionym wdzięcznością czekam, aż znów wypluje mnie na ląd. Zaczęło się drugie życie.

Głośno gwizdząc, wlokę się na samym końcu kolumny. Oglądają się za mną z dezaprobatą. Nie, teraz nawet gdybym bardzo chciał, nie potrafię być smutny. Życie jest takie niesamowite.

Nie warto tracić okazji, mogąc się nim nacieszyć. I nie modłę się już o nic innego, jak tylko o iskierkę poczucia humoru i oczy szeroko otwarte na wszystko, co jeszcze może się zdarzyć.

Przechodzimy obok dymiących zgliszcz Domu Miejskiego i Dworca Północnego. Bruk uliczny rozryty przez bomby. Więzienie Gestapo – oczywiście jeszcze stoi. Idziemy w dół General-Litzmann-Straße – wygląda jak jeden wielki rynsztok. Otwórz tylko oczy! Tak, ale już po prostu niczego nie przyswajam, nawet patrzenie ma swe granice.

Dokąd nas prowadzą? Może na wybrzeże, a potem zawiozą statkiem do Rosji? Jest mi to obojętne. Mam jeszcze Biblię, chociaż setki razy wyciągano mi ją z kieszeni, i chwilowo nie potrzebuję nic więcej.

Zatrzymujemy się na rogatkach miasta. Wszyscy siadają na skraju szosy i zapadają w odrętwienie. Świeci słońce, ale jest zimno. Przychodzi mi do głowy, że dzisiaj mijają dokładnie 23 lata od momentu, kiedy jako

dzieci przyjechaliśmy do Trakehnen i zaczął się najpiękniejszy okres naszego życia. Dzień był taki jak dzisiaj. Szpaki gwizdały wśród gołych drzew, a potem poleciały gnane wiatrem w głąb jasnej wschodniopruskiej krainy, zabierając ze sobą moje serce.

Nie uczestniczę w próbach dogadywania się z obstawą. To całkowicie zbędne. Informacji nie udzielają, można tylko oberwać pchnięcie kolbą. Wśród moich towarzyszy nie ma takich, którzy by się znali. Bliscy czekają na ich powrót gdzieś daleko, na wielkim polu ruin. Nie ma raczej szans, by kiedykolwiek się odnaleźli. I wszystko to dzieje się tak po prostu, jak coś oczywistego. Nie doświadczamy zresztą niczego szczególnego, to samo od kilku lat jest udziałem milionów ludzi. To jest po prostu nowy sposób ludzkiego obcowania, wynikający nie tyle z nienawiści, co z uporu, braku wyobraźni. Dzisiaj ja, jutro ty.

Przechodzimy przez całkowicie zniszczony Fuchsberg. Wsie wyglądają jak na wpół zepsute ryby, których ości sterczą w powietrzu. Wygląda na to, że prowadzą nas na front. Obserwujemy, jak przelatujące z hukiem tuż nad naszymi głowami samoloty bojowe krążą w niedużej odległości, spokojnie nadlatują nad cel i zawracają, a za nimi wyrastają w górę, jeden za drugim, grzyby dymu. A więc tkwią tam jeszcze w jakichś jamach nasi żołnierze. Jak to jest, kiedy się widzi śmierć spadającą po prostu z góry?

Na szosie panuje ożywiony ruch i dlatego musimy iść rozmiękłym polem. Pojazdy z katiuszami i innym ciężkim uzbrojeniem jeżdżą w jedną i drugą stronę, same osobistości w otoczeniu sztabu pomocników. Mijając nas, wykrzykują raz po raz: „Gitler kaput!”. Moje uznanie, myślę sobie, nawet jeśli trzeba było tego wszystkiego.

Do wieczora oddaliliśmy się od Königsbergu o jakieś 25 kilometrów. Dwoje starszych ludzi upadło po drodze i tak ich zostawiono, reszta jeszcze idzie razem. Po prawej stronie szosy leży niewielki majątek, w stronę

którego zmierzamy. Koczuje tam kilku Polaków, zapewne robotnicy, którzy pozostali na miejscu. Najpierw wpychają nas do wiejskiej kuźni, ale nie starcza tam miejsca dla wszystkich. Potem więc postanawiają zakwaterować nas w oborze, gdzie przynajmniej mamy dach nad głową. Jest zimno; kładziemy się na podłodze blisko siebie. Gudat i ja leżymy przy schodach, które prowadzą na górę do ganku biegnącego wzdłuż budynku.

Po zmroku przychodzi nasza obstawa ze ślepymi latarkami i wszystko przetrząsa. Kobiety skamlą albo klną; wywlekają je przy udziale Polaków. To piekło chyba nigdy się nie skończy. „*Dawaj siuda! Frau komm!*“ Dźwięczy mi to w uszach gorzej niż wszystkie przekleństwa świata. Jeśli to, co oznacza życie, stoi pod znakiem śmierci, to triumf szatana osiąga apogeum. Nie przeszkadza im wcale, że mają przed sobą półtrupcy. Osiemdziesięcioletnie kobiety narażone są tak samo, jak nieprzytomne (później się dowiedziałem, że moja ranna w głowę pacjentka została zgwałcona niezliczoną ilością razy, nic o tym nie wiedząc).

13 kwietnia

I ta noc przeminęła. Stale sobie wyrzucam, że jeszcze żyję. Wypędzają nas, zdrętwiałych i otepiałych, w szarówkę poranka. Ziemia jest zmarznięta. Zjadamy na zimno resztki konserw. Potem każą nam iść dalej na północny zachód, za frontem. Ciężar płaszczu wojskowego przygniata mnie niemal do ziemi. Inni taszczą ze sobą rozmaite rzeczy, sądząc, że kiedyś im się przydadzą.

W porannym słońcu wierzchnia warstwa ziemi znowu odmarza. Ślizgając się, brniemy pod górę po długim gliniastym zboczu i nagle znajdujemy się tuż za frontem. Podejrzewamy, że chcą nas tam wysłać. Nie miałbym nic przeciwko temu, Gudat też to akceptuje. Zdradzam mu,

że dziś są moje urodziny. 35 lat, okrągła rocznica.

Wydaje się jednak, że i bez nas wszystko żwawo posuwa się naprzód. Z tyłu ponad nami strzela artyleria, widać, jak lecą ciężkie pociski. Kiedy docieramy na wzgórze, rozciąga się przed nami widok na morze. Przynajmniej ono jeszcze istnieje! Wszystkiego można się już spodziewać. Trwa silny ostrzał leżącego najbliżej Neukuhrenu. Podprowadzają nas jeszcze trochę bliżej, przez pole, aż do małej zalesionej doliny; w jej zboczach zainstalowano mnóstwo ziemianek. Nasza obstawa natychmiast zajmuje część z nich, napotyka przy tym żołnierzy eskortujących grupę podobną do naszej. Początkowo zostajemy na zewnątrz i siedzimy przed zagajnikiem, zapewne jako cel dla ewentualnych niemieckich samolotów. Ale tych ani widu, ani słychu. Za to przed nami, nad tą nieszczęsną miejsciną krąży cała chmara Rosjan.

Po chwili biorą mnie wraz z dwoma mężczyznami i trzema kobietami i prowadzą do zagajnika. Mamy tu zostać i gotować ziemniaki dla całej reszty. Nagle coś takiego – i znowu w całkiem oczywisty sposób! Dookoła leży mnóstwo ziemniaków, obok wielka blaszana wanna. Wodę mamy w strumyku płynącym przez dolinę.

Przeciągamy pręt przez ucha wanny i wieszamy ją na dwóch widłowatych gałęziach, wkopanych w ziemię. Pod wanną rozpalamy ognisko. W poszukiwaniu drewna wdrapuję się na przeciwległe zbocze i rozglądam po polu. Blisko mnie stoi działo szybkostrzelne, którego lufa w ciągu kilku sekund odpala około stu pocisków. Od strony Neukuhrenu dobiegają odgłosy eksplozji, co brzmi, jakby powoli rozpadała się buda z desek. Zaczyna zajmować mnie znowu myśl o ucieczce, ale widzę, że po tej stronie za dnia nie da się przejść.

Na widok gotujących się ziemniaków robi się ciepło na sercu. Jedna z trzech kobiet dzieli się z nami kawałkiem słoniny. Kobiety chodzą już prawie boso, bo ich buty nie nadają się do takich marszów. Po jedzeniu

siedzimy jakiś czas w odrętwieniu na zboczu. Później zjawia się Rosjanin z siekierą i tłumaczy nam, jak mamy zbudować sobie szopkę z gałęzi. Wspólnymi siłami wnosimy szalasy, dokładnie taki, jak tamte, które niegdyś w pomniejszej skali budowaliśmy jako dzieci dla zajęczków wielkanocnych. Wieczorem się tam wprowadzamy. Wprawdzie pada do środka, ale mamy jakieś schronienie.

Po nastaniu ciemności nagle zaczynają się nami interesować, i to pojedynczo. Tuż przed nami w ziemiance na zboczu ulokował się niski, krępy Rosjanin i po kolei wzywa, do siebie ludzi. Około północy przychodzi moja kolej. Schylony wchodzę do środka. Stojący tam piec promieniuje wspaniałym ciepłem. Natychmiast postanawiam przeciągać przesłuchanie, ile się da. Poza piecem mieści się tu tylko krótkie legowisko i mały stolik. Rosjanin i ja siedzimy na legowisku, przed nami na ziemi polski tłumacz. Rosjanin studiuje wszystkie dokumenty, jakie mi jeszcze pozostały. Potem zaczyna się wypytywanie. Kiedy podaję szczegóły dotyczące sytuacji rodzinnej, majątku i jego wyposażenia, a także wyliczam, ile koni, krów, świń, owiec, gęsi, kaczek i kur posiadają moi krewni, Polak wywraca oczami i pyta, czy jestem zdrowy na umyśle. Uważa, że byłoby głupotą opowiadać to wszystko.

Okazuje mi wzruszające współczucie. Sytuację na wsi zna doskonale, gdyż przez dłuższy czas pracował w jednym z majątków. Kiedy Rosjanin zostawia nas na chwilę samych, opowiada mi, że przez ostatnie dwa lata bardzo dobrze mu się żyło w Königsbergu i że zarobił co najmniej 40 tysięcy marek.

Rosjanin sam sobie ze mną nie poradził i wezwał drugiego fachowca. Ten ma trochę więcej ogłady, mówi dobrze po niemiecku i zadaje pytania w kwestiach medycznych. Pytam, jakie mają wobec mnie zamiary. Opowiada o wielkich, nowoczesnych klinikach w Moskwie i Odessie, gdzie mógłbym pracować w swoim fachu jako chirurg. Moja nadwyrężona

wyobrażenia przenosi mnie nagle w całkiem inny świat. Widzę wielkie sześciany z czarnego szkła, w ich wnętrzu pracuje w milczeniu kilku mężczyzn. Wszystko jest ciemne, tylko ich dłonie jaśnieją. Zaginęło wszystko, co dotąd do mnie przynależało. Nirwana – Rosja!

Po zakończeniu przesłuchania – Polak z pewnością już dawno poszedł spać – podpisuję pięć gęsto zapisanych formularzy. Nie mam pojęcia, co zawierają, bo skąd miałbym wiedzieć, co z sympatii do mnie nakłamał w dobrej wierze ten Polak. Potem wyprowadzają mnie i dołączają do najbardziej podejrzanych z naszej grupy, dwunastu mężczyzn; wśród nich jest prokurator, jest też Gudat i pewien kolejarz z powodu swego granatowego munduru. Leżymy w niewielkiej ziemiance na dwóch poziomach. Teren na zewnątrz otacza płot z drutu kolczastego i pilnuje nas dwóch wartowników. Druga część nocy znowu stoi pod znakiem gwałtów na kobietach.

14 kwietnia

O świcie wyganiają nas z ziemianki. Wstajemy jak Łazarz z grobu – mimo wszystko jeszcze raz. Spodziewaliśmy się, że wysadzą nas w powietrze albo zrobią coś równie uroczystego. Z wolna człowiek dojrzeva do uczestnictwa w czymś rytualnym.

Zimno jest dużo gorsze niż głód. Kiedy ma się na sobie wilgotne rzeczy, chciałoby się jak najmniej ruszać. Podobnie martwieje mimika. Śmiać można się już tylko w głębi duszy.

Kolumna powoli rusza, nasza niebezpieczna dwunastka na przedzie, pozostała czterdziestka, z kobietami włącznie, za nami. Większość porusza się już z wielkim trudem. Znów idziemy aż na samą górę, a potem skręcamy na zachód w ślad za frontem, który przesunął się już sporo do przodu. Nad wioskami dym, po mieszkańcach ani śladu. W

podziurawionych od bomb zagrodach fruwa pierze. Nie ma ani jednej kury czy sztuki bydła, tylko parę oszalałych psów. I ten zapach spalenizny! Chyba nigdy się go nie pozbędę.

Po kilku postojach na mokrych polach przy drodze, pod wieczór docieramy do szosy na Rauschen i kierujemy się nią na północ. W miejscu, gdzie droga rozwidła się – w prawo przez Pobethen do Cranzu i w lewo do Rauschenu – widać po lewej stronie kilka podłużnych kopców ziemniaków, przy których krząta się mnóstwo Rosjan. Znowu zbliżamy się do linii frontu. Odcinek między rozwidleniem a następną miejscowością, Watsum, wygląda strasznie. Najwidoczniej nie tak dawno trwały tu ostre walki. Porzucane na prawym zboczach pojedyncze domy nie spłonęły, ale są podziurawione przez pociski artyleryjskie. Roztrzaskane drzewa, pola zryte bombami. Wielu zabitych leży po rowach, inni zmiażdżeni na szosie. Ale widok ten nie zaprzęta teraz wyobraźni. Pragnienie ciepła jest tak przemożne, że perspektywa dotarcia do płonącej przed nami wioski tłumi wszelkie inne uczucia. Krótco przed przejściem przez tory linii kolejowej napotykamy pierwszą kolumnę jeńców. Ze też ludzie jeszcze wyszli z tego piekła! Z szarymi twarzami bez wyrazu mijają nas i wloką się na wschód. Usiłuję skinąć im głową, ale zaraz odwracam wzrok. Nie można na nich patrzeć.

Między płonącymi domami zwalniamy krok do granic możliwości, żeby jak najdłużej napawać się ciepłem. Na skraju wsi wita nas znowu lodowaty wiatr i rzuca w twarz mokrym śniegiem. Przed nami most wysadzony w powietrze, skręcamy więc w lewo i obserwujemy, jak oświetlona pochodniami kolumna samochodów i dział przeprawia się przez leżącą przed nami małą, bagnistą dolinę. Ciężkie maszyny, kołyszac się niczym słonie, powoli brną przez trzęsawisko. Na przeciwległym brzegu wojsko gromadzi się wokół kilku ognisk. Wśród nich jest kilka silnych, wyraźnych sylwetek. Ich widok ma w sobie coś pojednawczego.

W pobliżu tego miejsca robimy postój, siadamy w kucki albo ustawiamy się plecami do wiatru. Potem w całkowitych ciemnościach posuwamy się jeszcze kawałek do samotnej zagrody, która ostała się w niezłym stanie. Otwierają klapę w podłodze i nasza groźna dwunastka schodzi do piwnicy, jamy długiej i szerokiej na mniej więcej dwa metry i takiej też wysokości. Leży tu pełno ziemniaków, więc na stojąco nie można się wyprostować. Wrzucają do nas jeszcze małego Ruska, który widocznie musi odpokutować jakąś karę. Potem zamykają klapę. Jeden ze współwięźniów ma jeszcze zapalki, inny świeczkę, możemy więc przynajmniej rzucić okiem na naszą kwaterę. Najpierw rozdzielamy miejsca. Sześciu może jednocześnie leżeć na boku. Pozostali siadają oparci o ścianę lub o plecy drugiego, a potem się zmieniamy. Z tym biednym prokuratorem jest źle. Ma wysoką gorączkę i straszną biegunkę. Dobija go świadomość, że jest dla nas uciążliwy. Nad nami harcuje sowiecka horda z żeńską częścią naszej kolumny, która została ulokowana w górnych pomieszczeniach.

15 kwietnia

Mija noc i cały dzień, a w naszym położeniu nic się nie zmienia. Raz, gdzieś koło południa każą nam wyjść i prowadzą nas do rowu, który biegnie za gospodarstwem. Znow rozważam możliwość ucieczki, oddalam się kawałek wzdłuż rowu, ale strażnik popycha mnie w stronę innych. Krótko potem znow tkwimy w piwnicznej jamie. Dawno przestaliśmy się zastanawiać, co zamierzają z nami zrobić.

Jedzenie dostaje tylko Rusek. Wieczorem polski tłumacz przynosi ukradkiem kilka ugotowanych ziemniaków. Potem zaczyna się druga noc w tej ciasnocie. Przynajmniej nie marzniemy. Ale w mokrych rzeczach czujemy się jak z okładem na poty. Daje o sobie znać pierwsze robactwo i

nie ma jak się przed nim bronić. Rad jestem, że jest ciemno i nie widzimy swoich twarzy.

16 kwietnia

Nad ranem, około czwartej, wypędzają nas z piwnicy. Rozgwieżdżone niebo i mróz. Idziemy dalej na zachód. Przez kawałek drogi prokurator ciężko uwiesza mi się na ramieniu, potem wrzucają go na jadący za nami wóz – przy każdym kolejnym kroku osuwał się na kolana i opóźniał marsz.

Znowu marzniemy i paraliżuje to do reszty zdolność podejmowania decyzji. Wlokę się za innymi, ale świadomie idę coraz nieporadniej i powłóczę nogami, żeby odwrócić wszelkie podejrzenia o próbę ucieczki. Stopniowo dochodzę do wniosku, że dopóki tli się we mnie jeszcze iskra instynktu samozachowawczego, nie wolno mi godzić się na ten nonsens prowadzący powoli, ale niechybnie do śmierci.

Z nadejściem dnia docieramy do szosy wiodącej do Palmnicken. Poznając dokładnie kawałek Sambii^[40], bo gdy ktoś nosi się z zamiarem ucieczki, ogląda okolicę całkiem innym okiem niż przypadkowy pasażer samochodu. W takich okolicznościach ważne jest każde pofałdowanie terenu, każda grupa drzew – wszystko to zapada w pamięć. Dotarłszy do głównej drogi, maszerujemy znów na północ, w stronę morza. Gospodarstwa po lewej przedstawiają żaloszny widok. Na rozległych polach stoją pojedyncze sztuki bydła z ciężkimi ranami postrzałowymi. Idący przed nami Rosjanie ostrzeliwiają bociana, który pewnie dopiero co przyleciał z południa. Zdziwiony wzbija się w powietrze i szybuje w kierunku Groß-Germau, leżącego nieopodal na lekkim wzniesieniu. Nad miejscowością dosięga go salwa setek strzałów i spada jak kamień na

[40] Niem. Samland, historyczna kraina w Prusach; Półwysep Sambijski leży między Mierzeją Wiślaną i Mierzeją Kurońską, dzisiaj Kaliningradzkij półwysp.

ziemię.

W Groß-Germau odbijamy w lewo i idziemy dalej do następnej wsi. Wygląda na to, że Rosjanie wkroczyli tu całkiem niedawno. Kilkoro starych ludzi biega bezradnie tu i tam, tymczasem z domów wynoszą ich dobytek, który następnie niszczą albo ładują na ciężarówki. Rozglądam się uważnie po okolicy. W odległości kilkuset metrów na północ widać las, ciągnący się wąskim pasem wzdłuż wybrzeża. Tam trzeba by się dostać.

Zamykają nas w małej drewnutni, w której przez szpary gwiżdże wiatr. Od czasu do czasu dostajemy dodatkowo zimny prysznic z pobliskiego stawu, który Rosjanie rozbryzgują ręcznymi granatami. Przez otwarte drzwi możemy obserwować plądrowanie. W pośpiechu wyrzucają na podwórze najbardziej niepotrzebne przedmioty, kanapy, abażury od lamp, fotografie ogromnych wymiarów, gustowne obrazy i ładują wszystko na ciężarówki; stare szafy i stoły rąbane są na opał. Tutaj też już nie ma żywych zwierząt.

Nasz prokurator jest w bardzo złym stanie. Leży na ziemi i już się prawie nie rusza. Jeden ze strażników przychodzi z potężnym czarnobrodym mężczyzną, miejscowym wiejskim lekarzem. Ma zbadać chorego. Zabierają go i umieszczają gdzie indziej. Za to my dostajemy kilku nowych, wśród nich tęgiego gospodarza w moim wieku, który jest jeszcze w całkiem dobrej formie. Przyglądam mu się uważnie na wypadek, gdyby miał ochotę prysnąć ze mną przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Rosjanie są jeszcze zajęci selekcją reszty mieszkańców wsi. Uporawszy się z tym, prowadzą nas na strych i zamykają w pakamerze. Przez deski moglibyśmy porozumieć się z mniej groźną częścią naszej grupy. Jesteśmy jednak już zbyt otepiali, żeby z tego skorzystać.

O zmroku sprowadzają nas znów na dół i każą się ustawić na podwórzu w dwóch szeregach. Ktoś przebąkuje, że mają przyjechać ciężarówki,

które odstawią nas do miejsca ostatecznego przeznaczenia. Obok mnie stoi wspomniany już gospodarz. Mówię mu szeptem, że zamierzam za chwilę się ulotnić, i pytam, czy miałyby ochotę mi towarzyszyć. Nie dostaję odpowiedzi. Rzeczywiście, tak po prostu – nie da rady. Coś musi się wydarzyć, zanim można będzie wymknąć się obstawie. Czekam na tę okazję i zbieram siły jak koń wyścigowy na starcie.

I wreszcie nadchodzi znak do biegu. Rosjanie pewnie pomyśleli, że wojna się skończyła. Nagle bowiem w wielu miejscach jednocześnie poszły w wieczorne niebo race świetlne. „Gitler kaput!” – wrzeszczą nasi strażnicy, pokazują na niebo i nie posiadają się z radości. W tym samym momencie wychodzę z szeregu, słyszę za sobą gwar przerażonych głosów, idę wokół stawu jakieś 30-40 kroków – jeszcze ciągle nie pada strzał. Już zniknąłem za murem i biegnę w stronę lasu. Daleko z tyłu słychać ożywienie, pada kilka strzałów. Na szczęście jest gęsta mgła. Mijam Rosjan, ale nie zwracają na mnie uwagi. Biegnę dalej jednym z wielu okopów, potem wdrapuję się na górę, jestem niewidoczny na tle ciemnego lasu i bez szwanku zanurzam się w zaroślach.

Wolność! Wolność! Niczym niespełna rozumu przez kilka minut jestem pijany niewiarygodnym szczęściem. Wcale mnie w tej chwili nie obchodzi, co będzie dalej. Mysz zwiąła – spróbujcie ją złapać!

Siedząc w gęstwinie krzaków nad bajorem, obserwuję okolicę, z której przyszedłem. Jest czas złotu bekasów. Ogarniają mnie tysiące kojących wspomnień. Jakimż cudem jest życie!

Myśli kierują się w stronę ludzi, których już nie ma. Staje przede mną mój brat stryjeczny, Heinrich Lehndorff^[41]. Ubiegłej zimy polowaliśmy jeszcze wspólnie w jego lesie nad Mamrami i wyobrażaliśmy sobie, jakby

[41] Heinrich von Lehndorff (1909–1944) – uczestnik spisku przed zamachem na Hitlera; aresztowany, trzykrotnie uciekał, skazany na śmierć i stracony.

to było, gdybyśmy po katastrofie prowadzili tam życie partyzantów. Może dopiero wówczas mielibyśmy okazję naprawdę poznać nasze ojczyste strony?

Pół roku później odwiedził mnie pewnej nocy w Insterburgu i opowiadał o zamachu na führera, zaplanowanym na najbliższe dni. Zapytał mnie wówczas, czy byłbym gotów dołączyć do nich, gdyby się okazało, że potrzebny jest jeszcze jeden człowiek. Ponieważ wiedziałem już, iż to pytanie padnie, poprosiłem młodego zaufanego pastora, by poszedł ze mną na dworzec. Czekaliśmy tam wiele godzin, siedząc na ławce, i szukaliśmy rady w Piśmie Świętym. Przy tym szczególną trudność – nie mogło być inaczej – sprawił nam rozdział 13 listu do Rzymian. „Każdy człowiek niech się poddaje władzom zwierzchnim.”^[42] Czy będąc chrześcijaninem z poczuciem odpowiedzialności za ojczyznę trzeba naprawdę godzić się na wszystko? I dalej bezczynnie się przyglądać, jak szalenciec pcha naród do zguby? W każdym razie jedno było dla nas jasne. Apostoł Paweł nie daje żadnych podstaw, by uchylać się od czynu, powołując się dla spokoju duszy na list do Rzymian. Pozwala on nam jednak zrozumieć wagę decyzji, przed którą zostaliśmy postawieni. Mieliśmy do wyboru tylko rodzaj winy.

Dla mnie nastały wówczas dni niezwykłych duchowych rozterek. Bezustannie zadawałem sobie pytanie, skąd miałbym czerpać siły, by z ładunkiem wybuchowym w teczce stanąć obok człowieka i go zabić. Czy nagle nie poczułbym się z nim związany, czy nie odczułbym potrzeby zrobienia wszystkiego, by go ostrzec? Albo też – co jeszcze trudniej rozważyć – gdyby zaistniała możliwość, by zamiast unicestwić tego człowieka zwiastować mu Sąd Boży w taki sposób, że otworzą mu się oczy – jakaż byłaby to porażka, gdyby z wewnętrznej nieudolności nie wykorzystać tej niewiarygodnej szansy!

[42] Rz 13,1.

Dzień 20 lipca i jego straszliwa realność położyła kres takim dylematom. I podczas gdy ja byłem poza wszelkimi podejrzeniami, stryjeczny brat trafił najpierw do śmiertelnie niebezpiecznego aresztu, potem uciekał przez lasy – nie przed Rosjanami jednak, lecz przed katami Hitlera – by wreszcie w wyniku zdrady znów wpaść im w ręce. Moje przeżycia w porównaniu z tym wszystkim to naprawdę dziecinna igraszka!

Po zapadnięciu zmroku wstaję i ruszam na wschód. Na krzaku wisi kurtka, panterka, zabieram ją ze sobą. Ostrożnie przedzieram się przez zagajnik. W wielu miejscach widać blask ognisk i słyszać, jak Rosjanie wyrąbują drzewa. Wchodzę ponownie w starodrzew i wybieram drogę prowadzącą głębiej w las. Wtem czuję, że coś każe mi zwolnić kroku. Nasłuchuję, mam wrażenie, że coś rusza się przede mną, kilka kroków dalej spostrzegam dopalające się ognisko. Już wołają mnie, a ja biegnę najpierw na wprost, potem łukiem przez zarośla. Dwa światła podążają za mną. Na kolejnej przesiece zdobywam przewagę, skręcam ostro w prawo, chcę się skryć w jednej z wielu jam w ziemi, ale zaraz wyskakuję i chowam się głęboko pod parasolem małego świerku. Pogoń przebiega obok, w ziemnym schronie wybucha granat, czuję odpryski piachu. Kładę się płasko i przeczekuję kilka godzin.

17 kwietnia

Noc minęła zadziwiająco szybko. Musiałem niepostrzeżenie zasnąć. Niedaleko mojej kryjówki trwa wyrąb i ciężkie ciężarówki przetaczają się po drodze w obie strony. W pobliżu las jest zbyt rzadki, by ukryć się w nim za dnia. Zanim się rozwidni, muszę znaleźć lepsze miejsce. Szukam schronienia jak postrzelony odyniec. Blisko mnie przebiega leśna droga. Za nią po lewej stronie rośnie gęsty młodnik sosnowy i jest to kuszące miejsce. Muszę się jednak liczyć z tym, że będą przeszukiwać las i jako

pierwsze sprawdzą najgęstsze miejsca. Duża poręba po prawej wydaje mi się lepsza; rosną tam tylko całkiem niskie świerki i z daleka na pozór nie nadają się na kryjówkę dla człowieka. Jednym susem przeskakuję na drugą stronę drogi i kładę się pod grupą świerków otoczonych leszczyną. Dwa kroki dalej widzę jedną z wielu ziemianek połączonych przykopami.

Ledwie zrobiło się w miarę widno, zaczyna się polowanie. Nieprzerwany terkot broni ręcznej wszelakich kalibrów daje wyobrażenie, czego używają do przeczesania lasu. Nie ma sekundy bez serii strzałów. Godzinami przeczesują pobliski zagajnik; może ukrywają się tam jacyś pojedynczy niemieccy żołnierze. Leje jak z cebra. Ten nieprzyjemny fakt staje się dla mnie deską ratunku, bo słyhać szczekanie psów. Deszcz to jedyna szansa, by je zmylić.

Samoloty krążą tuż nad koronami drzew. Nie szczędzi się kosztów na tym polowaniu. Jestem całkiem zmarznięty i obserwuję wszystko jak z oddali. Przypominają mi się wszystkie moje postrzałki na polowaniach, które prześladowały mnie przez całe życie; teraz nie są to jednak zmory, tylko spłacany dług. Jak blisko mi już do cierpienia zranionego zwierzęcia.

Około południa z całkiem bliska pada seria strzałów, które przesywają krzaki ponad moją głowę. Zaraz potem jeden z Rosjan stoi przed ziemianką i się zastanawia – to znaczy, widzę tylko jego nogi, na wyciągnięcie rąk. Nie mam pewności, czy od góry jestem wystarczająco kryty, ale nie mogę się teraz ruszyć, żeby to sprawdzić. Mija kilka sekund, podczas których czuję się zupełnie jak zając – potem nogi maszerują i znikają mi z pola widzenia. Nieco później sytuacja jest znów krytyczna, bo kilku Rosjan jednocześnie przedziera się przez zarośla. Podciągam nogi i jestem gotowy do skoku – nie dam się zastrzelić na leżąco. Ale potem to też mija i mam w końcu spokój.

Późnym wieczorem strzelanina milknie. Leżę na plecach i próbuję się przespać, ale zimno i deszcz nie dają mi zasnąć. Z mokrego rękawa

wysysam trochę wilgoci. Uczucie głodu dawno już minęło. Wokół mnie chrzęści coś w zaroślach, a przed oczami migają niebieskawe ogniki. Cień nade mną zagęszcza się stopniowo. Dwa wielkie ptaki z rozpostartymi skrzydłami kołyszą się pośród cienkich gałęzi. Kiedy usiłuję zobaczyć je wyraźnie, rozpływają się w nieokreślonej szarości nocy. A potem pojawiają się znowu i zaczynają między sobą szeptać. Chciałbym, żeby odleciały i zostawiły mnie w spokoju. Ale one nie dają za wygraną i wciągają mnie coraz bardziej w swój dialog – wreszcie zrywam się na równe nogi.

Chyba już blisko północ. Ptaki zniknęły, ale już się nad tym nie zastanawiam i ruszam w drogę. Idąc w kierunku południowo-wschodnim, przemierzam wielki sosnowy gąszcz, wychodzę z lasu, idę przez grodzone pastwiska z głębokimi rowami, przekraczam szosę do Palmnicken i po drugiej stronie trafiam do zagajnika. Co chwila konstatuje, że się podnoszę, nie zauważywszy, kiedy upadłem. Na skraju lasu tli się kilka ognisk. Omijam je łukiem, przechodzę obok rozświetlonych okien, rozmiękkłą większą drogą zmierzam na wschód i znowu trafiam do zagajnika. Kładę się tam i dobrowolnie rezygnuję z podejmowania jakiegokolwiek decyzji. Ostatnie, co pamiętam, to obraz tego miejsca z wolna pokrywającego się mokrym śniegiem.

Ledwie chwilę poleżałem, a już znowu słyszę, jak tamte dwa głosy o mnie rozmawiają. „Musi stąd zniknąć. Nie możemy go zostawić leżącego na środku drogi.” Trwa to bez ustanku, aż wreszcie nie wytrzymuję i dźwigam się znowu. Rzeczywiście leżałem na środku drogi, w poprzek rozjeżdżonych kolein. Trzymając się drucianego płotu, kieruję się do pierwszego lepszego domostwa i padam na stopniach schodów. Wycieczka na wolność dobiegła końca.

Rosjanin w kalesonach otwiera drzwi i woła coś do mnie. Wzywa dwóch innych, którzy mnie wciągają do środka. Siedzę na podłodze,

a tych trzech gapi się nam mnie jak na dziwołaga. Jeden podsuwa mi menażkę z zupą – i dopiero wtedy napada mnie głód. Odmawiam modlitwę dziękczynną i jem, powoli, ostrożnie, jak dziecko, które robi pierwsze kroki. Jeść i być to w tym momencie to samo.

Jedzenie i ciepło postawiły mnie znów na nogi. Mężczyzna w kalesonach prowadzi mnie przez podwórze do stodoły, gdzie w świetle lampy widzę wielu ludzi leżących w słomie. Kładę się obok nich i śpię do następnego dnia.

18 kwietnia

Rano jest znów lekki mróz. Znalazłem się w grupie kobiet z małymi dziećmi, starszych mężczyzn i kilku wyrostków. Na podwórzu rozpalamy ogień między dwiema ceglami i gotujemy ziemniaki. Strażnicy dają nam spokój. Kobiety i dzieci, z których jedno jest jeszcze w wózku, pochodzą ze wsi leżących w odległości do 20 kilometrów. Od kilku dni przepędzają ich tu i tam, mają już dziurawe zelówki, a ubrania zabrudzone i zupełnie nieodosowne na to zimno. Na ręcznych wózkach przywlekli aż tu jakieś przedmioty. Niektórzy z nich są zupełnie obcy w tej okolicy. Ewakuowani z Zachodu, zatrzymali się tu u krewnych, a wtedy weszli Rosjanie. Wiele małych dzieci zmarło już w ostatnich dniach. Matki nie mają czasu na ich opłakiwanie, gdyż są zbyt zajęte pozostałymi. Nie dostali nic do jedzenia. Jednak podczas przerw w marszu mogli ugotować sobie trochę ziemniaków, których pełno dookoła.

Okolo południa moja nowa drużyna powoli rusza w drogę. Maszerując na wschód, przecinamy jakiś trakt. Potem idziemy dalej rozjeżdżoną, gliniastą drogą, która po części stoi pod wodą, i zbliżamy się do miejscowości położonej na lekkim wzniesieniu. Ludzie idą w rozciągniętej kolumnie, gdyż kobiety z wózkami nie dają rady. Kiedy

z trudem docieramy do wsi, okazuje się, że nie możemy tam zostać. Skręcamy na północ i trafiamy do oddalonej o jakieś dwa kilometry miejscowości Craam. Po drodze biorą kilka kobiet z końca kolumny, rozdzielają je z dziećmi, prowadzą do samotnie stojącego domu po lewej i wypuszczają dopiero po dłuższym czasie. One już wiedzą, o co chodzi – wszędzie to samo.

Przed samą wioską Craam koczujemy na pastwisku nad stawem. Spustoszona miejscowość jest najwidoczniej punktem zbornym rosyjskich pojazdów wojskowych. Na podwórkach pełno czołgów i dział. Jedne przyjeżdżają, inne odjeżdżają. I tu nie ma dla nas miejsca. Znów idziemy dalej na wschód, tym razem szosą. Mijają nas pędzące pojazdy. Długie odcinki musimy pokonywać polem i posuwamy się w żółwym tempie. Pod wieczór docieramy do położonej nieco wyżej i straszącej niczym kościotrup miejscowości St. Lorenz. Robimy postój przy stodole i już po kilku minutach płonie mnóstwo małych ognisk, na których coś się gotuje. Wielką radość wzbudza worek napęczniałego grochu, który znalazłem w przydrożnym rowie.

Wkrótce idziemy dalej, jeszcze kawałek prosto do drogi do Rauschenu, a później w drugą stronę, do Watsumu, przez który już raz przechodziłem. Tutaj też duży ruch. Obok mnie kobieta w stroju pielęgniarskim wiezie na taczce niewidomego i sparaliżowanego mężczyznę. Pytam ją, dokąd zmierza. Chce się dostać do Königsbergu, gdyż niewidomy w otoczeniu tak wielu Rosjan poczuł się u siebie, w Rauschenie, dość niepewnie. Przez moment mam poczucie, że powinienem odwieść ją od tego bezsensownego zamiaru i uświadomić jej, co ją czeka w Königsbergu. Potem jednak wydaje mi się, że większym miłosierdziem będzie nie odbierać obojgu złudzeń. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie dotrą do celu. Co pięć minut musi przystawać i odpoczywać. Nie potrwa długo, a jeden z pędzących szaleńczo pojazdów zakończy tę udrękę i przynajmniej

jej podopiecznego przeniesie do lepszego świata.

W Watsumie, długiej, rozciągniętej wiosce, panuje harmider. Rozwalone pociskami domy, ruiny zajęte przez Rosjan, niektóre jeszcze płoną. Po kilku bezowocnych próbach znalezienia kwatery dla naszej grupy, w całkowitych ciemnościach trafiamy w końcu na dworzec. Po drodze natknęliśmy się na kilka podobnych grup z Königsbergu. Ludzie są już bardzo zapuszczeni. Oni też nie znaleźli schronienia.

Budynek stacji, który w końcu zajmujemy, zwolnił się właśnie przez przypadek. W piwnicy stoi kilka kanap odartych – jak wszędzie – z obici. Tam rozlokowują się nasi strażnicy. Przed kilkoma dniami stało tu jeszcze niemieckie wojsko, a górą świstały rosyjskie pociski. Od tamtej pory niejedno się tu już rozegrało.

W obu zajętych przez nas pomieszczeniach leży słoma przemieszana z nieopisanym brudem. Po uprzątnięciu najgorszego świństwa układamy się ciasno na podłodze jak sardynki w puszcze. Ciepło sąsiada jest silniejsze od wstrętu, którego stopniowo do siebie nabieramy, nie tyle z powodu robactwa, obdarcia, niemycia i wynędznienia, co z racji rozpadu wszelkich form. Moją pociechą jest piętnastoletni chłopak z Palmnicken, Helmut Z., który mimo mojego odrażającego wyglądu traktuje mnie uprzejmie i z respektem, a nawet dzieli się ze mną resztką słoniny, którą udało mu się ocalić. Gnają go dopiero od trzech dni, ma więc znacznie więcej sił niż ja.

Przez całą noc dwóch z nas musi stać na schodach na warcie. Nie mówią nam, po co i przed kim mamy się chronić. Wszyscy już zresztą dawno oduczyli się zadawania pytań o powody. Ja też muszę stać przez kilka godzin i strasznie marznę w okropnym przeciągu. Ludzie od czternastu dni nie zdejmowali z siebie ubrań, od tygodnia są przemoknięci i przemarznięci, nie mogą już prawie zrobić kroku, a mimo to nikt nie jest wyraźnie chory, nikt nie ma oznak przeziębienia ani zakłóceń

w funkcjonowaniu organów. Wbrew wszelkim obawom organizm funkcjonuje samozachowawczo.

19 kwietnia

W ciągu dnia wypuszczają nas przed drzwiami na niedysiejszy peron. Mężczyźni w odrętwieniu obstąpili z daleka kocioł, w którym Rosjanie gotują zupę – dla siebie i części uprzywilejowanych kobiet. Nam nic się nie dostaje, więc kryjemy się przed wiatrem i marznącym deszczem pod wiatę na peronie i rozpalamy ogień między dwiema cegłami. Obok torów tryska woda z rury drenażowej. Helmut Z. nakłania mnie, żebym umył sobie chociaż ręce i twarz. Sam bym się na to nie zdobył. Korzystamy z chwili, kiedy nas nie obserwują, i wdrapujemy się na nasyp, a potem na czworakach wczołgujemy do jednej z wielu ziemianek. Znajdujemy w niej worek ze śrutą żytnią. Odsypujemy ilość, jaką jesteśmy w stanie zabrać, i niezauważeni wracamy na peron. Mężczyźni ustawili na ogniu jeden z walających się dookoła garnków. Przy akompaniamencie dobrych rad rozkruszamy do niego posklejaną śrutę. Nie patrzę na ludzi wokół. Żałosna łąpczywość tych zapuszczonych postaci przypomina mi obrazy Högfelda^[43]. Ale kiedy samemu jest się jedną z nich, nie starcza poczucia humoru, by znieść taki widok.

Podczas gotowania zupy – wywiązuje się tu spór: mieszać czy nie mieszać – przypomina mi się, że już kiedyś tutaj byłem. Przed dwudziestu laty jechałem w towarzystwie wielu rozbawionych ludzi do Rauschenu, a pociąg zatrzymał się na tej stacji. Pamiętam dokładnie – był gorący, letni dzień, żyto już dojrzewało. I mam wrażenie, że już wówczas przemknęło mi przez głowę przecucie tego, co się teraz spełnia.

[43] Gustaw Robert Högfeldt (1894–1986) – szwedzki malarz, ilustrator i karykaturzysta.

Zupa jest gotowa i rozlewamy ją do wszelkich możliwych naczyń. Przechodzi moje najśmielsze oczekiwania. Jak to możliwe, że dawniej karmiono tym tylko świnie! Kiedy jemy, pojawiają się Rosjanie, przywiązują na peronie krowę i wchodzą do budynku dworca. Z metalową puszką w dłoniach pospiesznie zbliżam się do zwierzęcia, Helmut Z. stoi na czatach, a mnie udaje się udoić kilka litrów, zanim znowu pojawiają się żołnierze. Ale niestety nie mogę się pochwalić tym mlekiem. W puszcze musiał być witriol^[44] albo coś podobnego. Mleko nie nadaje się do spożycia nawet dla nas, a kobiety z dziećmi oddają je ze łzami w oczach. Przez resztę dnia gotujemy bez ustanku i rozdzielamy żytnią breję.

Po południu zatrzymuje się przy nas na chwilę i wdaje się w rozmowę jeden z wielu przechodzących tu Rosjan. Po zapadnięciu zmroku zjawia się znowu z parą walonek, które są na mnie dobre. Za dnia nie mógłby przyjść, wyjaśnia krótko i znika. Patrzę za nim z sercem wypełnionym wdzięcznością. Ale radosną perspektywę ciepłych nóg zakłóca spreczna refleksja, iż byłoby o wiele prościej, gdyby nie istniały żadne ludzkie kontakty z takimi jak on.

20 kwietnia

Druga noc w budynku stacji minęła jak pierwsza. Po południu zabierają mężczyzn i prowadzą ich do Rauschenu, kobiety zostają. Nie wiemy, co się z nimi stanie.

Na mój ekwipunek składają się chwilowo: „afrykańska” koszula z krótkimi rękawami, kalesony; o pół metra za szerokie w pasie, znalezione na ulicy sztruksowe spodnie; na wierzchu moje własne, długie, związane na dole; odziedziczona po krewnym kurtka, płaszcz wojskowy, walonki i kapelusz, który też znalazłem. W worku przewieszonym przez ramię

[44] Stężony roztwór kwasu siarkowego.

niosę stare buty i zdobyczną panterkę.

Pogoda trochę się poprawiła. Chwilami świeci słońce. Na szosie ciągle niesamowity ruch, a na niebie pełno samolotów, które lecą nad Pillau. Spostrzegam sporo wschodniopruskich koni – niektóre idą w zaprzęgach wozów, na innych jadą wierzchem; są bardzo apatyczne i przyzwyczyły się już do tego straszego chodu, który stosują wszyscy bez wyjątku: kłus przechodzący w galop. To istne katusze, gdy słyhać i widać, jak biegną po bruku z wygiętą do tyłu szyją, przekrzywioną głową i krwawo rozdartym pyskiem.

Duży majątek po prawej przed wjazdem do Rauschenu jest nienaruszony. Nowe budynki ze lśniącą czerwienią dachów wyglądają w tej spustoszonej okolicy jak prowokacja. Zakwaterowują nas na tyłach warsztatu samochodowego. Również i to miejsce jest mi znane. Kilka dni przed wybuchem wojny, przy okazji przyjazdu do Rauschenu na zawody jeździeckie, oddałem tu do naprawy moje DKW^[45]. Wszystko objawia teraz swoją drugą stronę – jako dopełnienie całości.

Ciasno słóczeni siedzimy na podłodze, a pilnuje nas sympatyczny blondyn, który trochę zna niemiecki. W południe gotuje nam na ceglanej kuchni w sieni gęstą kaszę w wiadrze. Głodne spojrzenia naszych oczu najwyraźniej sprawiają mu przyjemność.

Po południu biorą nas pojedynczo na przesłuchanie. U mnie idzie zdumiewająco szybko. Z resztek dokumentów rozłożony major dowiadyuje się, że jestem lekarzem. Poza tym nie wie, co o mnie sądzić. Wyraźnie nie może pojąć, jak trafiłem do tej grupy. Znowu jestem zdumiony, że w takim bałaganie funkcjonuje jakiś system. Dlaczego robią jeszcze jakieś różnice? Przecież większość tych ludzi nie wyjdzie żywo z maszyny selekcji. Inne moje informacje major uważa za przesadzone. Jestem najwidoczniej w takim stanie, że moja osoba nie wzbudza większego

[45] Popularny niemiecki samochód osobowy z silnikiem dwusuwowym.

zainteresowania. W to, że nie byłem w partii, nie wierzy. Tłumacz pyta: „Dlaczego partia dla ciebie zła?”. Nie mogę wyjaśnić na poczekaniu – odpowiadam. Kilkakrotnie domagają się jednak wyjaśnień, wobec czego robię znak krzyża.. Tłumacz puka się w czoło i kiwa głową w stronę przesłuchującego mnie majora. Ten oddaje mi papiery i pozwala odejść.

Innych przesłuchują o wiele dłużej. Chłopaka pytają między innymi, ilu wziętych do niewoli Rosjan zabił podczas ćwiczeń w Hitlerjugend. Pewien starszy człowiek, który kiedyś był w policji, już nie wraca.

21 kwietnia

Ku naszemu wielkiemu zdumieniu rankiem po prostu wypuszczają nas na ulicę. „Idźcie do domu!” Strażnik uśmiecha się dobrodusznie. „Dokąd do domu?” – pytam. „Do Insterburga?” „Tak, Insterburg!” – „Daj papier!” – mówię. „Papier? Gówno, a nie papier!” To jasne, że za następnym rogiem znów nas zatrzymają. Z ociąganiem ruszamy w drogę. Naprawdę nikt się nami nie interesuje, to nie do wiary. Na skrzyżowaniu dróg Helmut Z. skręca w prawo. Chce pójść do Palmnicken i zobaczyć, czy został tam jeszcze ktoś z bliskich. Nie mam innych planów, przyłączam się więc do niego; do dłuższego marszu nie jestem już zdolny.

Znów przechodzimy przez St. Lorenz i Craam; nikt nie zwraca na nas uwagi. W miejscu, gdzie droga dochodzi do lasu, zbliża się do nas z naprzeciwka stary człowiek pchający przed sobą taczkę. Siadamy na skraju drogi. Jest gospodarzem z okolicy Labiau, uciekał wozem z końmi aż do Palmnicken, gdzie dogonili go Rosjanie. Odtąd błąka się z resztą dobytku po drogach, a teraz chce spróbować przedostać się do swej rodzinnej wsi. Odradza nam zdecydowanie drogę do Palmnicken ze względu na siedzących tam Rosjan. Mój towarzysz postanawia jednak iść dalej, ja natomiast dołączam do starego człowieka, tym bardziej, że wiezie

na taczce kawałek mięsa. Pchamy ją na zmianę, tym razem w przeciwnym kierunku. Przemieszczamy się bardzo powoli. W Craamie wyprzedza nas szybkim krokiem polski tłumacz z mojego pierwszego przesłuchania. Mimo woli schylam kark. Ten nie zwraca na mnie uwagi i idzie dalej.

Stary człowiek przejął pchanie taczki, bo ja nie jestem już w stanie ruszyć jej z miejsca. Mijają nas pędzące kolumny pojazdów. Jeden z samochodów zaczepia o taczkę i podrzuca ją w powietrze. Rozpada się na kawałki, a jej zawartość rozsypuje się szeroko po polu. Na nieszczęście jest tu też metalowa wanna z dwoma uchwytyami, tak więc zbieramy i pakujemy do niej wszystkie rzeczy, między innymi maszynkę do mięsa, siekiere, młotek, obcęgi, a więc same pożyteczne przedmioty, mało jednak przydatne, gdy taszczyć je przez okolicę w charakterze resztek dobytku. Bezskutecznie próbuję przekonać starego człowieka, że mógłby rozstać się chociażby z maszynką do mięsa. Do pozostałych rzeczy nie mam zastrzeżeń; są to dwa białe prześcieradła, kawałek mięsa, parę ziemniaków, trochę słoniny, kilka koszul.

Niesiemy razem blaszaną wannę i, mordując się, brniemy przez pole aż do małego zagajnika po prawej stronie szosy. Tu siadamy i postanawiamy ugotować obiad. Nie jestem pewien, czy i mnie coś się dostanie, staram się więc być przydatny i rozpalam ognisko. Z dość odległego rowu, który przecina małe trzęsawisko, przynoszę wodę. Kiedy ją czerpię, przelatuje obok mnie ze świstem kilka kul. Rozglądam się – w oddali, nad tym samym rowem stoi na wpół rozebrany Rosjanin i strzela do mnie. Ale kiedy się wycofuję, nie próbuje się do mnie zbliżyć.

W spokoju gotujemy ziemniaki. Szukam właśnie suchego drewna, gdy z okopu wyłania się przede mną głowa niemieckiego żołnierza. Dwóch ludzi z 5 dywizji pancerniej, podporucznik i podoficer, siedzą w kryjówece od dwóch dni. Byli w oddziale zwiadowczym, który dostał się za sowiecką linię. Pytam ich o mojego kuzyna Knyphausena, członka

sztabu. Uważają, że niedobitki dywizji być może wydostaną się drogą morską. Sami są od trzech dni bez jedzenia. Mój towarzysz zaprasza ich na ziemniaki i dzieli się słoniną. Jak się ściemni, chcą iść dalej na południe.

Zostawiamy maszynkę do mięsa wraz z narzędziami, a także blaszaną wannę i ruszamy w drogę. Resztę rzeczy niesiemy w moim worku; ja zaś pozbyłem się nieprzydatnych butów. Za St. Lorenz idziemy polem na skróty do Watsumu. Tam znajdujemy schronienie w domu, którego wnętrze przedstawia dobrze znany widok: meble bez obić stoją pośrodku sięgającej kolan sterty pierzyn, butelek, obrazów i potłuczonych naczyń. Futryny okien i drzwi są powyrywane. Na parapecie okiennym leży kawałek sera, który zaraz zjadamy. Wchodzi dwóch Rosjan, przetrząsają wszystko jeszcze raz i znikają, nie zwracając na nas uwagi.

Główne masy wojsk pociągnęły już dalej. Ale ciągle pełno samolotów. Wyciągamy z tego wniosek, że trwają jeszcze walki o Pillau. Od strony morza słychać co jakiś czas silny grzmot dział. A ponieważ dominuje myślenie życzeniowe, wyobrażamy sobie, że to Amerykanie nacierają na Rosjan.

Dom po przeciwnej stronie drogi zajęły kobiety i dzieci. Zgromadziły się wszystkie w jednym pomieszczeniu zgodnie z powszechną zasadą, jak wszędzie: z przodu stare kobiety, z tyłu dzieci, za nimi poprzebierane dla niepoznaki młodsze kobiety i dziewczyny. Wszystkie są wyczerpane za wyjątkiem jednej rozmownej staruszki, która uważa, iż to niezwykle interesujące przeżywać czas apokalipsy. Kładziemy się spać na dwupiętrowej pryczy ze słomą, którą pozostawiło niemieckie wojsko. Trudno pojąć, że jeszcze kilka dni temu były tu Niemcy.

W nocy przychodzą Rosjanie i oświetlają nas latarkami kieszonkowymi. Nie reagujemy. I tak jesteśmy zdani na ich łaskę i niełaskę, a to takie wspaniałe uczucie móc się wyciągnąć i poleżeć, że szkoda byłoby każdej

sekundy. Na szczęście zaraz znikają i dają nam spać.

22 kwietnia

Mój towarzysz jest mimo swych 70 lat dużo bardziej przedsiębiorczy niż ja. Zdobył gdzieś dwa porzucone przez wojsko kulawe konie. Zaprzęga je za pomocą zaimprovizowanej uprzęży do drabiniastego wozu i ładuje nań jeszcze dwie pochodzące z jego okolic rodziny, które chcą spróbować z nim tam wrócić. Siedzę z tyłu wozu i po raz trzeci mijam dworzec w Watsumie, który na zawsze zachowam w szczególnej pamięci. Na rozwidleniu skręcamy w lewo i jedziemy przez Pobethen dalej na wschód. Craam, St. Lorenz, Watsum, Pobethen – dźwięk tych nazw, tak swojsko brzmiący w uszach mieszkańców Sambii, wraca do mnie echem jak nieustający krzyk, który wznosi się do nieba.

Powoli jedziemy drogą do Cranzu. Wszystko, co wpadnie w oko z przydatnych rzeczy leżących w przydrożnym rowie, podnosimy i bierzemy ze sobą. W trakcie zimnej przedwiosennej wichury mija nas, maszerując ze śpiewem na ustach, sowiecki oddział.

Przez kolejne kilka kilometrów wszystko idzie dobrze. Potem zatrzymuje nas patrol, przeszukuje wóz, bacznie przygląda się koniom, każe mi zsiadać. Wóz może jechać dalej. Macham do starego człowieka. Spędziliśmy razem 24 godziny – kawał życia.

Leżę na trawie obok Rosjan. Najpierw mnie przeszukali, teraz zajmują się moimi papierami, wśród których zachowało się jeszcze kilka listów i fotografii. Patrzę na morze i nie zwracam na nich uwagi. Podtykają mi pod nos zdjęcie mojej siostry. „Twoja żona?” Kiwam głową. „Gdzie twoja żona?” „W domu!” „Gdzie w domu?” Podaję jakąś nazwę. „Gitler kaput!” Rutynowe stwierdzenie, jak amen w pacierzu. Nie reaguję na dalsze próby konwersacji.

Po kilku godzinach zmiana warty. Specjalnie dla mnie oddają do użytku nowe więzienie – dużą izbę w domu robotników majątku po lewej stronie ulicy. Okna są zabite deskami. Zimno jak w psiarni. Siedzę lub leżę skulony na podłodze. Co jakiś czas kładę nogi na stołek do dojenia, jedyny mebel w tej izbie. Plecy nie są wówczas tak wygięte. Z upływem czasu nabiera się rutyny w tych sprawach. Chustką do nosa przykrywam usta i nos. Zatrzymuje to w organizmie więcej ciepła.

Strażnikowi przed drzwiami muszą wydawać się trochę niesamowity. Co rusz wchodzi, gapi się na mnie i próbuje namówić mnie do innej pozycji. Leżę spokojnie i patrzę na niego. Ma może osiemnaście lat i stoi przede mną jak młody psiak przed skulonym jeżem. Potem znika i znów ustawia się przed drzwiami. Kiedy przychodzi kolejny raz, daję mu znać, że bardzo marznę. Nic nie może poradzić. Zamiast tego próbuje mnie nauczyć paru rosyjskich słów. Porozumiewamy się gestami. „Daj – mi – coś do jedzenia.” Kiedy już potrafię, powtarzam to jako prośbę! Jest przestraszony, zmieszany, wycofuje się powoli w stronę drzwi i odtąd zagląda już tylko przez szparę w drzwiach. Nad ranem przynosi mi kawałek chleba. Kiedy chcę podać mu rękę, gwałtownie ją cofa.

23 kwietnia

Około południa dostaję towarzysza niedoli. Wpychają do mnie młodego Litwina, który zdezerterował z sowieckiej armii i został schwytany. Dają mu menażkę z zupą i jemy ją na zmianę jego łyżką. Potem dołącza jeszcze starszy Niemiec z drewnianą nogą, który pochodzi z tej miejscowości i właśnie tu wrócił.

Pod wieczór zabiera nas dwóch strażników i docieramy jeszcze bliżej Königsbergu. W jakiejś wiosce, w której aż roi się od Rosjan, zamykają nas w chlewie obok dziesięciu innych. Mają nas znów przesłuchiwać.

Człowiek wpada z jednego sita w drugie. Najpierw jednak gotujemy w parowniku dwa wiadra ziemniaków i napełniamy sobie brzuchy.

24 kwietnia

Bez przesłuchania wysyłają nas dalej. Idziemy przez Fuchsberg w stronę Königsbergu. Ogarnia mnie rosnący niepokój. Dobrowolnie nie miałbym odwagi zbliżyć się znów do miasta. Wszystko było zbyt ostateczne, a mnie brakuje już wytrzymałości.

W podmiejskim Tannenwalde skręcamy w lewo i znowu nas selekcjonują wedle niepojętych kryteriów. Litwin zostaje – jak sam uważa – na rozstrzelanie. Kiedy nas odprowadzają, gra jak oszalały na fortepianie stojącym na ulicy.

Idziemy dalej w stronę Königsbergu. Potem szosą wokół fortów. Ledwo się włokę w moich walonkach, czuję, że zaraz upadnę i już się nie podniosę. Jednak obrazy zapadają mi głęboko w pamięć. Okolica przypomina księżycowy krajobraz, krater przy kraterze, a obok morze ruin. Od strony centrum miasta widać jeszcze pojedyncze pożary, tłą się, dogasają. Koniec pieśni.

Po prawej stronie drogi jakiś Rosjanin ugrzązł w błocie swym samochodem – jednym z tych niezliczonych okropnych amerykańskich wozów, które wyglądają jak wychodek. Mamy pospołu go wyciągnąć. Ja po prostu padam. Pozostali trudzą się bez skutku. Zbryzgani błotem muszą się poddać. Idziemy jeszcze kawałek wzdłuż szyn wąskotorówki i po chwili stoimy na Cranzer Chaussee w Rothensteinie, przed koszarami Wrangla. Wartownik przepuszcza nas przez bramę. Dotarliśmy do obozu.

OBÓZ ROTHENSTEIN^[46]

Koniec kwietnia 1945

Dzisiaj każdy mniej więcej wie, czym jest obóz. Jest to miejsce, w którym umieszcza się ludzi, nad którymi nikt przez jakiś czas nie chce się zastanawiać, bo są ważniejsze sprawy albo refleksja jest zbyt niewygodna. W obozie automatycznie podlegają oni procesowi destrukcji, który wprawdzie nie pozostaje w żadnym dającym się wykazać związku z zamiarami tych, którzy ich tu skierowali, jest im jednak o tyle na rękę, że pozwala zrezygnować z późniejszej refleksji lub przynajmniej ograniczyć ją do minimum. Ostatecznym osiągnięciem obozu jest w każdym razie stan, na który zareagować można już tylko zmarszczeniem czoła. Wobec tych ludzi nie ma się naprawdę żadnych zobowiązań.

Trudno opisać uczucie bycia również takim właśnie człowiekiem odłożonym *ad acta*. I gdyby nie było wiadomo, że Bóg nikogo nie odsuwa na bok, można by chyba wpaść w czystą rozpacz.

Koszary, które nas otaczają, pozostały niemal nienaruszone. Prowadzą nas wewnętrzną drogą. Dziedzińce między halami samochodowymi po lewej stronie są otoczone strażą. Przechodząc obok, można dostrzec przelewający się w nich szary, ludzki tłum.

Nas wpychają do hali 8. Posadzki nie widać, taki panuje ścisk. Przy akompaniamencie cichych przekleństw stąpamy ostrożnie w gąszczu nóg i szukamy skrawka wolnego miejsca. Ale nawet przy najlepszych

[46] W byłych koszarach w Rothensteinie na przedmieściach Königsbergu NKWD założyło obóz dla internowanych Niemców.

chęciami nikt już nigdzie nie może się tu przemieścić. W hali tłoczy się ponoć 2000 ludzi, sami mężczyźni. Część z nich przebywa tu od czterech tygodni, gros od około czternastu dni. Już się zadomowili na półmetrowym skrawku cementowej posadzki. Leżeć może jedynie niewielu. Większość siedzi lub stoi.

Kroczę dalej, a w pewnym momencie chwyta mnie czyjaś ręka. Starszy człowiek obdarza mnie przyjaznym spojrzeniem, na ile pozwala mu na to twarz z wielodniowym zarostem, i mówi, że gdybym zechciał usiąść, opierając się o jego plecy, a sąsiad przesunąłby się o kilka centymetrów, to mógłbym znaleźć tu miejsce. Z ulgą zginam się i przyjmuję zaproponowaną przez niego pozycję. Nie ma potrzeby, by się przedstawiać. Tu każdy jest taki sam. Bliższe stosunki są raczej kłopotliwe. W trakcie rozmowy poznaję jednak jego nazwisko i dowiaduję się, że jest inżynierem i radcą budowlanym. Jest mu przykro, że nie może mi zaoferować niczego do jedzenia. Jeśli mają szczęście, dostają raz dziennie porcję kaszy i kromkę chleba. Z czterech ziarenek kawy, które ma w kieszeni spodni, odstępuję mi dwa.

Zapuszczeni mężczyźni dookoła są rozdrażnieni lub płaczący. Z ich wypowiedzi wnoszę, że ciągle jeszcze nie pojmują swego położenia. Ciągle jeszcze sądzą, że padli ofiarą niewybaczalnej pomyłki jakiegoś urzędu. Kiedy w najbliższym otoczeniu roznosi się, że jestem lekarzem, bombardują mnie pytaniami, jaki to wszystko ma sens i kiedy zostaną wypuszczeni. To przecież niepodobna tak stłoczyć ludzi. Można od tego zachorować. No i nie dostają jedzenia, które im przysługuje. Powinienem pójść do komendanta i stanowczo poskarżyć się na ten stan rzeczy. Nie ma w ogóle wody ani latryn. To niesłychane draństwo, o którym nikt „na górze” prawdopodobnie nie ma pojęcia.

Zachowuję się dość apatycznie, ponieważ nie mam siły na wygłaszanie długiej mowy do ludu. Pewien starzec próbuje coś im przekazać, cytując

głośno psalm 91: „Kto przebywa pod osłoną Najwyższego..’/. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Ale może ten i ów zaczyna coś rozumieć.

Pod wieczór pojawia się kobieta, która najwidoczniej na własną rękę zainicjowała rodzaj służby sanitarnej. Ktoś przywołuje ją do nas – ma zaprowadzić mnie do innych niemieckich lekarzy. Ja zaś mam zasięgnąć informacji, a potem zatroszczyć się o porządek.

Kobieta odchodzi, ale po chwili wraca i prosi, bym poszedł za nią. Wydaje się, że strażnicy ją już znają. Przeprowadza mnie obok posterunków aż do hali 2. Tam przedzieramy się przez gęsty tłum ludzi i docieramy do przepierzenia z desek. Drzwi się otwierają i widzę kilku krzątających się mężczyzn w brudnych białych fartuchach. Moja przewodniczka podchodzi do jednego z nich, a ja podążam za nią z pewnym wahaniem. Ten spogląda na mnie, szybko podchodzi i zamyka za mną drzwi. Bez zbędnych słów wysyłają mnie na szeroką drewnianą prycze i przykrywają dużym płaszczem. Wstyd mi i cicho pojękuję. Na łonie Abrahama nie byłoby mi lepiej.

Spod płaszcza obserwuję moich dobroczyńców. Wszyscy trzej noszą kapelusze, bardziej na karku niż na głowie, pod fartuchami mają cywilne ubranie. Od razu widać, czym się zajmują. Nieustannie wchodzi tu ludzie potrzebujący pomocy. Kiedy zjawia się dwóch Rosjan, naciągają mi płaszcz na głowę i muszę przeczekać, aż wyjdą.

Później przychodzi czwarty człowiek i przynosi garnek z kaszą. Rozdzielają ją sprawiedliwie. Wynurzam się z zakamarka i przedstawiam obecnym. Jeden z nich to młody lekarz wojskowy, którego będę tu nazywać Schreiner, dwaj pozostali, Holter i Klein, są sanitariuszami. Byli w oddziale, który ostatnio stacjonował na skraju miasta, zaś po zajęciu Königsbergu doprowadzono ich tutaj. Tu, w obozie, mając do dyspozycji strzykawkę i kilka lekarstw przyniesionych w kieszeniach, urządzili punkt medyczny, który zaczyna budzić zainteresowanie sowieckich strażników.

Od czasu do czasu sami przychodzą po kryjomu na leczenie. Zasadniczo Rosjanie pozostają poza odgrodzieniem, a utrzymanie porządku wśród więźniów zlecieli kilku Polakom. Ci nadużywają swych gumowych pałek, żeby zapracować na lepszą pozycję, to znaczy lepsze jedzenie.

Wśród internowanych coraz częściej zdarzają się przypadki zachorowań, dlatego też doktor Schreiner wykorzystał energię kilku kobiet i zorganizował ochotniczą służbę sanitarną. Z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu chodzą po obozowych halach, przyjmują skargi, robią notatki i dają znać lekarzowi, dokąd ma się udać. Strażnicy przepuszczają je zwykle bez trudności. Dają im wolną rękę.

Poza tym, że stale marznę, jestem znów w miarę na chodzie; lękiem napawa mnie tylko myśl, że mógłbym tu natknąć się na jakiegoś dobrego znajomego. Ponieważ nie ma latryn, wszyscy, kobiety i mężczyźni, spotykają się dość absurdalnie w przejściu między halami, szerokim na cztery metry. Panuje tam okropny tłok, ponieważ część ludzi nęka już biegunka. Na dodatek bez ustanku pada deszcz. Nierzadko ktoś przewraca się z wycieńczenia. Przeżyć całe życie i zdechnąć w tym miejscu, dosłownie w gównie! Mimo woli przychodzi mi do głowy pieśń: „Aż tu przywiódł mnie Bóg...”. Może to bluźnierstwo? Ale któż jak nie On? Z drugiej strony, jeśli kogoś wspierał do tej pory, będzie mu dalej pomagał.

Jedną połowę hali naprzeciwko zajmują mężczyźni, drugą kobiety. Jest tu takie samo przepierzenie z desek jak u nas. Za nim koczuje laryngolog z dwoma pomocnikami, których znam jeszcze z czasu oblężenia. Giese i Röckert pracowali jako sanitariusze u Bodego w lazarecie. Pierwszy jest proboszczem ze Sztokholmu, drugi studentem medycyny. Przyjmują mnie na noc, bo w komórce za przepierzeniem starcza miejsca dla czterech ludzi. Leżę na długim stole, koledzy na podłodze. Jest tu nawet mały żelazny piec.

Następnego ranka robimy małą wycieczkę. Doktor Schreiner

przekonał jednego z Rosjan, by pod obstawą wypuścić nas z obozu na poszukiwanie medykamentów. Zanim wzięli ich do niewoli, on sam z pomocnikami ukrył w pobliżu sporą ilość leków. Holter prowadzi nas w znane mu miejsce. Ale i tu zastajemy wszystko splądrowane. W małych domkach leży rupieci i gratów po kolana. Zabieram jedyny nadający się do użytku przedmiot – duży, trochę obtłuczony dzbanek do kawy, który przyda się do fasowania jedzenia.

W ogródkach działkowych nieśmiało wschodzi pierwszy rabarbar, ledwo go widać. Ale łapczywie zrywam, co się da, i zjadam po drodze. Witaminy! W zadziwiający sposób życie ciągle wypycha się na plan pierwszy.

Tymczasem w obozie ludzie ustawili się na podwórzach w szerokiej kolejce i czekają na wydawanie jedzenia. Na końcu naszego dziedzińca stoi za blaszaną wanną półślepa, bezzębna Polka i wygraża chochlą każdemu, kto podejdzie zbyt blisko. W wannie znajduje się rzadka, szara ciecz, a na dnie leży kilka ziaren kaszy. Mijają godziny, aż ta breja zostanie rozdzielona. Każdy dostaje odrobinę. Ludzie żebrzą i stoją przy wannie, polscy porządkowi ich odganiają. Wielu nie dostaje nic, gdyż zawartość wanny nie wystarcza dla wszystkich.

Wszyscy, którzy stoją na naszym dziedzińcu, przyszli z oddalonego baraku. Zabrali ze sobą cały dobytek, bo przecież nie wiedzą, czy wrócą na to samo miejsce, czy też zostaną ulokowani gdzie indziej. Niektórzy ubrani są w trzy garnitury, jeden na drugim. Robactwo rozprzestrzeniło się na wielką skalę, ponieważ ten stan trwa już od ponad trzech tygodni. Zadziwiające, że ciągle jeszcze stosunkowo niewielu ludzi naprawdę choruje.

Siostra Hedwig, ta sama, która zaprowadziła mnie do kolegów, zabiera mnie na obchód po znajdujących się pod jej opieką halach. Znalazła kilka osób z gorączką. Badam ich pobieżnie, na ile pozwala na to panujący

ścisk, i aplikuję jakąś tabletkę. Stosowny wykład pozostaje domeną siostry Hedwig. Ciągnie mnie od jednego do drugiego, ja zaś posłusznie wykonuję jej polecenia, dopóki to możliwe. Badanie leżących na ziemi to nie bagatela. Podnoszę się z wielkim wysiłkiem. W pobliżu wyjścia niepostrzeżenie się oddalam. Wracam do naszej koi i z nieczystym sumieniem kryję się przed nękającą mnie siostrą Hedwig. Kiedy po chwili przychodzi, udaję, że śpię, a doktor Schreiner odsyła ją gdzie indziej.

W naszej komórce pojawiła się dziewczyna, Erika Fröhlich, dwudziestolatka, uosobienie niewinności. Przyszła z jakąś raną na palcu. Chyba zwróciła uwagę na panujący tu bałagan, bo nie pytając, wzięła się za sprzątanie. Byliśmy zdumieni, ile w tej kwestii można było zrobić, i spytaliśmy, czy ma krewnych w obozie. Nie, nie ma, jest całkiem sama. Poprosiliśmy więc, by została u nas.

W ostatnich dniach kwietnia zaczyna się szerzyć czerwonka. Najciężej chorych wynosi się z poszczególnych hal i kładzie przed drzwiami do naszej komórki, gdzie wydzielono dla nich wolne miejsce na posadzce. Wkrótce jest ich blisko 100. Leżą na deskach, drzwiach wyjętych z zawiasów albo gołej, cementowej posadzce, niektórzy tylko na wpół ubrani i bez koca. W hali naprzeciwko, w wydzielonym pomieszczeniu leży blisko 50 kobiet, którymi opiekuje się diakonisa, siostra Bertha. Mierzy ona nawet temperaturę, a kiedy przychodzi Schreiner, urządza prawdziwy obchód.

Zarówno tu, jak i tam jest zadziwiająco cicho. Wydaje się, że chorzy są już mało przytomni. 28 kwietnia wynosimy pierwszych zmarłych. Razem z księdzem Kleinem układamy ich obok strażników jak pokot zajęcy. Na ich miejsce przychodzą zaraz nowi chorzy. Najczęściej są już zbyt słabi, by podnieść się o własnych siłach, robią więc pod siebie. Posadzka jest w stanie nie do opisania. Trzeba przeskakiwać z wysepki na wysepkę, chcąc dotrzeć do poszczególnych chorych albo do naszej koi, gdzie można na

chwilę rzucić się na pryczę i ukryć twarz w płaszczu.

Mamy nie tylko chorych na czerwonkę. Są też inne przypadłości, nie mówiąc już o potwornej ilości kobiet chorych wenerycznie, o których przebadaniu nawet nie ma co myśleć. Szczególnie żal mi starego człowieka – z braku cewnika muszę mu codziennie przekłuwać pęcherz grubą igłą, której oczywiście nie ma jak wygotować. On jednak jest zachwycony i za każdym razem serdecznie mi dziękuje.

Wieczorem trafia do nas mężczyzna z krwotokiem. Przed czternastoma dniami przeciął sobie tętnice. Rany ropieją, a jedna z tętnic znowu się otworzyła. Przy „lampce Hindenburga”^[47] wykonuję nacięcie powyżej rany i podwiązuję tętnicę pierwszą lepszą nicią. Mężczyzna poddaje się zabiegowi bez najmniejszej reakcji. Siedział w piwnicy. Przyprowadziło go dwóch młodych lekarzy wojskowych, którzy w ten sposób stamtąd się wymknęli. Mają nadzieję ukryć się u nas i już tam nie wracać. Ich opowieści uświadamiają nam, że najgorszego jeszcze nie widzieliśmy.

Tymczasem miałem okazję pozbyć się swej trzytygodniowej brody. Dodaje mi to znowu trochę życiowej energii. Myć się jeszcze nie można, bo nie wolno marnować ani kropli wody. U pewnego sowieckiego oficera, który od czasu do czasu wpada do nas z powodu choroby, Schreiner wskórał choć tyle, że do obozu można przywieźć trochę wody. Dwudziestu wynędzniałych ludzi pcha wóz do gnojówki przez bramę obozową do najbliższej pompy, oddalonej o około 700 metrów. Wprawdzie mija kilka godzin, zanim wrócą z napełnionym pojemnikiem, ale obóz dostaje dzięki temu przynajmniej paręset litrów wody.

[47] Płaski tekturowy lub metalowy pojemnik wypełniony woskiem lub łojem, zaopatrzone w knot; prowizoryczne oświetlenie z okresu I wojny światowej.

29 kwietnia

Liczba zmarłych wzrosła na tyle, że Rosjanie kierowani instynktem samozachowawczym zarządzili coś w rodzaju walki z epidemią. Schreiner zostaje mianowany naczelnym lekarzem obozu i jest odpowiedzialny za niemal wszystko. Do północy mamy przenieść chorych ze wszystkich hal na drugie piętro wielkiego budynku koszarowego, w przeciwnym razie część z nas zostanie rozstrzelana. Hoher, pełniący funkcję tłumacza, przekazuje nam wszystko tonem służbisty, lecz w tle pobrzmiwa lekka kpina. Schreiner ze spokojem przyjmuje polecenie do wiadomości, ale zaraz oświadcza, że przy tak dużej liczbie chorych nie można nawet marzyć o pełnej realizacji tego przedsięwzięcia. Odpowiedzią jest głośny ryk, nie dajemy się jednak zastraszyć. Świadomość skazania na ich łaskę i niełaskę daje nam poczucie pewnej przewagi. Rozstrzelanie nie jest już chyba zbyt atrakcyjne i niczego by w ten sposób nie zyskali.

Zaczynamy od obejrzenia przydzielonych nam pomieszczeń i stwierdzamy, że Polacy, którzy byli tam dotąd zakwaterowani, w żadnym wypadku nie zamierzają zrobić nam miejsca. Jednak ich przeprowadzkę do innego budynku koszarowego przyspieszają sowieccy strażnicy. Stan opuszczonych pomieszczeń odpowiada temu, do czego już od dawna jesteśmy przyzwyczajeni. Za pomocą zaimprovizowanych szczotek i wody usuwamy i wynosimy wiadrami najgorszy brud – kanalizacja jest zapchana. Zatrudniamy około 30 jeszcze stosunkowo silnych mężczyzn, po części byłych sanitariuszy. Z ich pomocą udaje się w ciągu wieczora wtaszczyć na górę około 400 chorych. Jest coraz ciemniej, więc w pustych pomieszczeniach możemy tylko rozmieścić oddzielnie mężczyzn i oddzielnie kobiety, nie zaś – jak było w planie – podzielić pacjentów według chorób. Poza tym wszyscy znów leżą na kamiennej posadzce, tylko nieliczni na deskach, na których ich wniesiono. Ich położenie więc

w żadnym razie się nie poprawiło. Wręcz przeciwnie – tu na górze panuje jeszcze większy przeciąg, bo część okien jest powybijana, a część zabrali ze sobą Polacy.

Okolo północy wszędzie jest już tak pełno, że zadawała to chyba popędzających nas bez ustanku sowieckich oficerów, i przez resztę nocy zostawiają nas w spokoju. W mniejszych pomieszczeniach stoi kilka żelaznych łóżek. W pierwszym pokoju przy wejściu zgodnie z poleceniem Rosjan ulokowała się nasza czwórka z koi, a teraz zamykamy wszystko na noc. Holter skombinował litrowy słój cukru, pewnie z rosyjskiej kuchni. Nie pytamy, skąd go wziął, lecz każdy natychmiast wysypuje do gardła swoją dółę. W sąsiednich pomieszczeniach leżą nasi pomocnicy i kilku kolegów. W przyległym pokoiku siedzi Erika wraz z młodą kobietą, która w naszej komórce urodziła martwe dziecko i już została z nami.

Nocą jest bardzo cicho. Ponieważ nasze nerki funkcjonują już tylko na leżąco, musimy po kilka razy wychodzić na korytarz, gdzie stoją wiadra. Tam też słychać tylko ciche człapanie i szuranie innych szukających po omacku wiader. Można się cieszyć, że przez parę godzin jest ciemno.

30 kwietnia

Rano szuka się nieboszczyków. Wielu zmarło w korytarzu, jeden siedzi na wiadrze. Nie jest łatwo odnaleźć pozostałych zmarłych, bo i żywi reagują z opóźnieniem, gdy się do nich odezwać lub ich szturchnąć. Później w umywalni leży 36 trupów w stosach na wysokość metra – sami mężczyźni. Kobiety wytrzymują dłużej. Niemal wszyscy zmarli są prawie nadzy. Ich ubranie przywłaszczyli sobie już inni, by chronić się przed zimnem. Mało kto ma jeszcze jakieś dokumenty. Ale i te nie przetrwają zbyt długo, a później nikt już nie będzie mógł powiedzieć, kto tu właściwie zmarł.

Jeśli o mnie chodzi, zrezygnowałem w ogóle z samodzielnego myślenia. Zdaję się na polecenia Schreiner'a i funkcjonuję, na ile starcza mi sił. Nie chodzi tu już przecież o to, żeby cokolwiek naprawdę udało się zdziałać, lecz tylko o wzajemną pomoc, a czasem ochronę przed najgorszym. Gdyby nawet nie wiem jak się wysilać i próbować coś zrobić – nie jesteśmy w stanie ocenić, czy w efekcie będzie się to działo z pożytkiem dla drugiego człowieka, czy też na jego szkodę. Tu, na górze chorzy zostali wprawdzie wyciągnięci z tłumu, ale za to leżą gorzej niż na dole, w halach. Na szczęście większość z nich jest tak otepląta, że nie rejestruje, co się z nimi dzieje. My, lekarze współdziałamy już z tą obozową machiną śmierci, czynnie lub biernie – nie ma to większego znaczenia.

Erika w tajemniczy sposób zaskarbiła sobie przyjaźń Polki z punktu wydawania posiłków. Pewnie odkryła jakąś jej dolegliwość – ma w tym względzie niezawodny instynkt – i dała jej parę tabletek. Teraz kursuje w tę i z powrotem i przynosi, ukrywając pod kurtką, jedno po drugim naczynia z zupą, przeznaczone dla nas i innych jej podopiecznych. Nie pytamy już o nic i pozwalamy jej działać. W jej małym pokoju leży teraz jeszcze jedna kobieta, krótko przed porodem bliźniąt.

Przez cały dzień dostarczani są nowi chorzy i nieustannie dochodzi do utarczek z Rosjanami, którzy ze wszystkiego są niezadowoleni. Co chwila pojawiają się nowe komisje, są w nich też umundurowane kobiety. Nie wiadomo już, gdzie się chować.

Nie ma mowy, byśmy pomieścili wszystkich chorych na jednym piętrze, tak więc blisko 100 mężczyzn układamy na samej górze, na strychu, co wiąże się z okropną udręką dla wszystkich biorących w tym udział. Ciągnie zimnem, pada przez otwarte okna i dziury w dachu. Kiedy znowu się ściemnia, idę jeszcze raz na górę. Widzę, jak leżą bez ładu i składu, słyszę, jak tu i ówdzie ktoś cicho mówi coś od rzeczy, czuję

dookoła gasnące tchnienia życia. Niektórzy z nich z całą pewnością już nie żyją. Ściągam im płaszcze i kurtki i przykrywam innych.

Od czasu do czasu mam wrażenie, jakby jakiś głos mnie pytał: „Co ty tu właściwie robisz?”. Tak, co ja tu robię?

Co my wszyscy tu robimy? Ale nie ma sensu szukać odpowiedzi. My przecież tak naprawdę już nic nie robimy, czasami tylko coś nam wolno. I kiedy opuszczam strych i w drzwiach odwracam się raz jeszcze, ręce podnoszą mi się same, by pobłogosławić skazanych na śmierć.

Później, w nocy, przy świeczce Erika i ja asystujemy przy narodzinach pierwszego z bliźniąt. Życie toczy się dalej – jak to się rozsądnie mówi.

1 maja do połowy czerwca

Nie bardzo odczuwamy, że jest 1 maja, poza tym tylko, że w pobliżu ryczy więcej niż zwykle głośników. Ciągłe jeszcze widać eskadry bojowe lecące na zachód. Pillau pewnie jeszcze się nie poddało. Trudno sobie wyobrazić, czym jeszcze bronią swych pozycji.

Leje jak z cebra. Na dole, na podwórzu stoją w szeregu Francuzi, którzy przez Odessę mają być odtransportowani do kraju – niezły objazd! Dwóch naszych pomocników, którzy podawali się za lekarzy, co jednak niezbyt długo funkcjonowało, dołączyli do szeregu, w nadziei, że uda im się w ten sposób wydostać z obozu. Ponieważ nie znają ani słowa po francusku, ktoś przez okno radzi im życzliwie, by w miarę możliwości udawali głuchoniemych.

W halach ludzie stają się coraz bardziej apatyczni. Rozniosło się, że na biegunkę dobry jest węgiel drzewny, tak więc kręcą się wszędzie w poszukiwaniu resztek spalonego drewna do zjedzenia.

Pewien rosyjski student medycyny dostał od komendanta obozu zezwolenie na dokonanie obchodu piwnic w towarzystwie kogoś z

niemieckich lekarzy. Wybór pada na mnie, zabieram ze sobą Röckerta. Niesie skrzynkę ze środkami opatrunkowymi i lekami, które stopniowo zaczęły się pojawiać. Wiemy mniej więcej, co na nas czeka tam, na dole, i nie mamy złudzeń co do możliwości pomocy.

Piwnice pod wszystkimi koszarowymi budynkami pełne są ludzi. Siedzi w nich około 4.000 mężczyzn i kobiet, a pewna ich liczba jest każdej nocy przesłuchiwana przez funkcjonariuszy NKWD. Podczas tych przesłuchań nie chodzi o wyciągnięcie z nich tego, co wiedzą – zresztą byłoby to mało interesujące – lecz o wymuszenie określonych zeznań. Stosowane metody są bardzo prymitywne. Ludzie są tak długo bici, aż przyznają się, że byli w partii. Dzieje się więc coś odwrótnego, niż to, czego większość pewnie się spodziewała, a mianowicie, że bezpartyjni będą traktowani łagodniej. Z gruntu zakłada się, że w partii był każdy. Wielu umiera podczas przesłuchań albo na ich skutek. Ci natomiast, którzy od razu przyznają się do członkostwa w partii, wychodzą niemal bez szwanku. Dotyczy to zresztą prawie tylko niższych szarż, ponieważ wyżsi funkcjonariusze wybrnęli z opresji, znikając na czas lub popełniając samobójstwo. Grupy takich „towarzyszy partyjnych” transportuje się codziennie do Insterburga albo Gumbinnen. Opróżnione piwnice wypełniają mężczyźni i kobiety z hal. Odbywa się to w następujący sposób: pojawia się Rosjanin w towarzystwie Polaka z listą, na której cyrylicą zapisane są niemieckie nazwiska. Ochryplym głosem obaj po kolei wywołują nazwiska z tłumu. Żadnego z nich nie można zrozumieć. Często zresztą nie są to nazwiska, lecz inne określenia spisane ze skonfiskowanych dokumentów. Mimo to zgłasza się wystarczająco dużo ludzi, którzy mają nadzieję, że w ten sposób zostaną wypuszczeni z obozu. Zabierają tytu, ilu było na liście, i prowadzą do piwnic. Tu chwilowo już nikt się nimi nie interesuje. Część z nich za zrządzeniem przypadku brana jest potem na przesłuchanie. Niektórzy po trzy-cztery razy, inni natomiast wcale.

Już pierwsza piwnica, którą otwiera nam strażnik, została niedawno na nowo zapełniona. Dwóch mężczyzn zataczając się, wypada na korytarz. Kolbami karabinów wpędzają ich z powrotem. Nie da się tego zrobić tak po prostu, ponieważ pomieszczenie jest zbyt małe i trzeba dopchnąć drzwi, żeby się zamknęły. Stoją tak od trzech dni i czekają na przesłuchanie. Na nasz widok rozlega się natychmiast idiotyczny gwar, wobec którego jestem całkiem bezradny. Wykluczone, by zareagować na jakąś prośbę. Na ile mogę zrozumieć, są to ciągle jeszcze te same, bezsensowne pytania – dlaczego tutaj siedzą i jak długo jeszcze. Nie ma wody, nie ma prawie nic do jedzenia. Chcieliby być wypuszczani częściej niż raz dziennie itd. Zadaję sobie pytanie, co ja tu w ogóle robię. Strażnik po prostu uznaje, że to już za dużo dobrego. Udaje mi się tylko zawołać, że następnym razem mają się zastanowić i wybrać kogoś, kto przekaże najpilniejsze potrzeby – a potem drzwi zamykają się z trzaskiem.

Przed następnym pomieszczeniem szybko ułożyłem sobie kilka słów, żeby sytuacja się nie powtórzyła. Z czasem powstał rodzaj formuły powtarzanej głośno przy otwarciu kolejnych drzwi. Brzmi ona mniej więcej tak: „Ludzie, bądźcie cicho, w innym razie zaraz będę musiał iść dalej. Jestem lekarzem. Chcemy przenieść najciężej chorych do lazaretu. Kto ma krew w stolcu?”. „Ja, ja, ja!” – dobiega ze wszystkich stron.

„Nie, nie w ten sposób. Uważajcie: kto sam podaje się za chorego, nie może być uwzględniony. Czyja choroba jest męką dla innych? Wyznaczcie kogoś i czekajcie do następnego razu.” Może w ten sposób się uda. Odnotowują szybko najciężej chorych. Czy będziemy w stanie ich wyciągnąć, nie wiadomo. Gdybyż u nas, w lazarecie przynajmniej było im lepiej! Z całą pewnością jest tam zimniej. Ale może oznacza to przynajmniej jakąś ulgę dla tych, którzy pozostaną w piwnicy.

W niektórych piwnicach spotykam znajomych, to znaczy rozpoznaję ich dopiero wówczas, kiedy ukradkiem podają mi swe nazwiska. Ordynator

kliniki dziecięcej, inni znani mi z widzenia lekarze, pastor Leidreiter w wojskowym płaszczu. Ich uwięzienie jest tak samo przypadkowe, jak moja względna swoboda. Może uważają mnie za protegowanego Rosjan. Niektórzy zrobili już trochę porządku w celach. Możemy im przynajmniej zostawić środki opatrunkowe i nieco lekarstw. Dłużej nie można z nimi porozmawiać, gdyż strażnik przerywa: „Dawaj! Sznel, sznel!”.

Właśnie wyprowadzają grupę piwnicznych więźniów i, pokrzykując bezustannie „sznel, sznel”, pędzą ich w stronę ogrodzenia obozu. Jest tam wykopanych kilka dziur, a na każdej leżą dwie deski. To wszystko. Poza tym w większości piwnic stoją przyniesione z podwórza wiadra.

Wielu cierpi na tak silną czerwonkę, że nie ma siły wstać. Za każdym razem zadajemy sobie pytanie, czy w ogóle warto wpisywać ich na listę, bo może umrą w ciągu najbliższych godzin. Ludzi szacuje się jak bydło. Wiemy jednak, że jeśli zapiszemy zbyt wielu, nie wydadzą nikogo. To tak, jakby bez przerwy ferować wyroki śmierci, tym bardziej, że ludzie są oczywiście przekonani, iż w lazarecie jest jak w raj. W ogóle najtrudniej im wytłumaczyć, że nie jestem Panem Bogiem. Nadal wmawiają sobie, że zostali niesłusznie zamknięci i że się ich zaniedbuje. Przecież nic nie zrobili! Co stanie się z ich rodzinami, jeśli będą tu dalej przetrzymywani? Chętnie pracowaliby dla Rosjan. Mam to przekazać kierownictwu obozu.

Niektóre pomieszczenia nie są tak pełne. Można się po nich przejść i nawiązać kontakt z poszczególnymi ludźmi. Pewien mały, zapuszczony człowieczek nie chce mnie w ogóle puścić i błaga, bym powiedział komendantowi obozu, że na gorze w jednym z budynków koszarowych leży jedenaście obrazów włoskich mistrzów, które mu tam odebrano. Są one warte wiele tysięcy i nie powinny marnieć w wilgoci. W ten sposób państwo sowieckie je utraci. Aczkolwiek jego troska jest wzruszająca, ostatnie zdanie to dla mnie za dużo. W duchu cieszę się z przemijalności i nietrwałości dzieł włoskich mistrzów, bo dzięki temu ich wartość

przeliczona na pieniądze nie będzie dla nikogo pokusą, gdy tymczasem gniją miliony żywych ludzi i nikt nie zwraca na to uwagi. Niechby obrazów użyto zamiast szyb w oknach albo niech przynajmniej z jakąś korzyścią spłoną w piecu.

W niektórych pomieszczeniach siedzą kobiety. Można tu trochę odetchnąć. W porównaniu z mężczyznami ich zachowanie jest bardziej racjonalne i celowe. Kiedy otwarte zostaje pierwsze z tych pomieszczeń, widzę od razu, że formułkę mogę sobie darować. Kobiety siedzą plecami do siebie, rozmieszczone na posadzce jak mozaika. Na nasz widok podnosi się siedząca na środku moja znajoma, siostra Waltraut z kliniki dla nerwowo chorych, zamienionej na lazaret. Witamy się na odległość, a potem podaje mi najważniejsze informacje: dwie starsze kobiety i jedna młoda leżą tuż przy wyjściu obok kubła i same nie mogą już wstać. Pozostałych 69 jeszcze się trzyma. Nie dają tak szybko za wygraną jak mężczyźni. Kiedy się żegnam, siostra daje znak i cała cela śpiewa pogodną pieśń. Zdumiewające, do czego człowiek jest zdolny. A tam, gdzie panuje wewnętrzna harmonia, również pomoc z zewnątrz trafia na podatny grunt. Nasze zredukowane do minimum wsparcie nie jest tutaj nadaremne.

Tego dnia nie możemy w żaden sposób obejść wszystkich piwnic. Już tylko walonki trzymają mnie w pionie i rad jestem, że strażnicy nie pozwalają nam iść dalej. Jednak ledwie wróciłem na legowisko, już przychodzi po mnie kto inny. Bierzymy księdza Kleina i wracamy do piwnic. Każą nam zatrzymać się przed drzwiami na końcu korytarza i jesteśmy przekonani, że tam nas teraz zamkną.

Stoimy na progu kompletnie ciemnego wnętrza bez okien, które w tylnej części opada w dół. Z przodu, u wejścia porusza się na posadzce kilka oślepionych światłem postaci. Rosjanin każe nam tam wejść. Najwidoczniej jest to cela, o której całkiem zapomniano. Z ciemności wyciągamy na światło jedno ciało za drugim. W sumie jest tu piętnastu

mężczyzn, których pospiesznie badamy. Siedmiu z całą pewnością nie żyje. Pozostałych ośmiu też słabo reaguje. Pozwalają nam zabrać ich do lazaretu. We czterech wynosimy ich pojedynczo, żywych i umarłych.

Przez dwa dni mieliśmy spokój z chorymi, ale następuje kolejny przełom. Pojawiła się wysoka komisja lekarska, która ma przeprowadzić inspekcję lazaretu. W naszym budynku szaleją jak wściekłe słonie i w reakcji na zastane tu warunki najchętniej rozdeptaliby każdego, kto się jeszcze porusza. To my, lekarze, jesteśmy winni, że już od dawna nie działa tu lazaret z prawdziwego zdarzenia. Co za chlew! A Niemcy twierdzą, że niby mają kulturę! Nie ma nawet wapna chlorowanego! A poza tym w koszarowych budynkach wszędzie leżą szafy, które dawno już można było poustawiać jako łóżka. Najgorsze jednak, że nie mamy biura z listami chorych i dokumentacją przypadków chorobowych. Włosy mi się jeżą na głowie, gdy pomyślę, co też oni wyobrażają sobie pod pojęciem normalnie funkcjonującego lazaretu. Nie ma najmniejszego sensu nawet próbować im wyjaśnić, dlaczego dotąd nie można było przeprowadzić tych wszystkich chlubnych zamierzeń. Oni zresztą wcale nie chcą tego wiedzieć. Nie chodzi im bowiem o powody, lecz jedynie o warunki, za które są odpowiedzialni, a mianowicie za urządzenia sanitarne.

Schreiner odbiera najnowsze polecenia: w najbliższym czasie mamy opuścić zajmowany lokal i zamiast niego zająć trzypiętrowy budynek naprzeciwko. Poza tym należy zadbać o wszystkie konieczne urządzenia, w przeciwnym razie lekarze zostaną rozstrzelani – to zwyczajny refren. Na miejscu Schreiner prawdopodobnie poddałbym się w tym miejscu. On jednak ma w sobie jeszcze jakieś rezerwy pozwalające na udział w tej grze. Na początek trzeba spośród internowanych wyłonić mnóstwo zdolnych do pracy, co oczywiście jest możliwe jedynie z pomocą polskich porządkowych. Chodzi bowiem nie tylko o objęcie budynku, który cały czas zajmowali Polacy i pozostawią go w wiadomym stanie, lecz także o

wykonanie rozmaitych prac, jak budowa latryn, zorganizowanie czegoś w rodzaju kuchni polowej do gotowania wody, dowóz tejże wody oraz przyniesienie łóżek i szaf z pozostałych budynków, do których dotąd nie mieliśmy dostępu.

Odnosnie zdarzeń tego dnia mam lukę w pamięci. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że byłem skupiony wyłącznie na tym, by nie zwracać na siebie uwagi i na wszelki wypadek mieć pod ręką wapno chlorowane. Nagle mamy do dyspozycji sześć wielkich beczek wapna chlorowanego. Działa ono jak cudowny środek na łagodzenie wściekłości naszych prześladowców. Jeśli ktoś chłapie nim wokół siebie, udowadnia, że nie zamyka się na rosyjską kulturę.

Nie wiem więc, jak Schreiner dokonał tego wszystkiego. W każdym razie po zmroku siedzimy po drugiej stronie w pomieszczeniu na parterze, gdzie ledwie się mieszczą nasze cztery prycze, a wejść tu można tylko przez sąsiedni pokój. Tam chcemy urządzić „biuro”. W pobliżu usadowiła się Erika z obiema kobietami w połogu. Jedna z nich urodziła drugie bliźnię dopiero dwa dni po pierwszym. Naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza, urządzili się Giese i Röcken. Pilnują umywalni, która ma być salą operacyjną. Jako personel pielęgniarski zostało zatrudnionych około dwudziestu sanitariuszy i sporo kobiet z piwnic, wśród nich kilka wyuczonych pielęgniarek. Śpiewającą celę w piwnicy opróżniono, a siostra Waltraut przejęła piętro tak zwanego oddziału chirurgicznego.

Zdecydowanie największą część budynku zajmuje oczywiście oddział zakaźny, ciągnący się przez wszystkie piętra, włącznie ze strychem i piwnicą, gdyż chorzy z piwnic mają i tu być umieszczeni w piwnicach. Trzeba więc odkopać okna piwniczne, które w ramach ochrony przeciwlotniczej zostały wcześniej przysypane. Z jednym z mężczyzn, którzy się tym zajmują, nawiązuję rozmowę przez okno. Do niego należy ten duży majątek pod Rauschenem, którego nienaruszony

stan zwrócił moją uwagę, kiedy mijaliśmy go przed czternastoma dniami. Nie minął rok od czasu, kiedy był u niego z wizytą Goerdeler^[48], którego potem, po 20 lipca, poszukiwało tam Gestapo. Rozmawiamy o tamtych wydarzeniach, bo kilka miesięcy temu zajmowały nas one o wiele bardziej niż nadciągający Rosjanie. Teraz mam wrażenie, jakby były to sprawy z innego życia.

Siedmiu lekarzy pracuje na oddziale zakaźnym. Schreiner i ja zajmujemy się przypadkami internistycznymi i chirurgicznymi. Stanowisko obozowego lekarza Schreiner z radością przekazał okuliście, który trochę zna rosyjski i nie jest zdany na polskiego tłumacza podczas codziennych meldunków u komendanta. Cały budynek został podzielony na dwa oddziały za pomocą szaf rozstawionych od góry do dołu na korytarzach. Z pozostałych budynków poprzynoszono i porozstawiano wszelkiego rodzaju łóżka, materace, sienniki i szafy nieużytkowane przez Rosjan. Wielu chorych leży teraz na przewróconych szafach, które umieszczone zostały pośrodku lub w narożniku pomieszczenia, pojedynczo lub zestawione ze sobą jak jakaś twierdza. Jednak większość chorych musi nadal leżeć na podłodze. Wszyscy nadal skazani są na zimno, ponieważ okna będą dopiero z czasem wymieniane albo zabijane tekturą.

Powołano specjalną grupę, która ma gromadzić materiały zastępcze. Wolno jej nawet pod obstawą pojechać do miasta i po ruinach szukać przydatnych rzeczy. Przy tej okazji do obozu docierają środki opatrunkowe i leki z uruchomionej tymczasem rosyjskiej apteki. Szefem tej grupy jest – nazwijmy go tu Schäfer – wysoki, na oko całkiem przystojny chłopak, który prawdopodobnie był żołnierzem, ale teraz chodzi w cywilu. Nie

[48] Carl Friedrich Goerdeler (1884–1945) – prawnik i konserwatywny polityk, desygnowany przez członków ruchu oporu na kanclerza Rzeszy; po nieudanym zamachu na Hitlera aresztowany i stracony w 1945 roku.

warto wspominać, co też opowiada o swej przeszłości zdumionym słuchaczom. W każdym razie jest fachmanem od wszystkiego, dobrym organizatorem, doskonale potrafi gadaniną przekonać Rosjan, tak więc nie da się zaprzeczyć, iż jest przydatny.

8 maja dowiadujemy się o zakończeniu wojny. Głośniki rozbrzmiewają jeszcze natrętniej niż zwykle. W halach kilku podejrzanych niemieckich żołnierzy mówi o wyzwoleniu spod narodowego socjalizmu i błogosławieństwach bolszewizmu. Przed drzwiami komendanta ktoś ustawił – skąd na tej spustoszonej ziemi? – imponującą aranżację z kwiatów. Poza tym nie widać innych oznak ostatecznego zwycięstwa. Nie polepszyła się oficjalna sytuacja aprowizacyjna. Nadal dostajemy kaszę, a czasem suszony chleb, dowożony w workach. W porównaniu z resztą obozu lazaret jest jednak bardzo uprzywilejowany, gdyż możemy sami odbierać, przyrządzać i rozdzielać przydziały. Poza tym chorzy i personel otrzymują dziennie łyżkę stołową cukru.

Najbardziej jednak doskwiera nam zimno. W pierwszej połowie maja niemal nieprzerwanie szaleją wichury i pada deszcz, a temperatury w nocą wahają się koło zera. Większość śmiertelnych przypadków w tym okresie wiąże się z wychłodzeniem. To też odbywa się bezgłośnie. U nikogo nie widać agonii. Z dnia na dzień ruchy stają się coraz słabsze, ludzie jeszcze się odzywają, kiedy ich trącić, ale potem oddycha się z ulgą, że wreszcie z czystym sumieniem można ich wynieść i ułożyć na stosie w piwnicy, który zresztą codziennie jest grzebany, gdyż wielu już czeka na zwolnione miejsce.

Ciepło jest tylko w kuchniach urządzonych na każdym piętrze. Żelazne piece i rury zbierane są po dziedzicach koszarowych. Rury wystawia się przez okno, dziurę uszczelnia tekturą. Opala się wszystkim, co się pali. Najczęściej całe pomieszczenie jest pełne dymu, zwłaszcza od wewnętrznej strony, ale ciepło kompensuje wszystko. Poza tym możemy

teraz uzdatniać chleb, na którym przedtem można było połamać sobie zęby. Moczymy go najpierw w wodzie, a potem podpiekamy. Inne rzeczy do jedzenia załatwiamy na lewo. Jako smarowidła do chleba używamy ekstraktu witaminy B z wielkiej blaszanej puszki – niezmordowana Erika znalazła ją napoczętą w kupie gruzów. Odrobinę kaszy manny, mąki i ryżu – dawny materiał poglądowy na szkoleniach – znajdujemy ze Schreinerem, przeszukując budynki koszarowe. Cieszymy się jak dzieci z tak nieoczekiwanych zdobyczy.

Ogrodzenie obozu jest w wielu miejscach otwarte, a dziury w płocie strzeżone są dość powierzchownie. Jednak prawie nikt nie myśli o ucieczce. Wiadomości docierające z miasta nie brzmią zachęcająco. Kto tylko pojawi się na ulicy jest zatrzymywany i kierowany do pracy albo do innego obozu. Na ucieczkę dalej, poza miasto, brakuje odwagi i sił.

Kilka dni po przeprowadzce pod płotem obozowym pogrzebaliśmy z Giesem i Eriką bliźnięta, które na szczęście zmarły z zimna. Giese odczytał tekst z Biblii i wygłosił krótką mowę. Chowanie innych zmarłych odbywa się inaczej. Młody ksiądz Klein, któremu Rosjanie przydzielili ten trudny urząd, najwidoczniej uznając, że jest fachowcem od pochówków, nie rozmawia z nami na ten temat, choć mieszkamy razem. Kiedy ostrożnie go pytam, czy udaje mu się przy tym odmówić modlitwę, milcząco macha ręką. Pewnego razu leży przez dwa dni, nie mówiąc ani słowa, i Giese musi go zastąpić. I to on opisuje mi potem, prawie jakby się spowiadał, jak to się odbywa. Z tyłu, na polu w pobliżu ogrodzenia wykopuje się podłużny dół i wrzuca do niego 50–60 zmarłych dziennie, w większości nago, gdyż ich ubrania służą w halach do werbunku chętnych do kopania. Tylko w ten sposób można się obyć bez polskich porządkowych. Wszyscy ci ludzie są bardzo słabi, tak więc kopanie w ciężkiej glinie trwa cały dzień. Jeśli któryś z nich przy tym zasłabnie, trudno nakłonić kompanów, by przenieśli go do hali po zakończonej pracy. Ciężar własnego ciała

jest już wystarczająco duży, a każdy dodatkowy wysiłek jest naprawdę ryzykowny dla życia.

Pewnego dnia wzmocniają straż przy ogrodzeniu i naprawiają płot. Możemy oddalić się od budynku zaledwie o 50 metrów, tyle co do latryn. Dzieje się to z następującego powodu: ostatkiem sił uciekło dwóch dentystów, chcąc uniknąć czekającego ich przesłuchania. Daleko jednak nie doszli. Wytropiono ich z psami i złapano w pobliskiej spopiarni. Starszego z nich, który zabłąkał się na górze, pod sklepieniem, zestrzelili. Młodszego przyprowadzili z powrotem do piwnicy.

W związku z tym zająciem późno w nocy pojawia się u nas komendant obozu i zwołuje zebranie wszystkich lekarzy i pielęgniarek. Z pomocą starego, chodzącego o kuli polskiego tłumacza wygłasza niekończący się wykład o bezcelowości ucieczek. Nie ma bowiem ku nim żadnego powodu, bo przecież nikt nie musi obawiać się przesłuchania. Chodzi jedynie o zebranie danych statystycznych i jeśli ktoś od razu poda prawdziwe informacje, nic mu się nie stanie. Nie wierzymy własnym uszom. Czy to możliwe, by ten człowiek, który przez cały czas tkwi w samym środku obozu, nie miał pojęcia, co się tu dzieje? Że noc w noc katuje się i zabija ludzi tylko dlatego, że mówią prawdę? Przy słabym świetle świeczek próbuję dokładniej mu się przyjrzeć. Jego powierzchowność w żadnym calu nie przypomina znanego nam już wizerunku sowieckiego oficera. Wygląda jak stary angielski pułkownik, wysoki, szczupły, naprawdę wytorny, o wyrazistej twarzy i dobrotliwych rysach. Nie mogę wprost uwierzyć, by kłamał tak bezwstydnie jak inni. Na zakończenie swego przemówienia wypowiada się jeszcze obszernie na temat stanu naszej psychiki. Nazizm, stwierdza, musi być jakąś karkołomną historią, skoro tak zrujnował ludzi. W przeciwnym razie nie chorowałoby i umierało aż tylu.

Po jego przemówieniu czuję potrzebę, by coś powiedzieć, bardziej z

myślą o nim, niż ze względu na nas, gdyż naszego położenia bez wątpienia nie zmieni, nawet gdyby chciał. Jednak tak wyraźnie dostrzegam w nim człowieka, że nie mogę milczeć i nie powiedzieć mu, jak bardzo mija się z prawdą. Proszę więc o głos, ale w trakcie mówienia czuję się, jakby brakowało mi piątej klepki i nie jestem w stanie uzmysłowić mu, jak rzecz wygląda z naszego punktu widzenia. Uprzejmym skinieniem głowy żegna się i obiecuje przy okazji nas znów odwiedzić. Patrzymy na niego w jakimś sensie poruszeni i zadajemy sobie pytanie, jak ten człowiek w ogóle wytrzymuje w takim otoczeniu. Fakt, że ktoś taki jest tu komendantem, przydaje obozowym warunkom jeszcze więcej groteskowości.

Przerażające, z jaką intensywnością każda myśl i każdy odruch woli tych, którzy się jeszcze trzymają, krąży wokół własnej, gasnącej energii życiowej. Udręczeni ludzie przeistaczają się w straszliwe karykatury, w szarych osobników, którym resztki dawnych emocji dolegają jak wysypka. Plotą bzdury – często nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać, czy też bić na oślep. A potem trzeba zamilknąć i powiedzieć sobie: siedź cicho, dopóki masz jeszcze od czasu do czasu okazję trochę napełnić żołądek.

Ale i my musieliśmy mocno spuścić z tonu i przyswoiliśmy sobie szczególny sposób chodzenia – snujemy się raczej. Trzeba uważać na każdy krok, bo ciśnienie krwi jest tak niskie, że teoretycznie nie można się już wyprostować. Przy wchodzeniu po schodach drętwieją mi nogi i zatykają się uszy. Skórę po wewnętrznej i zewnętrznej stronie uda mam zupełnie bez czucia. Całkiem inaczej odczuwa się własne ciało, często mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu. Pomyśleć można jedynie na leżąco, dlatego korzystam z byle okazji, by się wyciągnąć i podjąć następną decyzję. Nerki funkcjonują tylko w nocy i najważniejszym przedmiotem w naszym pokoju jest wiadro.

Spośród wszystkich lekarzy w obozie mam bodaj najmniej męczące zajęcia. Na moim oddziale, tak zwanym chirurgicznym, nie ma w

zasadzie jak zajmować się chorymi. Pacjenci potrzebują jedzenia i ciepła, a ponieważ nie mogę im zapewnić ani jednego, ani drugiego, traktuję własne zabiegi medyczne jako mniejsze lub większe oszustwo. Ich choroba służy w gruncie rzeczy tylko po to, by uzasadnić moją egzystencję lekarza, a więc i korzystanie z przywilejów. Niejednego próbowałem, chcąc przedłużyć życie, ale nie mógłbym odnotować tu żadnych sukcesów. W przypadku mężczyzn znaczna część umiera w końcu na różę twarzy. U kobiet najboleśniejszym skutkiem głodu i zimna jest występujący nagle potworny ból w stawach palcowych stóp. U jednej z kobiet stopy szczeniały i odpadły. Na szczęście mamy przynajmniej środki znieczulające.

Jedyną chwilą w ciągu dnia, która daje mi poczucie, że robię coś pożytecznego, jest rozdzielanie tranu. Dostaliśmy go całą beczkę w celu sporządzenia środka na świerzb. Od tego czasu oczywiście śmierdzi tranem w całym budynku, bo na każdym palenisku ktoś coś na nim smaży. Ja też zadbałem o kilka litrów – teraz dwa razy dziennie krążę po oddziałach i każdemu choremu podaję łyżkę tranu do ust. Sam podjąłem się tego zadania, bo tranu nie znoszę, tak więc rozdzielanie go nie oznacza dla mnie pokusy. Niemniej jednak żarłoczność, z jaką mnie oczekują, jest trudna do zniesienia. Te rozwarte gęby, to chrząkanie i mlaskanie – dźwiękowy film z taką sceną musiałyby wstrząsnąć światem.

Najbardziej męczący jest dla mnie obchód w piwnicach, na który zezwalają co trzy–cztery dni. Czuję się tam właściwie całkowicie bezsilny. Przychodzi po mnie pełna energii siostra Hedwig, której wygadanie robi wrażenie nawet na Rosjanach i która jak czołg umie wszędzie się przebić. W piwnicach chętnie daję jej wolną rękę. Na chybił trafił rozdaje leki, które sami sfabrykowaliśmy, dodając dużo wody, przekonującym tonem wygłasza wykłady na temat ogólnej sytuacji i poucza na lewo i prawo. Nie wiem, na ile jest ona jeszcze przy zdrowych zmysłach, ale tu zdaje

się po prostu niezastąpiona. Wśród tych, którzy przeżyją obóz, nie będzie nikogo, kto nie wspomni jej z wdzięcznością. Został z niej już prawie sam szkielec, ale najwidoczniej się tym nie przejmuję.

W sali operacyjnej panuje zdecydowanie największy spokój. Udzielają się tu moi dwaj pomocnicy, Giese i Röcken, którzy koczują w sąsiednim pomieszczeniu i strzegą środków opatrunkowych. Na szczęście nie możemy operować, ponieważ nie mamy instrumentów. Wykonywane są jedynie nieuniknione prymitywne zabiegi. Trzeba amputować nogę. Odbywa się to za pomocą piły ogrodowej. Trzeba przecinać czyraki, czyli karbunkuły na karku, opatrywać wiele opuchniętych i poranionych nóg. Robactwo jest straszne. Niektórych ludzi tak oblażyły wszy, że z daleka są całkiem szarzy. Ale niemal taki sam lęk wywołuje odwyszawianie, bo wtedy trzeba rozstać się z własnym ubraniem, którego potem nie sposób w komplecie odnaleźć. Poza tym przy tej okazji zawsze ktoś odpada, jeśli nie w trakcie procedury, to zaraz potem, na skutek różnicy temperatury.

Czasem na leczenie zgłaszają się także Rosjanie. Właściwie nie wolno im tego robić, ale przychodzą potajemnie i zawsze zostawiają coś do jedzenia. Najbardziej pomogła nam pewna młoda Rosjanka, która raz nas odwiedziła, a potem kilkakrotnie po mnie posyłała. Opowiadała mi, że trzy lata spędzone w Niemczech były najpiękniejszym okresem w jej życiu. Kiedy weszli Rosjanie, doświadczyła tego samego, co inne kobiety. Teraz jest od tego chora. W obozie musi współżyć z jednym ze strażników. Dzięki temu ma przynajmniej jedzenia pod dostatkiem, podobnie zresztą, jak niemieckie kobiety przetrzymywane w kwaterach innych strażników. U niej najadam się do syta. Na odchodne daje mi jeszcze pół funta margaryny, co jest okazją do zorganizowania w nocy pierwszej odświętnej uczty.

Kiedy po wszystkich udrękach dnia wreszcie nastaje ciemność, oddychamy z ulgą. O zmierzchu, dopóki można jeszcze odróżniać litery,

idę do sali operacyjnej. Czekają tam już na mnie moi obaj pomocnicy i wspólnie czytamy wyjątek z Biblii na dany dzień ze zbioru cytatów, który mam nadal przy sobie. W ciemnościach pada czasem kilka słów przemilczanych za dnia – wyraz poszukiwania sensu w tym, co tutaj wspólnie przeżywamy. Potem, zanim zagrzebiemy się w swych norach, Erika ma dla nas zwykle jakąś niespodziankę. Margarynę dostałem akurat tego dnia, kiedy udało się jej wyżebrać ziemniaki od jakiegoś strażnika. No i o północy mamy kartoflaną dla osiemnastu osób, ekscytująca impreza w egipskich ciemnościach. Erika siedzi w kuchni i beczy z radości. To dla niej wielki dzień.

Do nadzoru lazaretu Rosjanie przydzielili nam kobietę w stopniu majora, niską, ułomną niewiastę o kruczoczarnych włosach, przed którą nie ma się gdzie schować. Jest wyćwiczona w prymitywnej dezynfekcji, perfekcyjnie wykonuje swój fach, a chlorowane wapno jest jedynym sposobem, by na chwilę odwrócić jej uwagę od najgorszych niedociągnięć. W pierwszych dniach traktowała nas bardzo surowo, zwłaszcza kiedy spostrzegła, że nie wystawiamy warty na noc. Ale potem wpadł jej w oko wspomniany już Schäfer i od tego czasu rozmowy z nią kończą się zwykle szybko: „Idźcie do roboty i zawołajcie Schäfera“. On zaś, jak się zdaje, ma na nią specjalny sposób, i wkrótce też staje się kimś w lazarecie. Na oddziale zakaźnym urządził sobie prywatny apartament z paroma meblami i zamieszkuje go z kobietą podobnie wątpliwego autoramentu.

U Schäfera bywa dwóch osobników, którzy w obozie wykonują tak zwane prace specjalne, to znaczy, załatwiają sobie lepsze jedzenie w zamian za obciążanie ludzi przynależnością do partii albo innymi przewinieniami. Jeden z nich, który często i chętnie przychodzi do nas na pogawędkę, twierdzi, że od dawien dawna jest członkiem partii komunistycznej i że zapewne wkrótce mianują go burmistrzem Königsbergu. Drugi jest bliżej nieokreślonej narodowości. Obaj pozostają

na usługach NKWD. Wszystko wskazuje na to, że mają nieograniczone pole działania. Gdziekolwiek się nie pojawią, można być pewnym, że wieczorem strażnicy odprowadzą parę osób na przesłuchanie. Ludzie kończą potem w piwnicach albo w środku nocy trafiają do nas śmiertelnie pobici. Obaj mają setki na sumieniu.

Pewnego dnia urządzają z Schäferem i jego przyjaciółką szeroko zakrojoną akcję na oddziałach, wszystkich chorych wywlekają z łóżek, zabierają im resztę przydatnych rzeczy, wielu zaś tłuką pałkami. Czekamy na swoją kolej. Ale wkrótce okazuje się, że ich wielki koszt jest już pełen, znikają więc, podzieliwszy się łupami. Swoją urzęd szpicli sprawują oficjalnie i nie ma jak się przed nimi bronić. Strażnicy śmieją się tylko, my zaś, używając siły fizycznej, nie jesteśmy w stanie niczego im zrobić. Trzeba by ich od razu zabić, co zresztą poważnie rozważaliśmy. (Nie zapomnę chwili, kiedy ten gorszy kazał sobie wyrwać dwa zęby i w tym celu miałem mu zrobić zastrzyk z ewipanu.)

Całkiem zaskakująca jest natomiast reakcja komendanta obozu. Okuliście udało się donieść mu o całym zajściu. W następstwie tamci muszą zwrócić zrabowane rzeczy i sami zostają wtrąceni do piwnicy. Schäfera oddają nam pod sąd. Mimo że w ten sposób moglibyśmy z łatwością się go pozbyć, okulista okazuje mu jeszcze raz łaskę. Ledwie wyszedł z opresji, a już pojawia się u mnie i oferuje mi gumowy płaszcz, który prawdopodobnie zachował sobie po grabieży. Rzekomo zawsze chciałem mieć coś takiego. Korzystam z okazji, by mu powiedzieć, co wszyscy o nim myślimy. Nie robi to na nim większego wrażenia i zaraz potem proponuje ten sam płaszcz okuliście. Człowiek bez śladu sumienia. (Później terroryzował jeszcze wielu, aż wreszcie zniknął z Königsbergu. Czasem zastanawiam się, co też się z nim stało.)

Wśród tak zwanego personelu lazaretu jest też kilka godnych uwagi postaci. Wśród kobiet Wanda – tak ją nazywamy – odgrywa szczególną

rolę. Poznałem się z nią na dobre już w pierwszych dniach pobytu w obozie. Siedzieliśmy akurat za naszym przepierzeniem z desek, kiedy wpadła do środka pewnym krokiem, podeszła prosto do mnie, przeszła wzrokiem i zaczęła perorować tak podniesionym głosem, że nawet nie mogłem jej przerwać. Z oczywistą dumą oznajmia, że bije wszelkie rekordy co do ilości zgwałceń. Naliczyła ich 128. Jej opowieść była jednym wielkim potokiem szczegółów nie do powtórzenia. Nie mogłem pojąć, dlaczego spadło to właśnie na mnie. Spozstrzegłem współczujące spojrzenie Eriki. Moi towarzysze ledwo wytrzymywali. Było to karykaturalne ucieleśnienie tego piekła. Jej wybuch miał w sobie coś oczyszczającego. Potem triumfująco rozejrzała się dookoła. Przynajmniej nie brakowało jej animuszu. Wciągnęliśmy ją do służby pielęgniarskiej, nie zważając na incydenty, jakie mogły z tego wyniknąć.

Jacyż to chorzy i umierający przeszli przez nasze ręce! Myślę choćby o pastorze Lubowskim, który ze względu na swe pochodzenie był prześladowany w czasach hitlerowskich i jako schorowany człowiek wpadł w ręce Rosjan. W strasznym stanie przynieśliśmy go do lazaretu i postawiliśmy na tyle na nogi, że mógł przejąć prowadzenie ewidencji, co zarządzili Rosjanie. Później zmarł nagle na zapalenie płucnej. Pamiętam też mężczyznę, którego przyniesiono do nas z piwnicy. Był tak oblepiony wszami, że roiło się na nim jak w mrowisku. Na drągu wyniosłem na strych do wywietrzenia jego kożuch. Prawie niezrozumiałym głosem wyjawiał mi, że wcześniej był dyrektorem regionalnej kolei^[49] i dlatego boi się przesłuchania. Prosił, bym tego, broń Boże, nikomu nie mówił. Godzinę później już nie żył. Często się zdarza, że umierają krótko po tym, jak trafią do nas. Napięcie trzyma ich przy życiu, kiedy opada, zasypiają

[49] Samlandbahn, kolej w Sambii, łącząca Königsberg z innymi miejscowościami Półwyspu Sambijskiego, m.in. z nadbałtyckim Cranzem (red.).

w spokoju.

Maj dopiero w drugiej połowie przypomina sobie o wiosnie. Wschodzi mniszek, który wśród nas spotyka się z wielkim uznaniem w postaci sałaty; jedzenie bowiem składa się nadal z kaszy, która wprawdzie powoli zaczyna być nieco gęstsza.

20 maja przypadają Zielone Świątki. Po raz pierwszy przez cały dzień z bezchmurnego nieba świeci słońce. Komendant zezwolił nam na odprawienie nabożeństwa. Nawet osobiście się zainteresował i przez tłumacza zapytał, czy mógłby wziąć w nim udział. Wprawdzie Boga nie ma, a w Rosji idą do stanu duchownego tylko po to, żeby się lenić. Pyta, czy w Niemczech też tak jest. Na to tłumacz odpowiedział, że coś takiego może się przydarzyć, ale generalnie to nieprawda, bo Pan Bóg jest zdecydowanie przeciwny lenistwu, co też niewierny pułkownik natychmiast ochoczo potwierdził. W końcu jednak nie pojawia się na nabożeństwie, uznajemy więc, że jego zainteresowanie nie było tak duże, jak nam się wydawało.

Przez oba szeroko otwarte okna sali operacyjnej wpada światło słoneczne i ciepło. Ściany przyozdobiliśmy świeżą zielenią. W kamiennych donicach po lewej i prawej stronie ołtarza ustawiliśmy kilka sporych, obsypanych kwieciami gałązek złotokapu. Znalazł się nawet krucyfiks. Nasz personel zdołał przebrać się w czystą odzież – cóż za odświętny widok! Tłoczy się prawie setka ludzi. Pieśni kazaliśmy przepisać na kartkach i rozdać. Pastor Reiss, który ledwie trzyma się na nogach, przejął liturgię, zaś kazanie wygłasza Giese. Na godzinę zawieszono zostają wszelkie ziemskie udręki. Potem, kiedy pomieszczenie pustoszeje, przypadkowo spostrzegam komendanta, który ukradkiem oddala się od naszych okien. Czyżby stał tam przez cały czas? Cóż za biedny naród, ci zwycięzcy!

Zatopiony w myślach wchodzę do sypialni i aż cofam się z wrażenia.

Powleczona pościel na wszystkich czterech łózkach! Trzej moi towarzysze stoją rozpromienieni. Nie pytamy, spod jakiej kupy brudów Erika i Waltraut wyciągnęły te wspaniałości. Mając takie oko, można wypatrzeć coś w miejscu, w które nikt inny nawet nie spojrzy. Zjadamy jeszcze kaszę z obiadu, a potem leżymy cicho i błogo w kolorowej kraciastej pościeli. Drzwi do przyległego pokoju są otwarte. Stoi w nim kamienna donica z olśniewającym złotokapem. „Języki, rozdzielone, jako płomień ognia.” Prawdziwe Zielone Świątki.

Nam też rozwiązują się języki, jakby zdjęto z nas długotrwałą klątwę. Wieczorem i w następnych dniach Giese i Klein na prośbę chorych odprawiają modlitwy w różnych salach. Także i ja mam znowu odwagę przemówić do chorych za pośrednictwem biblijnych tekstów. W piwnicy oddziału chorych na czerwonkę siostra oddziałowa – niewyuczona pielęgniarka, lecz człowiek o wielkiej sile ducha i ludzkim ciepłe – ustawiła stolik z dwiema świecami i krucyfiksem. Mój wielki cień kładzie się we wnętrzu. Nie sprawia mi trudności mówić po ciemku, a ewangelia o bogaczu i biednym Łazarzu sprawia, że słowa znajdują się same. Wielu bowiem spośród tych, którzy tu umierają na deskach, było niegdyś zamożnymi ludźmi. Mówię im, że Bóg nie chce naszego potępienia, bo Jego dobroć przeistacza bogatego człowieka jeszcze za życia w biednego Łazarza, by dać mu szansę poznania Jego chwały i otwarcia się na nią. Kiedy później przechodzę między rzędami, widzę, że dwóch już umarło.

W pierwszych dniach lipca ktoś zawiadamia mnie o wizycie z zewnątrz. Co to znaczy? To na pewno pułapka! Któż miałby dobrowolnie przyjść do obozu? Już kilka dni temu przez obozowy płot ktoś podsunął mi list od całkiem nieznanego mi osoby. Z wahaniem schodzę po schodach – a tam stoi Doktora, niezmienną, czysto ubraną, w całkiem innym stanie niż my, obozowicze. Dowiedziała się w jakiś sposób, że jestem w obozie, i z wielką energią pokonała wszystkie przeszkody.

Niełatwo nawiązać kontakt po tym wszystkim, co się wydarzyło, odkąd nas rozdzielono. Jest dziwnie uduchowiona, mam wrażenie, że jakby już nie całkiem z tej ziemi. Trudno mi na początku znaleźć słowa. Przez chwilę siedzimy w słońcu na kawałku muru. Przyszła z prezydium skarbowego, dokąd pewnego dnia spędzono pozostałych lekarzy, resztę pacjentów szpitali i część personelu pielęgniarskiego. Co się działo przedtem, pomija uśmiechem. (Sześć tygodni później, już po jej śmierci, przeczytałem o tym w jej dzienniku.) Blisko tysiąc chorych leży w prezydium skarbowym, w którym pod koniec mieścił się główny punkt opatrunkowy. Doktora prowadzi oddział na trzecim piętrze i jest z nią jeszcze kilka siostr ze Szpitala Miejskiego. Odkąd tam są, dostają do jedzenia groch, chleb i trochę cukru. Ale ukryły jeszcze to i owo z żywności, więc daje się jakoś wytrzymać. Tyle tylko, że ogólny nastrój jest nie najlepszy, w budynku pełno szpicli, nikt nikomu nie ufa, wszyscy chcą się przypodobać Rosjanom. Doktora uważa, że jej najważniejszym zadaniem jest pomóc w ucieczce tym wszystkim, którzy są jeszcze na siłach, bo tu nie ma już żadnych perspektyw. W sprawach innych ludzi myśli jak zawsze bardzo realistycznie. Zostaje u mnie i moich towarzyszy jeszcze jakiś czas, zjadamy kilka naleśników, które nam przyniosła.

Dwa dni później Doktora przychodzi po raz wtóry. Znów nie wierzę własnym oczom, widząc ją z daleka. Ma ze sobą plecak, mój plecak, wypełniony rzeczami, które uchowały się w jej schowku między rurami spalonej maszynowni. Wszystko to zabrała do prezydium skarbowego, a teraz przyniosła moje rzeczy na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja do ucieczki. Jest dla mnie zagadką, jak przeszła przez obozową wartownię. Twierdzi, że strażnik nie chciał jej przepuścić, ale na jej usilną prośbę doprowadził ją do komendanta. Tam właściwie chcieli jej zabrać plecak, ale ponieważ oddała go bez wahania, koniec końców mogła go jednak zatrzymać.

Wypakowuję rzeczy jedna po drugiej. Moi towarzysze popatrzą z zazdrością na widok moich eleganckich spodni. Na samym końcu wyciągam podejrzenie ciężką gumową poduszkę. Doktora używała jej dotąd pod głowę, ale uważa, że lepiej, bym na wszelki wypadek miał ją przy sobie. Na wszelki wypadek? Nie mam pojęcia, co ma na myśli. Biorę poduszkę do ręki, obracam, coś w środku grzechocze. Patrzę na nią znacząco, ona zaś kiwa twierdząco głową. Spoglądam ukradkiem na boki, czy moi towarzysze niczego nie zauważyli. To mój rosyjski pistolet z 50 nabojami.

Jęknąłem cicho. Co z nim zrobić? Ona jest jak dziecko, które bawi się nad przepaścią.

Jak się później dowiaduję, pistolet wywołał niemało zamętu, od czasu, kiedy się z nim rozstałem. Co prawda nigdy nie został użyty, ale samo jego istnienie wystarczyło. Doktora spytała mimochodem jednego z dobrze nam znanych kolegów, gdzie najlepiej go schować. Tamten mało nie postradał zmysłów i od razu powiadomił swego szefa. Ten z kolei błagał, żeby – na litość boską – się go pozbyć, i jeszcze teraz nie może się uspokoić, chociaż Doktora zapewnia, iż sprawa jest już załatwiona. Przejmuję więc wiadomą poduszkę i ukrywam w załomie muru na poddaszu.

Doktora opowiada, jak wygląda w mieście. W klinice dla nerwowo chorych urządzono rodzaj lazaretu zakaźnego, kierowanego przez profesora Starlingera, który wydaje się imponować Rosjanom. Wiele kłopotów sprawia mu tam pewna stara, gruba, znana mi zresztą, siostra, którą Rosjanie ze względu na jej obfitą tuszę traktują jak osobliwość i zrobili z niej swą protegowaną. Wykorzystuje tę mimowolną przewagę i bez skrępułów tyranizuje swych rodaków.

Po wkroczeniu Rosjan prawie cały personel lazaretu w klinice dla nerwowo chorych, gdzie wcześniej pracowaliśmy, został wywieziony,

między innymi brat Martin i siostra Doktory. Nie wiadomo dokładnie, co się stało z rannymi. Część wywieziono, większość pewnie marnie skończyła. Wielu podobno od razu rozstrzelano.

Główną chorobą w szpitalu zakaźnym jest gorączka przypominająca tyfus, której przyczyn jeszcze nie ustalono. Wielu już na nią zmarło. Czerwonka tam jeszcze nie wystąpiła. Z budynku prezydium skarbowego niedawno wydalono do Insterburga 50 starszych sióstr oraz profesora Joachima. Niektóre doszły do siebie po kilku straszliwych dniach marszu pieszo. Profesor Joachim, który tak długo wytrzymawał, powiesił się za drutami kolczastymi w Insterburgu.

Doktora przychodzi teraz prawie codziennie i informuje nas na bieżąco. Zdaje się, że interesują się mną w budynku prezydium skarbowego, ponieważ brakuje chirurgów. Podobno już próbowano wyciągnąć mnie z obozu – nadaremnie. Mnie samemu wcale tam nie spieszo, bo to, co Doktora opowiada o funkcjonowaniu szpitala, jest mało zachęcające. Tu, w obozie jesteśmy przynajmniej bezpieczni wśród swoich. Doktora najchętniej zostałyby z nami.

Od końca maja w zastępstwie przychodzi inna kobieta, też major, do sprawowania nad nami nadzoru w obozie. Poprzednia załatwia prywatne interesy, które mają jakiś związek ze zrabowanymi dywanami. Nowa jest jej dokładnym przeciwieństwem, cicha, uprzejma, prawie ładna, trochę zakłopotana – znowu powód do zadawania sobie różnych pytań. Namawiamy ją na wyjazd do miasta, gdzie chcemy w ruinach poszukać lekarstw. Zamawia ciężarówkę i w szalonym tempie jedziemy Cranzer Allee, ulicą, która tymczasem stała się pofałdowanym torem. Jeden z kolegów nie może zaakceptować mojego kapelusza – zgarnąłem go z jakiejś szosy podczas przymusowej wycieczki przez Sambie – i uważa, że nie można tak jechać do miasta! Nie wierzę własnym uszom! Miasto! Spektakularna kupa śmieci. Człowiek zaś jak nędzny robak, po którym

właśnie przejechał się walec, i aż trudno uwierzyć, że jeszcze żyje. Tymczasem odżywają już dawne cegiele i już ktoś wie, w jakim nakryciu głowy pan doktor ma jechać do miasta. Życie jest jak jeden wielki dowcip.

Miasto jest naprawdę fantastyczne. Wzrok nie podejmuje próby rekonstrukcji, lecz urzeczony zatapia się w całkowicie przeistoczony krajobraz. Ten widok jest jak jedno wielkie potwierdzenie. Trudno uwierzyć, że są jeszcze ludzie gotowi uważać tak oczywisty wyrok Boży za szpetny przypadek.

Ostpreußenwerk przy Dworcu Północnym, gdzie w czasie oblężenia mieścił się lazaret Bodego, zewnętrznie jest w całkiem dobrym stanie. (Dopiero później wysadzili go w powietrze.)

Wewnątrz oczywiście wszystko zdemolowane i tysiąc razy przetrząśnięte. Szukając potrzebnego nam sprzętu, natygam się w sięgających kolan stosach gratów i rupieci na dwóch nieboszczyków leżących jeszcze na materacach. Co krok jakiś ślad wywołuje wizję tego, co musiało się dziać podczas zdobywania lazaretu. W miejscu, gdzie był pokój Bodego, nie ma już ścian. W jakimś narożniku znajdują kieliszki z czerwoną obwódką, z których w marcu piliśmy z Bodem ponoć ostatniego martella. Nikt nie jest w stanie mi powiedzieć, gdzie on sam może się teraz podziewać. Nie mogę sobie wyobrazić, że żywy wpadł w łapy Rosjan.

Daleko większym powodzeniem uwieńczone są poszukiwania w ruinach Szpitala Miejskiego. Odłączyłem się od reszty, żeby samotnie przejść przez piwnice i sprawdzić wszystkie nasze tajemne zakamarki. Ściany są tak czarne od sadzy, że niemal całkowicie tłumią światło mojej małej świeczki. Przechodzę przez zwały nieokreślonych rupieci pokrywających podłogę – z pewnością i tu leży jeszcze wielu zmarłych – i po omacku szukam szaf wbudowanych w ścianę. Większość ma wyważone drzwi. Ale jedna, której nikt nie odkrył, pełna jest najwspanialszych rzeczy, jak ampułki z glukozą, morfina, środki

opatrunkowe i – wielka niespodzianka – olej rycynowy, którego można używać do smażenia. Pakuję wszystko do kosza na papiery, a na wierzch kładę środki opatrunkowe dla niepoznaki. Potem wracamy z powrotem do obozu. Kiedy przejeżdżamy obok wieży Dohny, widzę Doktorę, która zrywa kwiaty na wale obronnym. Najwidoczniej jest w drodze do nas.

Z początkiem czerwca zrobiło się u nas niemal przytulnie. Zmniejsza się liczba pacjentów, ciężarówki codziennie przewożą ich partiami do prezydium skarbowego, a nowych przybywa niewiele, ponieważ obóz stopniowo jest likwidowany. Wielu trafia do Insterturga, gdzie podobno powstał obóz dla partyjnych. Pozostałych wypuszczają po prostu na ulicę, bo nagle stali się nieważni. Zabawa w kotka i myszkę trwa.

My, którzy tu pozostaliśmy, okresowo nie mamy w ogóle nic do roboty. Zdarza się, że opalamy się w otwartych oknach i snujemy rozważania na temat zwycięzców. Kilku z nich musi ciągle jeszcze pilnować budynku. Przechadzają się tu i tam albo rozkładają w wyścielanych fotelach, specjalnie w tym celu wystawionych przed drzwi.

Niemalą rozrywką jest obserwowanie ich wyczynów na rowerach. Najwidoczniej ma to dla nich jeszcze urok nowości. Bezsensownie dzwonią i pędzą ulicą w tę i z powrotem, najchętniej przejeżdżając przez kałuże. Tych zaś nie brakuje, bo kanalizacja jest zapchana. Pokrzykują z radości, kiedy woda pryska na boki. Większość z nich nie znała czegoś takiego jak rower i dopiero powoli się z nim oswaja. Boją się wszystkiego, co nowe. Niesamowite wydają im się na przykład pasy przepuklinowe. Zrywają je ludziom, przykładają do ucha, próbują łamać, a kiedy się to nie udaje, rzucają je dużym łukiem w powietrze. Najwidoczniej sądzą, że to jakieś tajemnicze nadajniki.

Są zupełnie niewrażliwi na hałas. Niektórzy z nich spędzają cały dzień w garażu i uruchamiają klaksony samochodów. Z ich kwater rozbrzmiewa nieprzerwanie ryk radia, trwający do późnej nocy. Oświetlenie też musi

być możliwie jaskrawe. Błyskawicznie ciągną przewody oświetleniowe, a tam, gdzie jeszcze są szyby w oknach, jednym strzałem robią dziury, przez które przeciągają druty. To zadziwiające, w jakim tempie wymyślają najprostsze sposoby, żeby osiągnąć cel. Dla nich istnieje tylko najbliższa chwila. Jej podporządkowane jest wszystko, nie zwracają przy tym uwagi, że coś, co właśnie niszczą, za moment może im się przydać.

Ciągle na nowo przeraża ich absolutny brak szacunku wobec rzeczy, które dla nas przynależą do życia. W końcu przestaje się ich traktować jak równych sobie i z czasem przyjmuje wobec nich postawę pogromcy dzikich zwierząt. Dzieje się to całkiem automatycznie, gdyż zanim człowiek uświadomi sobie własne zachowanie, obserwuje ich błyskawiczną reakcję na wszelki rodzaj oporu. W każdym razie najgorszy w kontaktach z nimi jest strach, który najwyraźniej pobudza ich agresję. Natomiast zadziwiająco wiele można osiągnąć bezczelnością. Największym błędem są próby przypodobania się im. Bezskuteczność takich zachowań niektórych naszych rodaków obserwujemy często z pewną *Schadenfreude*. Ten rodzaj podchodów jest Rosjanom zupełnie obcy. Wykorzystują co prawda takich ludzi do własnych celów, ale w oczywisty sposób nimi gardzą.

To, że pochodzą z innego świata, dociera do nas najwyraźniej, kiedy zaczynają śpiewać. Zamieniają się wtedy nagle we wspólnotę i porywają również nas, słuchaczy, w jakąś bezkresną dal. Tam przynajmniej przez moment naprawdę żyją, a to wszystko tutaj musi wydawać się im nierzeczywiste jak jakiś cyrk, do którego ich wprowadzono. Potem, kiedy niebawem są z powrotem, wszystko, co tu przeżyli, będzie tylko jak szalony sen. Dlatego nie przychodzi im wcale do głowy, by traktować nas jako podobne im istoty, a nasze apele do ich człowieczeństwa nie wywołują w nich prawie żadnego odzewu. Jeżdżenie samochodem, strzelanie, słuchanie radia i opanowanie wielu innych trików, które my

też znamy, nie stwarza jeszcze żadnego żywego pomostu od człowieka do człowieka. Oczywiście, nie zawsze tak będzie. Wkrótce się przyzwyczają. Wiadomo przecież, jacy są pojętni. Oczarowanie cyrkiem opadnie. Ale w ten sposób staną się bezużyteczni w obliczu celu, jaki mają wypełnić. Odrzuci się ich i zastąpi innymi, z którymi gra zacznie się od nowa. To nie strach, co odczuwam przy tej myśli, ale bezwład, jak pod ciężkim, mokrym suknem.

Wobec tej ich jednolitości, doświadczenia z własnymi rodakami są tym bardziej różnorodne. Za każdym razem muszę się dziwić, jak bardzo różnią się od siebie ludzie. W tak zwanych normalnych warunkach wcale się tego nie zauważa. Obowiązują pisane i niepisane normy, których większość się trzyma.

Ale tu, gdzie nie sięga żadne prawo, wszystkie cechy objawiają się ze szczególną ostrością. Nawet fakt, że widzi cię ludzkie oko, nie jest już powodem, by odstępować od jakiegoś zamiaru. Wszystko jest dozwolone, ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby tego zabronić. I można się poważnie zastanowić, czy wychowanie i moralność nie są tylko luksusem na spokojne czasy.

Tymczasem obóz kurczy się z dnia na dzień. Któregoś dnia zostaję sam z kilkoma siostrami i sanitariuszami przy ostatnich pacjentach, w liczbie około 50, których jeszcze czeka przesłuchanie, jeśli znów staną na nogi. Wszyscy pozostali lekarze i pacjenci zostali przeniesieni do prezydium skarbowego i do Szpitala św. Elżbiety, który po części ocalał. Przeszedł tam też Schreiner i – ku jego ubolewaniu – również Schäfer, tym razem jako architekt.

Poza Eriką, z naszej małej grupy został tylko ksiądz Klein. Mamy niewiele do roboty i postanawiamy wspólnie coś poczytać. Pierwsze, co się nasuwa, co Biblia, ale Klein jest katolikiem i musi podjąć pewien wysiłek, by towarzyszyć mi w lekturze Starego Testamentu. Zaczynamy

od początku i obu nas uspakaja, że światło zostało stworzone niezależnie od ciał niebieskich. Wobec czego nie zgaśnie wraz z nimi, jak twierdzi Mefisto. Najwidoczniej światło korzysta z ciał niebieskich tylko dla niepoznaki.

Nadzór lekarski nad lazaretem powierzono kobiecie, którą zaczęliśmy cenić już na początku pobytu w obozie. Nazwijmy ją: Natasza. Wysoka, pełna życia, urodziwa mieszkanka Rygi. Najpierw pojawiła się jako „siostra Natasza”, ale teraz każe się tytułować „doktor Natasza”. Po raz pierwszy zobaczyłem ją w tłumie na schodach, kiedy przechodziła obok i zamieniła kilka słów ze Schreinerem. Spytałem, kto to jest. Znał tylko jej imię i wiedział, że należy pozostać z nią w kontakcie. Przez następne dni przekazywała nam coś ze swego jedzenia albo kazała po nie przychodzić. Ja też raz u niej byłem, mogłem nawet na chwilę usiąść i jeść. Mieszka w izbie żołnierskiej z dwójką dzieci w wieku sześciu i trzech lat. Jej babka była aktorką. Już od zajęcia Rygi w 1941 roku żyje wśród Niemców. Prawdopodobnie dlatego jest zagrożona. Ale o tym nie rozmawiamy. Jej wiedza o medycynie nie jest specjalnie głęboka. Potrafi jednak posługiwać się strzykawką, którą stale nosi przy sobie, i aplikuje rozliczne kuracje rosyjskim oficerom. Są oni odporni na silne bodźce, a jak po zastrzyku robi się naprawdę słabo, tym bardziej imponuje im skuteczność medykamentu. Zgromadziła mnóstwo ampułek i tabletek i znajduje dla nich rozmaite zastosowanie. Wymyśliła też swego rodzaju masaż, któremu pacjenci z chęcią się poddają.

Pewnego razu nawet zasięgnęła u mnie porady. Jeden ze szczególnie groźnych wodzów NKWD miał wysoką gorączkę i domagał się, by go błyskawicznie wyleczyć. Kiedy weszliśmy do pokoju, mężczyzna w czapce zsuniętej na kark siedział przy ryczącym radiu nad flaszką wódki w chmurze papierosowego dymu i głośno kaszłał. Na stole przed nim leżał stos różnych tabletek – czerwonych, żółtych i białych, które miał zażywać

w określonej kolejności. Zapytał mnie, czy nie byłoby lepiej wziąć je wszystkie na raz, bo może by wtedy szybciej wyzdrowiał. Przyjrzałem się im bliżej. Sublimatu wśród nich nie było, wszystko inne powinien znieść. Wytargowałem u niego, czy też u Nataszy, tylko kilka tabletek, które wyglądały mi na środki nasenne. Poza tym nie chciałem podważać jej leczenia. Resztę poradziłem mu zażyć jednak w odstępach. Potem zapytał, czy dobry tu byłby masaż. To również nie powinno mu zaszkodzić; miał, zdaje się, grypę. Natasza była całkiem zadowolona z mojej konsultacji. Kiedy jednak pacjent następnego dnia jeszcze nie ozdrowiał, zrobiła mu na wszelki wypadek parę zastrzyków. No i one pewnie pomogły.

Komedia, jaką Natasza odgrywa tu, w obozie, nie jest z pewnością łatwa. Ale odgrywa ją dzielnie, a przy okazji nam też się coś dostaje. Ostatniego dnia w obozie stała się nawet moją bezpośrednią przełożoną, ja zaś przyzwalam ze szczerego serca na to małe intermezzo w jej błazenadzie. Wspólnie robimy obchód i pacjenci są nią zachwyceni. Na szczęście jest oszczędna w wydawaniu zaleceń. Kiedy w końcu i ja idę na transport, z pełnym spokojem zostawiam ostatnich pacjentów pod jej opieką. Może im pomóc bardziej niż ja i wykorzysta swoje możliwości.

Nasz wyjazd z obozu przebiega tak spokojnie, że udaje mi się przeszmuglować na ciężarówkę całą zgromadzoną przez nas apteczkę. Poduszkę z pistoletem Doktora zabrała do prezydium skarbowego kilka dni wcześniej. Chciałem ją zostawić, ale Doktora nalegała, twierdząc, że wyniesie ją z obozu pod pachą jak torebkę. Ostatnimi czasy strażnik już jej nie zatrzymywał. Jeszcze trudniej było jej rozstać się z tym przedmiotem niż mnie.

W chwili odjazdu pojawia się komendant i żegna się z nami naprawdę serdecznie. Kiedy zamyka się za nami obozowa brama, ciągle stoi i patrzy w naszym kierunku. Niemal chciałoby się pomachać.

NIEMIECKI SZPITAL CENTRALNY

Od połowy czerwca do połowy października 1945

Docieramy do prezydium skarbowego na samym końcu. Przed ośmioma dniami przywoziłem tu chorych i miałem trzy godziny, żeby się rozejrzeć. Budynek należy do niewielu ocalałych, jedynie od strony podwórza trafił go ciężki pocisk, w tym samym zresztą czasie, kiedy na nasz Szpital Miejski spadały najcięższe bomby. Zginął wówczas lekarz sztabowy Temme, jeden ze współpracowników Bothmera. Cały punkt opatrunkowy właśnie ledwo się tutaj przeniósł, po zburzeniu przez artylerię urzędu pocztowego na Dworcu Głównym. W bramie, przez którą wchodzi się na podwórze, dzień później, podczas wkraczania Rosjan kula trafiła samego Bothmera.

Po lewej stronie bramy wjazdowej znajduje się izba przyjęć. Siedzi w niej młodszy lekarz Birchzy, jeszcze w mundurze. Bardzo miło mnie przyjął i odstąpił mi swój obiad – dwa talerze grochówki, typowe wschodniopruskie danie, którym raczą ich tu już od sześciu tygodni. Kuchnia mieści się zaraz obok. Podwórze przepełnione jest chorymi, którzy czekają na przyjęcie. Pacjenci przywiezieni z obozu też musieli najpierw poczekać na zewnątrz, na ziemi. Budynek jest przepełniony, a dziennie umiera mniej osób, niż ich przybywa.

Chodząc wtedy po budynku, spotkałem sporo siostr, z którymi pracowałem w czasie oblężenia, i wielu pacjentów, którzy wówczas byli pod moją opieką. Wszyscy mają twarze jak maski i chodzą bardzo

powoli. Ku mojemu zaskoczeniu najbardziej ruchliwy zdał mi się dentysta ze Szpitala Miłosierdzia. Znów jest zdolny do pracy i otworzył oddział stomatologiczny. Natychmiast wciągnął mnie do swego pokoju i wręczył mi mielony kotlet z koniny, podarunek od rosyjskiego pacjenta. Z naciskiem przestrzegł mnie przed swym współpracownikiem, młodym człowiekiem o miłym wyglądzie. Jest ponoć jednym z najgroźniejszych szpicli. W ogóle w tym budynku trzeba uważać, co się mówi.

Takie też jest moje pierwsze wrażenie, kiedy przy naszej ostatecznej przeprowadzce witają nas przed głównym wejściem. Wysoka, niezgrabna dziewczyna stoi w drzwiach i lustruje mnie od stóp do głów. Przesuwam ją trochę na bok, chcąc przejść przez drzwi z moim aptecznym ekwipunkiem. Próbuje mnie zatrzymać. Nie zwracam już na nią uwagi i uradowany podchodzę do znajomej, która siedzi w holu na walizce. Była świadkiem tego incydentu i natychmiast zaklina mnie, bym miał się na baczności przed tą osobą. Jest ona na usługach NKWD i wszyscy boją się jej jak ognia. Ponieważ ma na szyi wielką, szpetną bliznę, kazała wystawić sobie zaświadczenie, że została wyzwolona przez Rosjan w momencie, kiedy naziści próbowali poderżnąć jej gardło. Dzięki temu ma teraz wolną rękę i terroryzuje całe otoczenie.

Rozglądam się po holu, który nie wydaje mi się szczególnie przytulny. Wprawdzie na stole stoją kwiaty, a pod ścianą ustawiono kilka okazałych foteli z sali konferencyjnej, ale odnoszę wrażenie, że obserwuje mnie więcej niż jedna para oczu. Czuję się jak towar w oknie wystawowym, na którym nie umieszczono jeszcze ceny.

Ku mojemu zaskoczeniu dostają sam dla siebie mały pokój na ostatnim piętrze. Dotąd mieszkał tu doktor Hoff, którego znam jeszcze ze Szpitala Miejskiego. Zabrało go niedawno NKWD i już nie wrócił.

Giese i Röcken, moi dwaj wierni towarzysze, są dość bezradni. Nie znaleźli dotąd żadnego miejsca, w którym mogliby się ulokować, a przez

trzy dni, odkąd tu są, musieli zebrać o jedzenie. Pomagają mi zabezpieczyć apteczkę, a potem przychodzą z bagażami do mojego pokoju. Jest tu w miarę chłodno mimo upalnego żaru na dworze. Ukwiecony kasztanowiec ze swymi gęstymi liśćmi sięga powyżej okna. Patrzy się wprost w ożywczą zieleń.

Nagle nadciąga silna burza i leje przez kilka minut, podczas gdy my siedzimy jak w arce Noego. Kiedy przestaje padać, przychodzi Doktora, żeby nas oprowadzić po budynku. Jednak już po paru krokach w stronę wielkiego okna na końcu korytarza zatrzymujemy się porażeni niezwykłym widokiem. Na czarnym tle mijającej burzy w świetle wieczornego słońca rozpościera się u naszych stóp połyskujące na biało morze ruin. Pośrodku jak wykrzyknik wznosi się rozłupana wieża zamkowa. Ponadto wszystkim widnieje rozpięta, cudownie doskonała tęcza – jak brama do nieba nad pustynią. Trzymamy się za ręce. Kiedy zjawisko zaczyna blednąć, zawracamy i pod wrażeniem tego przeżycia idziemy w milczeniu do pokoju. „Może razem poczytamy z Biblii?” – proponuje Doktor. Wyciągam z bagażu broszurę i podaję jej. Otwiera na 13 czerwca i czyta: „Łuk mój kładę na obłoku, aby był znakiem przymierza między mną a ziemią.”^[50] Z drugiego cytatu rezygnujemy. Patrzymy milcząco w podłogę i jest nam tak, jakbyśmy słyszeli wstępowanie i zstępowanie aniołów.

Następnego dnia przekazują mi tak zwany chirurgiczny oddział męski, chirurgiczny – ponieważ ulokowani są tu chorzy, którzy poza innymi dolegliwościami mają rany. Diakonisa ze Szpitala Miłosierdzia jest siostrą oddziałową. W sali operacyjnej na dole, od strony podwórza praca trwa na okrągło. Wykonywane są niemal wyłącznie zabiegi nacinania ropni. Jako chirurdzy udzielają się tu stary profesor Ehrhardt i doktor Ody, lekarz sztabowy z lazaretu Bothmera. Zaczyna też pracować doktor Rauch, który w obozie pod okiem Eriki doszedł do siebie po trudach pieszej tułaczki

[50] Rdz 9,13.

po Sambii. Doktor Keuten, który do niedawna operował jako jedyny, leży ciężko chory na tyfus, podobnie zresztą jego żona, również lekarka. Jako instrumentariuszki pracują dwie diakonisy, siostra Lydia i Martha.

Do obsady sali operacyjnej należy też sanitariusz K., który twierdzi, że wie dokładnie, gdzie leży pogrzebany Bothmer. Każę mu się tam zaprowadzić i postanawiam odkopać zwłoki, które podobno zostały płytko zasypane. Chcę zadbać o prawdziwy grób dla przyjaciela. Trudno byłoby mi pogodzić się z tym, że mam tędy chodzić i przejmować się życiem, wiedząc, iż on tu leży, całkiem blisko, w wiadomym miejscu, tuż pod powierzchnią ziemi. Giese przychodzi mi pomóc. Najpierw szperamy na strychu budynku w poszukiwaniu czegoś na kształt trumny i znajdujemy wąską szafę, która nadaje się do tego celu. Potem łopatami zabieramy się do roboty.

W rowach łącznikowych, wykopanych podczas oblężenia na zboczu nad torami, leży warstwami kilkaset zwłok, pogrzebanych po wkroczeniu Rosjan. Sanitariusz dokładnie pokazał mi miejsce – tu głowa, tu nogi, nie głębiej niż pół metra. Wszystko to znane aż nazbyt dobrze, ale niepodobna się tego nauczyć. Miałby więc leżeć odtąd – dotąd. To możliwe przy jego wzroście. Do tego blizna nad okiem i śmiertelna rana. Powinno się udać go rozpoznać, teraz, po dwóch miesiącach. Kula trafiła go 8 kwietnia w bramie wjazdowej. Rosjanie wtargnęli już do budynku i rozkazali lekarzom i personelowi pielęgnarskiemu ustawić się na zewnątrz. Wówczas nastąpił niemiecki kontratak. Pocisk rozerwał mu klatkę piersiową. Kiedy później można już było udzielić mu pomocy, kazał podać sobie lustro i wydawał polecenia, jak mają go pozszywać. Próbowano. Skończyło się jednak na tej próbie, dwa dni później zmarł.

Kopanie kosztuje nas wiele trudu. Chyba jednak musi leżeć głębiej. Myślę o tym, jak przed trzema miesiącami staliśmy razem na ulicy, kilkaset metrów stąd, a nad naszymi głowami przelatowały żurawie. Jak

to dobrze, że są momenty, które dają się tak dokładnie określić. Są to punkty, na których można rozpiąć bezładną materię życia.

Nagle przerywają mi kopanie i muszę iść. Cały prezydiium skarbowe ma być natychmiast opróżnione, mnie zaś wysyłają w charakterze forpoczty do naszego nowego azylu: pozostałości Szpitala Miłosierdzia. Giese nie chce się sam dalej mozolić i usypuje w wiadomym miejscu mały kopczyk. Ja tymczasem jadę pierwszą z ciężarówek załadowanych stelażami łóżek i materacami. Rosjanie dali nam na przeprowadzkę 24 godziny. Co do tego czasu nie zostanie przewiezione, przepadnie. 50 ciężarówek będzie kilkakrotnie kursowało w tę i z powrotem, żeby przetransportować wyposażenie i około 1000 chorych.

Późnym popołudniem jestem wraz z Eriką na dziedzińcu Szpitala Miłosierdzia przy rozładunku ciężarówek, bierze w tym udział parę siostr i kilku mężczyzn z personelu pomocniczego. Zanim się obejrzałem, puste ciężarówki odjeżdżają, a wraz z nimi mężczyźni, którzy mieli nam pomagać. Stoję sam z siostrami. Rozchodzimy się szybko po budynku, żeby przynajmniej się rozejrzeć, zanim zapadnie zmrok. Siostry pracowały tu wcześniej i szybko się orientują. Nowa, betonowa część szpitala stoi prawie w całości. Tylko wyższe piętra ucierpiały trochę od pocisków, a dach jest uszkodzony w kilku miejscach. Poza tym brakuje oczywiście wszystkiego, gdyż budynek stoi pusty od ewakuacji 11 kwietnia. Tylko na dole, w piwnicy nocowali prawdopodobnie Rosjanie. Stoi tam kilka kanap, jak zwykle odartych z obicia. Ani jedno okno nie jest całe. Powyrywane z zawiasów drzwi leżą w nieładzie na korytarzach. Wszystkie odpływy zapchane. Przewody elektryczne i wodociągowe, które i tak nie mają żadnego znaczenia, są powyrywane ze ścian. Nawet nie staramy się wysilać wyobraźni i pomyśleć, jak się tu urządzić. To też jakoś się ułoży, przeżyjemy i to. Pocięchę czerpiemy chwilowo z przepięknego wieczornego słońca, a jego widok odsuwa na plan dalszy

wszystkie niemożliwe sprawy, które na nas czekają. Nie spieszymy się też wcale z wnoszeniem rzeczy. Jutro spiętrzy się wszystko na ciasnym podwórzu i może rzeczy uniosą się same do góry. Te trochę sił, jakimi dysponują moje pielęgniarki, tak czy owak na wiele nie starczy. Rozbiły się obozem na trzecim piętrze. Jest z nimi Erika. Na piątym piętrze, gdzie ma się mieścić męski oddział, szukam pokoju dla siebie. Na końcu korytarza jest jeden, który nie nadaje się dla chorych i w miarę odpowiada moim oczekiwaniom. Od razu go oznakowuję i barykaduję.

Następnego ranka zabieramy się do roboty. Nie chcę się zastanawiać, jak to wszystko będzie ustawione, i chwytam, co popadnie. Bez ładu i składu dowożą teraz łóżka, meble, pacjentów i wszystko zalega w najbliższym otoczeniu. Przed południem Rosjanie pomagają i jakoś to idzie. Po południu stoją już tylko na schodach i w drzwiach, wyśmiewając się z chaosu. Pomaga jedynie myśl, że również i to kiedyś się skończy, jak wiele innych rzeczy.

Ciężko chorzy leżą na noszach na podłodze w holu wejściowym i jeden z nich chwytam mnie za nogę, kiedy przechodzę obok. Z przerażeniem rozpoznaję człowieka, o którym od dawna myślałem, że nie żyje. Leżał u nas w obozie na oddziale chorych na czerwonkę i co noc był zabierany na przesłuchanie. Za każdym razem wracał pobity, bo nie chciał się przyznać, że był niskim funkcjonariuszem partii. Pewnej nocy wezwano mnie do niego. Najprawdopodobniej miał niedrożność jelit, ale był już tak wycieńczony, że nie pomogłaby mu żadna operacja, nawet gdybyśmy mogli ją przeprowadzić. Dałem mu morfinę. Zaraz potem ponownie wzięli go na przesłuchanie. Nie pomogła moja opinia o jego stanie. Giese i ja chcieliśmy go przynajmniej zanieść, ale strażnik nie pozwolił. Zgodził się jedynie, żebyśmy poszli z nim, przy czym popychał przed sobą tego nieszczęśnika. Również u komisarza niczego nie wskóraliśmy. Wręcz przeciwnie. Wpadł w furję, kiedy dowiedział się o podanej mu morfinie.

A potem mężczyzna był jeszcze raz przesłuchiwany. Stojąc za drzwiami, słyszeliśmy, jak pada pod uderzeniami. Czekaliśmy na zewnątrz, spodziewając się, że z powodu tej morfiny i na nam się dostanie. Jednak później wyrzucili go nam pod nogi i zepchnęli ze schodów. Dopiero, kiedy znaleźliśmy się sami, mogliśmy zanieść go do sali. Kiedy spojrzałem na niego o świcie, miał wyraz twarzy, który wrył mi się głęboko w pamięć – była to szczególna mieszanina nienawiści, bezsilności i żądzы życia. Pokazał mi nawet swoje zdjęcie. Z jego tłustej i pełnej zadowolenia z siebie twarzy można było rozpoznać tylko oczy, choć ze strachu, złości i wychudzenia stały się nieco wyłupiaste. Po południu wysłaliśmy go do prezydium skarbowego, a Rosjanom zgłosiliśmy, że zmarł. Profesor Ehrhardt zoperował go jeszcze, ale nie był w stanie zlikwidować niedrożności jelit. A teraz, trzy dni później, człowiek ten jeszcze żyje i przetrwał nawet przeprowadzkę. Został z niego tylko szkielet, ale nie chce się poddać. Patrzę na niego ze zgrozą.

Pod wieczór cała ulica zablokowana jest chorymi i sprzętami. Naprzeciwko, w części dawnego Szpitala Miejskiego, urzęduje Doktor. To właśnie jej przekazano oddział gruźliczy. Niezmordowanie taszczy z przydzielonymi jej siostrami łóżko za łóżkiem na drugie piętro, podczas gdy pacjenci stoją i nawet nie kiwną palcem. Kilku z nich to istne czorty, prawdopodobnie w ogóle nie są chorzy, za to wszędzie węszą i szpiclują dla Rosjan.

Harówka trwa jeszcze cały kolejny dzień. Wreszcie wszyscy chorzy są ulokowani, zaś na cmentarzu kościoła na Altroßgarten chowamy pierwszych zmarłych. Rosjanie dostarczyli już mnóstwo szyb i można prowizorycznie powstawić je do części okien. Wprowadziłem się z moimi 170 pacjentami na najwyższe piętro i zamieszkałem wspólnie z moimi wiernymi towarzyszami we wcześniej oznakowanym narożnym pomieszczeniu. Erika zajęła mały przedsionek, żeby stać nam na straży.

Cieszy nas, że mieszkamy tak wysoko i zaczynamy znów trochę łąpać oddech.

W budynku przebywa około 1500 osób. Tysiąc chorych i co najmniej 500 osób personelu pielęgniarskiego, kobiet i mężczyzn. Wielu z nich nigdy nie miało do czynienia z pielęgniarstwem, chcą jednak za wszelką cenę być związani ze szpitalem, zapewnia im to bowiem większą ochronę i daje szansę na przeżycie. Poza szpitalem zdani są bez reszty na samowolę Rosjan. Z tego samego powodu nie możemy nikogo z chorych wypisać ze szpitala. Nie mają już domu, tak więc czeka ich najczęściej śmierć głodowa na ulicy. W miarę możliwości staramy się ich jakoś włączyć w tryby funkcjonowania szpitala. Jednakże taka konieczność pojawia się rzadko, gdyż niemal wszyscy przyjęci jako chorzy umierają po krótszym bądź dłuższym czasie, bez widocznej poprawy. Dziennie umiera 30–40, a nad ranem wynosi się ich zawiniętych w papier do zaciemniania i układa w stosach za tylną bramą. Stamtąd partiami wywożeni są dwukołowym drewnianym wózkiem na teren obok zniszczonego kościoła na Altroßgarten, gdzie pastor Leitner nadzoruje ich pochówek w masowych grobach.

Na dwóch ostatnich piętrach powstaje oddział chirurgiczny, tak jak niegdyś. Na najwyższym piętrze leżą mężczyźni w liczbie 170–180, piętro niżej kobiety. Początkowo pieczę sprawował nad nimi doktor Ody, dopóki Rosjanie nie wysłali go nagle do Wehlau. Jego miejsce zajął doktor Rauch, który wykaraskał się jako tako ze skutków morderczego przeganiania z miejsca na miejsce. W sali operacyjnej pracujemy obok siebie lub od czasu do czasu się zmieniamy. Cały dzień wszystko toczy się tu na wysokich obrotach. Pomieszczenia pozwalają na to, bo mają dobrze zachowane ściany. Dysponujemy mnóstwem instrumentów, a także leków i środków opatrunkowych, gdyż w mieście znajdowały się jeszcze ogromne zapasy. Ale co po tym wszystkim, skoro ludziom nie

można zapewnić żywienia. Przewiegotowali jakoś do tej pory, dłużej, niż można było oczekiwać, ale w końcu głodowanie też ma swoje granice.

Prawie wszyscy przywożeni tu ludzie są w tym samym stanie. Od góry to wychudzone szkielety, z dołu – ciężkie wory z wodą. Niektórzy przychodzą jeszcze o własnych siłach na nieforemnie opuchniętych nogach i kładą się przed drzwiami, gdzie na prowizorycznych noszach lub na podłodze leży już mnóstwo podobnych postaci. Kiedy przychodzi ich kolej, jako powód zgłoszenia się wymieniają jakąś drobnostkę, na przykład bolący palec, ponieważ głównej dolegliwości, swych nóg, już nie czują. Okazuje się to wtedy, gdy kładziemy ich na stół i rozcinamy od góry błyszczącą, szklistą skórę, a oni w ogóle nie reagują. Za każdym razem zadajemy sobie wówczas pytanie, czy amputowanie nóg ma jeszcze sens, czy nie lepiej po prostu pozwolić im umrzeć. I najczęściej wybieramy to ostatnie.

Śmierć głodowa to dziwne umieranie. Nie ma w niej nic z buntu. Ludzie sprawiają wrażenie, jakby właściwą śmierć mieli już za sobą. Chodzą jeszcze wyprostowani, można ich jeszcze zagadnąć, sięgają po niedopałek papierosa – częściej zresztą niż po kawałek chleba, bo już nie wiedzą, co z nim robić – a potem nagle zapadają się w sobie jak nadmiernie obciążony stół, który stoi, dopóty nie załamie się pod ciężarem przypadkowej muchy.

Poza tymi nogami operujemy głównie ciężkie i najcięższe rodzaje ropowicy, między innymi czyraki na karku, sięgające od jednego ucha do drugiego. Jeśli roi się w nich od robactwa, można to odczytać jako dobry znak, gdyż wówczas jest jeszcze szansa na wyleczenie.

Kobiety teraz już też nie wytrzymują. Niejedna z nich, znanych nam jeszcze z obozu, trafia znowu w nasze ręce, i jest już tylko cieniem samej siebie. Często najstraszniejsze jest to, co mówią: tak całkowicie bez związku z całą opresją, jakby wszystko, co już od kilku miesięcy

wspólnie przeżywamy, było jakimś nierealnym horrorem, nie zaś brutalną rzeczywistością. Pewnego razu pojawia się czterdziestoletnia kobieta, którą trzyma jeszcze tylko maska dawnej kokieterii, i pyta mnie krótko przed zapaścią, skąd teraz otrzymywać będzie wsparcie. Przecież wystarczająco długo pracowała w biurze gauleitera. Dopiero po chwili udaje się ustalić, z jakiego powodu naprawdę tu przyszła. Przez dziesięć dni leżała w ogródku i żywiła się wyłącznie niedojrzałymi porzeczkami. Teraz ma jelita zapchane pestkami. Procedura, która jest konieczna, żeby je udrożnić, kosztuje ją prawie utratę życia.

Czasami zdarzają się normalne zabiegi chirurgiczne, przed którymi myjemy się przepisowo i które dają nam wzniosłą iluzję, że jeszcze jesteśmy prawdziwymi chirurgami. Są to głównie złamania zaklinowane, niedrożność jelit spowodowana skrętem krezki w wyniku wychudzenia, czasami wyrostek robaczkowy. Poza tym stykamy się z przypadkami, które w normalnych warunkach już prawie nie występują, jak na przykład rak wodny (noma); zaatakowana część twarzy odpada w ciągu kilku dni wraz z kością szczęki, zębami, wargą i policzkiem, zostawiając ogromną dziurę.

Poza oddziałem męskim przejąłem opiekę nad chirurgią dziecięcą; to szczególnie trudna i beznadziejna funkcja, ponieważ wiemy, że dzieci są dodatkowo okradane. Rosjanie przydzielają dla nich trochę tłuszczu na każdy dzień i może dzięki niemu udałoby się kilkoro uratować. Jednak przydział do nich nie dociera, bo gdzieś po drodze jest rozkradany i ktoś gromadzi sobie zapasy. Z jedną z pracujących na oddziale dziecięcym kobiet miałem już w pierwszych dniach zatarg, w którym omal nie doszło do rękoczynów. Chodzi tu o gorliwą pomagierkę Rosjan, wobec której jesteśmy bezsilni. Nie jest ona jedyna. Wręcz przeciwnie, wokół nas aż roi się od podejrzanych osobników, szpicli w różnych przedziałach wiekowych, o różnym stopniu zagrożenia, którzy żyją z tego, że donoszą

na swych rodaków do NKWD. W zadziwiający bowiem sposób instytucja ta posługuje się i tu jeszcze donosicielstwem, chociaż mogłaby nas wszystkich unieszkodliwić bez żadnych pośredników, gdyby miała ochotę. Jednak chyba i tu trzeba zachować jakiś pozor prawa. A może chodzi o to, żeby zdemoralizować możliwie wielu ludzi, przyzwyczajając ich do donosicielstwa. Tak czy inaczej drżymy za każdym razem, kiedy na oddziale pojawia się jeden z tych osobników, przetrząsa pokoje chorych i bezczelnie robi sobie notatki. Zawsze potem następnej nocy przychodzi po jednego lub kilku nieszczęśników, którzy znikają już na zawsze. Trudno przypuszczać, co kiedyś ci ludzie robili w cywilu, z wyjątkiem jednego, nazwiskiem Schmidt, o którym wiemy, że był w SD^[51]. Ciągłe zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, że nikt tych czortów nie zabije. Ale czy ja miałbym odwagę? Czyż i my nie przyglądamy się tylko cierpliwie z nadzieją, że nas ten kielich ominie?

Naprzeciwko tylnej bramy wyjściowej jest szkoła im. Frischbiera, gdzie teraz mieści się kuchnia. Dwa razy dziennie przynosi się stąd w wiadrach i blaszanych kankach zupę, sporządzaną na przemian z kaszy i wysłodków. Do tego łyżka cukru i coś w rodzaju chleba, który smakuje naftą i zawiera dużo wody. Każdy rwie się, żeby iść do kuchni po jedzenie. Można tam spotkać tylko dobrze wyglądających rodaków, a czasem nadarza się okazja, by złapać jakiś dodatkowy kąsek. W zamian za to każdy chętnie dźwiga ciężkie wiadra na piąte piętro. Daleko mniej popularne jest znoszenie na dół kubłów z odchodami, które opróżnia się w pobliskich ruinach. Ale i do tego zawsze ktoś się znajdzie.

[51] Sicherheitsdienst des Reichsführers SS – formacja bezpieczeństwa w ramach SS, podlegająca Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy, odpowiedzialna za „zwalczanie wrogów”, również w szeregach NSDAP; organizowała grupy operacyjne dokonujące masowych mordów na Żydach, pełniła też funkcję kontrwywiadu i kierowała tajnymi akcjami, jak np. napad na radiostację w Gliwicach.

W pierwszych dniach wodę przynosiło się ze Stawu Zamkowego, w którym leży niezliczona ilość zwłok. Później rozniosło się nagle, że jest jeszcze woda w ręcznej pompie w podwórzu pobliskiej fabryki lemoniady. Odtąd o każdej porze dnia stoi tam kolejka ludzi z najróżniejszymi naczyniami. Kiedy przypadkowo nikogo przy pompie nie ma, kolejni ludzie czekają, aż znów zbierze się grupa, ponieważ samotni są często napadani. Funkcjonujemy jak zwierzęta w dżungli przy wodopoju. W piwnicy leży jeszcze sporo beczek z ekstraktem lemoniady, który z powodu braku wartości odżywczej nie wzbudza prawie żadnego zainteresowania. Jest tam też wanna, w której czasem ukradkiem się myję.

Ponieważ na oficjalnej zupie oczywiście nie można przeżyć, każdą wolną minutę wykorzystujemy na organizowanie żywności. Najlepiej nadaje się do tego wczesny poranek, gdyż o tej porze spotyka się najmniej Rosjan. O piątej rosyjskiego czasu, a więc właściwie już o trzeciej, kiedy akurat wschodzi słońce, wychodzę z budynku w towarzystwie Eriki. Naprzeciwko, w Szpitalu Miejskim po drugiej stronie ulicy czeka już na nas Doktor. Wraz nią przeczesujemy zwykle podmiejski Karolinenhof i Maraunenhof. W zdiczałych ogrodach można znaleźć porzeczek, ile dusza zapagnie, zaś gęstwina krzewów zapewnia świetną osłonę. Z tego też powodu w tamtejszych altanach ukrywa się sporo ludzi. Prowadzimy z nimi handel wymienny, tzn. przynosimy im trochę naszej wysłodkowej zupy, a dostajemy za nią porzeczeki.

Po ogródkach działkowych przychodzi kolej na opuszczone domy przy Cranzer Allee. Choć przetrząsnęto je już tysiąc razy, mimo wszystko można tam znaleźć jakiś ziemniak albo coś innego do jedzenia. Za każdym razem przynosimy mnóstwo lebiody, która wszędzie pleni się jako chwast, my zaś jemy ją do każdego posiłku.

Wypadki te są dla nas nierzadko źródłem sporych przeżyć i to nie tylko z racji poruszania się po niebezpiecznym terenie; dostarcza ich

też rozmiar obserwowanych przez nas przemian. Mnie szczególnie zafascynował hipodrom. Był taki czas, kiedy z tym miejscem wiązały się najważniejsze momenty życia. Przychodziliśmy tu wyłącznie w odświętnym nastroju, by podziwiać konie, zobaczyć ludzi i samemu się pokazać. Wszystko było tu wspaniale zadbane i urządzone. Opierałem się o ogrodzenie, prowadziłem zdawkowe rozmowy, kłaniałem się komuś, spoglądałem w czyjąś stronę i wydawało mi się, że jest to niemal pełnia życia. Dzisiaj znowu opieram się o ogrodzenie, stoję w zgrzebnej kurtce, wystrzępionych spodniach, znalezionych butach, bez koszuli i skarpet, i obserwuję stadko krów, które pod nadzorem sowieckich żołnierzy pasie się między dawnymi przeszkodami. Jeśli jakaś podejdzie bliżej, spróbuję podebrać jej trochę mleka. Wokół mnie tylko chwasty, gruz i ruiny. Jedynie niebo pozostało takie samo. I zadaję sobie pytanie, do której z obu rzeczywistości właściwie przynależymy.

Nasz szpital też posiada kilka krów, to znaczy: trzy, które dają łącznie siedem litrów mleka. Pasie je profesor Urbschat, specjalnie do tego oddelegowany. Czasami wspiera go przy tym jeszcze kilku docentów bez przydziału. Nie jest to łatwe zajęcie, gdyż krowy mimo wychudzenia są oczywiście obiektem pożądania. Pewnego dnia akurat ta dająca najwięcej mleka pada ofiarą napadu. Dwóch ludzi wpędza ją do piwnicy i podrzyna jej gardło, a potem wypłasza ich głośny krzyk strażników. Następnego dnia w urzędowej zupie pływa coś jasnożółtego, miękkiego i niezdefiniowanego, nad czym długo debatujemy. Nagle Giese wpada na pomysł, że musi to mieć coś wspólnego z „krową pana pastora” (Rosjanie uważali, że pastor Stachowitz, kierownik Szpitala Miłosierdzia, jest posiadaczem krów).

Poza tym mięsa nie ma. Co prawda oficjalnie parę razy na tydzień do szpitala dostarczają 70 funtów mięsa, ale są to najczęściej krowie łby z rogami albo nogi z sierścią i kopytami, tak więc najpewniej nic z tego nie

trafia do chorych.

Pozostałe dwie krowy dają razem trzy litry mleka, które gdzieś wsiąka. Właściwie trochę mleka powinna codziennie dostawać siostra przełożona. Leży chora za przepierzeniem obok składu leków; z łagodnością i spokojem oczekuje końca, uchroniwszy w najtrudniejszych dniach niektóre ze swych sióstr od najgorszego.

Z mojego oddziału na piątym piętrze żelazne schody prowadzą na płaski dach. Rozciąga się stamtąd fascynujący widok na miasto ruin i pobliską okolicę. Późno wieczorem, kiedy w budynku panuje już cisza, wychodzimy na dach i napawamy się nieskończonym spokojem, którego można doznać tu, na górze. Nikt poza nami z tego nie korzysta. Zabieramy ze sobą krzesła i czytamy coś pouczającego lub wzniosłego, prowadzimy rozmowy, które za dnia są niemożliwe w tym stłoczeniu, albo zatapiamy się w oglądanie nieba – przelatują po nim długie klucze dzikich kaczek, a jego połowa o tej porze roku jaśnieje przez całą noc.

Lektur nam nie brakuje. Po domach leży pełno książek, na które nikt nie zwraca uwagi. Czasem ktoś coś zabierze, ale potem znów wyrzuca, tak więc niejeden bibliofil zgromadził już sobie całkiem pokaźną bibliotekę.

W ciągu dnia nie brakuje nerwowych sytuacji wywołanych przez Rosjan, którzy nagle pojawiają się, by przeprowadzić łapankę, albo w wyniku intryg rozmaitych grupek na miejscu. Innym razem szyby sypią się na głowę, bo w najbliższym sąsiedztwie wysadzają w powietrze jakiś duży budynek. Kiedy indziej jesteśmy świadkami dramatycznych ludzkich reakcji. Na przykład w szpitalu naprzeciwno, na piętrze nad oddziałem gruźliczym umieszczono obłąkaną kobietę. Jej krzyki dają się we znaki wszystkim w okolicy. Pewnego razu udało się jej wymknąć z pustego pomieszczenia, w którym ją zamknięto, i przez usytuowane ponad dwa metry wyżej okno wydostała się na dach, który z kolei zaczyna się dość wysoko ponad oknem. Siedzi teraz na zawrotnej wysokości na

balustradzie ponad rynną, ze zwisającymi włosami wychyla się mocno do przodu i wśród grobowej ciszy ulicy śpiewa na całe gardło, co akurat przyjdzie jej do głowy: pieśni kościelne, szlagiery, pieśni hitlerowskie – upiorna to wiązanka. W końcu Rosjanie mają dosyć i zamierzają ją zestrzelić. Wtem pojawia się Doktor ze specem od odwszawiania. Widzimy, jak oboje wychodzą przez dwa różne okna w dachu i z dwóch stron wzdłuż balustrady zbliżają się do uciekinierki. Doktora uzbrojona jest w strzykawkę. Z jakąż łatwością i jak pewnie porusza się tam, na gorze. Najwyraźniej upodobała sobie spacerować nad przepaścią.

Ku zdumieniu obserwatorów kobieta pozwala się wciągnąć przez okno do środka.

Pewnego dnia dowiadujemy się, że powinniśmy mieć policyjne zameldowanie. Zbiera się cała gromada i maszerujemy ulicami z żołnierzem na czele. Przemierzamy całe miasto, a potem okazuje się, że szliśmy w złym kierunku. Zataczamy ogromny łuk, idziemy wzdłuż Dolnego Stawu, przez Maraunenhof, a potem na przełaj przez pole, przekraczamy nasyp kolejowy i zmierzamy do baraku, który nieoczekiwanie objawia się w pustkowiu. W towarzystwie jazgoczących jak zawsze tłumaczek siedzi tam kilku rozwścieczonych funkcjonariuszy, którzy gotowi są nas poćwiartować. Przekonany, że to znów pułapka, w którą wpada się jedynie z własnej głupoty, wycofuję się z paroma innymi obok zbitego tłumu i znikam w zarośniętym ogrodzie. Tam przeczekujemy dalszy bieg zdarzeń. Mijają godziny, zanim wypuszczają resztę. Nikt nie dostał żadnych papierów, nie odnotowano nawet nazwisk. Tylko na nich nakrzyczeli. Najwidoczniej NKWD zrobiło sobie dobrą zabawę.

1 lipca jest słoneczna niedziela. Przychodzi Doktor i namawia mnie na wycieczkę do Preylu. Boso i w nędznym odzieniu – ktoś uszył mi spodnie z dwóch ręczników – nie zwracamy niczyjej uwagi i bez szwanku wydostajemy się z miasta. Niepojęte, wyludnione ziemie! Idziemy

godzinę, nikogo nie spotykając. Zrywamy chabry na skraju pól. Kiedy zboże dojrzeje, trzeba będzie przyjść tu z nożyczkami i naciąć kłosów. Spuszczono wodę z wielkiego stawu w Preylu, z którego dawniej ciągnięto wodę pitną do Königsbergu. W szlamie stoją Rosjanie i szukają ryb.

Dom moich krewnych spłonął. Zachowała się tylko część fundamentów i pomieszczenia na parterze, w których kręci się kilka kobiet i wyprząta. Pytamy je o coś, ale nie dostajemy żadnej odpowiedzi. Stajnia jeszcze stoi. Korci mnie, żeby sprawdzić, jak wygląda pomieszczenie, w którym niegdyś stały konie wyścigowe. Zaraz przy wejściu zatrzymuje nas żołnierz i dumnie prowadzi do komendanta, który zakwaterował się w mieszkaniu trenera nad stajnią. Pokazuję mu pustą teczkę i proszę o ziemniaki. Puszczą nas wolno. Tam, gdzie dawniej był ogród, natykamy się na wojaka gotującego na dwóch ceglach kaszę. Przyjaźnie nas częstuje. Do jedzenia siadamy nad brzegiem stawu. Po drugiej stronie, na pagórku są groby rodzinne. Idziemy sprawdzić, czy się zachowały. Są nienaruszone, częściowo zarośnięte pędami ziemniaków, które powyrastały na niemieckich stanowiskach obronnych. Ziemniaki są wprawdzie jeszcze bardo małe, ale napełniamy nimi teczkę.

Nagle Doktora zaczyna płakać. Jestem głęboko przerażony, bo nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Nękają ją komary i błaga, żebyśmy czym prędzej wyszli z lasu. Wiem, że coś się za tym kryje, ale nie mogę dociec co. Kiedy znów jesteśmy na drodze, czuje się już lepiej. Zachodzimy jeszcze do folwarku w Warglitten, gdzie Rosjanie najwyraźniej już zaczęli gospodarować; pozwalają nam zabrać się ich wozem jadącym w stronę Königsbergu. W Juditten zsiadamy i Doktora próbuje zajrzeć do domu. Jeszcze stoi i też jest zajęty przez Rosjan. Przy wejściu ktoś ją jednak fizycznie atakuje, musi więc szybko się wycofać.

W śródę Doktora przychodzi do mnie do sali operacyjnej. Mam obejrzeć jej kark, bo ma tam silnie swędzące miejsce. Odkrywam całe

mnóstwo wszy, które wgrzyły się głęboko w skórę. Kiedy jej o tym mówię, kompletnie się załamuje. Staram się ją uspokoić, a doktor Rauch pomaga mi obciąć włosy, żeby odsłonić to miejsce. Doktora zbiera się co prawda w sobie, ale jest tak zmieniona, że ogarnia mnie bezradność. Czy nie jest już od dawna u kresu sił? Przecież porusza się jak we śnie. Czy nie jest to już tylko wypełnianie Chrystusowego przykazania miłości, co pozwala jej być wzorem dla współpracowników i opiekować się pacjentami, którzy ufnie do niej lgną?

Następnego ranka wzywają mnie naprzeciwno, bo nie można jej budzić. Na stoliku leży kartka z wiadomością, że zażyła kilka tabletek nasennych, ponieważ silne swędzenie już od kilku nocy nie dawało jej zasnąć. Nie należy jej niepotrzebnie budzić. Dajemy jej spać. Jeśli nawet świadomie nie chciała spowodować śmierci, to przecież wiem, jak bardzo pragnęłaby przejść we śnie na drugi brzeg. Kiedy jednak wieczorem jej stan się nie zmienia, bez mojego udziału podejmują normalne w takich przypadkach działania. We mnie nie ma już uczuć. Chodzę po szpitalu, wykonuję codzienne zajęcia, jakby ta sprawa zupełnie mnie nie obchodziła. Może już sam jestem od środka tak martwy, że nie umiem nawet wykrzesać z siebie żadnego impulsu?

W piątek wieczorem serce przestało bić. Pacjenci sprowadzają trumnę z Kalthofu^[52], gdzie jest jeszcze ponoć cały ich magazyn. Pewien pracujący u nas wojak przynosi mi drewniany krzyż, który sam wykonał. Piszemy na nim nazwisko, datę urodzenia i śmierci. Na odwrocie umieszczamy końcowe słowa z Pisma Świętego: „Amen. Przyjdź, Panie Jezu”^[53].

Jej grób jest tam, gdzie leżą wszyscy, obok kościoła na Altroßgarten. W Biblii Doktory, w liście do Rzymian, rozdział 8, znajduję zakładkę – jest to zeszytek z zapiskami, zawierający refleksje na temat poszczególnych

[52] Jedno z przedmieść Königsbergu.

[53] Ap 22,20.

miejsc Pisma i notatki z wydarzeń po tym, jak pękły wszelkie bariery. „Rosja – kiedyś chciałaś tam pojechać. Teraz przyszła sama.” Po wielokroć czytam te słowa jak pozostawione przez nią przesłanie. Jednocześnie brzmi mi w uszach: „To ci, którzy przychodzą z wielkiego ucisku i wyprali szaty swoje, i wybielili je we krwi Baranka”.^[54]

Przez cały lipiec po godzinach pracy wychodzę często na samotne wędrowki, przeszukuję domy i ogrody, przynoszę różne naczynia, a czasami kwiaty, raz nawet powojnik obsypany niebieskim kwieciem. Podczas tych wypraw natykam się często na leżących ludzi – zmarłych i żywych. Doprowadzenie żyjących do szpitala nie jest prostą sprawą, potrzeba tu szczególnego zdecydowania. Jeszcze nigdy tak często jak w te dni nie musiałem odwoływać się do przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. To zawstydzające, gdyż w większości przypadków odprowadzenie do szpitala okazuje się o wiele łatwiejsze, niż się wydawało.

W piwnicach spotyka się też Rosjan. Raz, kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, spostrzegłem jednego opartego o ścianę. Stał nieruchomo i trzymał palec na ustach. Bez wątpienia był śmiertelnie zagrożony.

Erika jest niezmordowana w zdobywaniu żywności. Od dawna już się niczego nie boi. Stale opowiada o miłych Rosjanach, którzy ją zagadnęli. Jeden obiecał przynieść ziemniaki, ona zaś święcie w to wierzy. (Naprawdę przyniósł, tylko że na miejscu ktoś mu je natychmiast wyrwał i już nie oddał.) Gotowanie odbywa się w pokoju obok. Pewien podoficer postawił tam kafłową kuchnię, którą przedtem gdzieś rozebrał. I choć twierdził, że nie ma o tym rzemiośle pojęcia, w dzień i w nocy na fajerkach obok naszych garnków i menażek stoi teraz mnóstwo naczyń co najmniej 20 innych osób, które też tu gotują. Erika często musi czekać,

[54] Ap 7,14.

zanim zrobi się trochę miejsca.

Daleko stąd, przy Schleiermacherstraße, w ruinach szkoły im. Hansa Schemma leżą pod stopionym szkłem tysiące ampułek, środków znieczulających, leków na serce i krążenie. Odkryłem je podczas jednej z wypraw z Eriką, która kiedyś przez rok prowadziła w pobliżu dom pewnej rodzinie i chciała sprawdzić, czy jeszcze ją odnajdzie. Wracaliśmy z kieszeniami pełnymi medykamentów, a ja namówiłem kilkoro pętających się tam dzieci, by nazbierały ich jeszcze więcej.

Kilka dni później jadę po te rzeczy końskim wozem, którym dysponuje szpital. Towarzyszy mi stara siostra Ida. Na początek robimy wypad do kliniki chirurgicznej przy Drummstraße. Pracowaliśmy tam razem w ostatnich dniach stycznia. Mimo że od tego czasu minęło pół roku bezustannego pustoszenia, siostra Ida nie ma wątpliwości, że odnajdzie ukryte wówczas rzeczy. I rzeczywiście. Z szerokiej szczeliny obok bocznych drzwi wejściowych wyciąga kilka pojemników z maścią, sporo środków opatrunkowych oraz kilka kanistrów alkoholu i benzyny – ku wielkiemu zdziwieniu personelu ambulatorium, które tymczasem się tu zainstalowało. Ładujemy szybko naszą zdobycz na wóz i odjeżdżamy, zanim ktoś zdąży się o nią upomnieć.

Również i tu, w klinice, rozgrywał się niejeden dramat. Doktora opowiadała mi już w obozie, że po wkroczeniu Rosjan mój dawny czeski sanitariusz zainicjował tu zabiegi dentystyczne na wielką skalę, to znaczy zakładał Rosjanom na zdrowe zęby złote koronki wykonane ze zdobycznych pierścionków. A na tym, co pozostało ze złota, tak się wzbogacił, że jakiś Rosjanin obrabował go i zabił.

Podczas każdej wyprawy szukamy nie tylko leków, ale też łóżek i materaców. Pacjenci mogący chodzić – pięciu ludzi, którzy tylko dla niepoznaki są w szpitalu – tworzą grupkę, która przynosi potem te rzeczy i rozstawia na oddziale. Upatrzyliśmy sobie zwłaszcza ruiny zamku. Są

one nadal strzeżone, co potwierdza, że jest tam jeszcze coś do wzięcia.

Któregoś poranka, o godzinie piątej wyruszamy. Pojawiają się zwiadowcy z meldunkiem, że strażnik już odszedł. Natychmiast wdzieramy się do środka i w wielkim pomieszczeniu na lewo od bramy znajdujemy kilka skrzyń ze środkami opatrunkowymi i wiele innych przydatnych rzeczy, które ładujemy na wóz i przewozimy w kilku turach. Parę ciężkich skrzyń obwiązanych drutem, czekających na wysyłkę do Moskwy, musimy niestety pozostawić. Zabieramy jedynie zapakowany obraz z napisem „Brueghel” – jako kuriozum. Na miejscu okazuje się, że jest to mnóstwo drewnianych klepek, których nie sposób złożyć. Prawdopodobnie został rozbity siekierą, a potem ktoś pieczołowicie odnalazł wszystkie części. Po południu przed wejściem do zamku znów stoi strażnik.

Niedaleko nas, po drugiej stronie Königstraße profesor Starlinger prowadzi tak zwany lazaret zakaźny, do którego podłączony jest również lazaret przy Yorckstraße i Szpital św. Elżbiety. Z czasem zgromadzono tam około 2000 chorych na tyfus. Leżą po dwóch w jednym łóżku, dzieci czwórkami. Wiele słyszymy o tym lazarecie. Przez długi czas nie miałem jednak okazji, by tam wpaść. Nadarza się ona dopiero wówczas, kiedy jeden ze szpicli z oddziału gruźliczego opowiada mi, że Starlinger jest przywódcą klikki, która nastaje na moje życie i kilku innych ludzi. Znajduję profesora w pomieszczeniu przypominającym celę mnicha – leży na wąskiej pryczy, obok stoi stół z książkami. W ręce trzyma – nie wierzę własnym oczom – książkę, której akurat poszukuję: *Myśli i wspomnienia Bismarcka*, tom trzeci. Od razu wywiązuje się przyjemna rozmowa, choć mamy odmienne poglądy. Nie podejmuję w ogóle bzdurnej plotki, która mnie tu przywiodła, nie pytam też profesora, czy naprawdę ma tyfus, jak głosi napis na drzwiach. Pewnie tylko udaje, chcąc na chwilę uwolnić się od Rosjan. Po godzinie żegnam się, podbudowany tym spotkaniem.

Cała ta instytucja „lazaretu zakaźnego” ma pewien styl. Jeśli pominąć kuriozalne szczegóły, jest ona wyrazem przekornego dążenia do porządku. A to w obliczu otaczającego nas chaosu jest czymś niezwykle budującym.

Wychodząc z budynku, natykam się na budzącą postrach pielęgniarkę, o której już wcześniej była mowa. Znam ją z czasu oblężenia, kiedy była jeszcze zupełnie niegroźna. „Niechże wpadnie pan do mnie na herbatę” – woła do mnie, a ja przyjmuję zaproszenie. Tuż przy wejściu do lazaretu, skąd ma wszystko na oku, zajęła z pomocą swego rosyjskiego majora dwa pomieszczenia i umeblowała je sprzętami dyrektora kliniki dla nerwowo chorych. Chociaż wszystkie te meble są mi dobrze znane, prezentuje mi całe wyposażenie jako spuściznę po zmarłym bracie. Mam wielką ochotę na herbatę i ewentualnie na kawałek słoniny, który dostrzegam gdzieś w głębi – w związku z tym wysłuchuję w milczeniu tych kłamstw, by tylko dostać to, na co czekam.

W pobliżu Szpitala św. Elżbiety jest staw gaśniczy z dość czystą wodą i czasem się tam kąpię. Mieści się on na wolnym terenie, otoczony kulisami ruin. Można tu pobyć w samotności, bo cały kompleks szpitalny jest pusty. Tylko raz kogoś tu spotkałem – dwoje dzieci, które również przyszły się wykąpać. Skoczyły do wody, nurkowały, wypluwając potem całe fontanny wody. Dziwne, skąd wzięło się w nich tyle energii. Zawołałem, żeby lepiej nie łykały wody z powodu zagrożenia tyfusem. Nie posłuchały i odkrzyknęły: „Co z tego, przecież wszystko jedno, na co się zdechnie. I tak stąd nie wyjdziemy”.

Zawsze dość interesująca jest wyprawa do fryzjera, który urządził się u nas, na parterze. To miejsce spotkań szpicli. Lustra i kawałki szkła są tam tak poustawiane, że nie można podnieść głowy, by nie natknąć się na ich baczne spojrzenia.

Pod koniec lipca zaczynają opuszczać mnie siły. Czuję się słaby, nie mogę zaczerpnąć porządnie oddechu ani dłużej stać, ciągle muszę

się o coś podpierać. To nic specjalnego. Jednak któregoś dnia pojawia się zaalarmowany przez kogoś Schreiner i zabiera mnie do Szpitala św. Elżbiety. Tam po prostu kładę się do łóżka i nie martwię już o nic. Ogarnia mnie nieskończony spokój. Wraz ze mną leży dwóch katolickich księży, jeden jest chory na tyfus, a drugi, jak przypuszczam, tylko się ukrywa. Mam widok na białą ścianę kaplicy i przez jej wąskie otwory okienne dochodzi co pewien czas cichy śpiew. Całkowicie się poddaję. Opiekuje się mną Schreiner, profesor Starlinger przychodzi mnie zbadać, a siostra Raphaela to prawdziwy anioł.

Po czternastu dniach czuję się lepiej i mogę już zacząć udzielać się w szpitalu. Tutejszym siostronom się poszczęściło, gdyż ani nie zostały wyrzucone, ani się nie spaliły. Dlatego też są tutaj pewne rzeczy, których próżno by szukać gdzie indziej. Zanim zdążyli wejść Rosjanie, zatopiły piwnicę. Tym sposobem uratowały się przynajmniej konserwy. Ważną rolę odegrała też ich solidarność i brak donosicielek. W ten sposób mogły na jednym z wyższych pięter przez dłuższy czas przechować krowę.

Pod koniec sierpnia znika Schreiner. Rosjanin, któremu zaaplikował jedną z typowych kuracji, zabiera go teraz ze sobą. Wie o tym tylko siostra Raphaela i ja. Niestety, nie można żegnać się z wszystkimi, choćby się chciało. Rosjanin wywiezie go do Stettina, ale jak się stamtąd wydostać, nie wiadomo. Niejeden już stąd się ulotnił, również lekarze, a wiemy, że złapali tylko niewielu.

Przenoszą mnie do pokoju Schreiner. Obok mieszka Brichzy, który też pracuje jako lekarz. Młodszy lekarz Ott, który należał do mojego zespołu w lazarecie, a także ksiądz Groß, z którym leżałem chory, przychodzą czasami wieczorem z lazaretu zakaźnego – gramy w skata, w szachy lub urządzamy ziemniaczaną ucztę, którą zawdzięczamy rosyjskim pacjentom. W kącie stoi zwój płótna o wysokości dwóch metrów, który dla zabawy czasem rozwijamy. To szczególna zdobycz,

a mianowicie ogromne olejne malowidło z sali posiedzeń prezydium skarbowego. Brichzy wyciął je pospiesznie z ram, kiedy musieliśmy się stamtąd wynosić. Mimo swych ogromnych rozmiarów przedstawia tylko skrawek mizernego lasu i bajoro na pierwszym planie – to chyba symbol nadchodzącego zubożenia; jednak jego zniknięcie bardzo strapiło Rosjan, którzy poruszyli niebo i ziemię, żeby je odnaleźć. Ale nikt dotąd nie wiedział, gdzie się podziało. (Później okazało się pozytywne: pogrzebana w nim została Erika, a z reszty uszyto plecaki na wyjazd.)

W porze obiadowej wychodzę czasem na dach się poopalać. Nadchodzi jesień. Wrony przelatują nad umarłym miastem i zastanawiam się, jak by je złapać. Może w worki z lepem, ale teraz by tam jeszcze nie wlaży. Dopiero zimą – ale nie, nie chcemy i nie możemy jej tu już spędzić. To po prostu niemożliwe. Wszyscy ludzie przecież poumierają. A do tego mróz i wiele miesięcy, podczas których nic nie rośnie, nawet chwasty – nie wolno o tym myśleć.

W połowie września do Szpitala św. Elżbiety trafia Erika z tyfusem. Jest ciężko chora. Przez wiele dni leży w malignie, ma niestabilny puls. Kiedy przychodzę, majaczy, ostrzega mnie przed rzekomymi przyjaciółmi, którzy nastają na moje życie, i błaga, bym uciekał. To męka na nią patrzeć. Na szczęście leży w łóżku i ma dobrą opiekę. Siostry robią wszystko, co w ich mocy.

Wracam do Szpitala Centralnego, gdzie mój oddział męski przejął doktor Keuten, wyleczony z tyfusu. Życie jego i żony było poważnie zagrożone, oboje leżeli długo u Schreineru w Szpitalu św. Elżbiety, przez wiele dni prawie bez pulsu, aż wreszcie ich stan powoli zaczął się poprawiać. Tymczasem dwaj inni młodzi lekarze, Thiele i Arndt, zmarli na tyfus.

Krótko po moim powrocie do pracy w Niemieckim Szpitalu Centralnym tyfus powala doktora Raucha. Nie zostaje jednak przeniesiony,

lecz pozostaje w swym pokoju. Na naszych oddziałach pojawia się też tyle przypadków tyfusu, że izolowanie chorych już dawno nie ma sensu. Jedyną korzyść, jaka z tego wynika, to coraz rzadsze najścia Rosjan. Na piąte piętro przychodzą jedynie w wyjątkowych przypadkach i natychmiast znikają. Doktor Keuten przejął oddział kobiety. Giese leży z dyfterytem, siostra Martha Wolf z sali operacyjnej zmarła na tyfus i została pogrzebana na szpitalnym dziedzińcu. Fachowiec od odwyszawiania, młody, silny wojak, też już nie żyje. Podobnie jeszcze wielu innych, których znałem. Nie da się ich wszystkich wymienić. Spośród duchownych ewangelickich, którzy zostali w Königsbergu, połowa nie żyje. Mam wrażenie, że jest ich już tylko pięciu. Odwiedzili mnie dwaj z nich, którzy zawsze trzymają się razem i razem też mieszkają: pastor Beckmann i pastor Müller (z Haberbergu). Postanowili systematycznie odtwarzać strukturę kościelną i w związku z tym dotarli aż do komendanta miasta.

Na początku października odzyskuję siły na tyle, że mogę złożyć rewizytę obu pastorom. Mieszkają w dzielnicy Ponarth, w maleńkiej izbie, pod opieką wikariuszki, pani Sendner, odwiedzają wielu ludzi i odprawiają nabożeństwa. Niewielu jednak w nich uczestniczy, bo wszyscy boją się, że w tym czasie ktoś okradnie ich domostwo z resztek dobytku.

Spacer do Ponarth oznacza trudności. Na jedynym czynnym moście Drewnianym przez Pregołę za Ostrowem Tumskim stoi wartownik i niechętnie kogokolwiek przepuszcza. Potem trzeba wdrapać się na nasyp kolejowy obok Dworca Głównego, ponieważ zawalił się duży przejazd. Czyhają tam rosyjskie wyrostki, od których w Ponarth aż się roi, i napadają na kobiety przechodzące z wysiłkiem przez tory. Zawsze zbiera się grupa kilkorga chętnych, by wspólnie pokonać te przeszkody. Ja dla bezpieczeństwa zabieram ze sobą żelazny pręt i wymachuję nim na postrach.

Październik przyniósł zimno i deszcze. Nasz szpital wygląda już

jak ogromny wóz cygański. Z co drugiego okna wystaje dymiąca rura, uszczelniona papą. Do miasta weszły znów nowe oddziały, nasiliły się więc napady i gwałty. U nas też od czasu do czasu ktoś strzela w okna.

Od pewnego czasu zdarzają się przypadki jedzenia ludzkiego mięso. Nie należy się temu dziwić ani na to oburzać. Jak wstrząśnięci byliśmy jeszcze nie tak dawno, kiedy słyszeliśmy o takich przypadkach w obozach rosyjskich jeńców wojennych w naszym kraju. Wyobrażaliśmy sobie, że tylko Azjaci są do tego zdolni. Teraz Rosjanie oburzają się na nas. Całe tomy mógłby opowiadać o tym doktor Rauch, którego wzywają zawsze do sekcji, ekshumacji, ekspertyzy mięsa i innych podobnych okropności. Szczególnie wdzięczni byliśmy mu za wygłoszony w ramach zarządzonego przez Rosjan doksztalcania wykład na temat tak zwanej choroby obrzękowej. Jego przedmówca bojaźliwie krążył wokół tematu, natomiast on zademonstrował na zwłokach młodej dziewczyny chorobę, którą Rosjanie i ich zwolennicy uważają za niezwykle interesującą. Wszystkie organy i tkanki przedstawiał i opisywał z nadzwyczajnym spokojem i znajomością przedmiotu. Na zakończenie zwrócił się do siedzących przed nim Rosjan następującymi słowami: „Dajcie im jeść, wówczas choroba minie sama”.

Ostatnio narastają krążące już od tygodni pogłoski, że w najbliższym czasie zostaniemy przetransportowani na Zachód. Szwedzkie okręty, które mają nas stąd zabrać, są już podobno w drodze. Jako pierwsi mają wyjechać mieszkańcy zachodniej części miasta, a potem reszta wraz z chorymi ze szpitali. Nie ma się co dziwić, że wśród wynędzniałych ludzi takie wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. A ponieważ nikt nie może sobie odmówić dodania jakiegoś wymyślonego detalu, wkrótce już wiadomo, jak duże są te okręty, jak wyglądają w środku, co dają tam do jedzenia i inne szczegóły, będące pożywką naszych prymitywnych marzeń. W Pillau, dokąd mają przybyć statki, Czerwony Krzyż organizuje

już obóz. A ponieważ transport będzie się odbywał pod międzynarodowym nadzorem, nie musimy się obawiać, że Rosjanie wywiozą nas dokądś indziej.

Wizja wolności staje się z dnia na dzień coraz bardziej realna. I mimo że nie potwierdziły się żadne wcześniejsze pogłoski, ludzie sięgają do ostatnich rezerw, byle tylko dotrzeć do odjazdu. Ostatnią wełnianą kurtkę oddają za sześć ziemniaków, jedyny płaszcz za puszkę mięsa i wyciągają ukrywane dotąd skrzętnie przedmioty. Szalbierze co sił wykorzystują tę sytuację. Sprzedają konserwy wypełnione klejem i liśćmi. Jeśli ktoś daje się w taki sposób oszukać, może przy okazji takiego handlu postradać resztę rozumu.

Tymczasem rok nieuchronnie chyli się ku zimie. Leje jak z cebra, dni stają się coraz krótsze. Wieczorami, kiedy jest już tak ciemno, że nie sposób rozpoznać chorych, zbieramy się w maleńkiej narożnej izbie, w której mieszkają Giese i Röckert. Przy „lampce Hindenburga” robi się tu całkiem przytulnie. Brakuje nam tylko Eriki, której życie jest ciągle jeszcze zagrożone. Kiedy się rozstajemy, wstępuję jeszcze do doktora Raucha; ma on wysoką gorączkę i opowiada tak ciekawie, że można go słuchać godzinami. Fantazja i rzeczywistość przenikają się niepostrzeżenie. Również i jego myśli krążą wokół wyjazdu i pewnego dnia opowiada mi o trzynastu okrętach, na których w najbliższym czasie wyruszymy w podróż. Według niego statki nie zakotwiczyły w Pillau, lecz są już w porcie w Königsbergu. Z dachu powinny właściwie być już widoczne. W końcu zleca mi, bym sprawdził to następnego ranka i zdał mu relację.

Z wielką przyjemnością za każdym razem wchodzę po tych żelaznych schodach na dach. Czuję się na nim wolny jak ptak, który musi tylko rozwinąć skrzydła, by zostawić za sobą cały ten koszmar. A kiedy wdrapię się na nadbudówkę windy, stoję w najwyższym punkcie w okolicy.

Rzeczywiście można stąd zobaczyć port. Daleko na zachodzie, na skraju pola ruin łśni pasmo wody. Ale choćbym nie wiem jak wyteżał wzrok, nie mogę dostrzec żadnego statku. Jak miałyby zresztą tam wpłynąć? Wiadomo, że basen portowy jest jeszcze niezeglowny.

Doktor Rauch przyjmuje do wiadomości moją relację z wyrozumiałym uśmiechem. Twierdzi, że nieuważnie patrzyłem. Powinienem się trochę bardziej wysilić. To nie jest przecież takie proste, dodaje. Obiecuję mi sprawdzić jeszcze raz, kiedy pogoda się poprawi, a potem raczę go najnowszymi wiadomościami z lazaretu zakaźnego. Przygotowywane są tam plany przetransportowania 2000 chorych na tyfus. Dwóch ludzi, którzy utrzymują, że mają radio, udziela na bieżąco informacji o pozycji i wyposażeniu okrętów. Profesor Starlinger nakazał lekarzom, by się w porę zastanowili, kto chce z kim dzielić dwuosobowe kajuty.

Ja sam znajduję się w osobliwej rozterce. Z jednej strony, wbrew wszelkim wątpliwościom, oddaję się tym samym iluzjom, choćby po to, żeby nie musieć myśleć o zimie. Z drugiej, nie jestem w stanie się cieszyć, gdyż ziemia, na której żyjemy, jest zbyt ciężka od umarłych. Niemal przeszkadza mi myśl, że nasz dylemat miałyby się teraz tak pomyślnie rozwiązać. Jaki będziemy mieli wyraz twarzy, kiedy spotkamy się z ludźmi, a oni spytają nas o tych, którzy nie wrócili? Trzeba będzie po prostu przemilczeć cierpienia zmarłych, by cały czas nie czerwienić się ze wstydu na dźwięk wyrzutów. „Coooo? – słyszę już jak pytają – a wy wracacie i jeszcze chcecie żyć? Co z was za ludzie? Na pewno przeżyliście kosztem innych!” Jak odpowiedzieć na to wszystko? Nie wiem, jak można będzie zacząć nowe życie, nie dopuszczając się zdrady na zmarłych.

Potem nadchodzi jednak dzień, który unieważnia wszystkie te refleksje. 18 października, pod wieczór, kiedy akurat wracam z beznadziejnego obchodu, pojawia się niesłychanie zdenerwowana Paula i

mijając mnie, szepcze: „Panie doktorze, musi pan uciekać, chcą pana jutro rano aresztować. Usłyszałam o tym przypadkowo. Mam nadzieję, że nikt mnie nie zauważył, bo będzie ze mną krucho. Niech się pan przygotuje. Przyjdę jeszcze raz o zmroku”. I zaraz oddaliła się szybkim krokiem. Patrzę w jej kierunku i czuję, jak budzi się we mnie energia do życia, o której już dawno zapomniałem. Jeszcze raz uwolnić się od tej służby grabarza, jeszcze raz stanąć na własnych nogach – tak długo tęskniłem za tą chwilą, że teraz już nie wiem, co robić. W pośpiechu pakuję parę rzeczy i zanoszę je do szarytek w Szpitalu św. Elżbiety. Potem powiadamiam obu moich wiernych towarzyszy. Najchętniej zabrałbym ich ze sobą w tę drogę w nieznaną. Oni jednak nie potrafią tak szybko podjąć decyzji, a poza tym mają nadzieję wydostać się stąd legalnie.

Po zapadnięciu zmroku pojawia się Paula i opowiada, czego się dowiedziała. Przez przypadek usłyszała, jak pewien Rosjanin kazał sobie przeliterować moje nazwisko, żeby mnie jutro rano aresztować. Doniósł na mnie człowiek, do którego często chodziłem po lekarstwa z zapasów w szufladzie. Wiem, że jest szpiclem, i mogę sobie wyobrazić, że figuruję na jego liście. Ale zawsze żyłem z nim w zgodzie. Co też go skłoniło, żeby mnie teraz wydać NKWD? Zresztą to nieważne, ale tym razem jestem mu z całego serca wdzięczny.

Pauli ufam, bo uwielbiała Doktorę, a za mną poszłaby w ogień. Znamy się już bardzo długo. W ostatnich dniach oblężenia w Szpitalu Miejskim miała się każdej roboty. Drugiego dnia po wkroczeniu Rosjan uprowadziła konia, zaszlachtowała go, ugotowała i mięsem nakarmiła pacjentów. Potem ciężko zachorowała i wyzdrowiała pod opieką Doktory w prezydium skarbowym. Zachowuje się i ubiera tak, że nikt nie wie z całą pewnością, czy jest kobietą, czy mężczyzną, dlatego też nikomu nie udaje się tak jak jej wodzić Ruskich za nos. Z jej zdobyczy korzystają potem ci, którzy są jej bliscy. Często przynosi nam coś do jedzenia, a potem

z sympatii do mnie zaopatruje jeszcze dwóch młodych, ciężko chorych ludzi z mojego oddziału, których ulokowałem oddzielnie, w małym pokoju. Mają jeszcze stosunkowo dużo sił, potrzebują więc specjalnej opieki. Teraz jeszcze raz polecam ich jej dobroci.

Wieczór spędzam z przyjaciółmi. Czytają mi na głos z ostatnich rozdziałów Pisma Świętego. A na pożegnanie dają mi reprodukcję wyciętą z jakiegoś albumu Rafaela: „Uwolnienie św. Piotra z więzienia przez anioła”. Potem śpię mocno jeszcze kilka godzin aż do rana, bez snów.

Kiedy się budzę, wszystko przesłania szara woalka mgły i deszczu. Nieliczne drzewa, które uchowały się na dziedzińcu szpitalnym, gubią już ostatnie liście. Ubieram się cicho i wychodzę na korytarz. Doktor Fincke, z którym od kilku tygodni dzielę pokój, patrzy na mnie ze zdziwieniem. Waham się przez chwilę, ale potem szybko mu mówię, o co chodzi. W przeciwnym razie miałbym poczucie zdrady. Przed drzwiami do sal chorych leżą już zmarli z ostatniej nocy. W porannych godzinach gasną najłatwiej, całkiem bez walki, wszystko mają już poza sobą. Pozostało bardzo niewiele, z którymi wiązę jeszcze jakieś nadzieje, wśród nich tych dwóch, którymi zajmie się Paula. Życie toczy się już tylko między wierszami.

Piętro niżej jest już na nogach siostra instrumentariuszka. Wymieniamy parę słów, a potem zdradzam jej, że mój czas tutaj dobiegł końca. Natychmiast zrozumiała i mówi mi dobre słowo na drogę. Poza tym nie chcę nikogo więcej narażać. Kiedy dowiedzą się o mojej ucieczce, muszę być daleko.

Jest już całkiem jasno, kiedy opuszczam budynek. Bez bagażu nie będę chyba jednak zwracał na siebie uwagi. Poza tym deszcz pomaga się ukryć. Niech Bóg ma was w opiece, was wszystkich, drogich mi i strasznych ludzi, którzy mieszkacie pospołu pod tym dachem. Ilu z was jeszcze zostanie wywiezionych przez tę mroczną tylną bramę i dalej parę

kroków do ruiny kościoła na Altroßgarten, a potem na lewo do miejsca, na którym od czerwca w zbiorowych mogiłach pogrzebano już 5000 mieszkańców tego domu.

Przechodząc obok, żegnam się też z grobem Doktory. Zawsze marzyła, żeby jeszcze raz po kryjomu przewędrować te wschodniopruskie ziemie, bardziej z myślą o samej wędrowce niż o konkretnym celu. Gdyby jeszcze żyła, poszłaby teraz ze mną.

Tego dnia Erika wstała po raz pierwszy z łóżka i rozpromieniona wychodzi mi naprzeciw, trzymając się poręczy. „Niech pan spojrz, doktorze, jak już dobrze chodzę” – woła do mnie. „Brawo, na początek całkiem niezłe” – przyznaję. A potem muszę i jej powiedzieć, dlaczego przyszedłem. Łapie wszystko w lot. „O tak, to wspaniale! Już się ubieram. Za 10 minut możemy iść.” Nie udaje mi się jej wytłumaczyć, że dzisiaj nie jest jeszcze na siłach, by przejść wiele kilometrów. „Niech pan tylko się zgodzi – mówi – ja mogę wszystko, jeśli tylko zechcę.” Co robić? Jak długo znam Erike, jej życie zawsze oznaczało poświęcenie się dla innych. Nigdy nie wyrażała własnych życzeń. A teraz mam zgodzić się, by poszła ze mną, dopóki starczy jej sił. To szaleństwo, ale wiem, że byłby to dla niej śmiertelny cios, gdybym odmówił. Ona też jest już po drugiej stronie, a stamtąd nie ma powrotu. Zgadzam się więc, podejmując ryzyko całkowitej porażki.

Siostra Raphaela, której można spokojnie powierzyć wszystkie najbardziej skryte plany, przynosi mi plecak dopakowany przez nią pożywnym prowiantem z jakiegoś schowka. Pojawia się Brichzy, a potem długo czekamy na Erikę. Tymczasem przychodzi jeszcze posłaniec ze Szpitala Centralnego – mała pani Passarge, która pracuje na moim oddziale jako salowa. Ponagła, ponieważ Rosjanie już mnie szukają.

Około dziesiątej jesteśmy wreszcie gotowi do wyjścia. Ruszamy zbyt grubo ubrani w rzeczy odziedziczone po zmarłych i solidnie obładowani.

Erika musi trzymać się jedną ręką ruin – iście groteskowa ucieczka. Patrzą na nas z okien i kręcą głowami. Nie ma wątpliwości, jak to się skończy. Gdzieś na skraju drogi Erika zasłabnie i tam już zostanie. Znamy to, wszędzie tak leżą. Można mieć tylko nadzieję, że stanie się to jeszcze w obrębie miasta. Będzie przynajmniej jakaś szansa, by ktoś pomógł jej wrócić. Codziennie jeździ tędy wóz konny i przywozi do szpitala pacjentów z Schönfließu^[55].

Poruszamy się w żółwym tempie przez spustoszone miasto. Mija nas niewielu Rosjan, żaden z nich nas nie zauważa. Strugi deszczu są znów naszym sprzymierzeńcem. Pierwszą większą przeszkodą jest przejście przez Pregolę. Na środku mostu Drewnianego stoi mongolski wartownik. Już prawie go minęliśmy, kiedy nagle woła do nas i domaga się pokazania dokumentów. Pokazujemy mu kartkę, na której po rosyjsku zapisano nasze zwolnienie ze szpitala, zaś jako cel podajemy jedną z podmiejskich miejscowości. To mu wystarcza i zaraz potem znikamy pośród typowych szkieleatów budynków na lewym brzegu Pregoli. Zdaje się, że tutaj też mieszkają jeszcze ludzie – gdzieś na końcu długich ganków, które giną w ruinach jak za kulisami.

Przy następnym wzniesieniu Erika opada z sił. Siada na występie schodów i z trudem łapie oddech. Prosi o chwilę cierpliwości, zaraz ruszymy dalej.

Przed nami zatrzymuje się fura, ciągnięta przez dwa zmęczone konie. Trzech starych mężczyzn ładuje pozostałości sań i wozów, które od czasu ucieczki leżą na skraju drogi. Zabierają Erike. Co parę kroków zatrzymują się, a ja pomagam, jak mogę, przy ładowaniu rupieci. Tracę przy tym coraz bardziej na siłach, których nie mam zbyt wiele, maleje też szansa na wydostanie się z miasta jeszcze tego dnia. Tyle tylko, że nikt nie zwraca na nas uwagi.

[55] Komsomolskoje, osiedle w Kaliningradzie.

W okolicach Bramy Frydlandzkiej ulica jest bardziej ruchliwa. Stoi tam jeszcze kilka niezłe zachowanych domów. Wojsko sowieckie zajęte jest akurat eksmitowaniem ludzi, którzy znaleźli tu prowizoryczne schronienie. Taki jest ich los już od pół roku, ciągle od nowa. Wolno im zabrać, co uniosą w rękach. Reszta zostaje dla żołnierzy, którzy chcą się tu wprowadzić. Na zmartwiałych twarzach nie widać już żadnych emocji. I komuś, kto nie był świadkiem, jak tych ludzi stopniowo doprowadzano do stanu takiego upodlenia, może się wydawać, że słusznie traktuje się ich jak bydło. Stoją teraz na ulicy – kobiety w nieokreślonym wieku, poumierane w worki, nogi i stopy nieforemnie spuchnięte i owinięte szmatami. Nie pozostaje im nic innego, jak przenieść się do altanek w ogródkach – teraz, na zimę. Rosjanie już w ogóle się nimi nie interesują. Może zatrzymali się tu tylko chwilowo. Oni też chyba nie mogą nigdzie zaznać spokoju.

Przy wyjeździe na Löwenhagen fura skręca w lewo. Chyba pochodzi z gospodarstwa, na które Rosjanie ściągnęli ludzi do prac rolniczych. Zsiadamy i idziemy dalej pieszo. Zamierzam możliwie szybko dotrzeć do tej części Prus Wschodnich, która – jak słyszeliśmy – została przekazana Polakom. Sądzę, że tam będzie łatwiej się ukryć. Zaraz za Preußisch Eylau zaczyna się podobno polskie terytorium. Ale tak dokładnie nikt nie wie. W każdym razie wydaje mi się sensowne skierować się najpierw na południe. W Eylau trzeba uważać, żeby nie dostać się do zbiorczego obozu, o którym słyszeliśmy. O ile można coś przewidywać, tam właśnie jest najniebezpieczniej.

W samym środku podmiejskiego Schönfließu Erike ostatecznie opuszczają siły. Osuwa się na kupę kamieni i nie może już wstać. Czuję na sobie znowu cały ciężar nieszczęścia, które dźwigam jak wielki, mokry wór. Czy nie jest to gorsze niż mordowanie – to, co ja tutaj robię? Jestem bliski zawrócić – niech się dzieje, co chce. Podchodzi do nas jakiś Rosjanin. Myślę, że mnie aresztuje. Ale pyta tylko o drogę i idzie dalej.

Stoję jeszcze przez chwilę i czekam, gotowy pójść za głosem zmęczonego serca. Ale potem Erika zbiera się w sobie, a to, co mówi, brzmi jak rozkaz: „Pan musi już iść, doktorze. Chciałam pana tylko wyprowadzić z miasta. Niech pan pozdrowi ludzi i powie im, że mają się opamiętać, żeby nie przytrafiło się im to co nam”.

Jeszcze to mówi, kiedy uświadamiam sobie nagle, że od paru dni chodzi mi po głowie stara, przepiękna pieśń. „I nie narażajcie życia...” Niedawno przypadkowo odkryłem ją na nowo. Co mam jeszcze powiedzieć, o czym zapewnić? Na co jeszcze czekam? Czy między mną i Eriką nie stoi już anioł? Powoli ruszam, najpierw z wahaniem, potem coraz pewniej i szybciej. Oglądam się jeszcze raz za siebie – siedzi wyprostowana i macha do mnie. Wygląda to jak triumf.

GRASNITZ

19 października 1945

Przede mną mokra od deszczu szosa na południe. Nieoczekiwanie w moje śmiertelnie zmęczone kości wstępują siły, a stopy same stawiają miarowe kroki. „Z nową siłą, nim duch uleci!”^[56] I tak oto człowiek powraca do udręki życia, kiedy Bóg po wielu śmierciach daje mu jeszcze raz tę szansę. Jestem przemoczony do suchej nitki, plecak uciska wychudzone ramiona, buty obcierają na potęgę – co jednak może powstrzymać, gdy na pełnych żaglach bierze się kurs na wolność? Wolniej, wolniej, bo z naprzeciwka znowu nadchodzą Rosjanie. „*Go on, my dear, they don't look at you*” – mimo woli sam do siebie wygłaszam takie zaklęcia, zaś swobodny krok zamienia się w żalodne utykanie. Już mnie minęli. Jeszcze raz się udało. Trzeba jeszcze wyraźniej stosować zasadę mimikry w postawie i ruchach. Bo przecież tu już się nie zdarza, by mężczyźni w moim wieku przemieszczali się swobodnie. Jeśli nie chce się zwracać na siebie uwagi, najlepiej iść środkiem drogi. Za dnia z całą pewnością nie należy chodzić bocznymi drogami. Znów nadjeżdża samochód, tym razem z tyłu. To jest jeszcze bardziej nieprzyjemne. Ale na szczęście na gładkiej szosie nabierają takiego tempa, że pewnie szkoda byłoby się zatrzymywać. Jeszcze parę razy powtarza się to samo. Z obu stron przejeżdżają pędzące samochody z Rosjanami. Może naprawdę nikt mnie nie widzi.

[56] Fragment pieśni niemieckiego poety doby romantyzmu, Achima von Arnima (1781–1831).

Miasto zostaje coraz bardziej z tyłu. Wyludnione ziemie. Na polach po prawej i lewej niezebrane zboża wyglądają jak szarozielony filc, bezkresny i nasączony wilgocią. Leje po bombach na drodze, roztrzaskane drzewa, w rowach wojskowe pojazdy, spalone miejscowości. W na wpół zniszczonym domu szukam na chwilę schronienia przed deszczem i wiatrem. Obok coś się porusza. Słyszę chrzęst cegieł i widzę kilka obdartych postaci, które stoją, w odrętwieniu patrząc przed siebie. Jest z nimi trójka dzieci. Taksują mnie wrogo. Najwidoczniej też uciekają z Königsbergu i tutaj utknęli. Złapali ich Rosjanie i nie przepuścili dalej. Teraz nie mają już sił ani na dalszą drogę, ani na powrót. Ostatnio jedli parę ziemniaków rzuconych z ciężarówki, która nie tak dawno tu się zatrzymała. Nie pytam, ile zapłacili. Już ze sposobu opowieści wynika, że znów spadło to na kobiety. O niebiosa, komuż jeszcze mogą spodobać się takie widma? Jak tak dalej pójdzie, nikt już nie zazna szczęścia.

Wittenberg jest następną miejscowością, którą mijam. Tu też na pierwszy rzut oka nikogo nie widać. Potem jednak za zakrętem dostrzegam nagle kilka ciężarówek na szosie. Za późno już, żeby zjechać, gdyż jednocześnie obok mnie pojawia się Rosjanin przeszukujący najwidoczniej puste domy. Nie pozostaje nic innego, jak twardo ruszyć do przodu. Z wysiłkiem kuśtykam dalej i zatrzymuje się przy ciężarówkach. Są pełne niemieckich jeńców z obozu koło Tapiau. Od trzech dni jeżdżą w poszukiwaniu ziemniaków. Teraz kierują się do Preußisch Eylau. Strażnicy nic nie znaleźli, wsiadają więc do samochodów. Jeden z nich spogląda w moją stronę. „A co to za jeden?” – słyszę, jak pyta. Idę na całość i proszę, żeby zabrali mnie do Preußisch Eylau. Po co tam jadę? No, szukam rodziny, dom *kaputt* – kilka nedorzeczných formułek. Ale przecież uciekam. Macha ręką, mogę wsiadać. Zanim ruszamy, kierowcy rzucają jeńcom niedopałki skrętów w gazetowym papierze. Ci już na to czekali i skwapliwie je łapią. Zdaje się, że nieźle funkcjonuje

takie obopólne porozumienie. Nie wolno tylko dokonywać porównań z dawniejszymi czasami.

Ukradkiem przyglądam się okropnie zarośniętym rodakom i zastanawiam się, którego z nich zabrałbym ze sobą, gdybym miał znowu uciekać. Ale niestety, wszyscy są za słabi, a ich buty też by nie wytrzymały. Podczas jazdy w szalonym tempie przez wyludnione ziemie wypytują mnie z ciekawością. Odpowiadam wymijająco. Nie ma sensu opowiadać im więcej.

Już widać Eylau. Bariera – jak na komendę zatrzymujemy się przed wjazdem do miasta. Strażnicy wysiadają i pertraktują z wartownikami. Pokazuję z radością jeden z pustych domów po prawej stronie i mówię, że to mój. Pozwalają mi wysiąść i pójść. Natychmiast wybiegam tylnym wejściem i pod osłoną zarośli i drzew biegnę wąską ścieżką na pola – przez płoty z drutu, pastwiska, obok małego gospodarstwa, a potem na lewo przez wysokie trawy do ukrytego rowu, który daje mi schronienie. Chwilowo jestem bezpieczny.

O rzut kamieniem od mojej kryjówki biegnie droga na zachód. Przestało padać, zaczyna się ściemniać. Wyciągam zeszyt z cytatami z Biblii, żeby zanotować kilka słów. Cytat dnia brzmi: „Ale Noe znalazł łaskę w oczach Pana”^[57]. Poczucie bezpieczeństwa dodaje nieskończonej otuchy. Robię notatki, a moja kolumna ciężarówek przejeżdża obok, jak na defiladzie. Pewnie i tu nie mieli szczęścia z ziemniakami. Spoglądam w ich stronę z wdzięcznością. Pomogli mi pokonać spory kawałek drogi. Po chwili przeciąga nade mną z wielkim, nasilającym się szumem chmara szpaków, nieprzebrane tysiące, wlatują, opadają i znikają nad lasem na zachodzie. Powoli rozstępuje się pokrywa chmur, w prześwitach ukazują się pojedyncze gwiazdy. Mleczne światło każe przypuszczać, że wkrótce pojawi się księżyc. Na drodze jeszcze raz robi się głośno. Od strony lasu

[57] Rdz 6,8.

pędzi wóz wiozący pijanych Rosjan, jeden z nich wychyla się z boku, drugi krzyczy i okłada konie. Kiedy cichną w oddali, jest już noc.

Wstaję i skradam się jak zmoczony kot przez metrowej wysokości trawę, przechodzę na drugą stronę szosy i przedzieram się przez sfilcowany łąn żyta do następnego wzniesienia. Nagle ukazuje się księżyc i zbyt jasno oświetla okolicę. Dalej prowadzi mnie piaszczysta, polna droga, przy której stoją pojedyncze wierzby. Ale potem muszę znów odbić na lewo, przez stare łąny zbóż, łąki i porośnięte sitowiem rowy, ponieważ nie chcę zgubić kierunku na południowy zachód.

Wkrótce coraz wyraźniej widzę przed sobą jaśniejsze miejsce. Czyżby to polsko-rosyjska granica? Nikt nie wie, jak tam wygląda. W duchu widzę już, jak w jaskrawym świetle czołgam się pod kolczastymi drutami. Kiedy jednak podchodzę bliżej, stwierdzam, że to tylko jasno oświetlona wieś. Można ją ominąć. Pośród olch i topól wije się rzeczka. Znajduję most i skręcam całkiem na prawo. Ostatni dom zostaje daleko po lewej. A jednak wywęszył mnie jakiś kundel, ujada i jest coraz bliżej. Ścigamy się przez drucziane ogrodzenia i grodzone pastwiska. W biegu wyciągam z teczki nóż amputacyjny i grożę nim psu. W końcu zawraca. Daleko we wsi padają strzały. Dotarłem już do lasu.

Po krótkiej przerwie na zaczerpnięcie oddechu idę dalej gliniastymi leśnymi drogami. Między pniami świeci księżyc i srebrzyście rozświetla trzciniastrą trawę. Las się kończy i trafiam na obsadzony starymi drzewami wojskowy trakt, który ciągnie się daleko przez okolicę. Odczytuję z gwiazd, że biegnie w korzystnym dla mnie kierunku, ale wolę jak poprzednio iść na przełaj przez pola,, żeby przypadkowo nie wpaść w ręce wartowników z jakiegoś posterunku. Znowu więc przez zdziczałe pola, strugi, płoty i zarośla. Potem dalej po rozmokłych polnych drogach, obok pojedynczych gospodarstw i zwartych osiedli. Nigdzie żadnego znaku życia. Przechodzę akurat obok opuszczonej osady, kiedy nogi odmawiają

mi posłuszeństwa. Staję przed jednym z domów, obserwuję, sprawdzam ślady stóp – nie, tu od dawna nikogo nie było. Księżyc znów się schował, porywisty deszcz smaga zbocza gołego wzniesienia. Musi być już po północy. Wiatr świszcze w krokwiach. Kiedy otwieram drzwi do domu, wewnątrz coś przewraca się z dużym łomotem. Niesamowite zwały desek, skorup i papieru. Kładę się na wyrwanych z zawiasów drzwiach do izby i próbuję spać. Nie mogę jednak usnąć. Wichura nieustannie wali okiennicami, skrzypią zawiasy furtki ogrodowej. Nie wiadomo, co się dzieje, i mam wrażenie, że zaraz ktoś wejdzie. Dlatego nie zostaję długo w tej okropnej miejscowości, której nazwy nawet nie znam. Tablice co prawda jeszcze stoją, ale napisy są zamazane.

Z coraz większym trudem utrzymuję równowagę. Gлина po kostki, na drogach wielkie kałuże. Wszystkie odpływy i drenaże są pewnie zapchane. Wpadam niemal w rozpacz, kiedy spostrzegam, że nie mam przy sobie teczek z suszonym chlebem. Decyzja, żeby z jej powodu wracać, jest trudna. Ale na szczęście szybko ją odnajduję pod ostatnim drogowskim, który próbowałem odcyfrować, zapalając zapalniczki. Z radości pociągam solidny łyk z wojskowej manierki, napełnionej przez siostrę Raphaelę wspaniałą lemoniadą.

Wkrótce potem znosi mnie znowu w pobliże głównej drogi, której nie straciłem z oczu. W tumanach mgły połyskują białawe ściany. Musi to być jakaś duża miejscowość. Powoli podchodzę bliżej, przeczekuję, czy nie ruszy się jakiś wartownik. Już słyszę zapraszający szum starych drzew, ale wtem w środku miejscowości rozlega się upiorne bicie zegara na wieży – trzy razy. Z ostrożności przeczołguję się na brzuchu przez jezdnię i przedostaję na drugą stronę drogi. Widoczna jest tam świeżo wymalowana tablica z nazwą miejscowości. Powoli udaje mi się odcyfrować napis cyrylicą: Landsberg. Landsberg! Nie do wiary. Nie mogłem lepiej trafić, bo tu odchodzi droga do Wormdittu. Dobrze znam

to miejsce.

Jest też i druga tablica z napisem po rosyjsku: Wormditt. Wormditt 36 km. To na dziś za daleko, ale kierunek się zgadza.

W miejscowości coś się dzieje. Z głośnym turkotem, który odbija się echem od niewidocznych ścian, toczy się mozolnie prastary ciągnik parowy i przejeżdża przez główną drogę. Rzucam się na bagnistą ziemię obok małej łąki. Zauważam kilka zagonów ziemniaków. Kilka wygrzebuje i chowam do kieszeni. Któż je tu zasadził? Z całą pewnością nikt, kto mógłby je zebrać. W przeciwnym razie by ich tu nie było.

Wydaje się, że do Wormdittu Rosjanie jeżdżą rzadziej. Droga wygląda na prawie nieuczęszczaną. Dla mnie tym lepiej, bo przez pola nie dam już rady. Nie troszcząc się o hałas, słucham, jak zelówki moich butów stukają po ulicznym bruku. Księżyc stoi już daleko na zachodzie. Coraz bardziej jaśnieje pasmo chmur, zza którego za chwilę się wynurzy. Jeszcze parę kroków i nagle martwieję. Drogę zagradsza mi czarny potwór. Mijają minuty, a ja bez tchu czekam w napięciu. Jednak nic się nie rusza. Zataczam ostrożnie duży łuk, żeby zobaczyć tajemniczy obiekt z boku. I zaraz spostrzegam z tyłu drugi czarny kolos. Jeszcze chwila i zagadka wyjaśniona: jak zastygłe potwory stoją tu dwa ciężkie czołgi, dawno temu rozbite. Ale i teraz włos się jeży, gdy przechodzić obok. Trochę dalej podobny widok, a potem droga jest już długo pusta.

Jakiś czas później przechodzę przez wieś, której domy wyglądają całkiem niezłe. Stoją w dużych odstępach po obu stronach drogi pod starymi kasztanowcami. Ściągam buty, żeby nie robić hałasu, i niosę je w ręce. Nic się nie rusza – ani człowiek, ani zwierz. Ale tam – dwie czerwone chorągiewki przy bramie ogrodu, to rosyjski posterunek. Wartownik musiał mnie już dawno zobaczyć. Wyłaż spod tego drzewa! – Ale nie, on na pewno siedzi w domu i śpi. Któżby miał się włóczyć po nocy.

Jeszcze parę kilometrów i na lewo odchodzi droga. Hanshagen, 3 km,

informuje drogowskaz. Nazwa brzmi obiecująco, muszę się tam dostać, zanim nastanie dzień. Coraz trudniej mi iść. Skrzypią mi ścięgna pod kolanami i nie mogę ich już rozprostować. Jeszcze jedno małe wzniesienie, a potem droga opada ku cichej wsi.

20 października

Hanshagen, mój ratunek. We wsi nie ma Rosjan. Komendantura w Petershagenie oddalona kawał drogi. Przyjeżdżają stamtąd czasem i przetrząsają domy. Jakiś czas temu pokazali się Polacy, ale potem zniknęli. Mieszka tu kilka kobiet i dzieci, większość z nich bez rodzinnych powiązań. Według uznania połączyły się w grupki. Część z nich utknęła tu podczas ucieczki, inne, zabłąkane, dołączyły. Z rdzennych mieszkańców nie ma nikogo.

Leżę w prawdziwym łóżku. Należy ono do dwóch starszych kobiet, które zamieszkują dom nieco oddalony od drogi. Na kuchennym piecu suszę mokre rzeczy. Przy wjeździe do wsi ktoś uważa, czy aby nie nadjeżdżają Rosjanie – dadzą mi wtedy znać. Kiedy opuściłem punkt obserwacyjny na strychu jednego z pustych domów, przyjęto mnie tu tak przyjaźnie, że nie mam powodu niczego się obawiać. Kobiety, u których się zatrzymałem, zajęte są czyszczeniem grzybów. Jest ich ponoć całe mnóstwo tej jesieni i chwilowo cała wieś się nimi żywi. Ludzie nie wyglądają tak strasznie jak w Königsbergu.

Od czasu do czasu słyszę nad sobą jakieś szuranie. „Czy to szczury?” – pytam. Nie, to dwie kury ukryte na strychu. Niemożliwe! A więc istnieją jeszcze kury! Ostatnią widziałem przed pół rokiem, jak ją akurat zabijano. Po długiej pogoni Rusek rzucił się na nią, padając brzuchem na ziemię. Co też musiały wyczyniać obie staruszki, żeby je do tej pory uchować.

W południe karmią mnie w łóżku grzybami. Później próbuję zasnąć,

ale nie mogę. Wysiłek był zbyt duży. Dopiero pod wieczór mój organizm się trochę uspokaja. Staram się trzymać nogi wyprostowane w kolanach, żeby nie zdrętwiały w zgiętej pozycji.

Kiedy nastaje noc, wstaję i ubierani się. Ubranie w miarę wyschło. Na szczęście Rosjan dzisiaj tu nie było. Do wspólnej kolacji dokładałam trochę ze swej żelaznej porcji smalcu przechowywanego w słoiku z zakręcanym wieczkiem. Przy piecu spożywamy we troje danie z grzybów. Obie kobiety opowiadają o swoich losach. Kiedy wkroczyli Rosjanie, jedna z nich złamała sobie kość udową, a druga się nią zaopiekowała. I tak pozostały razem, wspólnie sobie radząc w tej biedzie. Nic nie wiedzą o swoich bliskich, odkąd siłą ich rozłączono.

Potem ja opowiadam trochę o sobie. Tymczasem w izbie robi się coraz jaśniej. Księżyc w pełni wyziera sponad dachu stodoły i wznosi się coraz wyżej na bezchmurnym niebie. Muszę się zmobilizować i ruszyć dalej, chociaż trudno mi opuścić to ciepłe schronienie. Na pożegnanie dziękujemy Bogu za Jego cudowne zrządzenia. Kiedy opuszczam dom, obie kobiety klęczą przy krzesłach.

Wietrzna noc. Księżyc przesłaniają co chwila gnane wiatrem białe strzępy chmur. Bezkresna, ogołocona droga do Wormdittu. We Frauendorfie słyszę brzęk łańcucha, a potem szczeka pies. Przyspieszam kroku, jak mogę. W domach panuje cisza. Później droga prowadzi znowu pod drzewami. Tutaj ziemia pokryta jest żółtymi liśćmi klonów. Morduję się, idąc od kamienia do kamienia, od drzewa do drzewa, licząc kroki. Coraz częściej muszę się gdzieś kłaść; daleko nie dojdę dzisiejszej nocy. Tylko zimno pcha mnie dalej. Następną wieś wygląda znów bardzo podejrzanie. Czekam, aż chmura przysłoni zbyt jasne światło księżyca, zdejmuję buty i bezszelestnie idę wąską uliczką między domami. Okna po prawej i po lewej są w zasięgu ręki. A potem, także i tu, na drzewie dwie czerwone chorągiewki. Wystarczy, żeby ktoś wyjrzał przez okno. To

niemal śmieszne, że tak śpią. Byle dalej, byle nie opaść z sił. Chyba cała wieś wstrzymała oddech, żebym spokojnie przeszedł. Za miejscowością droga zatacza łuk na prawo i przede mną znów otwarta przestrzeń. Tutaj też zdziczałe pola. Tylko na łąkach w niektórych miejscach zebrali siano. Tuż przy drodze kilka stogów – na pewno jeszcze z ubiegłego lata.

Potem idę przez las, po raz pierwszy tej nocy, pierwszy raz w czasie całej tej wędrówki. Mogę zapomnieć o ostrożności, bo z lewej i prawej aż nadto kryjówek w razie niebezpieczeństwa. Bardzo powoli maleją liczby na kamieniach pokazujących ilość kilometrów do Wormdittu. Chcę tam koniecznie dotrzeć przed nastaniem dnia. Kiedy wreszcie skręcam w aleję, na końcu której widać zarysy miasta, w powietrzu unosi się lekka poranna mgła. Wreszcie po mojej lewej pojawia się dworzec.

Schodzę z ulicy, która prowadzi pod torowiskiem i jest w mojej sytuacji zbyt ryzykowna. Idąc wzdłuż nasypu kolejowego, docieram do pustej szopy obok torów. Na dworcu nie ma światła, nic też nie wskazuje na to, by jeździły tędy pociągi. Mam jednak poczucie, że lepiej obejść go dużym łukiem. Przez paręset metrów ciągnie się obok torów głębokie zwirowisko i osłania mnie aż do miejsca, gdzie mogę bez ryzyka przejść przez szyny. A teraz wkraczam na dobrze mi znany teren. Ten las tam – to cud, że jeszcze jest. Bo przecież od ostatniej mojej tu bytności, zaraz po Bożym Narodzeniu 1944, minęła cała epoka.

21 października

Kiedy nastaje dzień, siedzę w starodrzewie, pod parasolem świerku, którego gałęzie zwieszają się aż do ziemi. W prześwitach poutykałem inne gałęzie. Przede mną biegnie linia kolejowa do Mohrungenu, bez szyn – co stwierdzam z zadowoleniem. A więc przez dłuższy okres przez ten cudowny las nie przejedzie żaden pociąg.

Jaki wspaniały jesienny dzień! Tutejszy drzewostan jest jeszcze pełen liści, zebrałem kilka maślaków, zjadam je na surowo z cukrem i suszonym chlebem. Dziwnie dobrze jest mi na duszy. Już na ostatnim kawałku uleciał cały mój lęk. Czuję, jakby ktoś szedł przede mną i strzegł drogi. Zaczęło się od tego, że o brzasku zobaczyłem przed sobą coś ciemnego, co wydało mi się dość niesamowite. Chciałem to ominąć, wtedy jednak jakiś głos powiedział wyraźnie: idź dalej, ale nie przerażaj się, bo obok zarośli przed tobą jest czarna jama pełna wody i zaraz stamtąd wyfrunie kilka dzikich kaczek. Uspokojony przeszedłem 20–30 kroków, zobaczyłem wodę, wyfrunęły kaczki – nie była to niespodzianka, tylko spełnienie danego już wydarzenia. Potem szedłem dalej jak ktoś, kto ogląda książkę z obrazkami przełożonymi przezroczystym papierem i, przewracając kartki, już wie, co zobaczy na następnej stronie. Czy nie przeżywamy danego nam czasu jako następstwa niepowiązanych ze sobą czystych tonów i fałszów? A jednak jest w tym jakaś melodia. Sam Bóg ją zna i przeczuwa ostatni ton, kiedy uderza w pierwszy. A czasem pozwala nam przez chwilę pośpiewać.

Na popołudnie znalazłem sobie inne miejsce, leżę w słońcu na skraju młodnika i wpatruję się w głęboki błękit jesiennego nieba. Snują się nade mną nitki babiego lata, sójki fruwią z drzewa na drzewo, spadają złote liście – i to miałyby być Polska? Myślę o tych wszystkich, którzy jeszcze przed niespełna rokiem czuli się tu u siebie. Cóżby dali, żeby przez chwilę być tu, obok!

Wieczorem robi się zimno. Z daleka dobiegają mnie wołania. Drogą maszerują dzieci i śpiewają obcą, dziką pieśń wojenną. Czekam jeszcze przez chwilę, aż hałas odpłynie w stronę Wormdittu, i wtedy zaczyna się trzecia noc mojej wędrówki.

W pobliżu dworca Oberheide skręcam w drogę do Mohrungenu. Tym razem idę wolniej, las wydaje mi się bezkresny. Długi most nad doliną

Pasłęki oczywiście już nie istnieje. Droga rozjechana przez czołgi wije się w dół stromej skarpy ku rzece, a po drugiej stronie prowadzi pod górę. Wiadukt kolejowy stoi, wprowadzie mocno nadszarpięty, ale – jak się zdaje – jest używany przez pieszych. Na środku mostu przystaję i rzucam z prąciem rzeki wiele pytań. Jak wygląda w tych miejscach, gdzie zakola i meandry przecinają lasy i parki? Stoją jeszcze te stare, piękne domy, w których w czasach pokoju rosły całe pokolenia, dbając o tę ziemię? Trudno sobie wyobrazić, żeby przetrwały miazdzącą wojenną nawałnicę. A tam, skąd płynie ta rzeka? Znam tylu ludzi, którzy tam mieszkali i kochali swe ojczyście strony! A teraz ta zyciodajna aorta ciągnie swój bieg przez spustoszone ziemie, których już pewnie nie ujrzą stare oczy.

Następny dworzec, w Sportehnen, jest spalony. Coraz trudniej mi iść; tak naprawdę już w ogóle nie daję rady. Siadam na zakręcie i zaczynam przeglądać bagaż – muszę się pozbyć części obciążenia. Kaleczę się przy tym niespodziewanie spiczastym nożem. Rana mocno krwawi, ale dodaje mi to znowu sił. Jeszcze raz zbieram wszystko i idę dalej. Wreszcie wznosi się przede mną wieża obronna w Liebstadcie. Po prawej, po drugiej stronie rzeki słabe światło. Poza tym w miasteczku ciemno i cicho. Wiele domów leży w gruzach, inne jeszcze stoją. Na jednym dwie czerwone chorągiewki – wszystko przepływa obok jak we śnie.

Za miastem muszę ostatecznie podjąć decyzję: albo bagaż, albo ja. Ściągnę pod kolanami groźną zerwaniem. Wysortowuję kilka cięższych przedmiotów zabranych z myślą o handlu wymiennym oraz większe elementy mojego chirurgicznego wyposażenia i pozostawiam je w trawie. Połyskujące skalpele błyszczą wyzywająco w świetle księżycy. Znalazca będzie się cieszył. Ale warto było. Idzie mi się o wiele lżej.

Około północy dochodzę do miejsca, gdzie odchodzi droga do Ponarienu. Otoczony płotem na trójkątnym trawniku stoi jeszcze stary drogowskaz, tak jak dawniej. Długo się zastanawiam, czy mam iść dalej,

dopóki można, na zachód. Czy też powinienem tu skręcić, by sprawdzić, czy jeszcze stoi dom mojego rodzeństwa i co się tam dzieje. To już niedaleko, niecała godzina drogi, jedyna okazja. Trawy i liście skrzą się i połyskują. Przeciągam po nich ręką – są oszroniałe! Muszę więc jednak poszukać jakiegoś schronienia. Poza tym ciekawość przeważa.

Przed miejscowością Royen droga skręca w lewo, w stronę lasu. Są tu ślady kobiecych stóp, a na polach widać pierwsze od Königsbergu oznaki jakichś robót. Na skraju lasu jest nawet zaorane. Znad stawów rybnych na pastwisku wzlatają kaczki, zupełnie jak dawniej. Pod wysokim bukiem przy drodze do Hermenau robię ostatni przystanek. Czy ktoś już w podobnej sytuacji opierał się o jego ogromny pień? Z pewnością jednak to stare drzewo niejednemu dało odczuć ufność swego trwania, nawet jeśli wędrowiec nie był tego świadom.

Srebrzysty księżyc. Obok, w kasztanowej alei odrywają się od gałęzi pojedyncze sztywne, zamrożone liście, szeleszczą o siebie i spadają na ziemię. W ciszy tej nocy ma się wrażenie, jakby na górze krzątały się podobne do gołębi nocne ptaki i oczy nie przestają ich szukać.

Jeszcze kilka kroków do majątku. Ukrywam bagaż w zaroślach przy nadleśnictwie i idę dalej pod osłoną starych drzew. Po szerokich koleinach można poznać, że jeżdżą tutaj pojazdy na grubych oponach. Muszę być przygotowany na spotkanie z wartownikiem. Jednak nikt ani nic się tu nie rusza, żaden człowiek ani zwierzę. Domy po prawej i lewej stronie bramy wjazdowej stoją jak dawniej, a za nimi – dalibóg – stary pałac, obszerny, biały i ocalały. Obok park, a z tyłu, za pniami drzew lustrzana tafla jeziora. „Czego właściwie chcesz – szydzi jakiś głos – czyż wszystko nie jest w najlepszym porządku?” Ach, być może od stu lat nie było jeszcze tak czarownej nocy! Trudno mi tylko pojąć, że muszę zachowywać się jak złodziej.

Nie ryzykuję pukania do drzwi, lecz szukam punktu obserwacyjnego.

Natykam się na dwa czerwone amerykańskie ciągniki, zapewne to po nich tamte szerokie koleiny. Kuźnia z tyłu nie jest zamknięta. Spoglądam na palenisko, niestety, nie ma w nim żaru, nawet na tyle, żeby ogrzać sobie ręce. Siadam na kowadle i czekam.

Krótko później z półsnu budzi mnie cichy odgłos. Zrywam się, przywieram do ciemnej ściany. Kroki przed kuźnią, bezszelestnie otwierają się drzwi. Na dworze w świetle księżycy stoi mężczyzna z czarną brodą. Przez chwilę waha się, a potem rzuca w ciemność pytanie – po niemiecku! Odrywam się od ściany i podchodzę. Cofa się o krok, przygląda badawczo, szybko pojmuje moje położenie. We wnętrzu kuźni wyjaśniamy sobie resztę. Jak się dowiaduję, siedzę tu na miejscu nocnego stróża. Najwidoczniej nie doczekał zmiennika i wcześniej poszedł do ciepłego łóżka. Ciągniki należą do Polaków, którzy gospodarują tu od lata. W pałacu mieszka zarządca. Mam szczęście, że nie wpadłem mu w ręce, chciał się tej nocy pod grubym bukiem zasadzić na dzika.

Ogólnie sytuacja jest beznadziejna, opowiada mój rozmówca. On sam nie jest stąd, ale nie może uciekać, gdyż jest z nim też żona z sześciorgiem dzieci. Zapaścił brodę, żeby wyglądać starzej. Dzięki temu nie zabrali go do Rosji, jak wielu innych. Pytam, kto jest jego zmiennikiem, i dowiaduję się, że to Preuß, stary sługa tego domu. „Co, Preuß jeszcze jest tutaj? Może mnie pan do niego zaprowadzić?” Ostrożnie zakradamy się do okna, za którym mieszka stary człowiek. Pukamy cicho kilka razy, otwierają się okiennice i przed nami stoi Preuß, w nocnej koszuli, ze śnieżnobiałymi włosami. Bije od niego fala ciepła. Oczy robią mu się wielkie, kiedy mnie rozpoznaje. Biegnę jeszcze raz do drogi, zabieram ukryty bagaż. Potem z uczuciem bezgranicznej wdzięczności gramolę się do ciepłego łóżka.

22 października

Może być około czwartej nad ranem. Preuß i jego żona przesunęli się troszkę, tak żebyśmy we troje mieli miejsce obok siebie.

Preuß opowiada i dowiaduję się mniej więcej tego:

„23 stycznia weszli Rosjanie. Oczywiście wszystko nam zabrali i gnębili kobiety, ale poza tym pierwsze trzy tygodnie były znośne. Potem przyjechali komisarze i przeganiali ludzi po całej okolicy, przesłuchiwali, młodszych wywieźli do Rosji. Pani hrabina (matka mojego szwagra) została tutaj i przez pierwszy okres traktowali ją znośnie. Często udawało się jej nawet ochraniać dziewczęta. Potem musiała sprzątać Rosjanom pokoje. To też było jeszcze do wytrzymania. Ale przepędzanie po drogach okazało się ponad jej siły. Akurat zachorowała, gdy się to zaczęło. W pobliżu Reichau odmówiła dalszego marszu, więc zastrzelili ją w zagajniku. Na oparciu sań leżących tuż obok w rowie ktoś napisał: «Tu leży hrabina z Ponarienu».

Wieczorem przed wkroczeniem Rosjan pani von Stein (moja ciotka) wróciła wraz z córką pieszo z więzienia Gestapo w Allensteinie. Miała na sobie więzienną kurtkę i spodnie, dlatego Rosjanie nie zwracali na nią uwagi. Pytali ją tylko: mężczyzna czy kobieta? Córkę wywieźli i słuch o niej zaginął. Pani von Stein została i pracowała przy krowach, najpierw tutaj, a potem w Reichau. Mieszkaliśmy tam w piwnicy – ośmiu mężczyzn i ona. Wczesnym rankiem 5 czerwca zniknęła. Chciała spróbować dostać się do domu. Odtąd nie mieliśmy od niej żadnych wieści. Może jest tam. Później pozwolili nam wrócić. Polacy zaczynają tu gospodarować. Jest ich niewiele. Cały czas mieliśmy coś do jedzenia, przynajmniej ziemniaki. Z głodu nikt nie umarł. Natomiast w ciągu lata dziewiętnaście osób zmarło

na tyfus”.

Zapisuję wszystko w dzienniku. Tak szybko się zapomina, a później nikt nie będzie wiedział, jak było naprawdę.

Potem pyta mnie o rodzeństwo. Rosjanie opowiadali tu ludziom, że ponoć zostali złapani podczas ucieczki i wysłani do obozu, moja siostra do Hohensteinu, szwagier do Rosji. Mogę mu powiedzieć, że to nieprawda. Oboje przedostali się do Holsztynu. Co się później z nimi stało, oczywiście nie wiem. Preuß opowiada, że oboje wyruszyli konno, gdy Rosjanie już prawie byli we wsi. Było już zbyt późno na ucieczkę w konwoju, tak więc paru ludzi, wśród nich leśniczy, uciekło pieszo. Preußa Rosjanie początkowo bardzo gnębili, ponieważ nie chciał powiedzieć, gdzie „jest zakopane złoto”. Wśród kochanych rodaków znalazły się i tutaj mało chwalebne postacie, ludzie, którzy kosztem innych natychmiast chcieli przypodobać się Rosjanom. Wywieźli ich jednak szybko do Rosji.

Przez cały dzień leżałem w łóżku, kurowałem zmaltretowane nogi i przespałem nawet parę godzin. Nikt nie spostrzegł mojej obecności. Czarnobrody mężczyzna nie puścił pary z ust. Jednak nie mogę tu zostawać i narażać ludzi. Podjąłem więc decyzję co do następnej nocy. Idę do Grasnitzu i poszukam ciotki. Perspektywa spotkania z nią budzi we mnie mieszane uczucia – radość i troskę.

Z brzuchem napełnionym chlebem i ziemniakami wyruszam nocą około wpół do jedenastej. Księżycowa noc pełna jest znowu promiennego blasku. Zaraz za nadleśnictwem przez drogę spokojnie przebiega truchtem wataha loch. Ich czarne grzbiety połyskują srebrzyście. Najwidoczniej i tutaj wszystko w najlepszym porządku. Przechodzę potem przez Reichau i skręcam w prawo w szeroką drogę. Co krok ogarniam wzrokiem tafle jeziora Narie, dopóki w Willnau moja droga nie odbija na lewo. Ta wieś też nie jest strzeżona. Staję się prawie zuchwały. Tym razem mam sporo czasu – całą noc na odcinek niespełna 25 kilometrów.

Cudowny las tątlawski przemierzam powoli, robiąc wiele długich postojów. W miejscu, gdzie otwiera się znowu wolna przestrzeń, droga zatacza szeroki łuk i opada w dół. Omija małe okrągłe jezioro, które leży mi u stóp jak lustro. Po drugiej stronie, tuż nad wodą stoją pośród srebrzastoszarych wierzb dwie chaty kryte strzechą. Kalenice dachów toną w świetle księżyca.

Przede mną pojawia się znowu podłużna wieś – to Gallinden. Kiedy przechodzę przez miejscowość, z ciemności bramy wyłania się cień i staje przed jasną, jak za dnia ścianą domu.

Nie ma gdzie zboczyć, więc spokojnie zbliżam się prosto do niego. Jest to starszy, szczupły mężczyzna w cywilu ze śrutówką. Pytam go, którędy idzie się do Lockenu i pokazuję na opaskę z czerwonym krzyżem na lewym ramieniu. Nie rozumie, spogląda nieufnie, a nawet trochę bojaźliwie. Zapewne jest sam na posterunku. Wykonuję kilka gestów i idę po prostu dalej. Nie wie, czy mnie zatrzymać, kawałek idzie obok i w końcu zostaje w tyle. Wydłużam krok, jak się da, byle zniknąć mu z oczu, biegnę potem na skraj wsi i ukrywam się za stogiem siana na wypadek, gdyby mnie ścigano. Jednakże nic się nie dzieje i mogę wkrótce kontynuować wędrówkę.

Brückendorf na wszelki wypadek omijam. Za wsią droga do Lockenu pokryta jest świeżo spadłymi liśćmi. Szeleszczą przy każdym kroku, jakby się szło po papierze pergaminowym. Kiedy mijam Ramten, całkiem blisko pada pojedynczy strzał. Wolę więc ukryć się w krzakach, a dalej idę obok szosy. Wybieram skrót polną drogą, która przed Lockenem odbija na lewo, a później dochodzi do szosy na Biessellen. W Lockenie widać światła i dobiegają mnie głośne głosy. Poranek jest już blisko.

Worleinen jest bardzo zniszczony. Na skraju drogi leżą resztki wozów i sań, a na pniach drzew widać ślady pocisków. Nagle mam wrażenie, że ktoś za mną idzie. Chowam się w krzakach przy drodze. Dwie minuty

później zbliżają się szybkie kroki. Przechodzą dwaj mężczyźni, prowadząc rowery. Idę w pewnej odległości za nimi. Po lewej wyłania się jezioro Isąg. Na tafli wody widać pierwsze odbłaski dnia. Młyn z tartakiem jak wymarły.

I znów, już o wiele wyżej, mój szlak przecina Pasłękę, która, płynąc tu w cieniu lip i olch, łączy wiele jezior. Najchętniej poszedłbym stąd prosto do Grasnitzu, to jeszcze tylko 20 minut przez las, ale muszę liczyć się z tym, że nie ma tam ciotki, która pewnie przebywa w Langgucie, następnej miejscowości, należącej dawniej do Grasnitzu. Najpierw tam chcę jej szukać.

W Langgucie palą się już światła i słychać odgłosy dobiegające z podwórek. Nie ma sensu już zwlekać. Idę od tyłu wzdłuż pierwszych czworaków i pukam do każdego okna. Pierwsze dwie sylwetki cofają się na mój widok i już się nie pokazują. Ale trzecia, młoda kobieta, nie ucieka. Mierzy mnie wzrokiem, mam wrażenie, że rozpoznaje, kładzie palec na usta i otwiera okno. Jej oczy już kiedyś widziałem. – „Czy jest tu pani von Stein?“ – pytam. – „Tak, jest w Grasnitzu. Ale niech pan nie idzie przez majątek, tam są polscy żołnierze. Lepiej niech pan przejdzie przez młyn z tartakiem, tam nie ma nikogo. Ona mieszka w mieszkaniu ogrodnika.”

A więc znów z powrotem do młyna, drogą nad jeziorem przez las. Pełen napięcia znów biegnę, choć nogi prawie odmawiają posłuszeństwa. Odnaleźć kogoś bliskiego po tym wszystkim, co się stało, to przedsmak spotkania się w niebie.

A teraz ostatni przystanek dla zaczerpnięcia oddechu. W jeziorze pobłyskują już pierwsze promienie słońca. Od strony lasu kasztanowe aleje wyglądają jak złote mosty zwieszające się ku wzniesieniu, do którego zmierzam. Stare lipy na zboczu przesłaniają mi widok. Jeszcze parę kroków i już zdumiony patrzę na ocalały dom na wzgórzu, przejęty

wspinam się szeroką, wybrukowaną drogą, mijam pustą rosyjską budkę z barierką i zatrzymuję się przed dawnym mieszkaniem ogrodnika. Nabieram głęboko powietrza, otwieram drzwi i wchodzę do izby. Przy stole kuchennym siedzą trzy kobiety. Przez chwilę patrzymy na siebie pytająco, ale potem jedna z nich się zrywa i padamy sobie w ramiona.

Koniec października 1945 do 10 stycznia 1946

Niebiańskie poczucie bezpieczeństwa! W komórce na strychu ciotka urządziła na wszelki wypadek pokój gościnny, ustawiając tam meble powyciągane z pobliskich rumowisk. Leżę tam przez cały dzień i oszczędzam nogi, ona zaś od czasu do czasu wchodzi na górę, przynosi mi coś do jedzenia albo siada przy łóżku i opowiada o wydarzeniach z ostatniego lata.

Jak dowiedziałem się już od Preußa, 5 czerwca wczesnym rankiem uciekła z Reichau i przyszła tutaj. Droga była okropnie uciążliwa z powodu gwoźdźcia w bucie, nie miała jednak odwagi zdjąć go i zajrzeć do środka, obawiając się, że uniemożliwi jej to dalszy marsz. Tu, w Grasnitzu, zastała większość ludzi z majątku, zaś jej dawna gospodyni, panna Jokuteit, przyjaźnie wzięła ją do siebie. Mieszkała już u ogrodnika, z jego żoną i dwiema osiemdziesięcioletnimi starymi pannami, które należą do domowników ciotki. Poza tym przyjęły obcego mężczyznę z odmrożonymi stopami, który utknął tutaj podczas wkraczania Rosjan.

Pozostali ludzie początkowo nie wiedzieli, jak mają się zachowywać wobec mojej ciotki. Było im pewnie trochę niezręcznie, bo wróciła w momencie, kiedy już z konieczności funkcjonował rodzaj *modus vivendi* w stosunkach z Rosjanami i Polakami. Jej nagłe pojawienie się zdawało się podawać go w wątpliwość, dlatego też zachowywano się wobec niej wyczekująco. Stopniowo przyzwyczajono się do jej obecności. Chodziła

jak inne kobiety do pracy i jak one dostawała mąkę i pół litra chudego mleka dziennie. Początkowo przez parę dni musiała pracować we własnym domu, gdzie zamieszkał rosyjski komendant z niejaką panią Schmidt, którą sprowadził z Pomorza. Zabrała się tam do sprzątanania w taki sposób, że nie odpowiadało to wspomnianej pani Schmidt. Tak czy inaczej, wkrótce została zwolniona. Tymczasem para ta przeniosła się do Langguta, a dom stoi pusty. Pozostała w nim tylko ogromna szafa ubraniowa. Cała reszta leży na rumowisku albo rozeszła się po bliższej lub dalszej okolicy. Część mebli stoi jeszcze w szopie w Langgucie i komendant stopniowo zużywa je na opał. Nie odmawia sobie tej przyjemności i osobiście rąbie je siekierą.

Do lata gospodarowali tu jeszcze Rosjanie. W czerwcu zwieźli setki walających się po okolicy zdechłych krów i powrzucałi do stawów, aż te wystąpiły z brzegów. Potem odbyły się sianokosy i żniwa. Tymczasem zarząd przejęli Polacy. Początkowo nie działo się nic sensownego. Teraz, odkąd zaczęły się przymrozki, zabrano się wreszcie za wykopki ziemniaków. Do tej pory wszystkie kobiety wysyłano do lasu na grzyby, które miały być przesyłane do Warszawy. Robiły to zresztą bardzo chętnie, ponieważ przy okazji mogły zbierać na własne potrzeby. Grzyby, których nadal jest mnóstwo, składowano w jednej z szop na kilkumetrowym stosie, gdzie potem zgniły.

We wrześniu ciotka była w Januschau szukać mojej matki. Pociągiem towarowym dojechała do Deutsch Eylau, a dalej szła pieszo. Dotarła na miejsce późnym wieczorem, przespała się więc pod drzewem w alei i dopiero następnego ranka udała się do wsi. Byli tam tylko Rosjanie. Zaraz wzięli ją do domu, nakarmili i chcieli zatrzymać do pracy. Udało się jej jednak wymknąć, wróciła zaraz do Eylau, skąd zabrała się kolejnym pociągiem towarowym. W lesie koło Jablonken musiała wyskoczyć, gdyż jakiś Rosjanin zaczął ją napastować. Ze zwichniętą nogą wieczorem

dotarła do domu.

Na sposób traktowania jej przez Polaków ciotka nie może się uskarżać. Raz ją pobili, co nie było przyjemne. Poza tym jednak wszystko, co tu dotychczas przeżyła., jest jak wczasy w porównaniu z półrocznym pobytem na Gestapo w Allensteinie. Na dodatek stary Grasnitz tej jesieni był tak piękny, jak nigdy wcześniej. Naprawdę niesłychane te barwy! Zwierzyna łowna stała się taka ufna. Niedawno locha z warchlakami podeszła nocą pod dom i przez dłuższą chwilę stała w jasnym świetle księżycy na trawniku pod oknem.

Jeśli o mnie chodzi, ciotka uważa, że byłoby najlepiej, gdybym na razie tutaj został. Jakoś to będzie, twierdzi. Może Polacy się ucieszą, gdy się dowiedzą, że jest tu lekarz. Nie mają przecież żadnego w pobliżu.

O swoich bliskich ciotka nie wie nic. Podobno ktoś widział jej męża i dwie córki w obozie, podobno przesyłali pozdrowienia. Jej synowie byli na froncie, kiedy kończyła się wojna. Nie chcemy się zdręzczać przypuszczeniami, co mogło się stać z naszymi bliskimi. W tej chwili to już wielkie szczęście, że możemy być razem.

Po dwóch dniach leżenia w łóżku wykurowałem sobie na tyle stopy, że mogę znów założyć buty. Mojej obecności dotąd nikt jeszcze nie zauważył – nie pytał o mnie ani komendant, ani polscy żołnierze stacjonujący w Langgucie. Przygotowany na wszelkie niespodzianki, trzymam się na razie z boku, a kiedy kobiety idą do pracy, zostaję w domu.

Kiedy rano schodzę na dół, izba i kuchnia są już wyszorowane, beczka napełniona wodą, przetarte poprzedniego dnia skarpety zacerowane, a na stole czeka śniadanie. Po śniadaniu zostaję sam ze starą Iii – żyjącą jeszcze jedną z obu osiemdziesięcioletnich starych panien, która cierpi na całkowite pomieszenie zmysłów – i staram się być pożyteczny. Rąbię drewno, przynoszę wodę z rzeczki oddalonej o 33 metry, gotuję ziemniaki – wszystko ściśle według wskazań mojej ciotki. Trzeba wiedzieć, jak

rozpala się ogień, ile drewna potrzeba do pieczenia chleba, a także to, że wody po gotowaniu ziemniaków nie wolno odlewać, bo przyda się na zupę – i wiele innych rzeczy, które okazują się niezbędne dla zabezpieczenia egzystencji.

Pod wieczór wychodzę naprzeciw kobietom wracającym z pracy, każdego dnia trochę dalej. Na dłuższą metę nie da się przecież mojej obecności zachować w tajemnicy. Każda z nich przynosi do domu po dwa kosze ziemniaków z wykoppek. Sortujemy je według gatunków na różnych stosach w piwnicy – daje to możliwość pewnego urozmaicenia codziennego menu. Potem przy stole kuchennym jemy kolację – ziemniaki i rodzaj zupy z dyni, a przy kuchennym piecu suszą się mokre skarpety.

W ostatnich dniach października wieś jest zaniepokojona pogłoskami o transporcie na Zachód. Nikt nie wie, czy należałoby się zgłosić. Transporty związane są z trudami i niebezpieczeństwami.

Nie wolno niczego zabrać, a i tak po drodze rozbierają ludzi do ostatniej koszuli i obrabowują. Jazda w bydłym wagonie trwa na pewno kilka dni, a może nawet tygodni, po drodze nie można się ani ogrzać, ani zdobyć pożywienia. Poza tym nie ma żadnej gwarancji, że trafi się rzeczywiście na Zachód. Można wylądować w obozie pracy, a tego wszyscy się obawiają.

Z tych też powodów ciotka uważa, że trzeba przeczekać. Mimo to chcemy spróbować zasięgnąć bliższych informacji o warunkach transportu i postanawiamy pójść do Biessellenu, który oddalony jest o pięć kilometrów i leży przy linii kolejowej.

Po drodze natykamy się w lesie na dwa zdziczałe psy, które właśnie zagryzły sarnę. Udaje się nam je przegnać. Sarnę wieszamy na drzewie, żeby ją zabrać w drodze powrotnej.

W Biessellenie odwiedzamy najpierw starych państwa S. Pani S. jest dzięki swojej znajomości polskiego dobrze zorientowana i stanowczo

odradza transport. Dostaliśmy u niej coś do jedzenia, a potem udajemy się do polskiego punktu meldunkowego; ja chwilowo pozostaję w ukryciu. Ciotka wchodzi do baraku i po pewnym czasie pojawia się w towarzystwie Polki, która coś jej żywo tłumaczy. Zbliżają się do mojej kryjówki. Zostaję przedstawiony i dowiaduję się, że mam przed sobą „doktorkę”, była pielęgniarką, która przejęła opiekę nad chorymi w okolicy. Kiedy dowiaduje się, że jestem lekarzem, chce mnie natychmiast sprowadzić do Biessellenu, gdzie miałbym jej pomagać. Zachowuję się z rezerwą, ponieważ nie jestem pewien, jak miałyby to przebiegać. Tak czy inaczej, nie da się dłużej ukrywać mojej obecności i jestem ciekaw, jak wszystko dalej się potoczy. W drodze powrotnej zabieramy zdobyczną sarnę – podzielimy się z tymi, którzy, tak jak my, nie mają „układów” i już od dawna nie widzieli mięsa.

Na początku listopada rzeczywiście odszedł zapowiadany transport. Zupełnie nieoczekiwanie podjechały wozy i kto się zgłosił, musiał wsiadać. W Osterode podobno zgromadziły się setki ludzi, i jak się dowiadujemy, źle się to dla nich wkrótce skończyło. W każdym razie jesteśmy radzi, że nie byliśmy wśród nich.

We wsi się uspokoiło i kobiety znowu chodzą do pracy. Mimo naszych ostrzeżeń zarządzono zwiezenie wszystkich dobrych ziemniaków z pola do pustej obory, gdzie usypywane są aż po dach. Można przewidzieć, że wszystkie zmarzną, dlatego też kobiety starają się przenosić je półoficjalnie do domowych piwnic. Z tego samego powodu chcemy po kryjomu usypać mały kopiec ziemniaków na Wzgórzu Pięciu Lip^[58]. Przed wschodem słońca wykopujemy prostokątny dół i wsypujemy doń około 20 cetnarów najlepszych ziemniaków. Z wierzchu przykrywamy go słomą, ziemią i trochę maskujemy. Właśnie zdążyliśmy skończyć, kiedy miedzą nadchodzi dwóch polskich żołnierzy, przystają na chwilę

[58] Fünflindenberg, nazwa zwyczajowa używana przez miejscowych.

zdziwieni, ale potem idą dalej.

Wieczorem przyjeżdża rozklekotany samochód i trzech żołnierzy zabiera mnie do Langgut. Idę spokojnie, ale oddycham z ulgą, kiedy dowiaduję się, o co chodzi. Pani Schmidt z konieczności zażyła coś, co jej nie posłużyło, i mam udzielić jej porady. Polacy nie traktują tego zdarzenia zbyt serio. Odwożą mnie nawet z powrotem.

Fakt, że skorzystano z mojej pomocy w tak niewinny sposób, traktuję jako pretekst i zaczynam swobodniej się poruszać. Nawiązuję kontakt z „doktorką”, a poza tym odbywam wizyty u chorych w pobliskich miejscowościach. Wkrótce mam regularny rozkład dnia: rano idę do Biessellenu, gdzie przyjmuję chorych w małym, założonym przez „doktorkę” ambulatorium. Dostaję tam obiad, a potem chodzę po wsiach na prawym i lewym brzegu Pasłęki. Stopniowo ludzie mnie poznają i nikt mi nie przeszkadza. Nawet siejąca postrach milicja prosi mnie czasami o pomoc, przez co oczywiście znacznie wzrasta moje poczucie bezpieczeństwa.

A jednak czas wypełniają rozmaite troski i kłopoty tego prostego, ograniczonego życia. Rozstajemy się wczesnym rankiem, nie mając nigdy pewności, czy wieczorem znów się zobaczymy. Potem idę stromym zboczem w dół do rzeczki, dalej przez mostek, z którego czerpiemy wodę, do lasu, a później nad brzegiem jeziora aż do drogi przelotowej. Tam należy mieć się na baczności z uwagi na przejeżdżające sowieckie wojska. Po wyjściu z lasu idę dwa kilometry przez pole wzdłuż linii elektrycznej i wychodzę dokładnie na dom państwa S., którzy przyjęli nas tak przyjaźnie przy pierwszej wizycie. Już z daleka widzą, że nadchodzę, i zawsze mają coś ciepłego do jedzenia. To wystarczający powód, żeby zachować ich we wdzięcznej pamięci.

Działające od niedawna ambulatorium mieści się w domu za przejazdem kolejowym, obok jest kilka pustych pomieszczeń z paroma

prymitywnymi pryzkami. W piwnicy na dole „doktorka” zgromadziła resztki niemieckich zasobów sanitarnych, które służą do własnego użytku, a także zaopatrują apteki w Osterode i Allensteinie. Wśród pacjentów mamy kilku chorych na tyfus, Polaków i Niemców. Opiekują się nimi dwie dziewczyny z sąsiedniej wsi, które już przeszły tyfus. Poza tym przyjmujemy czasami osoby po wypadkach, Polaków, którzy poparzyli się podczas pędzenia bimbrowa, pewnego starszego, niemal kompletnie zagłodzonego Niemca, którego znaleziono przy torach – prawdopodobnie wypadł albo został wyrzucony z transportu powracających z Rosji; mamy też młodego Polaka, który między Osterode i Allensteinem wdał się w zatarg z Rosjanami i z postrzałem w pierś wyrzucony został z jadącego pociągu; sympatycznego polskiego żołnierza, który złamał sobie kość podudzia i którego poskładałem. Łamałem sobie głowę, opatrując mu złamanie, ponieważ nie wiedziałem, czym porządnie unieruchomić nogę. Słomiane koszyczki na butelki owinięte papierem okazały się nieskuteczne, więc poprosiłem kolegę pacjenta o zdobycie gdzieś gipsu. Pojechał do Allensteinu i wieczorem wrócił z torebką cementu. Dało się z tego zrobić trochę masywny, ale w miarę stabilny opatrunek. Niestety, pacjenta dość wcześnie odtransportowano, tak więc nie mogę powiedzieć, czy opatrunek się sprawdził, a zwłaszcza, jak udało się go usunąć.

Na leczenie ambulatoryjne zgłaszają się głównie kobiety i dziewczęta z tymi samymi strasznymi objawami chorobowymi, wobec których musimy kapitulować, ponieważ nadal nie ma jak prawidłowo ich leczyć. Jest to więc rodzaj pozornej terapii, która ma obu stronom przynieść trochę pociechy.

Na obiad dostaję królewskie – jak na nasze warunki – jedzenie, składające się zazwyczaj z ziemniaków i konserw z amerykańskich darów. Potem wyruszam na obchód po okolicznych wioskach, przy czym za każdym razem staram się zataczać większy krąg.

Jeszcze nigdy nie miałem okazji takiej jak teraz, by poznać tę ziemię i ludzi. Jako lekarz jestem zazwyczaj mile widziany, co zawsze bardzo mnie zachęca do tych wędrówek. Nierzadko wiodą mnie one 25–30 kilometrów – ruszam przez Gusenofen i Mittelgut, potem przekraczam Pasłękę w miejscu zwanym „Von Ferne“^[59] i idę dalej przez Penglitten, Leissen, Dietrichswalde, Woritten i przez Langgut wracam do domu.

Po prawej stronie Pasłęki, na tak zwanej Warmii, zostało o wiele więcej ludzi niż na lewym brzegu. W większości są to katolicy, mówią trochę po polsku i może wierzą, że dzięki temu mają więcej szans u Rosjan i Polaków. Są jednak tak samo wynędzniali jak wszyscy inni. Tylko fakt, że od czasu do czasu spotyka się tu młodych mężczyzn, pozwala sądzić, że po tej stronie można ukryć swą narodowość.

Kilka rodzin ma jeszcze kury. Jest też parę kóz. Niewielu uprzywilejowanych posiada starego konia, poza tym nie ma już chyba żadnych zwierząt. Niektóre ich kryjówki przetrwały zdumiewająco długo. Pewnej kobiecie z trójką dzieci udało się nawet przez kilka miesięcy przechować krowę. Zamurowała ją w izbie, zostawiając dostęp tylko przez okno. Inna, też z małymi dziećmi, przez długi czas trzymała w ukryciu między drzwiami a szafą mleczną owcę, którą w końcu zdradziło beczenie. W piwnicach przez dłuższy czas chowano świnie.

Ludzi również ukrywano. Pewna kobieta dopiero teraz wypuściła z piwnicy swą świeżo wydaną za mąż córkę, którą ukrywała od stycznia przed wszystkimi, nawet przed własną siostrą. W innej miejscowości Rosjanie jeszcze w lecie znaleźli i zabrali dwie dziewczyny, a załamana matka wydała im inne ukrywające się we wsi dziewczęta.

Donosiciele nie brakowało więc nigdzie. Jednak najczęściej, nie jak w tym przypadku, zdrady dopuszczano się nie z rozpaczcy, lecz raczej z niezaspokojonej żądzy zemsty i innych popędów, które w mrocznych

[59] Nazwa używana przez miejscowych.

czasach wydobywają się żywołowo z ciemnych głębin osobowości. Niemal każda miejscowość naznaczona jest niszczycielskim działaniem tego stanu ducha. Niektórzy posuwali się aż tak daleko, że już sami Rosjanie mieli ich dosyć i kładli kres ich aktywności.

Żonę jednego z takich ludzi, matkę wielu synów, z których kilku służyło w Wehrmachcie, poznałem w niezwykły sposób. Odwiedziłem pewnego starego człowieka, który cieszył się szczególnym poważaniem jako kaznodzieja Wschodniopruskiego Związku Modlitewnego^[60], i rozmawiałem z nim o bolączkach wsi. Przy tej okazji wspomniałem o takim, znanym mi z opowieści, ludzkim potworze. Mój rozmówca nagle stał się dość opryskliwy i próbował skierować pogawędkę na inne tory. Nie od razu zrozumiałem, o co chodzi, i tak długo drążyłem, aż pewna kobieta siedząca z nami przy stole jęknęła i powiedziała: „No tak, to był mój mąż”.

Wśród ludzi, których odwiedzam, jest już kilku, którzy właśnie wrócili z rosyjskiej niewoli, po części z obozów w Prusach Wschodnich i Zachodnich, po części z samej Rosji. Większość z nich to kandydaci na umrzyków. Dwaj starsi ludzie – bracia, właściciele gospodarstwa leżącego tuż nad Pasłęką – wrócili z Rosji do domu w odstępstwie godziny. Prawdopodobnie jechali tym samym transportem, byli całkowicie odwodnieni, wewnątrz zaś zmartwiali. Jeden z nich zmarł już po kilku dniach, drugi miesiąc później.

Podobnie zmartwiała jest też młoda dziewczyna, która wróciła z obozu nad Morzem Łodowatym. Siedzi jeszcze przy stole, można z nią porozmawiać. Chłodno i twardo relacjonuje, co ją spotkało, także ze strony rodaków. Ma się wrażenie, jakby mówił to ktoś, kto już nie żyje.

Czasami wybieram się na wędrówkę również w przeciwną stronę, bardziej na zachód i na północ, do położonych przepięknie na skraju

[60] Ostpreußischer Gebetsverein, założony w 1885 roku.

lasu i odbijających się w jeziorze miejscowości Rapatten i Dlusken, a potem przez Wönicken, Pupken, Worleinen wokół jeziora Isag do Pulfnicku. Ludność we wszystkich tych miejscowościach jest wyłącznie protestancka. Spotykam kilkoro dzieci, które nie są jeszcze ochrzczone, korzystam więc z okazji, by to nadrobić. Zawsze odbywa się to w ramach małej uroczystości, w której uczestniczą również sąsiedzi. Posługa ta sprawia, że niejedno przychodzi mi do głowy na temat istoty sakramentu chrztu i naszego dziwnego doń stosunku. Szczególnie znamienna jest odpowiedź pewnej kobiety, której dziecko miało już prawie dwa lata, na moje pytanie, czy jest ono ochrzczone. „Nie – powiedziała – jest zaszczerpione, ale nie ochrzczone.”

Zachęcony tymi małymi uroczystościami postanawiam odprawiać niedzielne nabożeństwa w opuszczonym kościółku w Langgucie. Pierwsze odbywa się w Niedzielę Zmarłych za zgodą komendanta i pod nadzorem uzbrojonego strażnika. Mówię, że za pośrednictwem Słowa Bożego chcemy tym razem oderwać się od wspominania zmarłych i zaginionych, a także od myśli o naszej własnej śmierci, skierować natomiast uwagę na życie i ocalałych, z którymi dane jest nam wspólnie egzystować. Mówię też o wdzięczności za wszystko, co niezasłużenie zostało nam darowane. Również z innych wsi przyszło wiele kobiet – proszą o odprawienie i u nich nabożeństwa.

W niedzielne popołudnia robię z ciotką wycieczki po okolicy, których celem jest nie tylko nacieszenie się wolnością, lecz także urozmaicenie naszego jadłospisu. Uzupełniamy zgromadzone przez ciotkę zapasy grzybów, jagód i ziół, przynosząc z opuszczonego pola pod Worleinen kilka cetnarów buraków na syrop, próbujemy przetwarzać łubin i inne rośliny, które nikogo nie interesują. Drewno na opał taszczymy z lasu. W piwnicy pałacu podbieramy ukradkiem węgiel, bo nikt jeszcze nie zwrócił nań uwagi.

Przy tej okazji oglądamy dom od środka, bo zamknięty jest tylko na gwóźdź. Nie ma tam już niczego, jedynie kilka poroży i ogromna szafa na ubrania, pozostawiona pewnie ze względu na jej wielkość. Resztę zużyto już na opał, poza tym różne rozproszone przedmioty napotykam w domach Niemców i Polaków podczas wizyt u chorych. Szczególnie często na grzbietach pacjentów widuję koszule z inicjałami moich krewnych.

Pod koniec listopada przybywa nam jeszcze jeden domownik – dawny sofer Groß. Któregoś dnia zjawił się w Biessellenie zwolniony z obozu jenieckiego w Grudziądzu. Jest w złym stanie, a ponieważ nie mamy żadnej możliwości transportu, zostawiliśmy go początkowo w naszym małym szpitaliku i zabraliśmy do domu dopiero wówczas, kiedy stanął na nogi. Wkrótce wydozbrał, zaczął chodzić na ryby, a w końcu na zlecenie komendanta zajął się zniszczonym młynem z tartakiem, by go w miarę możliwości na nowo uruchomić. Umieściliśmy go na górze, w moim pokoju. Ja natomiast sprowadziłem się na dół, do ciotki, i śpimy w jednym pomieszczeniu ze starą Iii. Ta zaś nieprzerwanie fantazjuje o okresie przełomu wieków, kiedy to przebywała w Wiedniu jako guwernantka, najwidoczniej u bardzo zamożnych ludzi. Ciągle wysiada z jakiejś kolasy, zaplątuje się przy tym w pościel i upada na podłogę. Czasem wygłasza gniewne kwestie. „Panie Boże, Tyś zawsze naszą ucieczką – słyszymy, a zaraz potem dodaje – ładna mi ucieczka!” Mimo wszystkich kłopotów, jakie sprawia ona ciotce, czasami musimy się z niej szczerze uśmieć.

Kobiety nadal chodzą do Langgutu do pracy. Ziemniaki leżące w oborze na wysokich na kilka metrów stertach, zmarznięte już i nadgniłe, muszą teraz wywozić z powrotem na pole i usypywać w kopcach. Nie nadają się już do jedzenia, a praca przy nich jest okropnie brudna. Może przynajmniej zrobią z nich spirytus – wielkim nakładem sił w tym celu sprowadzili właśnie bodaj z Korschenu 200 cetnarów pszenicy. Składują ją na strychu z nieuszczelnym dachem, trzeba więc szybko przystąpić do

działa. Naprędce uruchomiona została gorzelnia. Jednak kiedy wreszcie zaciera zaczyna fermentować, zawała się jedna ze ścian i pierwsza wielka beczka wylewa się prosto do pobliskiej Pasłęki.

Często chodzę do Langgutu z wizytą do chorych. Pewnego razu w mieszkaniu nowego zarządcy spotykam wyższego polskiego oficera, który najwidoczniej przyjechał skontrolować żołnierzy stacjonujących w majątku. Kiedy wchodzę do pokoju, podrywa się i mierzy mnie surowym wzrokiem. „Co to za jeden?” – słyszę, jak pyta. „To lekarz” – odpowiada zarządca. „Papiery?” – krzyczy do mnie. Gdybyś ty wiedział, myślę sobie, że zaraz, za chwilę, przemierzę 30 kilometrów, a może i więcej, aż do miejsca, gdzie mnie już nie znajdziesz. Tymczasem sięgam spokojnie do kieszeni kurtki, wyciągam znajdujący się tam przypadkowo świstek i wykonuję gest, jak bym chciał mu go podać. To wystarcza. Macha ręką i przestaje się już mną interesować. Z ulgą wychodzę.

Podczas odwiedzin u polskich rodzin najczęściej muszę napić się wódki i dostaję coś do jedzenia. Większość z nich też żyje w skrajnej biedzie, zamieszkując prawie puste, prowizorycznie uszczelnione izby. Lepiej wiedzie się ludziom z milicji i polskiego Gestapo, zwanego tu UB, bo mają oni więcej możliwości, żeby sobie coś załatwić. Czasem dostaję od nich dobre rzeczy. Pewnego razu komendant z Lockenu wysłał po mnie wóz podczas zawiei śnieżnej. Ma ropne migdałki i najchętniej zatrzymałby mnie u siebie na parę dni. Zostaję przy nim przez noc. Następnego ranka udaje mi się go przekonać, że stan się poprawił, i po krótkich ceregielach odsyła mnie do domu swymi końmi, nie zapominając dać mi trochę pieniędzy i obdarowując jajami, białym chlebem, skarpetami i koszulą, na której widnieje monogram mego wuja.

Dobre stosunki z budzącym postrach UB zawdzięczam chyba głównie „doktorce”. Pewnego razu, zaraz na początku, naskoczyła tak ostro na trzech funkcjonariuszy z bronią, którzy najwyraźniej zamierzali dokładnie

się mną zając, że chyłkiem się wycofali. Poza tym gorliwie stara się mnie spolonizować. Co rusz pyta mnie, czy kiedyś w mojej rodzinie nie pojawiło się jakieś polskie nazwisko. W końcu daję się namówić i oznajmiam, że przed wojną trzydziestoletnią nazwisko „Mgowski” pojawiało się czasami w kontekście mojego. Jest wprost zachwycona i kilka dni później wręcza mi rodzaj dowodu osobistego, w którym, ku mojemu niemałemu zaskoczeniu, figuruję jako „Jan Mgowski”. (Niestety, utraciłem ten interesujący dokument podczas jednej z późniejszych rewizji osobistych.)

Czasem udaje mi się przynieść do domu pokazną zdobycz. Raz jest to całe 30 funtów mąki pszennej z młyna Bandta, dokąd wezwali mnie polscy żołnierze, innym razem żywa kura od ludzi, u których cała rodzina leżała chora na tyfus. Mąkę przyjmujemy ze szczególną radością, myśląc o Bożym Narodzeniu. Z kurą, nazywaną Lorchen, nawiązujemy bliską przyjaźń.

„Doktorka” ma od dawna zamiar przedstawić mnie swoim przyjaciółom w Allensteinie i Osterode. Bardzo odważnie zabiera mnie któregoś dnia ze sobą do Allensteinu. Za czternaście złotych korzystamy z porannego pociągu składającego się z trzech wagonów towarowych. Po przybyciu na miejsce wpadam niemal w popłoch, widząc, co się dzieje na dworcu i w najbliższym otoczeniu. Roi się tam od rosyjskich i polskich wojskowych oraz nieokreślonych osobników z ich świty, którzy mają coś do sprzedania lub włóczą się bez celu po okolicy. Znów czuję się jak w głębokiej Azji i widzę, że „doktorka” też usiłuje jak najszybciej wydostać się z okolic dworca. Miasto jest tylko częściowo zniszczone, większość zabudowy jest bodaj całkowicie nienaruszona i zajęta przez tłumy Polaków.

Zachodzimy do Szpitala Mariackiego, gdzie spotykamy lekarza i kilka palących papierosy pielęgniarek, z którymi „doktorka” prowadzi ożywioną rozmowę. W tym czasie odwiedzam siedem niemieckich sióstr,

które na poddaszu wiodą marny żywot i nie są dopuszczane do opieki nad chorymi.

Trzy dni później „doktorka” zabiera mnie do Osterode, ale tym razem występuję w roli tragarza butelek z benzyną, eterem i innymi cieciami przeznaczonymi do apteki. Nie czuję się dobrze, biorąc udział w tym przedsięwzięciu, ponieważ nie mam najmniejszej ochoty stać się jeszcze bardziej znany wśród Polaków. Z drugiej jednak strony cieszę się oczywiście z możliwości obejrzenia miasta pod damską obstawą.

Jest straszliwie zniszczone i panuje tu o wiele mniejszy ruch niż w Allensteinie. Tylko przed urzędem starostwa widać większą grupę ludzi, kilka rowerów i końskich wozów. Odwiedzamy tak zwanego lekarza powiatowego, jedyne w tej chwili, w aptece uskuteczniamy handel wymienny, kupujemy najróżniejsze drobiazgi do naszego ambulatorium i rozwijającego się gospodarstwa „doktorki”. Wspólnie odwiedzamy pięć niemieckich sióstr katolickich, które pozostały na plebanii i którym mogę przekazać pozdrowienia ze Szpitala św. Elżbiety w Königsbergu, ich macierzystej instytucji. W drodze powrotnej znowu mam co dźwigać, między innymi worek kości przeznaczonych do kuchni.

Komunikacja kolejowa między Osterode i Allensteinem jest utrudniona, gdyż Rosjanie wszędzie pousuwali drugi tor. W obu kierunkach kursują tylko dwa pociągi osobowe dziennie, przy czym jeden prowadzi wagony bydłące. Ale i one mają trudności z przejazdem, bo trasę często blokują pociągi towarowe. Przyjeżdżają załadowane z Berlina, a wracają puste. Wszystko, co zostało w Niemczech zdemontowane, Rosjanie wywożą w wielkich skrzyniach lub luzem na wschód. Podobno dziennie przejeżdża 10–15 takich pociągów. Ich obsługa nierzadko składa się z Niemców pilnowanych przez rosyjskich strażników. Kiedy pociągi zatrzymują się w Biessellenie, nawiązuję czasem z nimi rozmowę i podaję im listy na różne adresy w Niemczech, w nadziei, że któryś z nich dotrze do celu. Nie

wchodzi w rachubę, żebym pojechał z nimi, gdyż pociągi są po drodze ostro kontrolowane. A jednak mam nadzieję, że kiedyś wykorzystam tę okazję. Ciągnie mnie oczywiście bardzo do moich bliskich i nie chciałbym wiązać się tu na dłużej.

Rosyjska obstawa pociągów, korzystając z postojów na stacjach, nierzadko udaje się po prywatne łupy. Widziałem pewnego razu, jak jeden z nich zasapany dźwigał kanapę na plecach do pociągu. Tymczasem lokomotywa z wagonami obstawy odjechała daleko za stację, tak więc musiał się mordować, pokonując blisko 400 metrów w głębokim śniegu na nasypie. Już prawie dotarł do wagonu, a wtedy pociąg powoli zaczął się cofać, on zaś musiał ze swym ciężarem przebyć jeszcze raz tę samą drogę. Jednak i to na próżno, bo kiedy, ociekając potem, znalazł się przed drzwiami wagonu, pociąg ruszył tak gwałtownie, że nie pozostało mu nic innego, jak rzucić kanapę i szybko wskoczyć na stopnie. Przyglądamy się takim scenom ze złośliwą satysfakcją, zrozumiałą wszakże w naszej sytuacji.

Polscy strażnicy kolejowi nie mają łatwo z Rosjanami. W sytuacji podbramkowej jedyny sposób na wybrnięcie z opresji to zniknąć z pola widzenia. Na przykład pewnego ranka planowy pociąg z Osterode najechał w ciemnościach na rosyjski transport wojskowy; było wielu ciężko rannych. Wściekli Rosjanie chcieli aresztować winnego zwrotnicowego, ten jednak był już za siedmioma górami, zdążywszy wszelako zawiadomić swego brata we wsi. Ten też wolał się ulotnić, słusznie się obawiając, że Rosjanie powetują to sobie na nim. Samo zwiewanie nie stanowi zresztą specjalnego problemu, bo mało kto ma więcej, niż to, co na grzbiecie. Poza tym niebezpieczeństwo pogoni w nieznanach okolicach jest stosunkowo małe.

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia zastanawiamy się intensywnie, jak by zdobyć trochę tłuszczu – butelkę oleju lub coś

podobnego. W końcu biorę starą teczkę, pakuję do niej znaną mi zieloną aksamitną suknię jednej z moich kuzynek, w Biessellenie nabywam bilet i wsiadam do pociągu do Allensteinu.

Po przybyciu na miejsce przeciskam się niepostrzeżenie przez dworcowy motłoch i bez szwanku docieram do siostr w Szpitalu Mariackim. Dają mi parę rad, ja zaś kieruję się na targ spróbować szczęścia z suknią. Targ mieści się na dwóch wąskich ulicach nieprzewidzianych do tego celu. Chociaż panuje zimowy chłód, tutejsza krzątająca, nawoływająca handlarzy, stojący ludzie, ich targi i przepychanki przypominają mi niegdysiejszą letnią wycieczkę do Sarajewa – jakby ktoś przeniósł mnie daleko od miejsca znanego kiedyś jako Allenstein.

Na dodatek nie ma tu właściwie niczego, czym warto byłoby handlować. Oferta towarowa nie wykracza poza zapalki, cebulę, resztki materiałów, drewniane chodaki i stare narzędzia ogrodnicze. Tak czy inaczej, kiedy wysuwam z teczki rąbek aksamitnej sukni, mam zaraz wokół siebie całą chmurę interesantów. Każdy próbuje pociągnąć za wystający koniuszek i dotknąć materiału. Wycofuję się powoli aż do stoiska sprzedawczyni zapalek, która zdaje mi się stosunkowo godna zaufania. Za plecami podają jej teczkę, ona zaś znika pod swym straganem, żeby w spokoju obejrzeć suknię. Majątku na niej nie zrobię, ale nie żądam więcej, niż kosztuje butelka oleju, a więc 600 złotych. Jednak kobieta nie chce tyle wydać, zwraca mi więc suknię i teczkę. Natychmiast obstępuje mnie gawiedź. Nagle z jednego domu wychodzi bardzo energiczna kobieta, która prawdopodobnie wyglądała przez okno, rozpycha ludzi i ciągnie mnie za rękę na korytarz. Idziemy na górę po schodach i wchodzimy do wnętrza, potem ona znika, żeby przymierzyć suknię. Znajduję się w naprawdę przyjemnym mieszkaniu, które kiedyś najwidoczniej należało do jakiegoś lekarza, i jestem zdziwiony, jak porządnie urządziła się tu ta kobieta, jeśli zważyć panujące dookoła warunki. Dość szybko pojawia się

przebrana w zieloną suknię, o wiele dla niej za wąską i za krótką, poza tym w niektórych miejscach cokolwiek wytartą. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Kobieta reaguje sympatycznie i opowiada, mówiąc nie najgorzej po niemiecku, w jaki sposób znalazła się w Allensteinie. Jest żoną lekarza, który chwilowo zajęty jest gdzie indziej, ale ona chciałaby zarezerwować dla niego etat. Mam jednak wrażenie, iż wcale nie jest pewna, czy mąż przyjedzie i czy w ogóle do niej wróci. Ona sama też w jakimś sensie tkwi tu na marginesie życia, jak wszyscy inni.

Pakuję suknię i wracam na ulicę. Przechodzę obok sprzedawczyni zapalek, która macha, bym podszedł, i szybko odkupuje ode mnie suknię za 500 złotych. Mam jeszcze trochę polskich pieniędzy, mogę więc w sklepie nabyć wymarzoną butelkę oleju. Pochodzi oczywiście jeszcze z niemieckich czasów, jak prawie wszystkie drobiazgi na sprzedaż w niezliczonych sklepikach.

Zbliża się Boże Narodzenie. Podczas wędrówek przez las nazbierałem bukwii, część jednak na życzenie ciotki rozsypałem. „Skoro masz bukwie – powiedziała – to porozsypuj od czasu do czasu garść na wzgórzu, bo zawsze chcieliśmy je zalesić.” Resztę zatrzymaliśmy do pieczenia. Poza tym mamy olej i mnóstwo pszennej mąki. Jesteśmy zatem świetnie zaopatrzeni.

W czasie świąt Bożego Narodzenia w wielu miejscach odprawiam nabożeństwa, w pierwszy dzień w Rapattenie, u pewnej rodziny, która udostępniła duży pokój. Muszę wziąć się w garść, by na widok wszystkich tych wzruszających postaci, nie rozczulić się przy czytaniu bożonarodzeniowej ewangelii. Później wraz z ciotką odwiedzamy ludzi we wsi i wysłuchujemy ich opowieści. Co prawda wszyscy przeszli to samo, ale najwidoczniej każdemu z osobna dobrze robi, kiedy może opowiedzieć o swym losie. Wszystkim kobietom wywieziono mężów i małych synów, niektórym nawet córki. I chociaż teraz nie ma już

właściwie czego zabierać, ludzie nadal są narażeni na zdarzające się napady milicji albo przeciągających tędy Rosjan. A ponieważ ci ostatni ciągle jeszcze poszukują zakopanych skarbów, posługując się długimi ostrymi prętami, ludzie, chcąc obrzydzić im te praktyki, pozakopywali w pobliżu swych domostw puste blaszane wiadra. W ogóle powymyślali całą masę chwytów, by wywieść ich w pole. Rosjanie zwykle przetrzyskują porządnie wyglądające miejsca, tak więc przezornie przygotowuje się dla nich takie zakamarki, pełne całkowicie zbytecznych przedmiotów.

Zima jest dość łagodna. Okresowo leży dużo śniegu i tropy zwierzyny łownej w lesie nęcą, by udać się na polowanie, tym bardziej, że nikt poza nami tam nie chadza. „Powinieneś właściwie coś ustrzelić – powiada ciotka – bo przecież pewnie już się tu nudzisz.” Pytam ją, jak sobie to wyobraża, skoro nie mamy żadnej broni. Ona na to, że jeden ze starych mężczyzn przebąkiwał coś o flincie, ukrytej ponoć koło piwnicy na lód. Tak naprawdę można by ją ukryć tylko pod trzciniowym dachem lodowni. Udajemy się tam po ciemku i faktycznie znajdujemy dwie strzelby z amunicją. Z zachowaniem wszelkiej ostrożności jedną zabieramy do mieszkanka, żeby ją wyczyścić. Potem znowu ją ukrywamy.

Następnego dnia jest bardzo chmurno i mgliście. Umożliwia mi to udanie się na pierwszy podchód. Szybko docieram do lasu, tu zaś prawdopodobieństwo spotkania człowieka jest bardzo niewielkie. Postanowiłem, że jeśli w ogóle będę strzelał, to tylko do zwierzyny płowej albo do dzika i tylko wówczas, kiedy strzał będzie całkiem pewny. Robi się jednak ciemno, zanim mam ku temu okazję.

Następnego ranka stoję w lesie we wcześniej wybranym miejscu, a ciotka idzie przez znajdujący się przede mną zagajnik, zwany „ogrodem różanym”, żeby ewentualnie nagonić znajdującą się w nim zwierzynę. W zagajniku są lochy. Uchodzą jednak w bok, tak więc i tym razem nie mamy szczęścia. Mimo wszystko jesteśmy zachwyceni, że w takich

czasach udało się nam chociaż raz wspólnie zapolować.

Również bez broni wyprawy przez las mają w sobie coś, czym niepodobna się nasycić. Szczególnie teraz, kiedy buki straciły już wszystkie liście i śnieg podkreśla wspaniałość ich kolumnowych pni, muszę mimo woli zbaczać z drogi i długimi susami pędzić zboczem w dół, do przejrzystych tafli jezior, w których czarnych głębinach krążą ryby. Codziennie towarzyszy nam świadomość, że jest to czas podarowany, czas łaski.

Piątek, 11 stycznia 1946

W Biessellenie witają mnie informacją, że było po mnie UB. Podobno chodzi o coś poważnego. Nie mam powodu się ukrywać, toteż udaję się natychmiast na posterunek. Moje dobrowolne przybycie wywołuje pewne zdziwienie. Pytam, czy ktoś zachorował, czy też mają do mnie inną sprawę. Nie czuję się zbyt pewnie pośród piętnastu uzbrojonych, podpitych i na wpół ubranych mężczyzn. Przez chwilę spoglądają na mnie lekceważąco, a potem któryś oznajmia, że nie wolno mi już organizować zgromadzeń. Na moje pytanie o powód tego zakazu nie otrzymuję odpowiedzi. Potem pozwalają mi odejść.

Sobota, 12 stycznia

Leje jak z cebra. W Biessellenie znajduję karteczkę od „doktorki” z poleceniem, by natychmiast udać się do „lekarza powiatowego” do Osterode i pomóc mu przy operacji. Nie brzmi to całkiem wiarygodne, gdyż o ile wiem, w Osterode nie ma w tej chwili ani sali operacyjnej, ani instrumentów chirurgicznych. Mocno przemoczony wsiadam do lokomotywy jadącej do Osterode, a potem przekradam się do lekarza

powiatowego. Kolega po fachu wita mnie na szczęście uprzejmie i prosi, by go zastąpić przez cztery dni. Musi zaraz wyjechać na jakiś kurs do Allensteinu. Oczywiście nie ma mowy o żadnej operacji. Jednak przypadkowo właśnie ktoś przyprowadza młodego polskiego traktorzystę, któremu kolega przez nieuwagę przestrzelił prawe ramię. Siedzieli obok siebie na traktorze i nagle wypalił pistolet maszynowy. Stwierdzamy zmiążdżenie kości i zastanawiamy się, co zrobić, żeby przetransportować go do Allensteinu, gdzie trzeba odpowiednio opatrzyć ciężkie zranienie. Nie jedzie już żaden pociąg, więc wysyłamy zmartwionego kolegę na poszukiwanie jedyne go w Osterode samochodu, który należy do milicji. W tym czasie zakładam rannemu prowizoryczny opatrunek. Kurczowo się mnie trzyma i błaga, żebym pojechał z nim do Allensteinu. Dowiaduję się przy tym z niemałym zaskoczeniem, że przybywa z Finckensteinu. Czy pałac jeszcze stoi – nie wie. Wnioskuje więc, że spłonął. Jest to zresztą najbardziej prawdopodobne, gdyż chodzi o najpiękniejszą posiadłość w całych Prusach Wschodnich i Zachodnich.

Kolega z Osterode zaprasza mnie na miłą kolację. Potem trzeba czekać jeszcze parę godzin, gdyż milicjanci wyjechali. Późno w nocy przyjeżdża wreszcie samochód, krótka amerykańska ciężarówka z płaskim nosem. Ładujemy rannego i ruszamy w szalonym tempie przez Jablonken i Dietrichswalde do Allensteinu. Kiedy przejeżdżamy przez lasy wokół Grasnitzu, próbuję zeskoczyć, bo w Allensteinie nie mam czego szukać. Jednak Polak trzyma mnie mocno. Podczas jazdy kilka razy wymiotował, a i ja nie wyszedłem bez szwanku. Około pierwszej w nocy zatrzymujemy się przed drugim szpitalem w Allensteinie. Przyjmują nas pielęgniarki palące papierosy. Kładziemy pacjenta na łóżku w mocno zadymionym pomieszczeniu. Mamy zaraz wracać. Podobno jednak skończyła się benzyna. Musimy więc resztę nocy spędzić w Allensteinie. Kierowcy wiedzą, gdzie jest ciepło. Jedziemy do licznikowni i układamy

się na trzech stołach obok rozżarzonych do czerwoności grzejników. W świetle jaskrawej lampy moi towarzysze natychmiast zasnęli. Mnie się to tak szybko nie udaje, gdyż od prawie 24 godzin tkwię w przemoczonym ubraniu i nie ryzykuję pozbycia się tego okładu na poty. Lepiej być w każdej sekundzie gotowym do ucieczki.

Niedziela, 13 stycznia

Lekkimróż i gołoledź. Jeden z kierowców wyprawia się na poszukiwanie benzyny. Około dziesiątej coś znalazł i wraca. Przejżdżamy całe miasto i zatrzymujemy się przed domem, z którego wynoszą trzy niedające się już zamknąć konwie na mleko pełne benzyny i ładują do samochodu. Poza tym napełniamy bak, a potem dosiada się sześciu ludzi, którzy chcą się zabrać do Osterode. Tym razem jedziemy przez Hohenstein. Droga jest dłuższa, ale za to znacznie lepsza, a trzeba oczywiście jechać szybko. Po co w końcu ma się samochód.

Pędzimy przez opustoszałe ziemie. Po chwili wyłania się Hohenstein, kompletnie zniszczony, jak po I wojnie światowej. Pomnik bitwy pod Tannenbergiem^[61] z wysadzoną w powietrze przednią i tylną wieżą wygląda jak ze złego snu. Potem zaczyna się las. Droga jest jeszcze bardziej śliska niż na otwartej przestrzeni. Spod zamkniętej plandeki mam widok tylko do tyłu, ale zauważam z przerażeniem, że droga jest coraz bardziej pochyła. Wpadamy w poślizg, najpierw na lewo, potem na prawo, słychać huk, samochód od tyłu podnosi się w górę, lecimy wszyscy do przodu, a potem leżymy skąpani w benzynie na plandece wywróconego pojazdu. Aż dziw, że dach wytrzymał. Ponieważ liczyłem się z takim obrotem sprawy, wyczołguję się jako pierwszy, pozostali wychodzą

[61] Bitwę pod Tannenbergiem stoczyły w 1914 roku armie niemiecka i rosyjska; zakończyła się zwycięstwem Niemiec (red.)

jeden za drugim. Nikomu nic się nie stało. Nasz wóz leży nieporadnie z kołami do góry w rowie. Obok zatrzymuje się samochód osobowy, który prawdopodobnie był powodem naszego wypadku, ponieważ przy mijaniu musieliśmy zjechać ze środka drogi. Jeden z naszych pasażerów wsiada i wraca do Allensteinu. Kuleje, a nikt z nas nie wie, jak długo przyjdzie nam tutaj czekać na pomoc. Nam samym z pewnością nie uda się postawić samochodu na koła. Po półgodzinnej bezczynności od strony Osterode pojawia się taka sama ciężarówka, która też pędzi jak na złamanie karku. Machamy już z daleka, kierowca hamuje, wpada w poślizg, uskakujemy z pobocza do zagajnika. Samochód wykonuje obrót o 180 stopni, uderza tyłem w drzewo i staje. Po sekundach strachu spada na nas kanonada sążnistych przekleństw załogi, również polskich milicjantów. Kierowca kilkakrotnie zapuszcza motor, wreszcie zawraca i odjeżdża.

Chwilę później z przeciwnej strony nadjeżdża jakiś chłop. Spozrzegł nas w rowie i chce się zatrzymać. Jego nędzny koń ślizga się, rozjeżdżają mu się nogi i już bezradnie leży na szosie. Chłop przez chwilę się trudzi, a potem wspólnymi siłami stawiamy konia na nogi i ostrożnie jedzie dalej.

Zaczynam marznąć w ubraniu przesiąkniętym deszczem i benzyną. Próbuję się usamodzielnić, idę powoli wzdłuż drogi, jakbym chciał tylko zobaczyć, co jest za następnym zakrętem, a potem, kiedy jestem już poza zasięgiem ich wzroku, przyspieszam kroku. Chciałbym w miarę możliwości jeszcze tego wieczora dotrzeć do Grasnitzu. Na skrzyżowaniu dróg w Hohensteinie stoi wartownik. Ponieważ jednak idę na wschód, nie budzi to jego podejrzeń. Skręcam na północ, przechodzę przez Manchengut i odwiedzam starego Skibbe, którego córka wróciła w beznadziejnym stanie z Czelabińska. I znów muszę wysłuchiwać, jak strasznie tam, głęboko w Rosji, odnosili się do siebie nasi rodacy. Dziewczyny stłoczone po 80 w bydłym wagonie jechały w lutym tygodniami przez Rosję, bez jedzenia i wody, ani razu nie otwarto nawet wagonu. Kiedy dotarły na

miejsce, wiele z nich już nie żyło. Pozostałe skazane były na dalszy ciąg koszmaru, tak jak w Königsbergu. (Ta dziewczyna zmarła cztery tygodnie później.)

Przy pożegnaniu dowiaduję się ku mojej radości, że stary kaznodzieja ze Związku Modlitewnego w dzisiejszą niedzielę odprawił tu nabożeństwo. Jak dobrze, że milicja choć jemu na to pozwala. Kiedy jednak jestem już blisko Biessellenu, ogarnia mnie nieufność. Wyprzedza mnie jednokonny wóz, powożony przez miejscowego komendanta milicji. Ujrawszy mnie, waha się przez chwilę, ale potem jedzie dalej, nie zwracając na mnie uwagi. Mam wrażenie, że coś się kroi, ale bezpiecznie docieram do Biessellenu i w ambulatorium dostaję kawę. W jasnym świetle księżyca idę dalej, zbaczam jeszcze krótko na pole, żeby skontrolować nasz kopiec – jest nienaruszony – a około dziesiątej wieczorem jestem w domu u ciotki.

Poniedziałek, 14 stycznia

Wczesnie rano w wysuszonym ubraniu udaję się do Osterode. Nie chcę lekarza powiatowego zostawić na lodzie. Poza tym moje dni w tej okolicy są chyba jednak policzone, skoro w szerokich kręgach zwrócono już na mnie uwagę. Chcę spróbować przedrzeć się na zachód, zanim zatrudnią mnie w Osterode na nie wiadomo jak długo.

Ciotka towarzyszy mi przez las. Spędzony wspólnie czas jawi się nam jak opowieść z ulubionej książki z obrazkami. Nadszedł czas pożegnania. W nocy spadł świeży śnieg. W lesie pełno śladów jeleni i dzików. Strony rodzinne jawią się tak żywo i intensywnie. Krótkie słowa pożegnania, ruszam w drogę i w Biessellenu udaje mi się jeszcze z drugiej strony wskoczyć do pociągu do Osterode.

Najpierw odwiedzam tam pięć katolickich sióstr, które przyjmują mnie

niezwykle serdecznie. Najmłodsza z nich jest chora i właśnie przyszedł polski ksiądz, żeby udzielić jej komunii świętej. Kiedy dowiaduje się, że jestem lekarzem, podciąga do góry nogawkę i pokazuje mi ranę, która nie chce się zagoić. Zakładam mu opatrunek i udzielam wskazówek, jak ją pielęgnować. Potem ubiera się w komżę i idzie do chorych. Podążają za nim pełne szacunku siostry.

Plecak zostawiam u sióstr i udaję się, zachowując jak zwykle ostrożność, do szpitala, gdzie mam zastępować lekarza. Szpital w Osterode leży poza miastem i dlatego zachował się w dość dobrym stanie. We wnętrzu odbywa się sprzątanie. Uczestniczy w nim niemiecka diakonisa, która pokazuje mi pobieżnie budynek. Ku mojemu zaskoczeniu odkrywam wszędzie części wyposażenia rentgenowskiego z Insterburga, które wysłaliśmy tutaj przed rokiem, ratując je przed Rosjanami. Oczywiście całkowicie na próżno. Rosjanie byli tu bowiem dzień wcześniej niż w Insterburgu. W szpitalu mają kilka łóżek, a w dokładnie zamkniętym pomieszczeniu przechowywane są amerykańskie tabletki i maści, które przesłała tu UNRRA. Dostaję mały pokój z bardzo wygodnym miejscem do spania.

Mijają trzy dni w szpitalu bez szczególnych wydarzeń. Jak wszędzie, tak i tu przychodzą prawie wyłącznie kobiety i dziewczęta, żeby się dowiedzieć, czy jest już coś na ich chorobę. Okropna jest ta niewrażliwość wobec nich, do której trzeba było przywyknąć.

Na życzenie lekarza powiatowego sporządzam listę ze wszystkim, co jest potrzebne w normalnej sali operacyjnej. Chce spróbować załatwić coś z tego w Warszawie.

Czwartek, 17 stycznia

Zgodnie z oczekiwaniami dzisiaj ma wrócić lekarz powiatowy, dlatego też zamierzam zaraz wyruszyć na zachód. Po zapadnięciu zmroku

odbieram plecak od szarytek, skradam się w stronę dworca i wskakuję do pierwszego lepszego pociągu towarowego. Jedzie na wschód. Muszę zatem po drodze znaleźć okazję i przesiąść się do pociągu w przeciwnym kierunku. Podczas pierwszego postoju w szczerym polu idę do przodu, napotykam niemiecką załogę pod obstawą dwóch miłych Rosjan i dalej jadę, siedząc w lokomotywie. Wiozą do Rosji części jakiejś fabryki i liczą, że za dwa-trzy miesiące będą z powrotem w Niemczech. Oferuję się w roli palacza. Oni jednak odradzają, gdyż sami mają papiery z rosyjskimi lub polskimi parafkami i są często kontrolowani.

W Allensteinie wysiadam. Na peronach jest tak ciemno, że nie ma niebezpieczeństwa, by ktoś mnie zauważył. W okolicy dworca stoi wiele pociągów towarowych. Puste jadą na zachód. Pertraktuję z kilkoma niemieckimi załogami, ale nikt nie ma ochoty mnie zabrać. Najprawdopodobniej wszyscy są pod silną presją. Kiedy w końcu zaczyna dzień, nie pozostaje mi nic innego, jak wczołgać się z tyłu do pustego wagonu. Trochę później pociąg rusza.

Piątek, 18 stycznia

Koło południa znów jesteśmy w Osterode. Temperatura spadła do minus 20 stopni i jestem tak zmarznięty, że dalsza podróż nie wchodzi w rachubę. Wsiadam i postanawiam po prostu wrócić do szpitala. Może nikt nie zauważył mojej nocnej wycieczki.

Kiedy przechodzę przez tory, przerażony spostrzegam idącego z naprzeciwka komendanta UB. On też jest zdziwiony naszym spotkaniem. „Doktor, idziemy!” Co zamierza? Chce zaprowadzić mnie do jakiegoś chorego? Nie pierwszy raz. Sam zresztą był już moim pacjentem. A może chce mnie aresztować? W tym momencie nie pozostaje mi jednak nic innego, jak pójść z nim. Idziemy kawałek obok siebie w milczeniu,

wchodzimy do budynku, przed którym stoi wartownik, a potem stoję w otoczeniu co najmniej dwudziestu umundurowanych Rosjan i Polaków. Wpadłem w pułapkę.

Trochę szyderczo, trochę ze znudzeniem Rosjanie przyglądają się, jak dwóch Polaków mnie rewiduje. Mój znakomity, pieczołowicie spakowany bagaż uciekiniera rozkładają na części. Przedmioty wędrują z rąk do rąk: nowe spodnie, jeszcze z dawniejszych czasów, skarpety, para butów – a tyle zadałem sobie trudu, żeby donieść ten balast aż tutaj. „A, doktor do domu!” – śmieją się ze złośliwą satysfakcją. Nie, naprawdę nie da się ukryć, że chciałem się ulotnić. Po plecaku przychodzi kolej na kieszenie i wszystkie miejsca, w których można coś zaszyć. Znajdują dwa zegarki, ich miny stają się ponure. A ja wstydzę się trochę, że mam jeszcze coś takiego, chociaż są to pamiątki po zmarłych. O wiele bardziej niebezpieczny jest jednak zeszytek, który chwilowo odkładają na bok – mój dziennik. Zawiera on wprawdzie tylko krótkie notatki o codziennych wydarzeniach, ale to wystarczy. Na szczęście pisałem bardzo drobno i niemieckim pismem – może nie będą umieli odczytać. Zostawiają mi kamizelkę z kozucha, którą mam na sobie, i chleb. Niewielką Biblię muszą najpierw skontrolować. Pytam, dlaczego mnie zatrzymali. „Gadałeś polityczne rzeczy i strzelałeś z ludźmi w Gusenofenie.” Podobno dwa razy, kiedy tam byłem, słyhać było strzały. To pierwsze odnosi się do nabożeństw, które odprawiałem za ich zgodą, to drugie jest zwykłym wymysłem. W Gusenofenie są tylko zupełnie wynędzniałe kobiety i dzieci. Kto mówił o tych politycznych przemówieniach, pytam. „Niemiecki człowiek.” Nie mogę nic powiedzieć, ponieważ jest to, niestety, możliwe. A potem – do piwnicy.

Niskie pomieszczenie, mniej więcej sześć na sześć metrów, u góry dwa małe okienka. Trzydziestu mężczyzn na dwupiętrowych pryczach, na środku żelazny piec. Poza czterema czy pięcioma Polakami, wszyscy

aresztowani to Niemcy. Jeden z nich bierze mnie na swoją prycę i wyjaśnia sytuację. Wszyscy byli w obozie u Rosjan i po kilku miesiącach zostali zwolnieni. Ciężko chorzy wrócili do domu, a w swych domostwach – o ile ocalały – zastali Polaków; ci zaś oskarżyli ich o przynależność do partii i wtręcili do więzienia. Jeszcze do niedawna byli tu sami i mogli w miarę zachować czystość. Teraz jednak są tu też Polacy zamknięci za pędzenie bimbru, i nie chcą z nimi współdziałać. Od tego czasu znowu szerzą się wszy. Niektórych w ciągu dnia zabierają do pracy, zwykle do sprzątania ulic. Kilku już zmarło, zwolniony nie został jeszcze nikt. Do jedzenia dodają sól potasową, która mocno piecze w język. Radzi mi usilnie zapomnieć o swych rzeczach i przy pierwszej nadarzającej się okazji wziąć nogi za pas.

Po południu przychodzi po mnie strażnik, daje mi w rękę szufelkę i poleca napalić w piecu na górnym piętrze. Może myślą, że tego nie potrafię. Z izby strażników, w której wszyscy jeszcze leżą rozwaleni na stołach, biorę żar z pieca. Grunt to nie pokazać niepewności. Mam wrażenie, jakbym był treserem w klatce lwów. Na schodach, którymi idę, niosąc żar na drugie piętro, jestem przez chwilę sam. Gdybym teraz podpalił dom, to powstałby niezły chaos i niejeden mógłby zwiąć. Nagle otwierają się drzwi do dużego pomieszczenia i mój wzrok pada na potężnego rosyjskiego oficera, który siedzi pod przeciwległą ścianą na kanapie jak na tronie. Pod stołem u jego stóp leży budzący postrach biały dog. Oficer w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, co by znaczyło, że rzeczywiście mam tylko palić w piecu. Po wykonaniu tej czynności odprowadzają mnie znowu do piwnicy.

Wieczorem wypędzają nas na tylne podwórze, a w stajni dostajemy zupę rozdzielaną przez jakąś lekarkę. Ona też jest więźniarką. Po wkroczeniu Rosjan wolno jej było jeszcze przez pewien czas pracować w Osterode, potem milicjant zabrał ją do opieki nad swym dzieckiem i

już jej nie wypuszczono. Bez mrugnięcia okiem, jakbyśmy prowadzili obojętną rozmowę, objaśnia mi, jak uciec z tego podwórza. Trzeba się dostać do sąsiedniej stajni, a potem wyjść przez okno. Próbuję wycofać się chyłkiem, ona zaś stara się odwrócić uwagę strażnika. Ten jednak jest baczny i popycha mnie kolbą z powrotem.

Nocą krążą mi po głowie różne myśli. Tym razem nie jestem całkiem pewien, czy powinienem uciekać, czy nie. Mam niejasne przeczucie, że powodem mojego aresztowania jest ich domniemanie, iż mimo zakazu zorganizowałem albo wręcz sam odprawiłem nabożeństwo w Manchengucie. Tak więc w pewnym stopniu jestem tu, w tej piwnicy, w imię odpowiedzialności za Ewangelię. Co robić? Życie jest tak piękne i tak miło byłoby tych wszystkich, którzy tutaj zgrywają się na stróżów porządku, raz jeszcze wyprowadzić w pole! I kiedy tak leżę na pryczy, duchem jestem już w drodze, na schodach, biegnę przez podwórze do stajni, wyskakuję przez okno, wspinam się po zboczu, przemykam pomiędzy domami, biegnę ulicami i wielkim łukiem okrążam miasto, idąc w stronę jeziora, o którym nie wiem, czy jest już zamrożone.

Niekończąca się noc. Polscy współwięźniowie głośno dowcipkują. Pewien niemiecki wojak, który uciekł z Rosji, a przed trzema miesiącami tu go schwytali, skarży się niemiłosiernie. Wszyscy inni leżą w milczeniu. Od czasu do czasu ktoś wstaje i dorzuca węgla. Nad nami rozbrzmiewa w krótkich odstępach gromki gwar.

Sobota, 19 stycznia

Około siódmej rano na górze pojawia się strażnik, schodzi po schodach do piwnicy i otwiera u nas drzwi. Stary człowiek idzie z nim na górę, żeby przygotować kawę. Skradam się i staję na najwyższym stopniu. Drzwi są tylko przytknięte, za nimi stoi wartownik. Znów mija długa chwila, jest

piekielnie zimno, zaczynam już sztywnieć. Na dworze świta. Wtem ktoś woła wartownika, ten odpowiada i robi parę kroków – moja ręka jak we śnie popycha drzwi, jestem na zewnątrz, na podwórzu, dopadam do stajni, przeciskam się przez okno, biegnę z boczem w górę – teraz wystarczyłoby, żeby ktoś wyjrzał przez okno – dobiegam do zwartej zabudowy, jestem na ulicy, biegnę na zachód, później skręcam na lewo i szerokim łukiem kieruję się coraz bardziej na wschód. W miarę możliwości chcę zmylić trop pościgu – ze względu na psa. Tylko jego się obawiam. Ze zburzonego domu biorę poręczny kawał żelastwa do obrony, biegnę obok szpitala przez Hohensteiner StraÙe, przez ogrody – na szczęście nie widać jeszcze ludzi – a potem na przełaj przez pole. Przekraczam linię kolejową, potem drogę do Jablonken i, żeby ominąć miejscowości, idę w kierunku jeziora Szelał Wielki. Nic, tylko śnieg i płaski teren. Potem niewielkie rozłożyste sosny, wyboje, piaszczysty grunt. Przebiegam przez plac ćwiczeń. Pojedyncze drzewa okryte szadzią żarzą się już w różowym odbłasku zorzy. Na ziemi kładą się jeszcze niebieskawe cienie. Biegnę i biegnę, aż nagle przede mną stromo opada brzeg jeziora. Las po drugiej stronie! Za nim wschodzi już słońce. Zsuwam się z boczem w dół, do jeziora, żelastwo wybija dziurę w lodzie, ślizgam się po skrzypiącej, trzaskającej powierzchni, padając kilka razy na brzuch, i docieram do lasu. Och, życie i wolność! U góry, na zboczu, pomiędzy wspaniałymi pniami drzew Lasów Taborskich siadam i obserwuję brzeg, z którego przybyłem. Ale nikt nie podąa moim śladem.

Potem idę w prostej linii na wschód, na przełaj przez drzewostan. Od roku z pewnością nie było tu żadnego człowieka. W starodrzewie zrywa się ze zdziwieniem chmara jeleni i pospiesznie umyka, gdy jestem już tuż obok. Tu na pewno nikt za mną nie przyjdzie. Potem nagle słyszę za sobą szczekanie dużego psa. W sekundzie ogarnia mnie wielkie zmęczenie, opieram się o drzewo, mocno ściskając żelazny pręt. Szczekanie jest coraz bliżej, skrzypi podszycie – mój Boże, jelen w ostrym truchcie, a

za nim wielki, kudłaty pies. Wraca we mnie znowu życie. Macham ręką, jeleni omija mnie i biegnie dalej, pies zawraca i znika zawstydzony. Moje serce przepełnia wdzięczność. Tego ranka cały las należy do mnie.

Godzinę później jestem w Grasnitzu. Nikt tu jeszcze nie może wiedzieć o moich ostatnich przygodach. Jednak na wszelki wypadek nie chcę wpaść nikomu w oko. Ciotka jest w domu. Naderwała sobie mięśnie i dlatego nie poszła do pracy, wcale zaś się nie dziwi, że zjawiam się tak nagle. Przeżyliśmy już niejedną nieoczekiwaną sytuację. Nie było tu jeszcze nikogo, kto by mnie poszukiwał. Może się to jednak zdarzyć w każdej chwili. Kładę się na łóżku, a ciotka gotuje mi kluski i obserwuje, czy ktoś nie nadchodzi. Zastanawiamy się, co robić. Jaw każdym razie muszę zaraz ruszyć dalej. Ale co będzie z nią? Może Polacy będą chcieli na niej powetować sobie moją ucieczkę? Nie mogę jej jednak zabrać ze sobą – z chorą nogą i w taki mróz. Nie wiadomo nawet, dokąd mielibyśmy się skierować. Zostaje więc tutaj sama, o wiele bardziej ufna niż ja i macha mi na pożegnanie, kiedy godzinę później przez nikogo niezauważony opuszczam majątek, z nowym, tym razem bardzo skromnym bagażem.

Najbezpieczniej wydaje mi się pójść najpierw do Ponarienu, gdzie przed trzema miesiącami spotkałem Preuśa. Spodziewam się, że tak daleko nie będą mnie ścigać. Wykorzystując skrawki lasów, pofałdowanie terenu i inne kryjówki, docieram aż do Brückendorfu. Naprzeciw mnie nadjeżdża zaprzężony wóz. Po koniach poznaję zarządcę z Langguta, który jest jeszcze na tyle daleko, że mogę zniknąć w opustoszałym domu. Oślepiony południowym słońcem przejeżdża obok, nie poznając mnie.

Za Gallinden skracam sobie drogę, idąc przez las tętławiecki do Reichau. Tam, siedząc w słomie w szopie opustoszałego gospodarstwa, czekam na nadejście zmierzchu. Jest niemiłosiernie zimno. Jestem dość wyczerpany i troska o ciotkę nie dodaje mi energii.

Przy zapadających ciemnościach docieram okrężną drogą przez las

do Ponarienu. Ani śladu człowieka. Pukam do drzwi Preuša – zamknięte. Obok jest mieszkanie woźnicy, drzwi są otwarte. Ukazuje się bardzo przestraszona pani Klein. Preuša z żoną i inne rodziny wyrzucili w listopadzie. Jej męża nie ma od roku. Ale jest jeszcze kowal Böhneke. Prowadzi mnie do niego.

Niedziela, 20 stycznia

Noc i następny dzień spędziłem u Bohnków. Kiedy dowiedziała się o tym panna Görke – jest tu jeszcze i gotuje dla polskiego zarządcy – przyniosła mi kawałek słoniny. Pani Lemke, której mąż zaginął, przysłała z dwiema parami skarpet. Teraz jest tu więcej Polaków niż jesienią. Preuša wyrzucili z mieszkania, bo chcieli przejąć jego rzeczy. (Później dowiedzieliśmy się, że on i jego żona zmarli podczas transportu.)

Wieczorem około dziesiątej wyruszam znów w pełni księżyca. Zrobiło się jeszcze zimniej. Drogą do Hermenau, a stamtąd szosą aż do Mohrungenu; nie widać żywego ducha. Jednak tuż przed miastem wychodzą nagle zza zakrętu jacyś mężczyźni i zacierają szybko w moją stronę. Nie mogę już zboczyć i idę środkiem, prosto na nich. Są to żołnierze, prawdziwe wojsko. Z nimi najprędzej można się dogadać. Pierwszy z nich zatrzymuje mnie, przechodząc, mamrocze coś o „starości”, pozdrawia i pozwala iść dalej. Może wziął mnie za polskiego urzędnika. Pozostali nie zwracają na mnie uwagi. Przed miastem odbijam w prawo, idę z tyłu, za koszarami przez poligon, przechodzę obok drucianych płotów i zamarzniętych rowów, przecinam linię kolejową i dochodzę znów do drogi prowadzącej na zachód. Sądząc po śladach, mam wrażenie, że jest częściej używana niż poprzednie, po których szedłem. Trzeba się więc mieć na baczności.

Wkrótce docieram do lasu dobrocińskiego, a później do samej

miejsowości Bestendorf. Pałac jeszcze stoi. Ze wsi dobiegają głośnie wrzaski. Około północy robię odpoczynek w polnej stodole, po lewej stronie drogi, rozpalam trochę słomy, żeby ogrzać sobie ręce, ale zaraz gaszę, przecież nie chcę puścić jej z dymem.

Na skrzyżowaniu dróg pod Maldeutenem muszę odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd się kierować – do Marienburga i stamtąd dalej na zachód, czy też do miejsca, gdzie jeszcze przed rokiem byli rodzice i brat. Co wybrać – ryzyko przeprawy przez Wisłę, być może po krze, czy jeszcze raz pójść do domu, na groby, a potem niech się dzieje, co chce. Wiem, że w Januschau są Rosjanie. A jednak ciągnie mnie potężnie w tę stronę. Może w pobliżu znajdę jeszcze Niemców. Idę za głosem duszy.

Drogowskaz informuje: u km do Saalfeldu. Również i tu stare nazwy miejscowości napisane są rosyjskimi literami. Z daleka Saalfeld wydaje się mocno zniszczony. Zostawiam miasto po prawej, przecinam linię kolejową do Liebmühla, tutaj też zdjęli tory. W następnej miejscowości, Weinstdorfie, widać znaczne szkody. Przechodzę przez wieś, nagle słyszę kroki i chowam się za kościołem. Szybkim krokiem idzie dwóch mężczyzn, trzęsą się z zimna i po chwili znikają w jednym z domów. Maszeruję dalej. Po godzinie z księżycowej mgły wyłania się przede mną Gerswalde. Zastanawiam się, czy przejść przez miejscowość, ale ostatecznie skręcam na lewo, dochodzę do jeziora, mijam długi szereg drewnianych rybackich chat, nic się tu nie dzieje, przechodzę przez zamaznięty Jeziorak i dopiero w pobliżu leśniczówki Eichenlaube wychodzę na ląd. Pomiędzy młodymi dębami w świetle księżyca buchtuje bez lęku wataha dzików. Wydaje się, że nikt im tutaj nie przeszkadza. Spoglądam jeszcze za siebie na jezioro, a potem przecinam drogę do Schwalgendorfu, idę na przełaj przez las i przy granicy prowincji docieram do głównej drogi.

Prusy Zachodnie! Lasy kamienieckie! Jak tu swojsko. Stary młyn stoi jeszcze i sprawia wrażenie użytkowanego. Prowadzące doń drogi są

rozjeżdżone jak nigdy wcześniej. Dalej las januszewski. Tutaj też droga ze śladami wielu pojazdów, jak ważna arteria. Co też robią tu ci Rosjanie? Ale po lewej i prawej drzewostan jest taki, jak dawniej. Pomiędzy pniami buków widok na jezioro, a każdy zakręt przywodzi tysiące wspomnień o nocach i dniach z przeszłego życia. Samodzielnie człowiek nie jest w stanie tego wszystkiego pojąć. Ale po 60 kilometrach marszu jestem znów w takim stanie ducha, że czuję, jakby szedł ze mną ktoś jeszcze.

Za lasem, wśród pól droga jest jeszcze szersza od jeżdżących po niej pojazdów, a ziemia po obu stronach alei – jakby przejechał po niej walec. Zmierzcha się już, kiedy na przełaj przez pole zmierzam do parku. Dom Nantego spłonął. Jeszcze parę minut i ujrzę groby. A potem naprawdę stoję tam, gdzie najdrożsi mi ludzie znaleźli miejsce ostatniego spoczynku, patrzę o brzasku na pola i śmieję się na widok rozrytych grobów, na których leżą jeszcze połamane narzędzia, nieprzystosowane do kopania. Czego tu szukaliście, głupi ludzie? Najwidoczniej kosztowało to was dużo trudu.

Jeszcze kilka kroków i widok na park. Ukochany dom stoi. Na werandzie jaskrawa lampa, wszystkie okna rozświetlone, trzaskają drzwi, przekleństwa, odgłos kół – to są Rosjanie.

Robi się coraz widniej. Muszę się gdzieś zatrzymać. Trzy kilometry do folwarku w Brausenien^[62] zdołam przejść. Może są tam jeszcze Niemcy. Tuż przed Brausenem, gdzie droga przecina wielki rów, wyprzedza mnie Rosjanin na koniu – jedzie typowym dla nich ostrym kłusem i nie zwraca na mnie uwagi. Zaraz potem z naprzeciwka nadjeżdża wóz z czterema opatulonymi postaciami, zatrzymuje się, ja też stoję. Przez chwilę przyglądamy się sobie badawczo – to stary Tiedtke z trzema dziewczynami z Januschau, jadącymi do pracy. W krótkich słowach relacjonują najważniejsze. Wszyscy mieszkańcy, którzy jeszcze żyją,

[62] Dawniej folwark należący do majątku Januschau.

są w Brausenie. Konwój uciekinierów poprzedniej zimy dotarł tylko w okolice Stuhmu, jakieś 40 kilometrów stąd. Rosjanie zastrzelili tam moją matkę i mojego brata. Wraz z nimi straciło życie szesnaście innych osób z Januschau.

Pytam, u kogo w Brausenie mogę się zatrzymać. Kierują mnie do Lasnera. U niego pewnie się da. Z daleka pokazują mi dom, w którym teraz mieszka. Mam jednak uważać, gdyż wieś jest strzeżona. Głośno śpiewając, mijam strażnika, który w futrzanej czapie i pantoflach, z pistoletem maszynowym pod pachą opiera się o barierkę. Dziesięć minut później leżę już cały i zdrów w łóżku Lasnerów.

JANUSCHAU

Poniedziałek, 21 stycznia 1946

Parę kromek chleba z cudownym syropem buraczanym postawiło mnie znów na nogi. Nie dość, że mam strudzone nogi, ostatnio doszły kłopoty z oddechem. Ku mojemu zaskoczeniu słyszę, że termometr u komendanta pokazuje minus 30 stopni. Chociaż mam dość cienkie ubranie, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Jak się dowiaduję, ziemia i okoliczne majątki są jeszcze w rękach Rosjan. Zwieźli tu wszelki żywy inwentarz, zapasy ze spichrzów oraz cały majątek ruchomy. Na pastwiskach piętrzą się młockarnie, pługi, wozy i inne sprzęty z całej okolicy. Polakom przekazano tylko zniszczone miasto Rosenberg i opustoszałe chłopskie wioski. W Brausenie znajduje się kilkuset Niemców, kobiet, dzieci i starych mężczyzn, poza tym mnóstwo Rosjan, których liczba nieustannie się zmienia. Komendant jest podobno całkiem przystępnym człowiekiem. Na polach się nie pracuje, oporzędany jest tylko inwentarz, około 140 krów – resztką stad przepadłych ostatniej zimy, poza tym kilka świń. Karmione są wysłódkami sprowadzanymi z cukrowni w Rosenbergu. Wysłódkami żywi się też cała wieś. Każdy marzy o pracy w oborze, bo zawsze można tam dostać trochę chudego mleka. Z głodu nikt tu nie umarł, jedynie na początku kilkoro z chorób i zimna. Ziemniaków jest jeszcze pod dostatkiem, gdyż na wiosnę obsadzano nimi kilkaset mórg. Zboże zostało zebrane i częściowo ciągle stoi w workach w spichrzu. Lęk przed Rosjanami jest tu najwyraźniej

mniejszy niż to, co przeżyłem gdzie indziej. Z tymi, którzy przebywają tu już dłużej, ludzie są czasem nawet w bliskiej komitywie.

Wieczorem wysyłają mnie do domu naprzeciwko, w którym mieszka stary leśniczy H. z żoną, dwiema zamężnymi córkami i trójką ich dzieci. Jego leśniczówka (Zollnick) spłonęła. Rosjanie zatrudnili go przy kłusownictwie i rąbaniu drewna, musi też jeździć z nimi na polowania. Córki pracują w gospodarstwie, jedna przy krowach, druga w kurniku komendanta. Mieszkanie, składające się z jednego dużego pomieszczenia i oddzielonej kotarą małej kuchni, mają teraz tylko dla siebie. Jeszcze parę tygodni temu musieli je dzielić z inną rodziną i kilkoma samotnymi osobami. Wielu ludzi Rosjanie zabrali na zachód, tak więc teraz pozostali mogą się nieco lepiej rozlokować. Dlatego też rodzina H. jest w stanie mnie przyjąć. Udostępniają mi łóżko za kotarą w kuchni i z głębokim zadowoleniem wyciągam w nim zmęczone nogi.

Wtorek, 22 stycznia

Zastanawiamy się, co dalej ze mną począć. Na kontynuowanie wędrówki jest za zimno, ale nie mogę się też dłużej ukrywać, gdyż już pewnie wszędzie się rozniosło, iż tu jestem. H. uważa, że najlepiej pójść do komendanta i powiedzieć, że jestem lekarzem, że stąd pochodzę i właśnie wróciłem. Obejście zamyka ogromna drewniana brama, nad którą widnieje portret Stalina. Część Rosjan zamieszkuje ocalały pałac. Komendant, starszawy, tęgi mężczyzna, wraca właśnie z ogrodu do domu. Ma na sobie tylko krótki kozuch i oficerki. Zostaję mu przedstawiony. Nie pytając o nic, zgadza się, żebym tu został i zajął się chorymi. Mam mieszkać u H. Żegnamy się i bardzo podniesieni na duchu torujemy sobie drogę wśród Rosjan, którzy z właściwą sobie swobodą okupują się.

Wieczorem snują się opowieści o ucieczce. Przed rokiem rodzina

H. opuściła Januschau w konwoju uciekinierów – dzieci i starzy ludzie na wozach, pozostali pieszo. Kiedy dotarli w okolicę Stuhmu, wysłali najpierw rowerzystę do Marienburga. Miał sprawdzić, czy istnieje możliwość przejścia przez most na Nogacie. Ten po powrocie wyraził wątpliwość, gdyż zbliżały się niezliczone kolumny. Umocniło to mojego brata i nadinspektora majątku w przeświadczeniu, że dalsza ucieczka nie ma sensu. Wobec tego zatrzymali się w małym majątku pod Altmarktem i czekali tam na Rosjan. Ci wkroczyli 25 stycznia pod wieczór. W zamieszaniu, którego nie warto opisywać, bo wszędzie działo się to samo, mój brat został ciężko raniony nożem. Matka zdołała jeszcze założyć mu prowizoryczny opatrunek. Potem nadeszli inni Rosjanie, spytali, kim on jest, po czym zastrzelili oboje. Odczuwam wdzięczność, że wszystko stało się tak szybko. Odkąd dowiedziałem się, że nie wydostali się z Prus Zachodnich, myśl o ich losie bezustannie mnie prześladowała.

Wkraczając, Rosjanie zastrzelili lub spalili dalszych szesnaście osób. Los kobiet był taki, jak wszędzie. Wszystkich młodszych mężczyzn zabrano. Leśniczy H., mimo swego munduru myśliwego, stracił tylko buty z cholewami, a potem przez osiem dni ukrywał się wraz z rodziną w samotnej chłopskiej zagrodzie. Później wygłodzeni ruszyli w drogę powrotną i ostatek sił dotarli przez głęboki śnieg do Januschau. Tam zakwaterowano ich z wieloma innymi w szkole, a kobiety znowu były maltretowane. Następnie wysłali ich do Brausenu, dokąd stopniowo przybywała większość mieszkańców. Pewien Niemiec, który dzięki znajomości polskiego mógł porozumiewać się z Rosjanami, został ich zausznikiem. Choć dotąd był to całkiem niegroźny człowiek, bardzo zaszkodził wielu zagrożonym towarzyszom niedoli, aż wreszcie w lecie zmarł, a wszyscy odetchnęli z ulgą.

Środa, 23 stycznia

Nogi na tyle mi wydobrzały, że mogę towarzyszyć obu córkom (pani S. i pani L.) w planowanym od dłuższego czasu przedsięwzięciu. Chcą udać się do powiatowego miasteczka Rosenberg i spróbować zdobyć od Polaków trochę tłuszczu, oferując w zamian jeden z ukrytych wcześniej obrusów. Niepostrzeżenie opuszczamy wieś i docieramy bez przygód do celu.

Miasto znajduje się w opłakanym stanie. Rynek jest kupą gruzów. Na ulicach widać pojedynczych Polaków. Wedle wszelkich oznak nie ma tu już nikogo z wcześniejszych mieszkańców. Z wahaniem wchodzimy do małego sklepiku. Mocno wyszmkowana sprzedawczyni – „Warszawianka” – jak głosi szyld na drzwiach, taksuje nas od stóp do głów z papierosem w kąciку ust. Pokazujemy obrus i zaczyna się ożywione targowanie. Kobieta mówi łamanym niemieckim. W głębi sklepu spostrzegamy dwóch siedzących Rosjan, wycofujemy się więc powoli przed dobieciem targu. W następnym sklepie – piekarni obok poczty – mamy więcej szczęścia. Właścicielka, uprzejma kobieta, daje nam za obrus bułki i pieniądze. Dla mnie to pierwsze bułki od roku. Piekarzowa ostrzega nas przed milicją. Przemykamy się przez ruiny i uchodzimy z miasta. W drodze powrotnej rzucam jeszcze krótkie spojrzenie na opustoszały szpital – nie tylko, że nie jest zniszczony, ale ma nawet sporo szyb w oknach.

Czwartek, 24 stycznia

Dzisiaj mam pierwszy raz godzinę przyjęć w jednym z nowych domów dwurodzinnych, gdzie dotąd rosyjska pielęgniarka Nadia sama zajmowała się chorymi. Drzwi do domu się nie zamykają, bo nie pasują do futryny. W sieni wznosi się wielka zaspą śniegu. Obok stoi ławka dla

czekających pacjentów. Drzwi do gabinetu nie mają klamki, ponieważ wszystkie zostały natychmiast wyrwane i zabrane. Dostaję od Nadii klamkę do prywatnego użytku.

Opatruję głównie ropiejące nogi. Z leków mam do dyspozycji tabletki luzem, resztki maści z zasobów Wehrmachtu i kilka nieokreślonych mikstur w butelkach po piwie z rosyjskimi napisami. Nadia jest spokojna i miła, mówi niezłe po niemiecku i nie przywiązuje specjalnej wagi do czystości.

Sobota, 26 stycznia

Dziś Rosjanie jadą na polowanie. Amunicję zabierają w dwóch workach po kartoflach. Wieczorem wracają z jeleniem i lochą. Wiele zwierząt postrzelili. Naganiacze też mają strzelby, tak więc padło około 2000 strzałów. Chociaż tego rodzaju polowania odbywają się dwa razy w tygodniu, jest jeszcze podobno wiele zwierzyny płowej. (Kiedy ostatnim razem tu polowaliśmy, oddaliśmy 36 strzałów, kładąc 16 sztuk zwierzyny.)

Wieczorem przychodzi lasem synowa państwa H. ze Schwalgendorfu i przynosi ryby. Długo już nie widziała swych teściów. Jej ojciec wcześniej dzierżawił Jeziorak i kilka innych jezior. Sama wróciła po ucieczce, a teraz gotuje dla Rosjan, którzy mieszkają w jej domu i zajmują się rybołówstwem. Przedtem przez parę miesięcy pracowała w okolicy Marienwerderu u Rosjan jako ślusarz maszynowy. Jej mąż, podobnie jego brat, zginęli w Rosji. Obecność tej młodej, silnej i nieustraszonej kobiety działa nas wszystkich odprężająco.

Niedziela, 27 stycznia

Z dnia na dzień z coraz większym niepokojem myślę o pozostałej

w Grasnitzu ciotce. Co też się z nią stało? Zabrali ją Polacy czy też nie takiego się nie zdarzyło? Nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiem się o jej losie. Dlatego muszę spróbować dostać się tam jeszcze raz.

Po południu towarzyszę młodej pani H. w drodze powrotnej do Schwaigendorfu. Januschau obchodzimy z powodu Rosjan.

Podobno zgromadzili tam około tysiąca koni. Las jest nietknięty; wszędzie widać powalone drzewa z wcześniejszych czasów. Jeszcze przed rokiem polowaliśmy tu, mając świadomość, że to już ostatni raz. Niemal niepojęte, że znowu tędy idę. Mijamy jeziora, przekraczamy granicę Prus Wschodnich i Zachodnich, która jest zarazem granicą majątku Januschau, widzimy przy drodze „Białego Chłopa”. Tę pobieloną męską postać z drewna ktoś kiedyś ustawił na rozstaju dróg w środku lasu, żeby straszyć swoich gości, którzy wracając nocą do domu, musieli mijać to miejsce. Teraz stoi tylko połowa figury, tylną część odstrzelili Rosjanie.

Pół godziny później jesteśmy w Schwalgendorfie, dużej wsi rybackiej nad Jeziorakiem. Mniej więcej połowa domów spalona. Mieszka tu jeszcze sporo Niemców, jak wszędzie – kobiety, dzieci i starzy mężczyźni. Młodszy mężczyźni, o ile jeszcze żyją, przebywają w obozach jenieckich albo na Zachodzie. Nic o nich nie wiadomo. Zachodzimy do starego rybaka Kuczmarskiego. Ludzie żyją tu głównie z ryb, które są podbierane podczas połowów dla Rosjan. Muszą w tym uczestniczyć wszyscy mężczyźni.

Po krótkiej wizycie schodzę schodami nad brzeg jeziora i po lodzie kieruję się ku miejscowości Weepers. Ktoś mi polecił rybaka stamtąd, który podobno ma mapę. Zastaję go w domu i po dłuższych namowach udaje mi się nakłonić go do pokazania mapy. Dać mi jej jednak nie chce. Dokładnie więc ją studiuje i robię sobie mały szkic głównych dróg i miejscowości, które leżą na obranym przeze mnie kierunku. Stary człowiek kręci głową zafrasowany i ostrzega mnie przed Polakami.

O zmroku przechodzę przez Gablauken, gdzie mieszkają jeszcze

Niemcy. Zamieniam z nimi kilka słów, a kiedy jest już głęboka noc, docieram do ostatniej odnogi Jezioraka, do Zatoki Kraga. Tę nazwę znam z dawnych czasów, choć tak się złożyło, że nigdy tu wcześniej nie byłem. Teraz jest mi dane wszystko to poznać. Próbuję iść brzegiem kanału, żeby skrócić sobie drogę. Jednak zbyt zbaczam z obranego kierunku, muszę więc zawrócić i pójść wytyczonym przez siebie szlakiem. Po przejściu jakiejś miejscowości prowadzi mnie on znów nad kanał i przez dłuższy czas podążam łąkami aż do Liegenu, miejscowości którą zaznaczyłem sobie na planie. Od tego miejsca idę na przełaj przez pola, prosto na miasteczko Liebemühl. Jest tak strasznie zniszczone, że chyba niezamieszkałe. Po prawej i lewej stronie ulicy sterczą ruiny w świetle wschodzącego księżyca. Znikąd znaku życia, choć chyba jest dopiero szósta wieczorem. Most przez niezamarznięty kanał na szczęście się zachował.

Idę w poprzek rynku i nagle bije zegar na wieży – tak czysto i ostro, że oblatuje mnie strach. Wkrótce jestem na skraju miasta, gdzie droga się rozwidla – na prawo do Osterode, na lewo do Mohrungenu. Po lewej stronie widzę światło i polski milicjant zagradza mi drogę. Pyta, dokąd idę, i trzyma mnie mocno z szyderczym śmiechem, kiedy miarkuje, że nie jestem Polakiem. Wyciągam młotek zza pasa. Puszczam mnie. Odpycham go i zanim zdążył się pozbierać, uciekam kawałek szosą na Osterode, potem skręcam w lewo i próbuję przez pola dotrzeć do lasu. Idąc po zamarzniętym polu, myślę, jak sprawa potoczyłaby się dalej, gdybym teraz doznał jakiegoś banalnego złamania kostki. Jeszcze parę kilometrów i szczęśliwie docieram do lasu. Milicjant nie będzie raczej ryzykował pościgu w ciemnościach.

Skradam się skrajem lasu i dochodzę do drogi na Mohrungen, idę nią kawałek, wyczekując w napięciu następnego zakrętu. Nie mogę przeoczyć traktu w las. Jeśli go nie zauważę, będę musiał mocno nadłożyć drogi.

Już rozpoznaję właściwe miejsce, ale zaraz cofam się przerażony, widząc ogromny, czarny obiekt, który zdaje się tarasować mój trakt. Długo wpatruję się weń bez ruchu, aż wreszcie pojmuję, że znów chodzi o jeden ze zniszczonych czołgów.

Na drodze przez las widać na śniegu ślady stóp jednego człowieka, które zaraz skręcają w prawo. Od tego miejsca są już tylko tropy zwierzyny. Trudno teraz zgubić kierunek, gdyż niebo jest czyste, a gwiazda polarna wskazuje mi drogę. Krótco potem znajduję się pośrodku watahy loch, które w spokoju rozpiierzchają się na boki. Później na polanie mogę się zbliżyć do chmary jeleni. Kawalek dalej, zdziwiony, znowu trafiam na drogę. Rozglądam się, po prawej, niedaleko mnie odchodzi kolejny dukt na wschód. Eck-Schilling! Siedząc na kamieniu, odpoczywam przez kilka minut z poczuciem wdzięczności, że szczęśliwie dotarłem do tego charakterystycznego miejsca w środku lasu. Całkiem w pobliżu powinno zaczynać się jezioro Szeląg, które kilka dni temu przemierzyłem o parę kilometrów dalej na południe. Jeszcze godzina drogi na południe i znów charakterystyczne miejsce: potężna sosna, która znad lewego skraju drogi pochyła się łukiem na prawo. Instynkt mi podpowiada, że może to tylko oznaczać bliskość miejscowości. Znów jestem ostrożniejszy, zauważam, że las się trochę przerzedza, dostrzegam po lewej jakiś dom, po prawej wysokie ogrodzenie, za nim pastwisko i dalsze domy. To może być tylko Taberbrück, najlepsze nadleśnictwo w całej prowincji. Nawet Napoleon sprowadzał stąd do Paryża „*bois de Tabres*”^[63].

Muszę teraz skrócić na prawo, przełazę przez ogrodzenie, przeskakuję kilka zamarzniętych na powierzchni rowów, przechodzę blisko zabudowań nadleśnictwa, które wydają się zamieszkałe, odnajduję drogę prowadzącą do Dungeny i wychodzę z lasu. Wokół wsi robię duży łuk.

[63] Franc.: „drewno z Taber”; wojska napoleońskie w 1807 roku wywoziły z lasów w okolicach Ostródy mnóstwo drewna, m.in. na budowę okrętów.

Łamie się przede mną lód na dużym rowie i zaczynają ujadać psy. Jednak za chwilę jestem już na dobrze mi znanej drodze: leśnictwo Pupken^[64], gdzie czasem odwiedzaliśmy polskiego leśniczego, droga do Wonickeru, las grażymowski – piękny jak we śnie. Na skraju lasu w alei kasztanowej jeszcze raz wataha loch, które niechętnie ustępują mi drogi, a potem stoję przed domem mojej ciotki, bez tchu pukam nerwowo w okno. Pojawia się jakaś postać – to ona. Wyłaniam się z ciemności.

Odkąd stąd odszedłem, nie wydarzyło się tu nic szczególnego. Raz była milicja i pytała o mnie, nie podając konkretnych powodów. Mieszkańcy sądzą, że jestem w więzieniu w Osterode. Nie minęła jeszcze północ, mam sporo czasu na sen.

Poniedziałek, 28 stycznia

Tłumacząc się swą niesprawną nogą, ciotka nie poszła dziś do pracy. Spędziliśmy cały dzień razem, rozmawialiśmy o zmarłych i wspominaliśmy tych wszystkich, o których nie wiemy, czy jeszcze żyją. O dziesiątej w nocy wyruszam. Stare buty nie nadają się już na drogę, wrzucam je wobec tego do plecaka. Zakładam walonki, które ostatnio sam sobie naprawiłem. Mogę wziąć Nowy Testament i zeszyt z czytaniem na rok 1935, który ma dokładnie taki sam jak w tym roku rozkład niedziel i świąt. Do Liebemühlu zmierzam tak, jak przyszedłem. Później jednak odbijam w prawo i idę wzdłuż kanału. Szukam wiaduktu kolejowego. Powinien być daleko poza miastem. Na szczęście jeszcze stoi. Kiedy przechodzę przezeń, wstrzymując oddech, z tamtej strony znów bije zegar na wieży, dwa razy.

Później na przełaj przez pola; w rozgwieżdżoną noc trudno pomylić kierunek. Kiedy docieram do Zatoki Kraga, zelówki są przemoczone.

[64] Dzisiaj leśniczówka nosi nazwę Śmieszny Kąt.

Chociaż muszę nadłożyć trochę drogi, idę po lodzie przez jezioro. Zaczyna świtać, kiedy zbliżam się do Weepersu. Zachodzę znowu do starego rybaka, który podaje mi dokładny kierunek przez jezioro. Pół godziny później z mgły wyłania się Schwaigendorf. U Kuczmarzkiego mogę odsapnąć, dostaję śniadanie z ryb, a także pełen ich plecak do zabrania.

Jestem znowu w Prusach Zachodnich, a kiedy docieram do wzgórze solnickiego, zbyt późno spostrzegam, że Rosjanie są na polowaniu. Przejeżdżają obok, jeden celuje we mnie, mało nie dochodzi do nieszczęścia. Ale H. jest z nimi na saniach i ratuje sytuację. Mogę iść dalej.

Na skraju lasu leży martwy lis, którego znalazłem, idąc w tamtą stronę, i tu ukryłem. Futro jest jeszcze dobre i może przyniesie trochę pieniędzy, jeśli Polacy je zechcą. Przewieszam go przez ramię i około południa z wywieszonym językiem docieram do Brausenu.

Po południu mam godziny przyjęć. Przyszedł niewysoki, dwudziestodwuletni Ormianin, medyk w randze podporucznika, i ma się tu udzielać jako lekarz. Zakwaterowano go już obok mojego gabinetu. Zna trochę niemiecki i wyznaje mi, że nie ma pojęcia o medycynie. „Chorzy przychodzić, Hans, ty patrzeć, ja mówić” – tak sobie wyobraża naszą współpracę. Bez przerwy śpiewa i gwizdże niemieckie szlagiery (Mari-anka). Był już w Berlinie, ma tam dziewczynę i w najdrobniejszych szczegółach opowiada o jej zaletach. Najwyraźniej mnie lubi i załatwia dla mnie mieszkanie obok siebie, w kuchni, z której właśnie wyprowadziły się dwie Rosjanki.

Wieczorem odbywa się ściąganie skóry z lisa. W tym czasie córki państwa H. starają się urządzić dla mnie kąpiel mieszkalny w przydzielonej mi kuchni. Szorują ściany i za pomocą ogrodowej motyki odsłaniają podłogę. Przed spaniem czytam z Pisma Świętego.

1 lutego

Nagła zmiana pogody. Jest odwilż i pada. Idę do lasu i przed samym Zollnickiem znajduję trop farby jelenia z wczorajszego polowania. Urywa się na zakręcie drogi do Peterkau. Stamtąd padła zwierzynę zabrali najwidoczniej na polski wóz z drewnem. W drodze powrotnej przechodzę obok miejsca, gdzie w wieczór sylwestrowy 1933 roku powaliłem potężnego odyńca, a potem przez drewniany mostek, gdzie przed ponad dwudziestu laty ustrzeliłem swego pierwszego bekasa. Mała jodła, pod którą go wówczas znalazłem, jest dzisiaj okazałym drzewem.

H. był dziś w Schwalgendorfie z wizytą u nowego polskiego nadleśniczego. Z uwagi na Rosjan on sam nie miał odwagi tu zajść i przez synową poprosił H. o odwiedzinę. Podlega mu cały las w okolicy, a więc ponad 50.000 mórg. Brakuje mu jednak odpowiednich współpracowników. Wygląda na to, że jest zapalonym myśliwym, a w swej pracy kieruje się wiedzą i sercem. Troszczy się też o ludzi w Schwalgendorfie, daje im w lesie zajęcie i zarobek. H. ma wielką nadzieję, że kiedyś pojawi się taka możliwość i będzie mógł się tam przenieść.

3 lutego

Komendant zezwolił mi na zwiezenie wozem drewna do mojej kwatery. Jadę do tak zwanego placu udoju, na skraju lasu, i ładuję dwa metry sześciennie olszyny. Wszystkie inne wozy też zwożą drewno, ponieważ lokomobila zapewniająca światło zużywa dziennie dwanaście kubików. W lesie leży jeszcze wiele tysięcy kubików drewna – wszystko, co zostało ścięte w latach 1943–44 i nie mogło już być zwiezione. Między innymi jest to bodaj 180-letni sosnowy drzewostan tuż za granicą, który zawsze prezentowaliśmy naszym gościom, kiedy chcieli zobaczyć wysokowartościowe drewno. Teraz zaś te wspaniałe pnie leżą w

chaotycznym bezładzie i powoli gniją. Można jeszcze policzyć ich słoje.

Kilka kobiet i dwunasto-czternastoletni chłopcy pracują u Rosjan w charakterze woźniców. Chłopcy są nieprześcignieni w bezczelności. Czasem opadają ręce, kiedy słyszy się, na jakie uwagi pozwalają sobie w obecności Rosjan, którzy przecież sporo już rozumieją po niemiecku. Ale ci nie biorą ich zbyt serio, ponieważ zasadniczo odrzucają jakiegokolwiek wychowywanie dzieci, a po drugie, sami całymi dniami przeklinają, nawet gdy chodzi o komunikowanie się w najprostszych i zupełnie nieważnych sprawach. Zwrot „przeklęte baby” musi się pojawić w zdaniu co najmniej raz, nawet jeśli chodzi o ogień do papierosa. Nawet pewne niemieckie przekleństwa na skutek wojny zakradły się do ich języka, jeśli za takowy uznać ich żargon.

W mleczarni ustawiona jest wanna kąpielowa, z której i ja mogę korzystać, zaś w szkole pewien Ormianin strzyże włosy. To nadzwyczajna przyjemność i doceniamy ją z wdzięcznością, jako dowód rosyjskiej kultury.

4 lutego

Mamy dzisiaj pięć stopni ciepła i wicher. Mimo to znowu pojechali na polowanie. Rezultat: sarna, lis, wiewiórka. Liczbę strzałów szacuje się na 2000.

Byłem z panią L. w Rosenbergu. Za obrus dostaliśmy kilo słoniny o wartości 400 złotych. Rodzina H. zakopała jeszcze więcej rzeczy, ale wkrótce zostały znalezione. Również i tu Rosjanie nadal szukają zakopanych skarbów długimi spiczastymi, żelaznymi prętami, które kazali sobie zrobić u kowala. Część tutejszych Rosjan, jak się dowiadujemy, ma wkrótce przenieść się do Liegnitzu na Śląsku. Tam znajduje się ich najbliższa placówka! Michael, mój ormiański kolega,

zaprosił mnie i trzech swoich rodaków na bimber. Dawny oborowy, który i teraz odpowiedzialny jest za bydło, pędzi bardzo mętny bimber z wysłodków. Można go pić tylko wtedy, kiedy nos zatka się chlebem. To rada jednego z Rosjan. W nocy pęka mi głowa. Tuż obok Michael śpiewa już nie „Mariankę”, tylko bardzo wschodnie pieśni tremolo. Przed oczami pojawia się mi spalony słońcem krajobraz krasowy i stada kóz.

6 lutego

Trzy stopnie ciepła. Od trzech dni ziemia odmarzła. Wszystkie odpływy są zatkane. Pomiędzy domami i do pompy chodzi się po deskach albo skacze z cegły na cegłę. Oborowy zrobił mi drewniaki.

Odbywam wizyty u chorych w sąsiednich wsiach Faulen i Albrechtau. Mieszkają tam razem Rosjanie, Polacy i Niemcy. Gnój z obór, piętzący się na wysokość metra, wywożony jest do parku. Również i tu na pastwiskach walają się pługi, kosiarki, brony, młockarnie. Dwór w Faulenie spalony. W Albrechtau większość domów jeszcze stoi. Prowadząca tam droga rozjeżdżona jest na szerokość 100 metrów.

Moja praktyka lekarska rozrasta się. Wielu przychodzi na rwanie zęba, gdyż rozeszła się wieść, że ma mam kleszcze dentystyczne. Dostają do pokoju blaszany piec, zrobiony przez pewnego „specjalistę”. W ciągu paru sekund rozgrzewa się do czerwoności i tak samo szybko stygnie. Piłujemy i rąbiemy drewno. Wieczorem próbuję robić buty ze sznurka. Potem czytam z Biblii.

9 lutego

Popołudnie jest wolne od pracy, gdyż Rosjanie muszą jechać jutro na wybory. Mieszkający nade mną mały malarz z Litwy wyprodukował już

na tę okazję 45 portretów Stalina. Wykorzystujemy czas i robimy syrop. Ze względu na ciasnotę w pomieszczeniu każdy musi zająć swoje miejsce. Worki z wysłodkami przynosi się półoficjalnie ze spichrza. Niewielka, ocalona przez państwa H. prasa do owoców wędruje we wsi z rąk do rąk. Jeśli ktoś puka do drzwi, najczęściej chodzi o prasę.

10 lutego

Wszyscy Rosjanie z okolicy i pracujący u nich Litwini byli dzisiaj w Bellschwitzu „na wyborach”. Najwidoczniej nie brakowało tam bimbru.

Ze sznurka sporządzamy włóczkę do dziergania na drutach. Pani L. jako specjalistka króluje na stoiku ustawionym na bieliźniarce i rozdziela sznurek, podnosząc ręce; nas dwoje siedzi jej u stóp i zwija. Każdy kłębek jest potem jeszcze raz dzielony. Z włóczki szydełkuje się i robi na drutach niezbędne części ubrania. Szczególna pochwała należy się firmie, która wynalazła sznurek do wiązania snopków. Prawdopodobnie nigdy jej się nie śniło, jak wielką pomoc wyświadczy w ten sposób tysiącom ludzi.

11 lutego

Michael ma wizytę porucznika i podporucznika, są nimi kobiety. Porucznik ma pierwszeństwo i została mi już wcześniej dokładnie opisana. Podporucznik tymczasem zajęła się praniem i bezskutecznie próbuje je rozwiesić na drucie w szalejącej burzy śnieżnej.

Zgłasza się kilku Rosjan z krwawiącymi głowami. Jeśli nie jest to nic poważnego, okazały opatrunek na głowie jest szczególnie ceniony.

Oborowy B. jest tu jedynym młodszym mężczyzną wśród nas, 400 miejscowych. Przypadkowo nie znalazł się w konwoju uciekinierów, kiedy weszli Rosjanie, i później przedarł się tu okrężnymi drogami z Pomorza.

Wobec Rosjan zachowuje się z dużym sprytem i dlatego powierzyli mu znowu opiekę nad bydłem. Masło idzie do Liegnitzu. Jednak samochód jeździ tam tylko raz na cztery tygodnie, tak więc masło przechowywane jest przez ten czas w blaszanych wannach na strychu. Ostatnio z chudego mleka sporządza się twaróg w blaszanej wannie. Pod wanną rozpalają ogień, żeby było szybciej. Przypalony twaróg przydzielany jest następnie „pracującym” w ramach racji żywnościowej na pięć dni. Ja też należę do „pracujących”.

Sobota, 17 lutego

Czyste niebo i wicher. Z trzema małymi kankami pełnymi syropu, który chcemy wymienić na ryby, idę ze zrównoważoną panią L. do Schwalgendorfu. Januschau jak zwykle omijamy. Nie zatrzymując się ani razu, pokonujemy drogę szybkim marszem. U Kuczmarckiego czeka na nas niespodzianka: dostajemy chleb z masłem, ma bowiem jeszcze kozę. Jego córka, pani Buchholz, sprowadza niepostrzeżenie pacjentów, którzy o to prosili, gdybym się tu pojawił. Kleszcze dentystyczne też mają co robić. W ostatnim czasie przybyło do Schwalgendorfu kilka polskich rodzin. Obladowani rybami wracamy przy świetle księżycy i wichurze do domu.

18 lutego

Wichura z północnego wschodu i zawieja. Dachówki spadają z dachów. Poprzewracało wszystkie wozy, które miały dziś przyjechać z Peterkau. W lesie krzywo stojące drzewo zmiotło pana H. z fury z drewnem, wrócił do domu ogłuszony i przemarznięty. Michael dzisiaj odjechał, na zawsze. Przenoszę się do jego izby.

19 lutego

Wczorajsza wichura wyrwała z korzeniami około 30 starych świerków w pobliżu, na skraju lasu; wszystkie przewróciły się w drzewostan na jedną stronę. W lesie też wiele szkód.

Byłem dzisiaj z panią L. w Rosenbergu. Piekarzowa kupiła lisa za 500 złotych. Pół kilo cukru kosztuje 90 złotych. W drodze powrotnej świeży śnieg, a potem słońce.

W nocy Nadia wzywa mnie do aktualnej pani komendantowej, która zwija się z bólu brzucha. Coś zażyła. Nadia chyba zna ten przypadek. Każe jej trzy razy pić po dwa litry mleka i zwracać. Takie dobre mleko! Jak by się nam przydało.

20 lutego

Próbuję trochę uczyć Alice i Petera L., osiem i siedem lat. Początki zawsze są trudne – dla obu stron. Wieczorem przyjeżdża po mnie wóz z Faulenu. Z tyłu siedzi Nadia, z przodu dwóch Rosjan. Odjeżdżamy wyciągniętym galopem spod drzwi. Dziesięć metrów dalej wpadamy na stertę kamieni, wóz pęka na pół, Nadia i ja siedzimy, przednia część z Rosjanami znika w ciemnościach. Idę dalej pieszo. W połowie drogi dogania mnie drugi wóz w towarzystwie jeźdźców. Wsiadam z oporami, woźnica na stojąco okłada konie końcówką lejców. Nie chce przepuścić jeźdźców. Wóz przeskakuje przez zasy, ale pozostaje nieuszkodzony. W Faulenie 30–40 ludzi z papierosami stoi wokół łóżka młodego, silnego Rosjanina, który pod prawym obojczykiem ma głęboką ranę po pchnięciu nożem. Krzyczy na mnie i pyta, czy musi umrzeć. Mówię, że tak, jeśli natychmiast wszyscy nie opuszczą tego pomieszczenia. Przekleństwa rzucane przez niego na tę okoliczność odnoszą natychmiastowy skutek. Może znowu oddychać i szybko się uspakaja. Robię, co trzeba. Jak się

okazuje, miał jeszcze szczęście.

21 lutego

Pani Petschat uszyła mi z dwóch worków nowe spodnie, jasnożółte z nakładanymi kieszeniami, w kostkach ściągnięte. To nowy strój dla mężczyzn i kobiet. Wieczorem przynoszę z podwórza worek wysłodków. Pani L. ustawiła go wcześniej tak, że po kryjomu sięgam po niego przez okno obory od strony ogrodu. Przez głęboki śnieg wracam niezauważony z ładunkiem. Teraz i ja stałem się już złodziejem. Ostatnio codziennie jeździ dwadzieścia powożonych przez kobiety i dziewczyny wozów do Riesenburga, skąd wracają wieczorem z wysłodkami. Riesenburg jest polski, ale cukrowni strzegą Rosjanie.

23 lutego

Dziś jest 20 stopni mrozu i szadź. Później robi się cieplej i znów zaczyna wiać. Rosjanie świętują Dzień Wojska. Dla mnie oznacza to zakrwawione łby. Dla zabawy pytam, za każdym razem, co im jest. »*Kopf kaputt*« – brzmi stereotypowa odpowiedź. Wieczorem szaleje śnieżna zawierucha. Z twardego kawałka drewna bukowego robię szydło do szycia butów. Poza sznurkiem potrzebna jest do tego jeszcze opona rowerowa i drut telefoniczny. Jednego i drugiego jest pod dostatkiem, ponieważ rowery są zepsute, a druty telefoniczne zwisają ze słupów.

3 marca

Łagodny mróz, wichura od południowego wschodu. Byłem w Schwalgendorfie i przyjmowałem pacjentów u pani Buchholz. Wpadł polski nadleśniczy i był bardzo miły. Mówi dobrze po niemiecku. Przez

chwilę przyglądał mi się, a potem spytał, czy nie marznę i czy mógłby mi podarować coś z ubrania. Prawie się obraziłem, że tak zlekceważył mój strój, z którego jestem bardzo dumny. Od pacjentów dostaliśmy znów ryby i wólczkę bawełnianą, której mnóstwo znaleziono w Weepersie.

5 marca

Odwilż i pada. Wszyscy zdolni do pracy byli przez cały dzień w Rosenbergu, gdzie przeładowywali ziemniaki, i wrócili dopiero o dziewiątej wieczorem. Godzinę później znów wzywają mężczyzn. Ja też się zgłaszam. Ruszamy kilkoma wozami. Jest tak ciemno, że niemal nie widać drogi. W pobliżu dworca w Rosenbergu zgromadzili się Rosjanie i Niemcy z całej okolicy. Ponieważ nic nie widać, palą najpierw porozstawiane dookoła drewniane nosidła do kartofli. Stoimy między kopcami ziemniaków obok torów kolejowych, na których stoi pociąg towarowy. Nasi ludzie zaczynają rozgrzebywać kopiec. W ciemnościach depcze się już po ziemniakach. Kontrola jest niemożliwa. Czy i jak załadujemy ziemniaki do wagonu, jest naszą sprawą. My nosimy w workach. Za każdym razem można się zaplątać w druty sygnalizacyjne. Chwilami nikt nic nie robi. Kiedy zaczyna dzień, dwustu zmęczonych i przemokniętych ludzi siedzi w otwartych kopcach. Podobno zaraz mają dawać zupę. Jednak do południa nic się nie dzieje, odmeldowuję się więc i idę do domu, gdzie mam godziny przyjęć. Przejście przez Rosenberg jest dzisiaj najbezpieczniejsze w drewniakach i z widłami na ramieniu. Polacy nazywają to miasto „Susz”.

Wśród Rosjan trudno rozróżnić żołnierzy od cywili. Są mniej więcej tak samo ubrani i wszyscy strzelają. Nasi Rosjanie byli w większości jeńcami w Niemczech i teraz boją się Rosji.

7 marca

Ze Schwalgendorfu przyszło kilka kobiet na rwanie zębów. Po południu byłem w Rosenbergu i wyhandlowałem cukier, słoninę, cebule i drożdże. Z drożdży i soku buraczanego robimy w kance na mleko rodzaj piwa. Jak postoi trzy dni, jest całkiem niezłe. Do Rosenbergu ma przyjechać 3000 żołnierzy rosyjskich. Polacy prowadzą tam prowizoryczną egzystencję. Rosjanie są niespokojni, mówią o wojnie. Amerykanie i Anglicy zgrupowali się ponoć nad Łabą i uzbroili Niemców. Dzisiaj Rosjanie obchodzą Dzień Matki.

10 marca

Dzisiaj jest niedziela. Rosjanie jej nie świętują. U Lasnerów chrzczę najmłodsze wnuczę, ostatnie czysto niemieckie dziecko we wsi. Wieczorem świętowane są urodziny matki. Rosjanie też zostali zaproszeni. Trzech starych mężczyzn, którzy skądś przybyli i pracują tu od roku, sami skonstruowali instrumenty ze starych skrzynek i drutów. Do ich świstów i zgrzytów przygrywa astmatyczny akordeon. Na koniec Rosjanie jak dzicy tańczą swoje tańce.

11 marca

Brygadzysta Wasilij, zwany Waśko, był wczoraj na polowaniu i pod Klein-Brausenem postrzelił jelenia. Potem poszedł tropem farby przez trzęsawisko nad jeziorem i las gostyczyński aż do „rzeki”, przez którą się nie przedostał. „Rzeka” to tak naprawdę połączenie dwóch leśnych jezior. Poszedłem tam dzisiaj i odnalazłem trop po drugiej stronie strugi. 300 metrów dalej leżała padła sztuka. Było to mądre, stare zwierzę. Rozciąłem je i na drzewie powiesiłem wątrobę, żeby uchronić je przed zdziczałymi

psami, bo dwa z nich widziałem w pobliżu. W miękkim, topniejącym śniegu szło się bardzo wolno, tak więc dopiero pod wieczór byłem w domu. Waśko, któremu wszystko zrelacjonowałem, był bardzo zdziwiony i kazał natychmiast zaprzęgać, żeby przywieźć sztukę. Poprosiłem go, żeby rozdzielił jelenia wśród mieszkańców wsi. Zgodził się i pojechał ze mną. Kiedy w ciemnościach nocy przybyliśmy do łoża postrzałka, zapytał mnie trochę niepewnie, jak to możliwe, że znalazłem drogę. „Znam tu każde drzewo” – odpowiedziałem. Najwyraźniej nie mógł tego do końca pojąć. Po powrocie do domu oświadczył, że sam mogę podzielić mięso.

12 marca

Oborowy pomaga mi obielić starego jelenia. W dawniejszych czasach uważano, że na takiej sztuce prawie nic nie ma. Tym razem ucieszy się paręset ludzi. Od miesiący nie widzieli już mięsa.

Wśród Rosjan panuje powszechnie bojowy nastrój. Rzekomo Stalin wygłosił przemówienie skierowane przeciwko Anglii. Wysyłają transporty z mnóstwem koni. W Januschau podobno zaszlachtowano wiele koni na konserwy.

15 marca

Wczoraj rano poszedłem do Nipkau przynieść od tamtejszego rosyjskiego aptekarza leki, głównie na świerz. W drodze powrotnej, w Rosenbergu zatrzymało mnie UB, czyli polskie Gestapo, i zamknęło w celi więziennej. Moim współwięźniem był młody Polak, który zabił kogoś podczas bijatyki. Modlił się przez całą noc. Mieliśmy tylko jeden materac, więc spaliśmy na zmianę. Rano wypuścili nas na pięć minut na dziedziniec i powiedzieli, że w gruzowisku mamy poszukać sobie naczyń,

z których będziemy mogli jeść. Znalazłem połowę słoja do zapraw, wlałem do niego kawy, którą użyłem do wymycia tego naczynia.

Po południu zaprowadzili mnie do komendanta, ten zaś zainteresował się obrusem znalezionym obok leków w moim plecaku. Był w cywili i mówił dobrze po niemiecku – być może to Rosjanin. Po rozmowie o tym i owym, okazało mi się, że w Brausenie czekają na mnie Rosjanie, wówczas nieoczekiwanie wręczył mi 500 złotych za obrus i odesłał w towarzystwie posterunkowego do Nipkau. Posterunkowy długo pertraktował z aptekarzem, od którego dostałem leki, aż wreszcie zostawił mnie tam. Poprosiłem o zaświadczenie, żeby mnie zaraz znowu nie zatrzymano. Tego jednak nie mogłem zrobić. Natomiast dostałem coś do jedzenia i powiedziano mi, żebym zaczekał na następny rosyjski wóz, który zawiezie mnie do Brausenu. „Kiedy to będzie?” – zapytałem. „Ach, może jutro, może za trzy dni. Możesz tu zostać, jeść, spać. Nie bać się.”

Zdrzemnąłem się więc, a kiedy się ściemniło, omijając Rosenberg dużym łukiem, wróciłem do Brausenu. Wieczorem siedzieliśmy u Lasnera i rozmawialiśmy, co zrobimy, jeśli rzeczywiście będzie wojna, a Rosjanie nagle się wycofają i zabiorą wszystko, co tylko może się przydać. Może powinniśmy zawczasu ukryć przynajmniej parę krów w jakiejś oddalonej leśnej zagrodzie?

17 marca, druga niedziela Wielkiego Postu

Dziesięć stopni mrozu i sporo świeżego śniegu. Rosjanie znów pojechali na polowanie, wynik: trzy sarny, dzik, dwa zające, postrzelony odyniec i jelen. Nie dochodzą postrzałków. Ja tym razem niestety też nie mogę tego zrobić, bo leżę z gorączką w łóżku.

20 marca

Wczoraj poza rybami przynieśliśmy ze Schwaigendorf u żywego koguta. Z czasem okazuje się, że tu i tam są jeszcze kury. Sami mamy co najmniej pięć, brakowało tylko koguta. Zabił go Rowerem mały rosyjski chłopak. Teraz niespodzianie dostaliśmy nowego. Z wdzięczności za wyrwanie zęba Schlichting podwiózł nas sańmi ze Schwalgendorfu aż do granicy. Ma jeszcze starego konia.

Wieczorem na kolację przychodzi malarz z Litwy. Świątujemy urodziny mojego dziadka Oldenburga. Mamy różne dania z ryb, na ciepło i na zimno, przyrządzone z całym kunsztem. Pani S. nauczyła się gotować w dużym gospodarstwie domowym, pani L. przez trzy lata prowadziła piekarnię. Lampa wisi nisko nad stołem, łóżek więc nie widać. Litwin z podziwem kiwa głową na widok dokonań naszych pań, ignorujących powszechną nędzę. Uważam, iż to aktywne przeciwdziałanie skutkom chaosu jest jednym z powodów, dla którego my, Niemcy napawamy Rosjan grozą.

22 marca

Potężna wiosenna burza. Przyleciały szpaki, czajki i żurawie. Na stawie we wsi podnosi się fala. Na drodze woda stoi na wysokość pół metra. Nawet z kankami do pompy chodzimy daleko dookoła. Rosjanie nagle wpadli na pomysł, żeby zwieźć lód do lodowni, co wcześniej zaniedbali. Kobiety stoją na podwórzu w bajorze gnojówki i próbują za pomocą prętów dosięgnąć pływającą pośrodku bryłę. Wieczorem przychodzi rosyjski krawiec i przynosi mi szare spodnie, do których oko doszył pół metra czarnej podszewki.

24 marca

Podczas przechadzki po Małym Lesie przepelnionym nawoływaniem ptaków spotkałem garbarza. Małe i średnie dęby odziera strugiem z kory, którą wykorzystuje się przy garbowaniu. Na pniach powstaje pas metrowej szerokości, czego prawdopodobnie drzewa nie przeżyją. Próbuję mu tłumaczyć, że lepiej i wygodniej byłoby ściąć kilka dębów i obdrzeć je w całości z kory. To jednak go nie przekonuje. Takim ludziom jest przecież zupełnie obojętne, co się stanie z różnymi rzeczami. Skąd się jednak bierze takie lekceważenie porządku, taka arogancja wobec istnienia? Nie spotyka się tego nawet u zwierząt – może poza pozbawioną instynktów zwierzyną domową, która jednakże kieruje się strachem. Stale zadaje sobie pytanie o przyczyny ludzkiej egzystencji. Czy człowiek może być jeszcze dzieckiem natury, po tym, jak już raz przemówił doń Bóg? Czy w słowach Jezusa Chrystusa „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych”^[65], nie trzeba widzieć trzeźwego stwierdzenia faktu, a także wyrazu zobowiązania, którego nie da się uniknąć?

26 marca

Wiosna nadchodzi z rozmachem. Byłem w Januschau i uporządkowałem groby. Na zalanej łące przy drodze do Heidemühle pływało pięć łabędzi. W parkowej altance, którą moja matka dostała w prezencie na piąte urodziny, Rosjanie urządzili bimbrownię. W drodze powrotnej przeszedłem się nad jeziorem Gaudy, żeby zobaczyć, co z rybami. Pływało po nim kilka kaczek. Na środku jest jeszcze lód.

Po południu zrobiliśmy sprawunki w Rosenbergu po spieniężeniu kolejnego obrusa. Wśród właścicieli sklepów mamy już paru znajomych.

[65] Mt 4,4.

Nawet „warszawianka” uśmiecha się już troszkę, na ile pozwala jej napuchnięta i wyszminkowana twarz. Przed szpitalem kwitną przebiśniegi. Zabrałem do mojego pokoju jedną z ostatnich szyb okiennych. W nocy w naszym mieszkaniu w ciągu 10 minut złapały się w potrzask trzy szczury. Nieustannie podgryzają nam buty i sznurowadła, a szczególnie upodobały sobie ryby, które w związku z tym musimy wieszać na drutach.

31 marca

Byłem z panią L. w Schwalgendorfie – po raz pierwszy we własnoręcznie zrobionych butach. Wyspę na jeziorze Czerwica zajęły już czaple i kormorany. Te ostatnie rozmnażają się niepokojąco i częściowo wyparły już czaple na inną wyspę. Ich sposób panoszenia się przypomina Rosjan. Na Jezioraku leżał jeszcze lód, który stopniał w ciągu dnia. Kiedy odchodziliśmy, niezliczone drobne fale iskrzyły się w słońcu. Było już prawie ciemno, kiedy krótko przed Brausenem napadło nas dwóch Rosjan na koniach. Uderzyli mnie w głowę i porwali ze sobą panią L. Skutki były straszliwe. Potem leżałem, nie śpiąc, całą noc i rozmyślałem, czy potoczyłoby się to inaczej, gdybym miał ze sobą młotek. Pani L. wkrótce wróciła.

1 kwietnia

Z czworgiem nauczanych przeze mnie dzieci i czteroletnią Helgą S. poszedłem do Albrechttau zwiedzić tamtejszy kościół. Jest w połowie ogołocony, ale stoi jeszcze ołtarz i nad chrzcielnicą unosi się anioł, któremu brakuje tylko jednej stopy. Dzieci zadawały istotne pytania i nieuchronnie dotknęły sedna sprawy: dlaczego Pan Bóg wpuścił węża do raju. W Albrechttau trzymane są owce i cielęta. Paru Rosjan mieszka tam

w zgodzie z kilkoma niemieckimi rodzinami.

3 kwietnia

Rosjanie przyjechali ciężarówkami po ziemniaki i podobno mają zawieźć je do Königsbergu. Udaje mi się porozmawiać z jednym z kierowców. Twierdzi, że zna siostry z dużymi czepcami, i zabiera ode mnie kartkę do siostry Raphaeli. Proszę ją, by każdemu radziła w miarę możliwości przedostać się na wieś, najlepiej aż tutaj. Niestety prawdopodobieństwo, że otrzyma mój świstek, nie jest zbyt duże.

Mamy wspaniałą wiosenną pogodę i 20 stopni ciepła. H. i ja poszliśmy do Merinosu, dokąd dawniej prowadzano do mycia owce z Finckensteinu. Miejsowość jest pusta. Brzeg jeziora był aż granatowy od żab – czegoś takiego jeszcze nie widziałem – a w trzcinie przemieszczały się szczupaki.

5 kwietnia

Las jest pełen zawilców, przylaszczek i wawrzynków. Wykąpałem się w Jeziorze Januszewskim i przez chwilę przyglądałem się rybom. Obok przepłynął zaskroniec. Przeszedłem przez zagajnik sosnowy i na skraju pola niespodzianie natknąłem się na nieznanego Rosjanina, który szedł na polowanie. Na szczęście był tak samo jak ja zaskoczony i zapytał mnie, czy nie widziałem »kozy« mając widocznie na myśli sarnę. Zastanawiałem się, gdzie może narobić najmniej szkód, i posłałem go do Annhofu, starego gospodarstwa rybackiego nad jeziorem.

7 kwietnia

Poszedłem z wężem nad jezioro, ale nie mogłem go postawić, ponieważ zobaczyłem czółno, a w pobliżu padły strzały.

Obawiam się o łabędzie, bo z powodu ich wielkości, ale i ufności niepodobna ich nie trafić, szczególnie, kiedy wysiadują na gnieździe. Kwitnienie w lesie jest zaiste wspaniałe.

Część naszych Rosjan przenosi się dzisiaj do Bellschwku. Ludzie boją się, że ich też zabiorą. Rosjanie tego nie rozumieją. „Przecież tam też masz kwaterę.” Pojęcie „mieszkania” jest im nieznanne. Przy wyprowadzce zabierają wszystko, nawet okna. Posyłamy ośmioletnią Alice, żeby sprawdziła, czy grupa Rosjan już się wyprowadziła. „Nie – mówi po powrocie – okna jeszcze są.”

Anatolij, któremu niedawno przy świeczce otworzyłem brzytwą ogromnego czyraka na nodze, przyszedł z bimbrem własnej produkcji, żeby ze mną to uczcić. Na szczęście w porę zobaczyłem, że nadchodzi, i zdołałem umknąć przez okno.

Stara pani Aust, żona leśnika z Faulenu, mieszka w Klein-Albrechtau ze swą starszą siostrą w małej izdebce wśród Polaków. Uciekli aż na Pomorze, ale musieli zawrócić. Mąż pani Aust zmarł w lecie. Obie kobiety robią dla nas na drutach skarpety i rękawiczki ze sznurka.

11 kwietnia

Przybyło mnóstwo Rosjan, żeby do reszty wybrać ziemniaki z kopców przy drodze do Rosenbergu, nasze ostatnie rezerwy. Spodziewałem się tego od dawna, ale niestety nie podjąłem działań zapobiegawczych. Już dawno temu mogliśmy bez trudu dobrać się do jednego z kopców i urządzić skrytkę gdzieś na polu. Nocą zakradam się do rozrytych kopców, żeby zobaczyć, co tam jeszcze zostało, wykopuję metrowy dół i zaczynam go napełniać ziemniakami. Kiedy niosę drugi worek, ktoś woła do mnie z drogi. Natychmiast daję drapak na przełaj przez pole, strażnik strzela trzykrotnie. Będąc w bezpiecznej odległości, robię wielki łuk i

przechodzę przez Mały Las. Cóż za cudowna wiosenna noc. Nawołuje puszczyk. Dwa borsuki, parskając, gonią się po dukcie. Jeden z nich robi koziołka ze strachu, bo otarł się o nogawkę moich spodni. Przez stare chwasty skradam się do drzwi i niepostrzeżenie kładę się do łóżka.

14 kwietnia

Na moje wczorajsze urodziny przysłała ze Schwalgendorfu młoda pani H. z rybami i porządnie ucztowaliśmy. Dziś, w niedzielę we troje odprowadziliśmy ją do domu. Mijamy park januszewski i idziemy przez pole w stronę lasu solnickiego, a wtedy z lewej wychodzi chmara jeleni. Nagle z tyłu pada kilka strzałów. Oglądamy się – na wzgórzu przed wejściem do dworu Januschau stoją Rosjanie i strzelają z odległości co najmniej 800 metrów do jeleni – do nas chyba też. Jednak ich broń nie ma takiego zasięgu. Daleko za nami kule wbijają się w pole.

Kiedy jesteśmy blisko lasu, wychodzi druga chmara z prawej strony i przebiega przez pole – wspaniały widok. Jelenie wchodzi dokładnie na tę samą ścieżkę, co dawniej. Starym zwyczajem wybiegam na skraj lasu i jak w najlepszych czasach przyglądam się, jak jedna sztuka za drugą tuż obok mnie wbiega truchtem w zarośla.

Taka przechadzka przez las, skrajem jezior, nad którymi coraz żywiej krząta się wodne ptactwo, jest zawsze oszałamiającym przeżyciem. Dawniej wyjazd do Schwalgendorfu oznaczał niemal wyprawę. Dzisiaj stale przemierzamy tę trasę, a odległość nie robi już wrażenia. W ogóle życie stało się bardziej mobilne, a nogi dopiero teraz spełniają swoją prawdziwą funkcję.

W Schwalgendorfie wizyta milicji z Saalfeldu, no i ja też zostaję natychmiast zatrzymany, jak tylko pojawiamy się we wsi. Ale pracujemy u Rosjan, więc na wszelki wypadek mnie wypuszczają. Stopniowo uczymy

się wykorzystywać konflikty Polaków i Rosjan.

W drodze powrotnej chcemy tym razem obejść Januschau z daleka, więc idziemy wzdłuż łańcucha jezior przez Annhof i dalej skrajem lasu. Kiedy o zmierzchu przechodzimy przez miejsce udoju krów, to znaczy pastwisko na skraju lasu, otoczone brzoźami i olchami, w górze ciągną bekasy i słychać ich głośne beczenie – niegdyś tak pragnąłem przeżyć taką chwilę i nigdy dotąd nie było to mi dane.

16 kwietnia

Znów dzień pełen słońca i ciepła. Dawniej susza byłaby już powodem do niepokoju i wypatrywałyby się deszczu. Ale teraz, kiedy pola w ogóle nie są obsiane, można bez obaw cieszyć się taką pogodą. Rosjanom te ziemie są całkowicie obojętne, bo najpewniej wkrótce je opuszczą. Natomiast nieliczni Polacy prowadzą uprawy wyłącznie na własne potrzeby.

Brzozy już się zielenią. Późnym wieczorem przy pełni księżyca idę z malarzem z Litwy na spacer przez Mały Las. Początkowo jest trochę przestraszony, ale potem siadamy na ściętym pniu i on opowiada o swojej żonie i dwojgu małych dzieci, które zostawił, gdy zabrali go Rosjanie. Prawie od dwóch lat nie miał od nich żadnych wieści. Próbuje go pocieszać tą jedyną pociechą, jaka istnieje na ziemi, i nalegam, by nie poddawał się rozpaczcy i nie topił jej w bimbry, którego działanie i na nim pozostawiło już wyraźne ślady.

17 kwietnia

Cztery kobiety ze Schwaigendorf u odwiedzają nas w drodze na milicję w Rosenbergu. Dwie chcą szukać swych mężów. Milicja ich wykradła,

żeby dokuczyć Rosjanom. Wieczorem dwie znowu do nas zajrzały. Dwie pozostałe poszły dalej do Charlottenwerderu, ponieważ z jakiejś aluzji wynioskowały, że właśnie tam przetrzymują ich mężów.

Późnym wieczorem, po dwóch gwałtownych burzach, które szalały na północ i południe od nas, jestem zaproszony do Litwinów. Mieszkają w jedenastu w jednym dużym pokoju. Wśród zebranych krąży duża i mała szklanka z piwem z wysłodków i bimbrem. Śpiewają studenckie piosenki do niemieckich melodii.

18 kwietnia

Rosjanie chyba rzeczywiście się wycofują. Codziennie nowa pogłoska. H. chce się dogadać z polskim nadleśniczym i spróbować przenieść się do Schwalgendorfu, gdzie jest jeszcze wiele wolnych mieszkań. Towarzyszę mu, bo chcę iść z wizytą do chorych w Schwalgendorfie, tym razem również do nowo przybyłej polskiej rodziny. Wracamy obładowani rybami. Obaj starzy mężczyźni ze Schwalgendorfu, między innymi stolarz Schwarz, są rzeczywiście na milicji w Charlottenwerderze. Jeśli Rosjanie w najbliższym czasie ich nie wyciągną, będą na Wielkanoc próbować ucieczki.

Nasza oficjalna aprowizacja jest bardzo skromna. Wydają ją tylko jeszcze dwudziestu „pracującym”, do których i ja się zaliczam. W spichrzu stoi jednak jeszcze sporo worków z zatęchłą mąką i dwie dziewczyny pracujące nocami w młynie postanowiły część z nich rozdać ludziom. My też mamy dostać worek. Zgodnie z umową około pierwszej w nocy przychodzę pod bramę, prowadzą mnie do młyna, a potem Rosjanin przy maszynie musi wyłączyć światło na tak długo, aż nie zniknę z podwórza z cetnarowym workiem na plecach.

19 kwietnia, Wielki Piątek

Odbynam wizyty u chorych w Klein- i Groß-Albrechtau. W jednym z domów znajduję dwie kobiety i sześcioro dzieci – wszyscy siedzą wokół stołu i robią na drutach, chłopcy i dziewczynki. Sznurek od snopków górą! Wieczorem czytam historię męki Pańskiej według św. Łukasza.

21 kwietnia, Wielkanoc

Odprowadzam nabożeństwo w gabinecie, który odświętnie przystroiliśmy. Chociaż nie mamy śpiewników, ludzie całkiem nieźle śpiewają. Obecny jest też rosyjski krawiec, który widocznie należy do jakiejś sekty. Na czytanie wybrałem historię zmartwychwstania według św. Jana. Najbardziej pasuje, ponieważ wśród słuchaczy są prawie wyłącznie kobiety.

Po południu w żwirowni w Małym Lesie chowamy dla dzieci miniaturowe pisanki, które nabyłem w Rosenbergu. Dzieci są uszczęśliwione. W drodze powrotnej spostrzegamy nagle fontannę wzbijającą się nad las, której towarzyszy detonacja. Z użyciem materiału wybuchowego komendant łowi ryby w jeziorze Gaudy. Później widzę, jak na powierzchni wody pływa mnóstwo małych martwych ryb. Opodal Annhofu jeszcze raz huk. Przywiązali czółno do wozu i przejechali tak dwa kilometry, ciągnąc je po ziemi aż do następnego jeziora. Pozostali Rosjanie świętują we wsi przy bimbrze i wielkiej bijatyce. Kobiety stoją w drzwiach i przyglądają się im w napięciu.

22 kwietnia

Po wczorajszej bijatyce przychodzi na opatrunek pięciu Rosjan z otwartymi ranami na głowie. Chcieli zabrać bimber Litwinom, wdarli się

do domu, ale największy z Litwinów powalał jednego po drugim słupkiem od płotu i wyrzucał przez okno na drugą stronę. Cała wieś widziała, jak weszli od frontu i wyfrunęli z tyłu. Dziś rosły Litwin siedzi w kozie.

Gęsta chmura dymu skłoniła mnie do pójścia nad Gaudy, gdzie stwierdzam spory pożar lasu. Od wznieconego przez Rosjan ognia na brzegu jeziora zajęło się suche poszycie i płonęło w półkolu o promieniu około 300 metrów. Zdjąłem koszulę i przy pomocy gałęzi świerkowych udało mi się zrobić kilka wyłomów w ścianie ognia. Na ścieżce, do której ukosem zbliżało się czoło ognia, całkiem niespodzianie zdołałem go zdławić. Na szczęście nie zajęły się jeszcze korony drzew. Pniaki tłą się dalej. Jest tak sucho i gorąco, że trzeba się liczyć z kolejnymi pożarami, szczególnie teraz, kiedy Rosjanie rozpalają wszędzie ogniska, żeby od razu usmażyć zabite eksplozją ryby.

25 kwietnia

Rankiem poszedłem z wiadrem nad Gaudy i pogasiłem pniaki. Po południu dłuższy spacer z H. Nad lasem znów unosiła się wielka chmura dymu – w dużej odległości. Od niedawna dostajemy „pensję”. Po oborowym i kowalu jestem najwyższej zaszerogowany i dostaję miesięcznie 77 polskich złotych (funt cukru kosztuje 90 złotych). Inni dostają jeszcze mniej, do 18 złotych. W „biurze” siedzi trzech Rosjan z maszynkami do liczenia i nalicza płace.

28 kwietnia

W nocy wreszcie deszcz, w dzień znowu piękna letnia pogoda. Z panią S. szedłem przez Annhof i Zollnick do Schwalgendorfu. Zollnick, składający się jedynie z leśniczówki w środku lasu, na polanie między

dwoma jeziorami, jest spalony. W podwórzcu pod klonem widać grób, na nim brzozy krzyż i stalowy hełm. W stodole pani S. pokazuje mi skrzynię, którą odkopali i otworzyli Polacy. Pusta tkwi jeszcze w ziemi, zaś obok leży zakopana broń myśliwska. Z ogrodu bierzemy szczypior. Granicę przekraczamy w pobliżu bagna Białe Błota. Podczas wypraw myśliwskich zawsze najchętniej tutaj stałem na czatach, gdyż z braku poszycia leśnego jest tu świetna widoczność na dużą odległość i prawie zawsze można było wypatrzeć zwierzynę. Także podczas polowań z podchodu właśnie tutaj nierzadko mogłem oddać strzał.

Głęboko w lesie stoi kosiarka, w pobliżu leżą zwłoki, W czteroletnim młodniku w państwowym lesie w tym samym momencie oboje radośnie wykrzykujemy: smardze! Są już smardze! I to jakie! W krótkim czasie nazbieraliśmy pełne dwa plecaki, weźmiemy je jednak dopiero w drodze powrotnej, żeby nie wzbudzić zazdrości w Schwalgendorfie. Z ogrodu opuszczonej leśniczówki Alt-Schwalge^[66] bierzemy pierwszy rabarbar, a z gniazda wron, do którego łatwo się wdrapać, dwa jaja dla H. na urodziny. W Schwalgendorfie spaliły się dwa zagajniki i oddalona zagroda. Polak, który się tam wprowadził, chciał tylko wypalić stare trawy na łące. W drodze powrotnej znowu idziemy wzdłuż jezior. W gnieździe w pobliżu brzegu leży martwy łabędź. Sitowie mocno już urosło, są już kraski i dudki. Od tygodni chodzimy boso.

Zainspirowany ciągłym chodzeniem boso, w tym roku inaczej niż zwykle odczytuję ewangelię o obmywaniu nóg. Kiedy wieczorem przychodzę boso do domu, potrzeba umycia nóg jest rzeczywiście wielka i zaczynam rozumieć, dlaczego Zbawiciel posłużył się tym właśnie porównaniem dla uwypuklenia owego najważniejszego elementu we wspólnocie chrześcijan. Chodzi tu bowiem o oczyszczenie, zachowanie łączności z Chrystusem i związków pomiędzy ludźmi. Myślę, że my,

[66] Dzisiaj leśniczówka Szwałewo nad jeziorem Urowiec.

protestanci uprzykrzamy sobie życie. Jak św. Piotr, my też sądzimy, że przy odpuszczeniu grzechów chodzi zawsze o oczyszczenie całego człowieka. Jednak Jezus powiedział do Piotra: „Kto jest umyty, nie ma potrzeby myć się, chyba tylko nogi”^[67]. „Wy jesteście już czyści dla słowa, które wam głosiłem.”^[68] Czyż Jezus nie mówił tego także do nas? My natomiast, jak mi się zdaje, w ogóle nie korzystamy z tej naszej podstawowej czystości i dlatego niepotrzebnie dźwigamy ze sobą zbyt długo własne nieczyste sumienie. Gdybyśmy mieli przed oczami obraz obmycia nóg, pewnie moglibyśmy się szybko nauczyć traktować własne winy – te nieuchronnie przybywające każdego dnia – jako coś, co tak samo przeszkadza jak brud uliczny na bosych stopach. I wówczas moglibyśmy naprawdę skorzystać z możliwości zdjęcia z nas tych win przez innych, którzy kroczą tą samą drogą.

30 kwietnia

Wczoraj i dzisiaj urodziny państwa H. Jest ciasto. Już prawie nikt nie pracuje. Świń nie ma, zostało jeszcze tylko bydło. Od kilku dni krowy ryczą w oborach, gdyż już czują świeże łąki. Rosjanie obawiają się wypuścić je na pastwisko. Dziś wreszcie udało się ich do tego namówić. Oszałałe ze szczęścia krowy buszują przez całe przedpołudnie na dworze. Wieczorem pracuję wraz z panią S. na miejscu pochówków, sadzimy kwiaty na grobach. O zachodzie słońca z motyką i łopatą na ramieniu wracamy do domu.

Porządkowanie grobów moich najbliższych należy do najpiękniejszych zadań, jakie dane mi jest tu wypełnić. Bóg w swej wspaniałomyślności darowuje mi radość i pozwala kochać życie mimo całej grozy w losach

[67] J 13,10.

[68] J 15,3.

mojej rodziny. Zaczęło się od najmłodszego brata. Poległ, mając osiemnaście lat, pod Maubeuge^[69], dziesięć dni po rozpoczęciu kampanii we Francji. Po dwunastu akcjach zwiadowczych, w których uczestniczył i po części sam prowadził, kres jego życia położył strzał w głowę podczas starcia z francuskimi czołgami. Jego śmierć była dla mnie wstrząsem. Nie widziałem go wówczas prawie od roku. Ostatnim razem spotkaliśmy się tu, w Januschau, kilka miesięcy po jego maturze, gdy odbywał rok służby pracy^[70]. Już spodziewaliśmy się wojny. Chcąc wspólnie spędzić czas, poszliśmy na polowanie. Kiedy odjeżdżałem o czwartej nad ranem, zaszedłem, zgodnie z jego życzeniem, jeszcze raz do jego pokoju. Leżał, nie spał. Przez chwilę popatrzyliśmy na siebie trochę bezradnie. Zanim jednak zdążyło paść trwożne pytanie o przyszłość, błysnął raz jeszcze swym niezrównanym dowcipem i uratował radość tej chwili. Nieustannie mam przed oczami jego postać, lecz nie jest to statyczny obraz, tylko ktoś w ruchu, kto przychodzi i odchodzi, kto daje i bierze. Widzę, jak schodzi po schodach na powitanie gości, którzy na niego czekają, odrobinę wolniej niż zwykle, odrobinę niezgrabniej niż byłoby to konieczne, z drobną zmarszczką gniewu na czole, wywołaną otaczającymi go spojrzeniami – nic jednak nie tamuje płynącej od niego fali radości życia, która udziela się czekającym. Wraz z nim wśród mojego rodzeństwa pojawiło się coś nowego. Już przed jego urodzeniem matka była inna niż zwykle. Miało się wrażenie, że unosi się w powietrzu – i takie oddziaływanie na ludzi miało też zawsze to dziecko. W jego obecności świat stawał się rozleglejszy, niebo wyższe, przedmioty sporu traciły na ważności, a złe emocje – swą moc. Skomplikowany nieco wymiar naszej wspólnoty czterech braci

[69] Miasto w północnej Francji przy granicy belgijskiej.

[70] Reichsarbeitsdienst – organizacja nazistowska, w ramach której młodzi ludzie przymusowo kierowani byli do odbycia półrocznej, nieodpłatnej „służby pracy”.

zyskał dzięki niemu nowe, porządkujące aspekty. Odbieraliśmy go jako w pełni przynależącego do nas, jako jednego z nas, a jednak obchodziliśmy się z nim specjalnie delikatnie, czując, że nie jest wyłącznie nasz, lecz idzie jeszcze własną drogą, z której nie moglibyśmy go zawrócić. Utkwiło mi na zawsze w pamięci, jak kiedyś ktoś, wpatrując się w jego sylwetkę, powiedział do matki: „Tego syna pani wcześniej..., chciałem powiedzieć: wysłać w podróż”. Był wówczas pięcioletkiem. Wkrótce potem zaczęły gromadzić się wokół niego wszystkie dzieci z okolicy, choć ich nie wołał, a dorosli z ochotą pozwalali mu się czasem nabierać, bo było to takie miłe, ja zaś nigdy nie przeżyłem, by ktoś czegokolwiek mu zazdrościł. „Chodzę mostami, bo wolno mi latać.” Te słowa z wiersza Hermana Kükelhausa^[71] przychodzą mi do głowy, gdy o nim myślę.

Kiedy poległ, jego starszy o dziesięć lat brat, służący w tym samym regimencie, wraz z ośmioma kompanami pogrzebał go na skraju drogi zawiniętego w pałatkę. A potem, kiedy zakończyła się kampania we Francji, zrobił coś zakazanego. Wykopał w nocy zwłoki i przywiózł je potajemnie do Januschau. Zrobił to, ponieważ uważał, że matka by sobie tego życzyła. Odtąd tutaj jest jego grób.

Obok leży drugi w kolejności brat. Zmarł sześć tygodni później. W wieku osiemnastu lat spadł z konia na torze wyścigowym w Karlshorście^[72] i nie wrócił już do zdrowia. Reszty dokonała śmierć ukochanego brata. Przez ostatnie tygodnie już nie mówił i nagłe krwawienie mózgu położyło kres jego życiu. Kiedy myślę o nim, ogarnia mnie ogromne poczucie winy. Od urodzenia był mniejszy, rozwijał się wolniej, potem jednak dzięki sile woli nadrobił zapóźnienia, był wyśmienitym jeźdźcem, uczył się lepiej niż bracia, miał silniejszy charakter i podobnie jak najmłodszy, nie przejmował się sobą i zawsze stawał w obronie słabszych. Brakowało

[71] Hermann Kükelhaus (1920–1944), niemiecki poeta.

[72] Karlshorst, dzielnica Berlina z hipodromem.

mu jedynie wewnętrznej harmonii, czystego poczucia bezpieczeństwa. Przez całe życie wymagano od niego zbyt wiele, nawet wtedy, kiedy w rok po pęknięciu czaszki był już tylko własnym cieniem. Zrobiliśmy z niego żołnierza. Trzymał się ostatkiem sił, aż jego jestestwo rozpadło się całkowicie. Byliśmy wówczas ślepi. Dziś wszystko znów stoi mi przed oczami i wyobrażam sobie, jak cierpiało.

Kilka kroków dalej stoi kamień z imieniem brata, który wiekowo był mi najbliższy i z którym przez całe dzieciństwo prowadziłem nieprzerwany spór. Był szorstki, zapalczywy, rogata dusza, dopiero służba wojskowa dała mu możliwość ukształtowania swej osobowości i ujawnienia swych człowieczych zalet. Po kampanii we Francji, kiedy tuż obok poległ najmłodszy brat, był w Rosji, najpierw na przedpolach Moskwy, a później jako dowódca oddziału zwiadowczego pod Leningradem. Kiedy go tam skierowano w listopadzie 1942, widzieliśmy się po raz ostatni. Był trzy dni w Berlinie, dokładnie się tam rozejrzał, po części pojął, nad jaką przepaścią toczy się gra naszego przywództwa i był gotów ponieść konsekwencje. „Wiem, to wielki błąd, że teraz wracam na front do mojego oddziału” – powiedział mi. „Kiedy jesteś tam, w polu, ze swoimi ludźmi, myślisz, że wszystko będzie w porządku, jeśli tylko spełnisz swoją powinność. Tymczasem wszystko już stracone i ludzi pędzi się tylko do zguby. Powinienem zrobić teraz coś zupełnie innego. Ale trzy dni to po prostu za mało, żeby dojść z tym do ładu. Muszę więc raz jeszcze wybrać łatwiejszą drogę.” – W nocy z 14 na 15 stycznia zobaczyłem go we śnie jako ogromną postać. Wiedziałem, że poległ, zanim odebraliśmy telefoniczną wiadomość. Nad brzegiem Ładogi oczekiwał ze swym oddziałem ataku Rosjan, którzy nadchodzili etapami przez zamrożone jezioro; początkowo udało się im odeprzeć atak. Potem zerwał się, żeby wyciągnąć spod ostrzału rannego żołnierza i w tym momencie dosięgła go śmiertelna kula. Ktoś mi opowiadał, że akurat dzień wcześniej

mówił swym ludziom, iż nie ma lepszej śmierci jak podczas ratowania towarzysza.

Do tego miejsca przynależą jeszcze mój najstarszy, ostatni brat i matka. Chociaż zginęli niedaleko stąd, nigdy nie będzie można sprowadzić tu ich ciał, ponieważ – jak mi mówiono – dopiero kilka tygodni po śmierci pogrzebani zostali w zbiorowym grobie. Mój brat, pomijając tu rywalizację z lat dziecińczych i krytykę mojego często lekkomyślnego zachowania, zawsze traktował mnie z miłością i poczuciem odpowiedzialności. Całą wojnę spędził, szwendając się po Polsce, krajach naddunajskich i południowej Rosji, i tylko parę razy wpadał na kilka miesięcy do domu, by dojrzeć swych dóbr w Januschau. Przyjechał na urlop akurat parę dni przed upadkiem Prus Wschodnich i 19 stycznia rozmawialiśmy jeszcze przez telefon. Jest dla mnie uspokajające, że w godzinie śmierci matka i on byli razem.

Mówić o matce jest trudno. Jest jeszcze tak blisko, to znaczy, zawsze będzie tak blisko, nawet gdybym miał żyć jeszcze wiele lat. Ona określała naszą egzystencję. Żyjemy jej życiem o wiele bardziej niż życiem ojca, bo chociaż z pasją uczestniczyliśmy w jego konkretnych zadaniach, to znaczy, hodowli koni, był dla nas – co pewnie naturalne – przedstawicielem starszej generacji^[73]. W odniesieniu do matki nigdy nie przyszłoby nam coś takiego do głowy. Po prostu nie mogliśmy inaczej, jak tylko żyć według jej wzorów. Prowadziło to czasem do próby sił. Nie wiem jednakże, kim w ogóle byłbym bez matki. Była dla nas miarą wszelkich rzeczy, a nasze starania skupiały się na tym, by żyć z nią w harmonii. Nie we wszystkim dzielił się jej poglądy i nie zawsze robiliśmy, czego oczekiwała – przeciwnie, specjalnej energii życiowej dodawało nam poczucie, że nie płyniemy z jej prądem. Jednak działa się to zawsze tylko w jej bezpośrednim zasięgu i w krytycznej sytuacji można

[73] Siegfried von Lehndorff (1869–1956).

było dać się wciągnąć na pokład. Była człowiekiem czynu i żyła pośrodku zdarzeń, więcej nawet, zdarzenia dotyczyły jej wnętrza. Jej spontaniczne zachowania miały czasem bolesne, szokowe skutki, ale za każdym razem niejasna sytuacja zostawała wyjaśniona, a podskórny fałsz znikał. Mogła podejmować błędne działania, które były ze wszech miar słuszne. Alternatywa „błędnych” i „słusznych” zachowań miała zresztą dla niej o wiele mniejsze znaczenie niż „małość” i „wielkość”. Mogła więc ranić, ale daleko lepiej uzdrawiać. Gdy chodziło o najtrudniejsze decyzje, potrafiła z lunatyczną pewnością wyciągnąć kogoś z opresji. Kiedy poległ najmłodszy brat, przeszła głęboki kryzys. Początkowo znowu zdawała się unosić nad ziemią, podobnie jak przed jego urodzeniem. Przychodzili jego przyjaciele i towarzysze, a ich osierocenie podtrzymywało ją na duchu. Jednak potem i oni polegli, jeden po drugim. Przestała jeść. Choć z nami wszystkimi nadal była silnie związana, to jednak w chwilach, kiedy myślała, że nikt jej nie widzi, oddalała się tak bardzo, iż sądziłem, że tego rozpadu nie da się już powstrzymać. Dopiero nowe wyzwanie, kontakty z prześladowanymi Żydami w Berlinie, gdzie moi rodzice wówczas mieszkali, kulminacja wydarzeń wojennych i naloty bombowe, sprawiły, że znowu się podniosła.

Kiedy w Rosji poległ mój brat, była akurat u mnie, w Insterburgu, a ja nad ranem musiałem przekazać jej tę wiadomość. Choć było to trudne, dzisiaj jestem wdzięczny, że mogłem to zrobić. Kiedy wieczorem odprowadziłem ją na pociąg, powiedziała: „Nie myśl sobie, że kiedykolwiek życzyłam sobie śmierci. Wiem, że jestem najszczęśliwszą matką”.

1 maja

1 maja jest naprawdę majowy. W ubiegłych latach o tej porze leżał

jeszcze śnieg. A teraz brzozy od dawna stoją w pełnym listowiu, dęby już się zielenią, kwitną konwalie, fruwią chrabąszcze i nawołuje kukułka. Robimy długą wycieczkę, tylko na część tego dnia. Zabieramy nawet czteroletnią Helgę – trochę idzie sama, trochę niesiemy ją na barana. Przez całą drogę powrotną spokojnie śpi, zawinięta w płaszcz, który niesiemy na ramionach na długim kijku. Celem naszej wędrówki jest Urowiec, cudowne jezioro w pobliżu Schwalgendorfu, które zwykle tylko mijamy. Ma ponoć 80 metrów głębokości i najbardziej przezroczystą wodę, jaką tylko można sobie wyobrazić. Na miejscu najpierw napełniamy plecaki smardzami, a potem kąpiemy się w pełnym słońcu poniżej leśniczówki Alt-Schwalge, gdzie jeszcze jest pomost. Tam rozstaje się z nami młoda pani H., która przyszła na urodziny, a my idziemy okrężną drogą przez las. W ogrodzie w Annhofie zrywamy rabarbar. Późnym wieczorem jesteśmy z powrotem w domu.

4 maja

Zakładamy ogródek. Karczujemy teren tuż za domem, wrywamy gąszcze łopianu, pokrzyw, ostów i chrzanu. Jako nawozu używamy wyciśniętych wysłodków w stadium fermentacji. Ogródek ma wymiary siedem na siedem metrów. Pale i siatkę na ogrodzenie przynosimy z lasu. Ludzie się z nas śmieją. Po pierwsze, Rosjanie wszystko zniszczą, a po drugie, nie zostaniemy tu przecież do czasu, aż coś wyrośnie. Nie dajemy się zbić z tropu. Już sama praca sprawia przyjemność. Ktoś na pewno będzie coś z tego miał. Wieczorem sadzimy rośliny. Pani H. zdobyła nawet w Faulenie, gdzie jest coś w rodzaju ogrodnictwa, dziesięć sadzonek pomidorów, które sadzimy wzdłuż muru. W Rosenbergu mamy nadzieję zdobyć nasiona.

Dzisiaj odwiedziło mnie dwóch niemieckich żołnierzy, którzy pracują

u Rosjan w Januschau, a których dotąd jeszcze nie widziałem. Jeden z nich jest tu z żoną i ona też jest chora za sprawą Rosjan. Komendant z Schönbergu długo ją trzymał u siebie i nadal istnieje niebezpieczeństwo, że znów ją sprowadzi. W Schönbergu musi być strasznie. Komendant jest sadystą. To błogosławieństwo, że nie musimy mieć z nim do czynienia.

Nasz gruby komendant dzisiaj stąd odjechał. W najbliższym czasie mają też wywieźć bydło.

8 maja

W ciągu dnia było jeszcze ciepło i trochę pochmurno, ale wieczorem rozchmurzyło się i zrobiło się bardzo zimno. Obawiamy się o nadzwyczaj bujne tej niezwyklej wiosny kwiecie na drzewach i krzewach. Byłem z obiema młodymi kobietami w Schwalgendorfie, skąd chcieliśmy przywieźć dziecięcym wózkiem ziemniaki. Tutaj już ich nie ma, a potrzebujemy ich na sadzonki. Droga powrotna z obładowanym wózkiem była dość trudna, gdyż wiodła częściowo piaszczystymi drogami, częściowo na przełaj przez las. Jedno z nas musiało iść 100 metrów z przodu i uważać, a dwoje ciągnęło lub pchało wózek z pogiętymi osiami. Wielokrotnie się przewracał i całą zawartość musieliśmy na nowo zbierać. Na ostatnim odcinku kółka całkowicie się zaklinowały, ciągnęliśmy więc wózek przez pola jak sanki i dopiero około północy dotarliśmy do domu.

9 maja

Rosjanie świętują dzisiaj rocznicę naszej kapitulacji. Niektórzy nie znoszą już zapachu bimbru i wtykają sobie chleb do nosa. W picciu chodzi zresztą o późniejszy stan, nie zaś o smak. Odbyłem wizyty u chorych w Rasenfeldzie. Wśród niemieckich niedobitków pojawiło się znowu kilka

przypadków tyfusu. Potem poszliśmy do Merinosu po rabarbar, który gotujemy z syropem jako nasze główne pożywienie.

Do Schwaigendorf u dotarła poczta z Rzeszy! Dwie kobiety przyszły do nas z tą wiadomością. Wywołało to wielkie emocje, bo wiadomości nie zawsze są dobre. Niektórzy mężczyźni, uznani już za zaginionych, odnaleźli się wprawdzie, ale najwidoczniej nie wszyscy chcą nawiązać kontakt z żonami i rodzinami, ponieważ związali się z kim innym. Częściowo są to po prostu listy pełne plotek, które tylko wprowadzają zamęt w wiejskiej społeczności, żyjącej dotąd w harmonii.

12 maja

Dziś rano znów lekki mróz, jak to zwykle w okolicach „trzech ogrodników”. Sadzonki pomidorów przykryliśmy papierowymi torebkami. W ciągu dnia robi się ciepło. Pewien pracujący w Rasenfeldzie u Rosjan niemiecki żołnierz zgłosił się z ciężkimi obrażeniami dłoni. Przywiózł go Rosjanin, który potem przetransportował nas do Nipkau, gdzie choremu można było zrobić zastrzyk przeciwężcowy. Prawie całą drogę powrotną jechaliśmy galopem, więc wypadła z wozu tylna deska i została na drodze. Widocznie woźnica uznał, że nie warto zatrzymywać się z powodu takiej drobnostki.

Wieczorem łowiłem ryby w Jeziorze Januszewskim naprzeciwko kąpieliska, niedaleko sosny z gniazdem rybołowa. To liczące około dwóch kilometrów długości jezioro, całkowicie otoczone lasem i połączone za pośrednictwem strug z innymi jeziorami, ma dla mnie specjalny urok, gdyż powrócił tu teraz całkowity spokój i przyroda niczym się nie różni od dawnych czasów. Poza krzykiem dużych i małych kaczek, perkozów, błotniaków stawowych i rybołówów brakuje tylko poszczekiwania psów z położonej naprzeciwko zagrody rybackiej Annhof, które rozbrzmiewało

zawsze, gdy zbliżał się jakiś człowiek. Jest nawet para łabędzi, choć nie ma młodych z powodu przeszkód na wiosnę. W drodze powrotnej przemierzam całe kilometry zachwaszczonych pól, nad którymi unoszą się chmary komarów i innych owadów.

14 maja

Słońce i wiatr, wieczorem upał i burza. Zupełnie niezwykły rok. Byłem w Groß-Albrechttau, żeby ochrzcić dwoje spłodzonych przez Rosjan dzieci. Matki bardzo różnie traktują te istoty, które tylko w rzadkich przypadkach są efektem gwałtów; nie wiadomo, jaki będzie ich dalszy los. Niektóre są w całkiem naturalny sposób kochane. Inne są akceptowane z racji samego faktu istnienia, jeszcze inne traktuje się jak zawadę. Jednak istnienie takich dzieci nie stanowi tu problemu. Później, kiedy ludzie ewentualnie znów zaczną żyć w normalnych warunkach, mogą tu czy tam pojawić się trudności. Chwilowo część żeńskiej populacji jest w obliczu przewagi liczbowej mężczyzn tak owładnięta obudzonymi demonami, że nie ma co liczyć na opamiętanie. W drodze powrotnej z Albrechttau odwiedzam starą panią Aust, która obecnie pracuje w ogrodach u kilku Polaków, a jako zapłatę otrzymuje wyżywienie dla siebie i chorej siostry.

Kiedy pod wieczór wracam do domu, oczekuje mnie wielka niespodzianka: list z Zachodu, który dotarł tu okrężną drogą, za pośrednictwem ciotki. Przyszedł od mojej siostry i nosi datę 21 stycznia. Tak więc jeden z moich listów jednak dotarł. Poczta jest godna podziwu. Siostra pisze o wielu ludziach, którzy jeszcze istnieją i którym dobrze się wiedzie, między innymi o bliskich ciotki. Zupełnie oszołomiony wychodzę jeszcze raz z domu i kroczę przez pola. Z opóźnieniem dociera do mnie wiadomość, że jeszcze ktoś na mnie czeka. Ten list otwiera nowy etap.

Zatopiony w myślach dotarłem do Grünhofu^[74], małej, ciągle jeszcze opustoszałej miejscowości po drugiej stronie lasu. W jednym ze zdziczałych ogrodów dostrzegam lśniący blask pojedynczego niebieskiego irysa, niemal jak symbol dawnej egzystencji, która chce jeszcze raz rozkwitnąć.

15 maja

Napisałem list i zaniósłem go do Rosenbergu. Z pewną ostrożnością wszedłem do budynku poczty, a tam zagadała mnie pewna uprzejma Polka i mimo mojego osobliwego ubioru, spytała, czy jestem „po studiach”. Zaproponowała mi książki, które znajdują się w jej mieszkaniu. Z wdzięczności – mniej za książki, lecz raczej za to, jak się do mnie odniosła – skinąłem głową i dałem sobie z daleka pokazać jej dom przy Riesenburger StraÙe. Pani S. tymczasem teŹ nawiązała kontakty w Rosenbergu i chodzi tam codziennie do pracy u rodziny z dwojgiem dzieci.

Przed trzema dniami całe nasze bydło pognali do Rosenbergu, gdzie miało zostać załadowane do wagonów. Z niewiadomych powodów dzisiaj całe stado wróciło. PóŹno wieczorem nowy komendant prosi mnie o konsultację z powodu bolesnego zapalenia opłucnej. Jest znacznie szczuplejszy od swego poprzednika i wydaje się stronić od bimbrowi. Zniszczył juŹ kilka bimbrowni we wsi. Ale inne ciągle jeszcze istnieją.

17 maja

Sąsiedni majątek w Falkenau jest opustoszały i częściowo zniszczony. Byłem tam obejrzeć ogrody. Znalazłem cały nieodkryty las rabarbaru. Kiedy przechodziłem przez puste zabudowania gospodarcze, mignęła

[74] Prawdopodobnie nieistniejąca juŹ osada.

mi jakaś postać, która wymknęła się przez drzwi i zniknęła za węglem. Zdołałem jedynie zmiarkować, że był to człowiek, pobiegłem za nim kawałek, ale nie znalazłem już żadnych siadów. Przy tej okazji w osłoniętym od wiatru zakamarku natknąłem się na sześć przepięknych żółtych tulipanów.

Bydło zostało dzisiaj po raz drugi popędzone do Rosenbergu. Załadowano 100 sztuk, na ubój w Liegnitzu, same wspaniałe krowy mleczne. Pozostałych 40 przyszło z powrotem.

19 maja, Niedziela Cantate[75]

Ja też dzisiaj mam nastrój do śpiewania. Postanowiłem odwiedzić ciotkę. Musimy koniecznie omówić wszystkie nowości z listu z Zachodu. Do Schwaigendorf uciągnę dziecięcy wózek, którym w drodze powrotnej znowu przywożę ziemniaki. Po lekarskich poradach u kilku rodzin ruszam z pełnym plecakiem na wschód. Do Weepersu przewozi mnie łódką przez jezioro młoda pani H. Za Gablauken doganiam cztery Niemki, które niosą wodę w naczyniach. Idą na grób mężów i synów – przed rokiem wzięto ich stąd, a potem w pobliżu odnalazły ich nieżywych. Pogrzebały mężczyzn i z dwóch deseczek zrobiły mały krzyż, który tymczasem nosi znowu ślady kul. Siadam obok. Kobiety porządkują grób, potem śpiewamy razem, a ja czytam psalm.

Później idę wzdłuż kanału przez łąki, zamieniam kilka słów z Niemkami, które mieszkają w Liegenie, idę na przełaj przez pola i pastwiska, mijam Liebemühl i wiaduktem kolejowym przechodzę na drugą stronę kanału. Pozdrawiam skinieniem głowy stojących tam dwóch polskich wędkarzy. Przyglądają mi się trochę zdziwieni.

[75] W Kościele protestanckim czwarta niedziela po Wielkanocy, poświęcona wspólnym śpiewom.

Wkrótce otaczają mnie znowu Lasy Taborskie. Gdzieniedzie listowie buków zmarniało po przymrozku. Odśłania się przede mną Eck-Schilling. Tym razem idę wzdłuż prostej jak pod sznurek, zakończonej ogrodową bramą, wizurki^[76], na której stoi wiele ambon. Ciągną tu chmary bekasów, których w takich ilościach jeszcze nigdy nie widziałem. Pewnie jest to drugi lot, na który normalnie nie zwraca się uwagi. Przy bramie przeczekuję do zapadnięcia zmroku. Od strony Taberbrücku rozbrzmiewają sygnały na rogu, dęte najwyraźniej przez znawcę. Jakże swojsko to brzmi. Trudno pogodzić się z tym, że trzeba znów omijać wsie. Potem jednak docieram do grażymskiego lasu, a ziemia usłana jest robaczkami świętojańskimi. Przy grobach słyszę posapywanie watahy loch. Wreszcie staję u drzwi. Są zamknięte od zewnątrz i aż cofam się z przerażenia na widok przyklejonej kartki z pieczętką.

Ostrożnie pukam w okno sąsiadów i cofam się w mrok. Pojawia się pani Langanke, wpuszcza mnie do środka, sprowadza ze strychu Grośa i pannę Jokuteit. Wybuchają płaczem. Przed kilkoma dniami w godzinach nocnych co najmniej dwunastu uzbrojonych Rosjan zabralo ciotkę i prawdopodobnie zawieźli ją do Allensteinu. Przyczyny nie podano. Siedzimy przez całą noc i rozmawiamy o tym, co zaszło, a także o tym, jak dowiedzieć się czegoś bliższego. Częstują mnie tym, co mają najlepszego, i nie chcą przyjąć moich darów. Kiedy zabrali ciotkę, kura Lorchen przestała żreć i nagle padła martwa.

Przez cały dzień siedzę w ukryciu i około dziewiątej wieczorem przy pięknej, letniej pogodzie wyruszam w drogę powrotną. Jak oszalałe ciągną znowu bekasy. Trzy razy napotykam jelenie. Nieprzerwanie terkoczą lelki, dobiega mnie ich warczące tokowanie i trzaskanie skrzydłami podczas lotu godowego. Przejście pod ambonami jest zawsze ciekawe. Prawdopodobieństwo, by któraś z nich była obsadzona, nigdy jeszcze nie

[76] Przesieka leśna, wyrębana w celach myśliwskich.

było tak małe jak teraz. Kiedy przechodzę przez most przy Liebemühlu, obszczekuje mnie lis. O brzasku zmierza w moją stronę grupa mężczyzn, chowam się więc w przydrożnym rowie. Pod wpływem rosy moje własnoręcznie zrobione buty tak się kurczą, że muszę je zdjąć i iść dalej boso. Około piątej jestem w Weepersie. Pani R, która kiedyś prowadziła gospodę, robi mi kawę i nawet organizuje przeprawę przez jezioro. Po tej stronie nikt nie ma czółna. Idziemy wobec tego brzegiem jeziora, a potem groblą na pierwszą wyspę. Przykładając dłonie do ust, woła przez wodę, aż wreszcie na drugiej wyspie odzywa się pies. Zaraz potem na brzegu ukazuje się kobieta. Machamy, ona odczepia czółno, przypląwa i przewozi mnie do Schwaigendorf u.

24 maja

Znów rozeszła się pogłoska, że Rosjanie wycofali się z Januschau i że dwór jest pusty. Zbliżam się doń dość beztrosko od strony parku, staję zdumiony przed ogromnym, ognistym krzakiem pontyjskiej azalii, pokrytym gęstwiną kwiatów w czterech różnych odcieniach czerwieni, zaś przy próbie spojrzenia na dom od frontu wpadam prosto na gromadę co najmniej dwudziestu Rosjan. Natychmiast zaczepiam pierwszego z brzegu i z poczuciem obowiązku w głosie pytam o chorych – wysyłają mnie do wsi, gdzie jeden z dwóch niemieckich żołnierzy rzeczywiście leży złożony chorobą. Z ulgą myślę, że tak łatwo udało mi się stamtąd wydostać. Wokół domu – jak wszędzie – rumowisko. Wielkie kamienne kule zrzucone z postumentów. Przed werandą od strony ogrodu widać jakiś rosyjski grób, otoczony czerwonym płotem, na którym suszy się pranie. W parku leżą rozkładające się trupy koni. Z kupy gruzu sterczy jedna z dwóch imponujących zrzuconych tyk jeleni, które przez dziesiątki lat leżały na stole w holu. Zabieram ją na pamiątkę.

Zachodzę jeszcze do malej zagrody leśnej, tak zwanego Gräberbergu, z domem na niewielkiej polanie. Najwidoczniej nie było tu nikogo od miesięcy. We wszystkich pomieszczeniach po kolana papierów i skorup, nie ma tu nic nadającego się do użytku. W ogrodzie znajduję jednak las rabarbaru i część wędruje do mojego plecaka.

26 maja, Niedziela Rogate[77]

W obu moich pomieszczeniach odprawiam nabożeństwo. Przychodzi wiele osób. Waśko specjalnie zwolnił ludzi z pracy. Choć nie zamieniam z nim niemal słowa, mam jednak poczucie, że jest taki punkt, w którym się rozumiemy. Nasi ludzie go lubią. Po południu mam znów godziny przyjęć w Schwalgendorfie. W drodze powrotnej zauważam, że pusta dotąd leśniczówka Alt-Schwalge jest zajęta. Nowy leśniczy woła mnie do środka, do swej chorej żony. Za udzielenie porady dostaję funt słoniny. Potem jeszcze kąpię się w jeziorze Urowiec. Rosjanie złowili ponoć ostatnio 80 cetnarów karpia za jednym zamachem.

7 czerwca

Tym razem w Schwalgendorfie działo się coś szczególnego. Kiedy się tam pojawiłem, miejscowość była zajęta przez polskich partyzantów. Czterdziestu chłopów przyjechało dwoma ciężarówkami. Miejscowym Rosjanom kazali rozebrać się do bielizny i zamknęli ich w piwnicy. Inni zostali na wiejskiej drodze publicznie rozbrojeni, rozebrani i też odprowadzeni do piwnicy. Polacy wyprzęgli ich konie i jeździli na nich na oklep po okolicy. Skorzystali potem z moich lekarskich usług i na koniec zaprosili na jedzenie, które młodsza pani H. właśnie ugotowała dla Rosjan.

[77] W Kościele protestanckim piąta niedziela po Wielkanocy, przypominająca o znaczeniu modlitwy.

Przez cały dzień nikomu nie wolno było opuścić wsi. Późnym wieczorem zwinęli żagle. Zostałem na noc w Schwalgendorfie, wyruszyłem o czwartej rano z ziemniakami, rybami i miodem od drugiego polskiego leśnika. Jest w stosunku do mnie szczególnie miły, podobnie jak jego żona. Pracował wcześniej na terenie „korytarza”, żona była nauczycielką w Łodzi.

Znowu pojawiło się kilka rojów pszczelich. Również stary młynarz Jepp przechował siedem pszczelich rodzin, ale trzyma je jeszcze w ukryciu. Zimą Rosjanie otworzyli wszystkie słomiane ule i wybrali miód. Teraz znajdują miód jedynie z rzadka w barciach przy drodze i nawet zatrudnili ludzi do szukania i zwalania takich drzew. Większość z nich upada w poprzek drogi i z wygodnictwa nie jest sprzątana, tak więc wszystkie wozy przejeżdżają w tym miejscu przez rów na pole. Tym sposobem drogi mają gdzieś szerokość ponad 50 metrów, ale nie ma to znaczenia, bo pola i tak nie są uprawiane.

Jestem z powrotem w domu około ósmej. Nocą byli tu partyzanci, zatrzymali się w majątku i ostrzelali pracującą lokomobilę. Jeden z Rosjan miał przypadkowo ręczny granat w kieszeni spodni i rzucił go przez płot ogrodu. Trafiona została i pękła opona samochodowa. Wobec tego partyzanci pozostawili ciężarówkę z łupami i wzięli nogi za pas. Rosjanie strzelali potem jeszcze przez godzinę.

9 czerwca, Zielone Świątki

Odprawiam nabożeństwo w moim gabinecie, czytam zielonoświątkową opowieść. Ciągłe ktoś strzela. Przyjechały dwie ciężarówki Rosjan, którzy czekają na partyzantów. Wieczorem po domach rozchodzi się blisko 30 obcych Rosjan. Trudno przewidzieć, kiedy kobiety będą mogły odetchnąć.

W Schwalgendorfie większość Niemców uchodzi teraz za „Mazurów”. To nowy wymysł, w ten sposób chce się pewnie podkreślić polską przynależność narodową lub też zanegować niemiecką. Nie mogę radzić ludziom, by nie „stawali się” Mazurami, gdyż w tym momencie nie tyle chodzi o reprezentowanie niemieckości, co o przeżycie. Niektórzy pochowali różne rzeczy, a teraz chcą sprzedać je Polakom lub wymienić na żywność. Przy tego rodzaju interesach proszą mnie czasem o radę i, chcąc nie chcąc, staję się pośrednikiem, bo ludzie często padają ofiarą grabieży, gdy okaże się, że jeszcze coś mają. Pani Tiedtke ma jeszcze zakopane garnitury po mężu. Jej dom spłonął. Mieszka z dwiema siostrami, z których jedna jest kaleką, druga epiletyczką. Ta druga dostaje ataku padaczki, gdy tylko zobaczy Rosjan. Wtedy musiała wyskoczyć z balkonu płonącego domu.

Nasi Rosjanie są bardzo podenerwowani z powodu partyzantów i strzelają do wszystkiego, co się rusza. Państwa H. ostrzelali w okolicy kanału Großer Graben, gdzie ci zbierali zioła.

14 czerwca

Przed południem kopałem, po południu sadziłem kartofle. Nagle sygnał alarmowy: przez wieś przejeżdża ciężarówka z ciężko uzbrojonymi ludźmi w stalowych hełmach. Rosjanie leżą w chaszczach i nie ruszają się. Godzinę później wraca ta sama ciężarówka i znów pozwalają jej przejechać, niczego nie podejmując.

Dwóch pracujących wcześniej w Zollnicku Polaków przychodzi z bimbrem do H. w odwiedzinę. Chcą osiedlić się w pobliżu i zachowują się niezwykle przyjaźnie, mimo że H. jednego z nich swego czasu porządnie złoił.

Po lekcjach znikam w Małym Lesie – napotykam dwa bociany czarne,

które wyszły mi na drogę, i zbieram jagody. Nasi Rosjanie mówią o wojnie, co zresztą robią często. Partyzanci byli w Finckensteinie i ubili świnie.

16 czerwca

Dzisiaj nagle wynoszą się wszyscy rosyjscy żołnierze. Zostaje tylko komendant i dwóch cywilów. Nie wiadomo, co to oznacza.

Zbieram poziomki, rąbię drewno i robię buty. Kiedy szedłem do chorych na tyfus, spotykałem Polaków z rowerami, którzy szukają opuszczonego domu do zamieszkania. Prowadzili krowę i pytali mnie, czy wiem, gdzie jest jakiś byk.

Faulen zostało w całości przekazane Polakom. Januschau i Schönberg podobno też mają być wkrótce opróżnione. Polacy wszędzie orzą i sadzą ziemniaki.

Pod biurkiem posadziłem kwokę na osiemnastu jajach. To jedyne miejsce, gdzie może stosunkowo spokojnie wysiadywać. Pojawił się jakiś Rosjanin, który przybył z daleka, i za wyrwanie zęba dał mi 100 złotych.

23 czerwca

Po niedzielnym nabożeństwie zebrałem w Annhofie i Zollnicku kilka wiader jagód i poziomek. Nie mara na tym polu żadnej konkurencji, bo z powodu partyzantów nikt nie ma odwagi wchodzić tak głęboko do lasu, Polacy i Rosjanie też nie.

Grób na podwórzu w Zollnicku został jakiś czas temu znowu rozgrzebany. Ze stodoły zniknęła też pusta skrzynia i zakopana obok broń. Pompa, z której do tej pory ciągle jeszcze można było czerpać wodę, została zdemontowana.

Różne maszyny rolnicze, odtransportowane pięć dni wcześniej z użyciem ciężarówek i ciągników, dzisiaj duża grupa przywozi z powrotem i zwala na polu za szkołą. Polacy nie mają ich dostać.

2 lipca

Od wielu dni prażący upał wisi nad wsią. Biorą mnie do pracy i muszę z kilkoma Rosjanami iść do Albrechttau, gdzie w szopie u Polaków znaleziono ukrytą młockarnię. Wyciągamy ją z ogromnym wysiłkiem i porzucamy na środku drogi wiodącej przez wieś. Osiem innych młockarni leży już na pastwisku. Poza tym przez resztę dnia pracujemy przy sianie. Kosimy i zwozimy trzy- i czteroletnią koniczynę. Jest wysoka, gruba jak sitowie, sprężyste zawija się nam wokół nóg. Dla kogo będzie to pasza, nie wiadomo. W każdym razie mamy jeszcze dużo roboty, bo cała okolica jest jej pełna. Zadziwiające, jak rozmnożyły się tu zajace. Chłopcy i dziewczynki z wielką wprawą łapią małe sztuki.

Czuję się niespecjalnie dobrze. Zasycha mi w ustach, mam ze sobą kankę wody, z której pociągam łyk co 10 minut. Maruszka, siejąca postrach komendantka – podobno Polka – przyjeżdżała dotąd na pole na grubym siwku, a pracujące tu kobiety i dziewczęta witały ją zawsze potokiem przekleństw. Od niedawna musi pracować razem z nimi, ponieważ w przypływie zazdrości napadła i kawałkiem polana zmasakrowała leżącą w łóżku domniemaną rywalkę.

Podczas przerw w pracy nazbierałem sobie malin z krzewów rosnących na miedzy. Kwitną lipy. Przed dziesięcioma dniami mieliśmy pecha. Przed południem próbowaliśmy z panią L. boso, z czterema kankami syropu, umknąć do Schwalgendorfu i weszliśmy prosto w ramiona komendanta, który natychmiast kazał nas zamknąć w piwnicy szkoły. Przesiedzieliśmy tam całą noc, a potem panią L. wypuszczono. Przez

następne dni strażnik przynosił mi niezłe jedzenie z rosyjskiej kuchni, poza tym przez zakratowane okno podsuwał rozmaite owoce leśne. Mój gabinet został opróżniony. Podobno znaleziono tam bardzo niebezpieczną truciznę – przypuszczalnie w jednej z opisanych po rosyjsku butelkach po piwie, pochodzących z czasów mojej poprzedniczki Nadii. Wywołało to duże poruszenie i miałem zostać ukarany.

Poza tym ktoś z miejscowych miał powiedzieć Rosjanom, że jestem szpiegiem i mam powiązania z partyzantami. Było więc dość krytycznie. Na dodatek dostałem dreszczy i wysokiej gorączki, wszystkie ukąszenia komarów i pcheł zaczęły ropieć i miałem skurcze łydek. Trzeciego dnia wypuszczono mnie i doprowadzono do komendantki. Nakrzyrzała na mnie i osobiście zmierzyła mi temperaturę, nie wierząc, że jestem chory. Odpowiedziałem w podobnym tonie, bo to zazwyczaj jest najbardziej skuteczne. Największą dla mnie niespodzianką było to, że pozwolono mi potem zająć izbę na strychu, nad moją dotychczasową kwaterą. Teraz tam mieszkam. Myślę, że to Waśko wstawił się za mną.

7 lipca

Z powodu deszczu dzisiaj nie ma pracy. Kobiety jak zawsze cerują worki. Od strony Januschau przejechało przez wieś ponad sto małych rosyjskich wozów. Znów wyniosłem się do Małego Lasu na jagody. Właściwie nie wolno nam opuszczać miejscowości. Jednak z powodu otaczających nas wszędzie wysokich chwastów kontrola jest niemożliwa. Łopiany i osty są tak wysokie, że w zaroślach możesz się wyprostować i nikt cię nie zobaczy. Właśnie tam pozakładali też nowe bimbrownie.

13 lipca

Po słonecznych dniach i burzy znowu pada. Przez cały dzień siedziałem w kuźni i ostrzyłem noże do kosiarki. Wczoraj pracowałem z trzema Litwinami w spichrzu, gdzie mąka w workach powoli gnije. Przyjechała ciężarówka i, zbyt ostro nawracając, rozjechała przybudówkę przy kuchni. W szopie w wielkim nieładzie stoją zardzewiałe samochody i walają się zmurszałe meble. Komendant ostatnio chciał się dobrać do wielkiego Litwina, ten zaś podniósł go w górę i tak zamasyście postawił na ziemi, że komendant padł. Litwin powędrował do karceru, ale już go wypuścili. Po południu szuflowaliśmy zgniłe wysłodki ze spichrza na podwórze.

Rosjanie są znowu podenerwowani z powodu nowych zmian organizacyjnych. Ponownie mają przywieźć tu bydło ze Śląska. Zabroniono uboju świń, które na wysłodkach niesłychanie się utuczyły, a teraz dostają rodzaj środka przeczyszczającego na odchudzenie. Co rusz znika jakiś koń, prawdopodobnie sprzedawany po kryjomu przez samych Rosjan. Jednego znaleziono po wielkiej akcji poszukiwawczej 30 kilometrów stąd, u jakiegoś Polaka. Ten kupił go od Rosjanina, który tutaj pojawia się jeszcze tylko z rzadka. Nikt nie wie> gdzie się podziewa. Komendant uznał go za wyjętego spod prawa. Kto go zobaczy, ma go zastrzelić.

2 sierpnia

Przez czternaście dni leżałem chory z wysoką gorączką i silnymi bólami głowy, chwilami nie całkiem przy zdrowych zmysłach. Teraz, mocno zmizerniały, od tygodnia leżę znowu w kuchni państwa S., gdyż opieka nade mną w rozpalonej od upału izbie na strychu była zbyt trudna. Na belce nad głową biegały w tę i z powrotem myszy, a

kiedy wołałem, nikt mnie nie słyszał. Zaczęło się pewnej niedzieli. W piękącym skwarze pracowaliśmy pod Groß-Albrechtau przy sianokosach i w południe zrobiliśmy w kościele krótką przerwę. Od rana było mi niedobrze. Grubą Maruszkę, znowu konno, widziałem jak przez mgłę. Po południu przyjechała ciężarówka z Rosjanami i zabrała z pola Litwinów, prawdopodobnie do Rosji. Jeden uciekł i zniknął w lesie. Olbrzym już parę dni temu wziął nogi za pas. Do domu wróciliśmy dopiero po zachodzie słońca. Następnego ranka nie mogłem już wstać. A teraz zaczynam powoli wracać do siebie.

Partyzanci pojawili się w Januschau, zgarnęli wszystkie konie, a sześciu pozostającym tam jeszcze Rosjanom zabrali buty i broń. Jeden z Rosjan wpadł po drodze do nas. Chciał ściągnąć z Nipkau posiłki. W Rosenbergu zatrzymało go jednak UB i zamknęło w piwnicy. Nigdy nie wiadomo, kto tu właściwie jest przeciwko komu. Polska milicja jest wprawdzie śmiertelnym wrogiem partyzantów, ale nie przepuszcza najmniejszej okazji, żeby wywieść Rosjan w pole.

Przy tych tropikalnych upałach w naszym ogródku za domem wszystko rośnie jak szalone: ogórki, pomidory i cebula. Polacy z Rosenbergu przekazali mi, że mam przenieść się do nich jak najszybciej, bo aresztowali ich lekarza. Dawniejszy urząd zdrowia przekształcony został w szpital. Pani S. zgłosiła mnie tam na wszelki wypadek jako pacjenta.

ROSENBERG

6 sierpnia 1946 do maja 1947

Od dwóch dni jestem w szpitalu w Rosenbergu. Polski lekarz przyjął mnie niezwykle przyjaźnie, podobnie Niemka, pracująca tu jako pielęgniarka. Budynek stoi tuż nad brzegiem jeziora. Pani S. miała mnie tu przyprowadzić. Niepostrzeżenie wydostaliśmy się ze wsi i dotarliśmy do głównej drogi. Tam się rozdzieliliśmy. Pani S. z moim plecakiem poszła przez miasto, ponieważ jest tam już znana. Ja zaś wybrałem drogę przez pola, dookoła jeziora. Na drodze stali robotnicy. Widzieli, jak się rozdzieliliśmy, i jeden z nich zaraz popedałował do miasta, żeby zaalarmować milicję. Moja towarzyszka pojawiła się więc w szpitalu wiele godzin później niż ja, bo na milicji dokładnie ją przeszukali i wypyтали.

Pokój mam tylko dla siebie, na pierwszym piętrze, z widokiem na jezioro i wspaniałym łóżkiem z białą pościelą. Na razie uchodzę za pacjenta i mam nadzieję, że Rosjanie mnie zaraz stąd nie zabiorą. Jedzenie jest tu dobre, z amerykańskich puszek.

Szpital ma 30 łóżek i prawie wszystkie są zajęte. Biorę udział w obchodzie. W sprawie diagnoz jestem trochę sceptyczny. Połowa pacjentów ma ponoć tyfus, połowa zapalenie płuc. Większość robi jednak wrażenie dość ożywionych. Chorych na tyfus, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, rozpoznaje się po ogolonych głowach. Ten zabieg wydaje mi się nazbyt drakoński, a ponadto zbędny, gdyż jest uzasadniony jedynie w przypadku tyfusu plamistego, a o nim nie może tu być mowy. Nie robi

się wykresu temperatur. Lekarstwa są dostępne w ogromnych ilościach, ale ich wybór nie jest zbyt duży. Wszystkie pochodzą z Ameryki i są opisane tylko po angielsku i francusku. Tak więc ich zastosowanie było dotąd dość problematyczne. Jest wśród nich 180.000 tabletek nasennych, poza tym kilka butelek z koncentratem kwasu solnego i siarkowego. Szczególnie zagrożony jest kanister z dziesięcioma litrami czystego, nieskażonego alkoholu, na który wszyscy spoglądają pożądliwie. Choć polskie pielęgniarki ubolewają, klucz ma siostra Erna.

Również i tu grasuje ta najokropniejsza z chorób, która prześladowa mnie na każdym kroku. Na szczęście jest do dyspozycji wystarczająca ilość leków. W tej chwili prowadzi się około 30 kuracji, wszystkie jednym i tym samym zastrzykiem. Siostra Erna, która nie zdobyła żadnego wykształcenia medycznego ani nawet pielęgniarskiego i tylko przez przypadek tu utknęła, ma już zadziwiającą rutynę w wykonywaniu zastrzyków dożylnych. Codziennie zgłasza się do niej 10–15 pacjentów, zdrowych młodych mężczyzn, a także kobiet. Zwłaszcza w ostatnim czasie pojawiło się wiele nowych przypadków. Trudno przewidzieć, jakie to jeszcze będzie miało skutki.

Rosenberg, nazywany przez Polaków „Susz”, był dawniej spokojnym miasteczkiem z około 6000 mieszkańców i stanowił centrum powiatu, w którym dominowała wielka własność ziemska. Dzisiaj miasteczko leży w gruzach, ziemia jałowuje, jak okiem sięgnąć, a po większości wspaniałych pałaców pozostały ruiny i zgliszcza. W istniejących jeszcze mieszkaniach wokół zniszczonego centrum osiedliło się około 1200 Polaków, ale wydaje się, że niewielu chce tu zostać na stałe. Większość nie może usiedzieć na miejscu, a pociąg kursujący raz albo dwa razy dziennie zapchany jest łągami, którzy nie znaleźli jeszcze stałego lokum albo chcą rozejrzeć się za czymś lepszym. Pochodzą ze wszystkich regionów Polski i reprezentują w związku z tym przeróżne typy – wschodnie i

zachodnie, których zasadnicze cechy i mentalność mało mają ze sobą wspólnego. Najwidoczniej środkiem Polski przebiega bardzo ostra Unia dzieląca Wschód od Zachodu. Wszystkich łączy jedno – są wykorzenieni, w przeciwnym razie nie przybywaliby tu dobrowolnie, na te spustoszone ziemie, z którymi nic ich nie wiąże, może z wyjątkiem tych nielicznych, którzy podczas wojny pracowali tu na roli, a teraz w opuszczonych gospodarstwach próbują od nowa budować swą egzystencję. Ci pierwsi przybyli już przed półtora rokiem, tuż za armią sowiecką. Im wiedzie się porównywalnie najlepiej, ponieważ zdołali jeszcze zgarnąć to i owo, co zostało po pierwszym plądrowaniu opuszczonych mieszkań. Są stosunkowo dobrze ubrani i tworzą już pewnego rodzaju luźną strukturę.

Każdy nowo przybyły próbuje otworzyć interes albo objąć stanowisko. Jest już burmistrz, proboszcz, lekarz, dentystka, adwokat, leśniczy, naczelnik poczty, zawiadowca stacji, kominiarz, fryzjer, szewc, krawiec i tak dalej, choć żaden z nich nie wydaje się mieć wiele doświadczenia w swoim fachu. Poza tym niezliczeni parają się handlem – od piekarza, rzeźnika, szefa gospody po najzwyczajszego sprzedawcę zapalek. Żyją, ale ich zajęcia i matactwa ograniczone są ogólną biedą, jak też istnieniem milicji i UB, które kierują się dość prymitywnymi i zależnymi od humoru pobudkami, sprawując swój budzący postrach urząd.

Niemców żyje w mieście jeszcze tylko bardzo niewielu. Można by ich zliczyć na palcach dwóch rąk. Dwóch starych mężczyzn oraz kilka kobiet i dzieci, które sprzątają ulice, odgruzowują i wykonują prace domowe u polskich rodzin. Reszta Niemców z tych okolic przebywa w zamkniętych grupach w majątkach, głównie pod nadzorem Rosjan. Samodzielnie nie mieliby szans na przeżycie i byłiby skazani na całkowite bezprawie.

Mały szpital, w którym pracuję, umożliwia mi obserwowanie tego wszystkiego ze stosunkowo szerokiej perspektywy. Ogólnie rzecz biorąc, jestem traktowany bardzo uprzejmie, bo już w pierwszych dniach miałem

szczęście zwrócić na siebie uwagę udanymi zabiegami medycznymi.

Moim pierwszym pacjentem był przywieziony wozem przez zatroskaną rodzinę osiemdziesięcioletni chłop z ogromnym czyrakiem na karku. Wątpiąc, czy jeszcze da się uratować starego człowieka, oznajmiłem, że sytuacja jest bardzo poważna, i zacząłem przygotowania do operacji. Obie polskie pielęgniarki, które zapewniały, że już wielokrotnie widziały tego rodzaju zabiegi, chciały mi asystować, ale wybiegły przerażone, kiedy wykonałem pierwsze z czterech długich cięć. Myślały chyba, że odetnę mu głowę. Stary człowiek od razu poczuł ulgę, wydobrażał i chce podarować mi gęś, jak tylko jego potylica będzie już całkiem w porządku. Jego synowie zajęli gospodarstwo po drugiej stronie jeziora i wzięli go do siebie wraz z jego również osiemdziesięcioletnią żoną. Co trzeci dzień chodzę tam zmieniać mu opatrunek.

Drugim dramatycznym przypadkiem był poród, który nie chciał się posuwać. Akuszerka przybiegła do mnie, załamując ręce, a po badaniu poszliśmy do kuchni wygotować w garnku kleszcze, które na szczęście mam do dyspozycji. Potem dziecko już dość szybko przyszło na świat. Akuszerka nieprzerwanie robiła znak krzyża, ponieważ uważała, że dziecko tkwi zbyt głęboko jak na kleszcze. Te dwa i jeszcze kilka innych pomyślnych a ryzykownych przypadków sprawiło, że zaczynam się czuć trochę pewniej. Poza tym podobno była akcja zbierania podpisów pod petycją do milicji, by w miarę możliwości pozostawić mnie na wolności. Jednak na wszelki wypadek mam w pokoju przygotowany mocny sznur, po którym mogę się spuścić z okna, bo nie chcę raz jeszcze wylądować za kratkami.

Za sprawą codziennych zastrzyków, przy których pomagam siostrze Ernie, poznałem już kilku młodych milicjantów i doszedłem do przekonania, że zostawią mnie w spokoju, dopóki nie zdarzy się coś szczególnego. A jednak pewnego niedzielnego poranka sytuacja staje się

krytyczna, bo do budynku wchodzi dwóch nieco starszych i nieznanym mi mundurowych, którzy dopytują się o mnie. Obie kobiety, wbrew swoim obyczajom w przypadku pojawienia się mężczyzn, usuwają się w odległy kąt, Przez chwilę stoimy bez słowa naprzeciwko siebie, lustrują mnie od stóp do głów. Na moje pytanie, czy są chorzy, w pierwszej chwili w ogóle nie reagują. Potem jeden z nich pokazuje na zęby, podczas gdy drugi powoli zachodzi mnie od tyłu. Wpatruję się w nienaganne uzębienie i myślę: „Uważasz, że tam, z tyłu masz przewagę! Rusz tylko ręką, a ja jednym susem jestem już na schodach, skaczę z okna i znikam w lesie, zanim cokolwiek zmiarkujesz”. Jednak oglądanie mnie od tyłu najwyraźniej nie dało powodu do agresji i obaj goście opuszczają budynek bez pożegnania. Zaraz potem siostry wychodzą ze swej kryjówki i gratulują mi nieoczekiwanie pomyślnego obrotu sprawy. To podobno dwaj najniebezpieczniejsi ludzie w całej okolicy, komendant UB i komendant milicji.

Mój pierwszy wyjazd do pacjenta trwał prawie cały dzień. Pewien chłop przyjechał po mnie koniem wielkości lepszej kozy i w żółtym tempie, o wiele wolniej niż pieszo, pojechaliśmy piaszczystymi drogami do Heinrichau, około piętnastu kilometrów stąd. Ciężko chory został załadowany na wóz – prościej byłoby, gdyby chłop od razu go przywiózł – i ruszyliśmy w powrotną drogę nieco inną trasą. Przejechaliśmy przez Neudeck i Langenau, dwa majątki Hindenburga, zobaczyliśmy, że pałac prezydenta Rzeszy spłonął, podobnie jak pałac w Langenau, a i wieś Neudeck jest całkiem spustoszona. Pola oczywiście – jak wszędzie – ukryte głęboko pod chwastami.

Często wzywają mnie do chorych, zarówno w obrębie miasta, jak i w najbliższej okolicy, i dzięki temu mam pewien wgląd w życie społeczne. W wielu przypadkach nie są to formalne małżeństwa, a raczej pary, które zeszyły się mniej lub bardziej przypadkowo i raczej na jakiś czas. A jednak

błogosławieństwo w dzieciach jest niespodzianką i akuszerka Cecylia cieszy się, że ma we mnie wsparcie nawet w nieskomplikowanych przypadkach, ponieważ sama nie jest w stanie wszystkich obsłużyć. Nierzadko siedzę wiele godzin, czasem nawet całymi nocami u takich rodzin, aż urodzi się dziecko, które mimo wszystko najczęściej witane jest z radością, sypiam z przerwami na jakimś krześle albo na podłodze, muszę od czasu do czasu łyknąć wódki i wysłuchać rzeczy, których ci ludzie nie opowiadaliby w normalnej sytuacji. Wojna straszliwie ich sponiewierała, przy czym nie wiadomo, od której strony doznali więcej krzywd i strat – zachodniej czy wschodniej. Często jestem głęboko zawstydzony, z jaką gotowością w reakcji na ludzkie słowo odrzucają uzasadnione pragnienie zemsty, zaś to, co wyrządziliśmy im za pośrednictwem Hitlera postrzegają jako rodzaj zbłądzenia, niemającego nic wspólnego z niemieckim charakterem. I właśnie z tymi, którzy najbardziej ucierpieli i najwięcej stracili, najłatwiej rozmawia się o tych sprawach. Temu jednak się nie dziwię, bo w tej kwestii jest chyba tak samo na całym świecie, to znaczy tam, gdzie ludzie wiedzą, co znaczy wybaczać.

Poza nielicznymi, którzy są blisko źródła amerykańskich darów i potrafią zorganizować coś dla siebie, jest to biedny naród i w najbliższym czasie mało będzie on miał okazji, by wznieść się ponad najprostsze warunki egzystencji. Nieporządek i samowola są zbyt wielkie, wzajemne zaufanie zbyt małe, odzież i żywność za droga, a wódka porównywalnie zbyt tania. Wśród mężczyzn nie ma prawie nikogo, kto by nie używał jej ponad miarę w roli pocieszycielki. Wprawdzie uważam, że „czysta wódka” to niezły trunek w porównaniu z obrzydliwym bimbrem z wysłodków, produkowanym przez Rosjan, jednak picie jej już od rana na pusty żołądek wymaga ode mnie sporo samozaparcia, no i znacznie utrudnia mi wykonywanie lekarskiej posługi. Mimo to czasem nie pozostaje mi nic innego, jeśli nie chcę urazić ludzi. Jednak nie tylko mężczyźni, ale i

kobiety chętnie piją wódkę i niejedna z nich jest już wyraźnie naznaczona jej skutkami.

Żywnienie w szpitalu jest wyśmienite dzięki amerykańskim darom. Poza tym pacjenci przynoszą nam też czasami coś do jedzenia. Niektórzy płacą nawet gotówką do 100 złotych za wyrwanie zęba i 500–700 złotych za poród, a więc niewyobrażalne sumy jak na nasze stosunki. Za 80 złotych można kupić funt cukru. Cetrnar żyta kosztuje 1500 złotych, pszenicy 2000, kilo kartofli 600–700, słoniny 800–900 złotych. Nic innego w tej chwili mnie nie interesuje, bo przecież żywności brakuje wszędzie, a skoro ja mam w szpitalu wszystko, czego potrzebuję do życia, mogę dodatkowy zarobek przekazać naszym ludziom. Przybywają do mnie już z bardzo daleka i jestem rad, że moi polscy współpracownicy nie rzucają mi w tej kwestii kłód pod nogi. Jeśli to konieczne, wolno nam nawet przyjąć ich do szpitala, i to bezpłatnie, i leczyć ich tak samo, jak polskich pacjentów. Przyomykają też oko, jeśli przyjmujemy kogoś, kto nie jest naprawdę chory, lecz tylko potrzebuje ochrony i opieki.

Na szczęście wśród amerykańskich leków jest sporo przydatnych narkotyków i już się rozniosło, jakie przyjemne mają działanie, choć na początku musiałem przezwyciężać sporo oporów. Teraz nagle wszyscy chcą dostać zastrzyk w żyłę, kiedy trzeba coś przeciąć albo wyrwać ząb, i codziennie w jadalni leży paru ludzi, którzy przesypiają rausz.

Pewne komplikacje występują najczęściej w kontaktach z młodymi ludźmi z milicji i UB, osobnikami dobrze odżywionymi i mocno przyzwyczajonymi do alkoholu, których niełatwo wprowadzić w sen narkotyczny. Sceny, które z nimi przeżywam, sfilmowałbym najchętniej, żeby przekazać potomnym, gdyż opisać tego nie sposób. Zaczyna się od tego, że każę im wyjąć granaty ręczne z kieszeni spodni, na co oni najczęściej nie reagują, lecz patrzą na mnie pogardliwie, jakby chcieli powiedzieć, że nic mi do tego. W końcu robię to sam i deponuję granaty w

bezpiecznym miejscu. Następnie pacjent przypinany jest pasami do stołu operacyjnego i dostaje zastrzyk, który jednak najczęściej działa tylko do rozpoczęcia zabiegu. Potem może się zdarzyć, że pacjent się podnosi, wygina stół operacyjny, upada wraz z nim, podnosi się znów i tańczy po pokoju ze stołem na plecach, a ja tymczasem wiszę z kleszczami na zębie trzonowym i staram się tylko tak pokierować pacjentem, aby nie wpadł w jedno z dwóch okien lub w oszkloną szafę. Z pomocą siostry Erny udaje się najczęściej osiągnąć zamierzony efekt, podczas gdy obie pozostałe siostry z reguły dają drapaka.

Poza wymienionymi już narzędziami do rwania zębów i pomocy przy porodzie moje instrumentarium jest bardzo prymitywne. Większe cięcia wykonywane są brzytwą. Jedyne istniejący skalpel chowam w łóżku, żeby ktoś go nie użył do ostrzenia ołówków, przecinania sznurka czy jeszcze bardziej prymitywnych czynności. Z trudem przeze mnie zdobyta czerwona kredka do sporządzania wykresów temperatur zniknęła na dłuższy czas, dopiero zaś kolor ust pewnej salowej naprowadził mnie na właściwy trop i odnalazłem ją w kuchni na parapecie. Niezbędne często łyżeczkowanie u kobiet, które trafiają do nas na wpół wykrwawione i nierzadko nieprzytomne, robię zaostrzoną łyżką, gdyż nie mam kurety, a nabycie jej jest ponoć niemożliwe. Większych operacji nie da się tu w ogóle przeprowadzić. Takie przypadki muszą być transportowane do Marienwerderu, czyli dzisiejszego Kwidzyna. Do takich celów miała być przeznaczona karetka ufundowana przez Amerykę, jednak najczęściej jest ona w rozjazdach, kursując do Gdańska, Allensteinu lub Warszawy. Zazwyczaj musimy więc szukać innych możliwości transportu. Zabiera to mnóstwo czasu, ponieważ UB, które dysponuje małym volkswagenem, to znaczy drugim samochodem w mieście, najczęściej ma inne sprawy na głowie. Ostatecznie trzeba się zdać na furmankę, która jednak jedzie kilka godzin.

Nierzadko pojawiają się ludzie z ranami postrzałowymi, co przy tej liczbie będącej tu w obiegu broni w ogóle nie zaskakuje. Jednego człowieka milicja przywiozła mi kiedyś w środku nocy. Obudziłem się w momencie, kiedy do mojego pokoju wtargnęło co najmniej dwunastu chłopów ze ślepyimi latarkami, wszyscy pokryci kurzem. Na dole, leżał na stole jeden z ich kumpli z postrzałem w okolicy pachwiny. Ponieważ pocisk tkwił prawdopodobnie w jamie brzusznej, co oznaczało poważny zabieg chirurgiczny, poradziłem im, by możliwie jak najszybciej przewieźli mężczyznę do Marienwerderu. Wówczas wszyscy zniknęli tak szybko, jak przyszli, podobno, żeby załatwić jakiś samochód, i zostawili mnie samego z rannym. Dopiero sześć godzin później powróciło kilku z nich; zabrali rannego po zapiciu strachu w gospodzie. Twierdzili, że w nocy natknęli się na partyzantów, strzelali na oślep i trafili jednego ze swoich.

Językowa komunikacja z Polakami nie sprawia mi już szczególnych trudności. Po pierwsze, oni najczęściej znają trochę niemiecki, szczególnie gdy są chorzy, a poza tym ja oczywiście przez ten czas podchwyciłem sporo niezbędnych słów. O jedzeniu i chorobach mogę już w miarę płynnie konwersować, oczywiście ignorując naprawdę trudną gramatykę. Mój polski jest pewnie porównywalny z ich niemieckim – wszystko w mianowniku, bezokoliczniku i bez rodzajników. „Doktor, przychodzić do moja żona, dziecko się rodzić” – rodzaj esperanto, znany każdemu Niemcowi, który miał do czynienia z Polakami i Rosjanami. Oczywiście trzeba też znać polskie przekleństwa, jeśli chce się mieć jakąś pozycję. Ćwiczyłem się w nich długo i użyłem ich w kilku przypadkach. Największy sukces odniosłem w sali szpitalnej, w której leżało czterech młodych ludzi przyjętych na obserwację z powodu owej obrzydliwej choroby. Mała siostra Jadzia nie dawała sobie z nimi rady i przyszła po mnie. – „Panie doktorze, musi pan przyjść. Mężczyźni są tacy bezczelni.” – „No ale cóż ja

miałbym tam zrobić? Przecież oni mnie nie posłuchają.” – „Ach, niech ich pan po prostu zwymyśla. Tego potrzeba tym bezczelnym gówniarzom!” Pobieglem na górę, rozwarłem drzwi, wykrzyczałem wszystkie znane mi przekleństwa po kolei, a potem kontynuowałem po niemiecku: „Drogie dzieci, poczekajcie tylko, aż nauczę się dobrze polskiego, to wam wtedy dopiero powiem!”. Zatkąło ich, gruchnęli śmiechem, a potem byli już całkiem grzeczni.

Moja znajomość angielskiego i francuskiego też już się tu przydała. Przychodził naczelnik poczty i różni ludzie, prosząc, bym przetłumaczył im listy z Francji i Ameryki i na nie odpowiedział. Poza tym, jak wspominałem, wszystkie leki, które tu mamy, są opisane w tych językach.

Rosyjscy pacjenci nie są tu zbyt lubiani. Jadzia anonsuje mi ich najczęściej w następujący sposób: „Panie doktorze, przyszedł Rusek, i to jaki! Niech pan przyjdzie szybko, bo jeszcze wszystko rozwali”. Zazwyczaj nie jest tak źle, choć czują się oczywiście panami i biorą sobie wszystko, czego im trzeba. Pewnej Rosjance, która nie mogła urodzić martwego dziecka, musiałem pomóc kleszczami. Sytuacja była nerwowa, ponieważ za drzwiami stało trzech jej rodaków i z trudem dało się ich utrzymać na odległość. Oczywiście nastąpiło długie pęknięcie, które trzeba było szyć. Ale wszystko dobrze się skończyło; po ośmiu dniach trzech Rosjan pojawiło się znowu, zabrali kobietę, nie zwracając na nas uwagi, ani nie dziękując nikomu w szpitalu.

Na zewnątrz, na ulicy, traktowano mnie początkowo z dużym dystansem. Nikt nie mówił mi dzień dobry i czasami czułem się trochę osamotniony. Teraz atmosfera stopniowo się rozładowuje, zwłaszcza po wydarzeniu u fryzjera, który pewnego razu, kiedy przechodziłem obok jego zakładu, wciągnął mnie do środka i na oczach wszystkich czekających klientów za darmo ostrzygł. To naprawdę wspaniałe uczucie, kiedy oficjalnie też traktują cię jak człowieka.

Z dwóch istniejących tu kościołów uruchomiony został katolicki i odbywają się w nim regularne msze. Proboszcz ma trudne zadanie, ponieważ z braku przedstawicieli prawa wciągany jest w rozsądzanie sporów wśród ludności. Szczególnie drastyczne przypadki są podawane do wiadomości na kazaniu, które cieszy się zainteresowaniem także mniej katolickich osób.

Lato mija, a ja nie miałem dość okazji, by powrócić do moich dawnych wędrówek i odwiedzić znane mi miejsca i ludzi. Za to przychodzą do mnie i dowiaduję się na bieżąco, co się z nimi dzieje. Ze Schwalgendorfu przysłała rodzić żona nowego leśniczego. Jej mąż siedział przejściowo w więzieniu w Allensteinie. W roli pacjenta zjawił się nadleśniczy. Pani Tiedtke przesłała rzeczy na wymianę. Mam spróbować zdobyć dla niej kozę. Państwo H. przenoszą się 13 września do Schwalgendorfu, gdzie H. znalazł pracę w nadleśnictwie. Pani L. prowadzi gospodarstwo domowe u nadleśniczego. Rosjanie chcą Brausen w całości przekazać Polakom i w ogóle wycofać się wkrótce z okolicy. Zabierają wszystko, co tylko nadaje się do użytku. Plądrują jeszcze raz pobieżnie mieszkania. W Januschau został ponoć chwilowo tylko jeden Rosjanin w charakterze strażnika, poza tym cała wieś jest pusta. W Schönbergu Rosjanie wyrzucili w ciągu dwóch godzin wszystkich Niemców na ulicę.

30 września przyjeżdża H. rowerem ze Schwalgendorfu, żeby wezwać mnie do chorej córki. Biorę rower, chcąc szybciej dojechać. Zastaję panią L. już w lepszym stanie, oglądam nowe mieszkanie i odbywam kilka wizyt. Wieczorem jestem u nadleśniczego. Ustrzelił jelenia-wsteczniaka. Oglądamy jego poroże w piwnicy, gdzie wygotowują też czaszkę. Na kolację jest wątroba z jelenia, kawałek dostaję do zabrania.

13 października, w niedzielę, siostra Erna towarzyszy mi w wędrówce przez las januszewski. Mieliśmy już poważne nocne przymrozki, ale pod kryształicznie czystym niebem ziemia wibruje jeszcze w jesiennej

krasie, a w granatowej wodzie jezior odbija się złotem listowie buków. Przechodzimy obok dworu januszewskiego, jedna jedyna gałąź dzikiego winna pnie się lśniąco czerwienią po nagiej białej ścianie przez dwa piętra aż po dach. Drzwi wejściowe wydają jeszcze dawny, dobrze znany odgłos, wchodzimy do holu, rzucam okiem do sali ogrodowej – jedno wielkie spustoszenie. Ze słomy pokrywającej podłogę podnosi się postać – oczywiście Rosjanin, który strzeże domu. Patrzy na nas pytająco, nie wiedząc, jak ma się zachować, i jest najwidoczniej rad, że rezygnujemy z dalszych oględzin domu. W lesie ciągle leżą dawno ścięte drzewa. W oddali pada kilka strzałów. Kiedy zbliżamy się do wzgórza solnickiego, przed nami trzech ludzi kryje się nagle w zaroślach. Jestem już skłonny się cofnąć, ale moja towarzyszka nalega, byśmy szli dalej. Na wysokości tamtego miejsca z krzaków wychodzi nadleśniczy z dwoma leśniczymi. Witamy się z ulgą. Wzięli nas za Rosjan, którzy od kilku dni w dużej grupie znowu buszują po lesie.

Minął czas prawdziwków, których obfitość przekroczyła wszelkie znane wcześniej miary. Na polanie przy Zollnicku dojrzewa żurawina. Kormorany, czaple i rybołowy, dudki, kraski i inne ptactwo wodne już odleciało. Ale tam, gdzie ku jezioru opada zbocze porośnięte bukami, para łabędzi unosi się na spokojnej wodzie i zatacza kręgi.

Jakąż radość mi sprawia, móc komuś to wszystko pokazać i opowiedzieć, jak kiedyś tu było. O moim dziadku Oldenburgu^[78], którego imię pozostanie na zawsze związane z tym kawałkiem ziemi, dopóki pamiętać się będzie o Prusach i Niemczech. Opowiadam o jego człowieczeństwie, za które wszyscy go tak kochali, a opowieści o nim przetrwały w niezliczonych anegdotach. O tym, jakim oparciem

[78] Elard von Oldenburg-Januschau (1855–1937) – polityk, poseł do Reichstagu z ramienia Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej, ojciec matki autora.

dla wszystkich była jego osobowość – w dobie przemian grożących utratą swego miejsca i stawiających pod znakiem zapytania poczucie odpowiedzialności przed Bogiem za rodzinę, poddanych, rodzinne strony i ojczyznę. Opowiadam o tym, jak blisko byłem z nim związany, z czego jestem nieskończenie dumny, a co ma taki skutek, że zawsze mam go przed oczami, gdy chodzi o kwestie ludzkich zachowań.

Opowiadam o tych wszystkich poruszających wydarzeniach, które były tu naszym udziałem od wczesnego dzieciństwa, i wreszcie o wizycie feldmarszałka i późniejszego prezydenta Rzeszy, Hindenburga. O tym, jak uczestniczyła w tym cała wieś, tworząc szpaler na jego przybycie i rozplaszczając wieczorem nosy na szybach jadalni.

Od września dostaję regularnie listy z Zachodu, od najróżniejszych ludzi, niemal codziennie. Jak ta poczta to robi, jest dla mnie niepojęte. Listy idą cztery tygodnie, najwidoczniej przez Warszawę, ale nie są – na ile mogę to ocenić – cenzurowane. Również moje odpowiedzi docierają do adresatów prawie regularnie. W szpitalu niesłychanie zazdroszczą mi tych listów. Jadzia zawiadamia mnie na poły zachwycona, na poły z wyrzutem, „Panie doktorze, znów list!” Zakłada, że wszyscy nadawcy to kobiety. Cały adres musi być oczywiście napisany po polsku. Od ojca dostaję list po francusku. Pewnego razu wzywają mnie na pocztę, ponieważ nadszedł bardzo dziwny list. Adres na kopercie napisany został pionowo wielkimi literami. Już z daleka rozpoznaję pismo i muszę się śmiać, że Polacy zrobili z tego takie wydarzenie. Dla mnie ten list jest zresztą również czymś szczególnym, gdyż pochodzi od hrabiego Brünnecka^[79], jednego z najbardziej znanych i czcigodnych ludzi naszej prowincji. W jego pałacu

[79] Manfred von Brünneck (1872–1957) – arystokrata, właściciel ziemski, polityk i wysoki urzędnik w Prusach Wschodnich, inicjator Ostpreußenwerke, systemu elektrowni, dzięki którym zelektryfikowano Königsberg i całe Prusy Wschodnie.

w Bellschwitzu mieści się teraz główna kwatera Rosjan, ci zaś korzystają z jego biblioteki, biorąc papier na skręty.

Listy te przybliżają mi namacalnie Zachód. Rośnie też potrzeba zobaczenia ludzi, z którymi łączę się w myślach. Poza tym sądzę, że stamtąd można by zrobić więcej dla pozostałych w Königsbergu. Z drugiej jednak strony i z tym miejscem czuję się związany i nie chciałbym opuścić mego stanowiska bez konkretnego nakazu. Przede wszystkim muszę się jednak dowiedzieć, co się dzieje z moją ciotką. Przez pośrednika dostałem od niej list z Osterode i tą samą drogą przesłałem jej trochę pieniędzy. Siedzi tam w więzieniu.

W połowie października coraz większy mróz, a pod koniec miesiąca zaczyna padać śnieg. Wraz z wczesnym nadejściem zimy sytuacja w szpitalu staje się coraz trudniejsza. Wprawdzie funkcjonuje ogrzewanie, ale nikt nie stara się o koks, choć istnieje taka możliwość. Jedyne miejscem, gdzie można się ogrzać, jest kuchnia, której dotąd unikałem, ponieważ jest centrum plotek i ploteczek. Rozgrywają się tam ostre spory, kończące się czasem rękoczynami. Głównym ich źródłem jest zawiść i zabobon.

Pewnego dnia wszyscy są przerażeni: na czarnym od sadzy suficie widać białe ślady ludzkich stóp, mniejszych i większych. Poprzedniego wieczora byłem tu jako ostatni i zadałem sobie dużo trudu, by nawiązać przyjacielskie stosunki z dwuletnią córeczką dozorczy. Stale przede mną uciekała, zaś pięcioletni chłopiec był już bardzo ufny i ciągle chciał galopować na moich plecach. Nagle wpadłem na pomysł, by podnieść go głową w dół, a nogami do góry i dać mu pochodzić bosymi stopami po suficie. Zaskakujący również dla mnie efekt wzbudził okrzyki radości pozostałych dzieci. Mała dziewczynka zaraz zaczęła koło mnie podskakiwać i również jej stopy musiały zostawić na suficie zjawiskowe ślady. Najchętniej postawiłbym obok jeszcze swoje. Ale wystarczyło i

tylę, by wszyscy zaprzętałi sobie tym głęwy.

Zabobon w swojej najprymitywniejszej formie nie zna tu granic. Trzy razy dziennie kładzie się karty, a to, co pokazują, maluje się potem na rozjaśnionych lub ponurych obliczach. Nie ma przy tym znaczenia, czy wróżba mieści się w możliwościach czasoprzestrzennych. Wizja, iż jeszcze w tym roku będzie się miało dwoje dzieci i męża, zapewnia dobry nastrój na całe przedpołudnie.

Zaopatrzenie w energię i wodę jest coraz bardziej skąpe. Co prawda istnieje jeszcze instalacja elektryczna i od czasu do czasu pali się światło. Żarówki jednak znikają jedna po drugiej i nie można ich zastąpić nowymi. Trwożnie chronię pięćsetkę, którą w razie potrzeby wkręcamy i wykręcamy w sali operacyjnej i na porodówce. Inną żarówkę, która się już nie paliła, „naprawiłem”, tzn. tak obróciłem, że druty znów się zetknęły. W związku z tym znoszą mi teraz na biurko najróżniejsze przedmioty do naprawy.

Wodę czerpaliśmy dotąd z pompy. Jednak rury zamarzają jedna po drugiej i pozostały tylko dwie czynne pompy na całe miasto, jedna z nich na dworcu. Wodę do zmywania przynosimy z jeziora, odległego ledwie o dwadzieścia kroków, gdzie została wybita dziura w lodzie.

Wśród zgłaszających się do nas niemieckich pacjentek są takie, wobec których jestem bardzo ostrożny, ponieważ najwyraźniej szpiclują dla Rosjan. Jedna na przykład, której niemieckie pochodzenie w trakcie rozmowy zdało mi się dość wątpliwe, twierdziła, że jest daleką krewną mojego dziadka. Kiedy wykazałem, że to mało prawdopodobne, natychmiast zmieniła temat. Opowiadała, że ostatnio przychodzą listy z Zachodu z informacją, że w Prusach Wschodnich wkrótce mają się znowu pojawić „D.S.”; musi tu przecież chodzić o niemieckich żołnierzy (*deutsche Soldaten*) – co więc ja o tym myślę. Poradziłem rozmówczyni całkiem prostodusznie, by ostrożniej odnosiła się do takich wypowiedzi i

nie przejmowała bzdurnym listami. Obiecałem jej pomóc, gdyby znalazła się w tarapatach. Na to wszystko nagle zniknęła, a ja dopiero później uświadomiłem sobie, że była to prowokacja.

Ostatnio znów ochrzciłem kilkoro „ruskich dzieci”, urządzając przy tej okazji małe uroczystości. Życzenie tych matek, by ochrzcić dziecko, jest dla mnie wystarczającym powodem, nawet jeśli nie myli mnie odczucie, że często dzieje się to z powierzchownych pobudek. Moja wizyta jest dla nich czymś interesującym, a jeśli akurat nie są chore, nie miałyby czym mnie zwabić. Mimo to pewnego razu odmówiłem natychmiastowego chrztu i zapowiedziałem się na rozmowę przygotowawczą. Chodziło o kobietą znaną mi z wcześniejszych czasów, której sposób obcowania z Rosjanami – nawet przy uwzględnieniu wszystkich dochodzących do głosu demonów – był nie do przyjęcia. Rozmowa się odbyła, a teraz czekam, aż ona znowu się odezwie.

24 listopada przybiega podekscytowana Jadzia i donosi: „Panie doktorze, przyszła pani, która wygląda tak jak pan”. Podrywam się – za nią stoi moja ciotka. Uciekła z Osterode, pociągiem towarowym dojechała do Deutsch Eylau, a stamtąd przyszła tutaj na piechotę. Byłem przygotowany na taką możliwość. Najpierw zostanie przyjęta jako pacjentka, a potem trzeba będzie umieścić ją u jakiejś polskiej rodziny w charakterze pomocy domowej. Cały szpital cieszy się wraz ze mną i robi wszystko, by umilić jej pobyt. Po raz kolejny niejedno przeszła, ale teraz spędzamy wspólnie trzy radosne dni. W samą porę jeden z polskich pacjentów wsadził pod moją nieobecność do szafki ubraniowej żywą kaczkę. Teraz stanowi ona główny punkt menu naszej uczyty, na którą zaprosiłem również panią S. Zarazem jest to jednak pożegnanie, bo ciotka nie chce tu zostać i będzie próbowała przedostać się na Zachód, gdzie czeka na nią rodzina. Pewna zaprzyjaźniona Polka załatwia jej nawet bilet do Stettina i 27 listopada ciotka odjeżdża – bez papierów to dość ryzykowne przedsięwzięcie. Po

pełnych niepokoju ośmiu dniach przychodzi list ze Stettina. Udało się jej zabrane stąd pieniądze wykorzystać w charakterze łapówki, dzięki której dostała się do obozu dla wysiedleńców. Siedzi tam teraz i czeka na następny transport. Ponieważ może to dłużej potrwać, podjęła pracę w kuchni obozowej i ogromnie żałuje, że za moją namową zostawiła u nas drewniaki. Musi tam teraz stać przez cały dzień po kostki w błocie.

W ostatnich dniach trafiło mi się kilka jazd samochodem, odbytych z milicją. Najpierw jechaliśmy „sanitarką” do Deutsch Eylau, zwanego Ławą, do postrzelonego funkcjonariusza UB. To piękne miasto jest niewyobrażalnie zniszczone i właściwie rozpoznaje się je tylko po jeziorze. Na szczęście nie musiałem zbyt długo przebywać w niesamowicie groźnej atmosferze UB, gdyż sprawę udało się szybko załatwić i mężczyznę zabraliśmy ze sobą. W drodze powrotnej na skutek spożytego alkoholu jazda odbywała się znowu w oszalejącym tempie. Tylko raz było ostre hamowanie, kiedy zbierali rozjechanego zająca.

Kolejną jazdę odbyłem milicyjnym volkswagenem w zachodnim kierunku, do Bischofswerderu. Przyjechał stamtąd pewien człowiek, który szukał lekarza dla przyjaciela z silnymi bólami. Jeździł tak już od trzech dni i nikogo nie znalazł. Był to dla milicji wystarczający powód, żeby gnać ze mną w zawrotnym tempie przez okolicę, jakby chodziło o ratowanie tonącego. Jechaliśmy pod tak silny wiatr z północnego zachodu, że przy przejeździe przez kolejne miejscowości nieomal rzucało nas o ściany domów. Siedem kilometrów przed celem podróży najechaliśmy na kamienny słupek, zrywając przy tym przednią prawą oponę i błotnik. Nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż prawe pobocze było nieco wyższe i dało się jechać bez opony. Tyle tylko, że nieprzerwanie leciała nam prosto w twarz smuga piachu. Przedniej szyby już przedtem nie było. Naciągnąłem płaszcz na głowę i obserwowałem prawe pobocze drogi przez dziurkę od guzika. Jakiś czas wszystko było dobrze, ale

potem wpakowaliśmy się na leżący w rowie wrak; tyle że ja parę metrów wcześniej wyskoczyłem. Jazda dobiegła końca. Mieliśmy jeszcze pół godziny pieszko, zanim dotarliśmy do chorego. Kiedy otworzyliśmy drzwi, mężczyzna głęboko odetchnął, położył się i oświadczył, że wszystko już w porządku. Ze strachu przed silnym bólem z lewej strony przez trzy dni bał się porządnie oddychać i czekał na lekarza. Zostałem z nim, dopóki nie naprawiono samochodu, a potem w tym samym tempie pojechaliśmy z powrotem.

10 grudnia podczas zamieci śnieżnej znów mnie zabrali, nie mówiąc, o co chodzi. W Riesenburgu, który teraz nazywa się Prabuty, zderzyły się dwa pociągi, jedyne, jakie jeszcze tam kursują. Zmiażdżyło kilka wagonów, zaś większość rannych umieszczono już w pociągu sanitarnym, który miał ich zawieźć do Marienburga. 35 osób doznało obrażeń, było kilkoro zabitych, kilkoro miało zmiażdżone nogi. Zabrano mnie do Marienburga, gdzie około ósmej wieczorem dotarliśmy wraz z rannymi do szpitala. Wcześniej mnie ostrzegano, tak więc nastawiłem się już, by w Marienburgu nie zdradzić się ani jednym niemieckim słowem. Jednak tamtejszy kolega po fachu i jego współpracownicy spontanicznie powitali mnie po niemiecku i bardzo serdecznie przyjęli. Aż do rana wspólnie opatrywaliśmy rannych w sali operacyjnej, a potem przydzielono mi pokój i po kilku godzinach snu dostałem śniadanie z prawdziwą kawą. Zdopingowany tym faktem, zrobiłem małą przechadzkę po mieście. W odróżnieniu od nowej części miasta, starówka z jej charakterystycznymi arkadami jest całkowicie zniszczona. Widoczny tylko w zarysach zamek sterczy ku niebu jak szkielet olbrzymiego ptaka. Jak okiem sięgnąć, nikogo nie widać. Byłem jedyny, który czegoś tam jeszcze szukał.

Krótko przed Bożym Narodzeniem jeszcze jedna jazda samochodem do Deutsch Eylau. Mamy zabrać dwóch chorych z Raudnitzu. W Deutsch Eylau wysiadam i odwiedzam panią F., dawną właścicielkę zakładu

fryzjerskiego, która ma mi uszyć grubą kurtkę. W ramach zapłaty sporządzą jej parę butów i dołożą trochę pieniędzy. Mieszka w jednym z małych drewnianych domów na palach nad brzegiem jeziora. Przebywają tam też pozostali Niemcy, siedząc w czymś w rodzaju getta. Centrum miasta jest zniszczone, Polacy mieszkają na peryferiach. Dostałem unrowską koszulę, a jeden z pacjentów zrobił mi skórzane buty, tak więc mój ubiór jest już prawie normalny. Poza tym zdobyliśmy mnóstwo materiałów na prezenty gwiazdkowe.

W imieniu mieszkańców Schwalgendorfu przeprowadziłem kilka transakcji w handlu wymiennym. Pani Tiedtke za przyniesioną mi po kryjomu lampę kwarcową dostała drugą kożę. Z braku elektryczności nie mogłem lampy wypróbować w szpitalu i dość lekkomyślnie dałem ją w dobrej wierze pewnemu pacjentowi, który twierdzi, że jest elektrykiem. Przez trzy dni nie miałem od niego żadnych wieści. Później nie dało się już ukryć, że lampa funkcjonuje, ponieważ człowiek chodził po mieście z ogniście czerwoną twarzą.

Bez ściągania na siebie uwagi udało mi się na rynku wytargować pięćdziesięcioletniego prosiaka, a sprzedawca przyniósł mi go w umówione miejsce. Tam odebrała go pani L., która w nocy przysłała z ręcznym wózkiem ze Schwaigendorf u. Kosztowało ją to pięć godzin marszu przez las, ale szczęśliwie dowiozła zdobycz i sprawiła wielką niespodziankę rodzicom.

Pracując tu dentystkę poznałem przy okazji badania jej rocznego, chorego dziecka. Mówi płynnie po niemiecku i odnosi się do mnie nadzwyczaj uprzejmie. Z jej maszyny do borowania z nożnym napędem z ochotą korzystają też Rosjanie. Ona zaś nie daje się zastraszyć. Kiedy konieczne jest wyrwanie zęba, czasem wysyła ich do mnie. Jej mąż pracuje w Bydgoszczy. Można tam dotrzeć dwiema różnymi drogami, albo przez Toruń, co oznacza wielkie nadłożenie drogi, albo przez Marienwerder, co

z kolei wymaga nieco odwagi. Bowiem nowy most kolejowy przez Wisłę, który pod rosyjskim nadzorem wybudowali niemieccy jeńcy wojenni, jest ponoć bardzo chwiejny i już kilkakrotnie niepokojąco trzeszczał na złączach.

Boże Narodzenie spędzam pod każdym względem spokojnie. Na wigilię zaproszony jestem do dentystki i jej męża, po kolacji idę na pasterkę, a potem wzywają mnie do miasta, do porodu. W pierwszy dzień świąt ruszam w drogę z ciężkim plecakiem, odwiedzam starą panią Aust i jej jeszcze starszą siostrę, które jako jedyne Niemki mieszkają teraz w Albrechttau, parę godzin spędzam w Brausenie, idę na krótko na groby w Januschau i jeszcze przed zapadnięciem zmroku przybywam do Schwalgendorfu. Odwiedzam tam wielu ludzi, nocuję u H., a następnego ranka jeden z dwóch polskich leśniczych odwozi mnie swą jednokonką do Rosenbergu.

Od kilku dni mamy silny mróz bez śniegu. Około południa zdumiony spostrzegam Wenus na ołowianoszarym zimowym niebie. W ogóle widzę tak wiele z rzeczy, które dawniej umykały, i przyzwyczajani się przypisywać wielkie znaczenie pozornie oczywistym i mało ważnym sprawom. Wyostrza się też wewnętrzna wrażliwość, dzięki czemu jestem gotowy reagować na głos wewnętrzny. Nigdy dotąd podejmowanie decyzji nie przychodziło mi z taką łatwością. Na przykład nagle coś mi mówi, że powinienem szybko pójść do Schwalgendorfu. I kiedy po paru godzinach tam docieram, mogę być pewien, że powitają mnie słowami: „Ach, już pan jest! Właśnie się zastanawialiśmy, jak pana tu sprowadzić”.

Nowy Rok zaczyna się od tego, że popełniam wielki błąd. Nie chcąc pusuć zabawy z wróżbami, na życzenie zgromadzonej w pełnym składzie załogi szpitala podnoszę w górę jedną z sześciu ustawionych w szeregu na parapecie doniczek na kwiaty. Ukazuje się pod nią maleńki grób. Wszyscy są przerażeni, twierdzą, że to się nie liczy, ponieważ za szybko

ją podniosłem. Muszę powtórzyć. Znowu ukazuje się grób. „Widzicie?” – mówię. Mam poczucie, jakby ktoś dał mi po łapach. Nikt już nic nie mówi. Była to jednak dla nas wszystkich dobra nauczka. Odtąd stawianie kart też trochę wyszło z mody.

Przypadkowo w tych dniach wzywają mnie do umierających, raz do Schwalgendorfu, gdzie zostają przez noc, a potem do Gollnau, do ojca dziewięciorga dzieci. Kto inny natomiast, o kim myślałem, że już od dawna gryzie piach, pojawia się nagle zupełnie zdrowy i dziękuje mi za wizytę.

W Brausenie Rosjanie zbierają się do ostatecznego wymarszu. Idę pożegnać się z Waśkiem i podziękować mu za pomoc w trudnych sytuacjach. Patrzy na mnie trochę nieufnie, a trochę zdziwiony, zaprasza do środka i siedzimy przy stole z dwoma innymi Rosjanami. Częstojują tytoniem, palimy w milczeniu. Okropność. Wreszcie podnoszę się, żegnam się, oni odpowiadają, wychodzę na dwór i oddycham głęboko z ulgą. Nie zrozumieliśmy się. Podziękowanie było nie na miejscu i dlatego kłopotliwe. Nie dlatego to robił. Szkoda! Zachowa mnie w pamięci jako dziwoląga.

W pierwszej połowie stycznia mieliśmy trzydziestostopniowe mrozy. Przez trzy dni brakowało koksów i większość pacjentów musieliśmy odesłać do domu. Pozostałym kazałem rozdać wszystkie koce. Mimo to podmrażali sobie policzki i nosy. Spaliśmy w sześć osób na podłodze przy żelaznym piecyku w izbie naszego palacza i sanitariusza. W ciągu dnia stałe byłem w drodze i nie czułem tak zimna. Nie ma w promieniu dziesięciu kilometrów bodaj ani jednej miejscowości, której bym w tych dniach nie odwiedził, niektóre po raz pierwszy. Z wielu tych wypraw wracałem dopiero nocą, dwa razy z Charlottenwerderu wzdłuż linii kolejowej, innym razem z Groß-Albrechttau, gdzie znowu rodziło się „ruskie dziecko”. W pomieszczeniu zgromadziły się prababka, babka, szesnastoletnia matka

i oczekiwane dziecko. Przyćmiona lampka wystarczyła, by w końcu z przykrością stwierdzić, że spośród wchodzących w rachubę Rosjan za ojca trzeba uznać małego, przyjaznego Mongoła. „Widzisz, na dodatek to tego żółtka!” Z tymi słowami babka pokazała młodej matce noworodka.

16 stycznia nagle nastaje odwilż. Polski kolega przyjeżdża po mnie sanitarką i jedziemy do Strademu, w pobliżu Deutsch Eylau, zbadać tam chorego. Po drodze opowiadam mu o mojej pierwszej jeździe samochodem z Polakami, zakończonej przedwcześnie saltem do rowu. Tego dnia mija dokładnie rok od tamtego zdarzenia. On słucha najpierw jednym uchem, potem nagle bardzo uważnie i pyta: „Niech mi pan powie, gdzie to było?”. Określam mu miejsce. W tym momencie zatrzymuje samochód i opowiada mi o wypadku, który widział dokładniej niż my. Siedział bowiem w samochodzie, który zmierzał z naprzeciwka i zatrzymał się obok, kiedy wychodziliśmy z rowu. Myślał, że została z nas miazga.

20 stycznia sprowadziłem tutaj panią Aust i jej chorą siostrę, bo z powodu nawrotu mrozów nie dało się już tam wytrzymać. Pani Aust została umieszczona u piekarskiej jako opiekunka do dzieci, jej siostrę przyjęliśmy do szpitala jako pacjentkę. Niestety, jednak to rozwiązanie nie trwało zbyt długo, gdyż siostra pani Aust zmarła, a ją samą musieliśmy przyjąć chorą do szpitala. Zemdlała w swym pokoju bez ogrzewania.

Stopniowo wciągany tu jestem jakoś w życie towarzyskie, co dzieje się wprawdzie w dobrej wierze, ale zarazem sprawia, że moje położenie objawia się w fałszywym świetle. Dwa razy zaproszono mnie na – ni mniej, ni więcej – brydża. Za trzecim razem na szczęście wypadła mi operacja. Za czwartym – musiałem nieco wyraźniej wyjaśnić odmowę, narażając się na to, że zostanę źle zrozumiany. Jednak moje poczucie wyjęcia spod prawa i całkowitej swobody daleko bardziej mi odpowiada niż pozorna integracja w elitarnych kręgach. Ostatnio chciałem już posunąć się do ucieczki i uznać za nakaz listowne wezwania na Zachód.

Nawiązałem nawet kontakt z Rosjanami wycofującymi się do Liegnitzu, co z kolei wywołało we mnie takie wewnętrzne rozchwianie, że aż się uradowałem, kiedy siostra Erna odkryła moje plany i przekonała mnie o konieczności pozostania tutaj.

Niedawno otrzymałem pierwszą bezpośrednią wiadomość z Königsbergu, list od Elsy Pęto, który najpierw trafił pod jakiś adres na Zachodzie, a stamtąd tu do mnie. Jego treść nie jest dla mnie zaskakująca, ale głęboko mnie porusza. Elsa pisze, że Erika zmarła 22 grudnia 1945. W ostatnich tygodniach już tylko się za mnie modliła.

W pierwszych dniach lutego leży gruba warstwa śniegu. Stado dwudziestu kuropatw zebrało się w pobliżu szpitala. Wodę czerpiemy teraz wyłącznie z jeziora, bo ostatnia pompa zamarzała. Łód ma grubość 80 centymetrów, a w każdym wyciąganym wiadrze pływa mnóstwo maleńkich rybek. Personel się dziwi, kiedy takie wiadro z wodą dają im do mycia rąk.

Nadal jest wielki mróz. Jednak biała pokrywa śnieżna i coraz wyżej wschodzące słońce inspirują do nowych przedsięwzięć. Dwa razy pojechałem sańmi z wypożyczonym koniem do Schwalgendorfu, posuwałem się w żółwym tempie, na dodatek większość drogi szedłem obok, żeby oszczędzić konia, ale była to wielka przyjemność. Można wybrać taką trasę, że na tym prawie dwudziestokilometrowym odcinku jedzie się tylko przez las.

Dzień 19 lutego jest najzimniejszy w całej serii zimnych dni – mamy minus 40 stopni. Na dodatek leży tak gruba warstwa śniegu, że pociągi nie jeżdżą. Zimno trzyma do późnego marca. Przez osiem dni byłem chory na gripę, leżałem w łóżku, okresowo bez ogrzewania i czytałem *Quo vadis*, bo chciałem zająć się polskim pisarzem. W takich prymitywnych czasach, w jakich żyjemy, czyta się zupełnie inaczej i o wiele intensywniej niż zwykle. W każdym razie książka ta, którą czytałem już jako wyrostek i

uważałem wtedy za bestseller, głęboko mnie poruszyła. Jeszcze większe wrażenie wywarła na mnie przeczytana później powieść Bregengruena *Wielki tyran*^[80] Przy dwóch ostatnich rozdziałach zwyczajnie płakałem z radości.

W połowie marca jestem znów na nogach i mogę zdobyć się na morderczy marsz do Schwalgendorfu. Przychodzi po mnie pani L. Zakręciła się tylko na pięcie i już ruszyliśmy w drogę po jej śladach, człapiąc gęsiego przez wicher i śnieg, tylko czasem się zmieniając. Docieram na miejsce zły potem, na miękkich kolanach. Pani Aust, będąca tam od tygodni – przewieźliśmy ją tam sańmi – ma różę na twarzy i wysoką gorączkę. Przychodzą mi do głowy wszyscy ludzie w Königsbergu, których wykończyła ta choroba. Ale chwala Bogu, pani Aust czuje się już lepiej. Podczas mojego tam pobytu nastaje odwilż. Zostaję na jeden dzień, odpoczywam, odbywam wiele wizyt, wrywam zęby, spędzam wieczór na dobrych rozmowach. Następnego dnia wracam przez Heidemühle. Nad zamrożonym jeszcze Jeziorakiem przelatuje orzeł bielik. Młynarz zawozi mnie sańmi aż do Albrechttau.

Często bywam w Finckensteinie, gdzie jest jeszcze sporo niemieckich rodzin pracujących pod polskimi zarządcami. Dawniej, kiedy przechodziło się przez żelazną bramę na pałacowy dziedziniec, zapierało dech. Teraz, mając przed oczami doszczętnie spalony pałac, nie można sobie w żaden sposób wyobrazić atmosfery, którą promieniował przez 200 lat. Jedyną rzeczą, która jeszcze przypomina o dawnej kulturze, jest jamnik zarządcy spichlerza, pierwszy prawdziwy pies spośród tysiąca kundli, jakie widziałem w ostatnich dwóch latach. Jego nowy pan, który kiedyś mieszkał po polskiej stronie jeziora Karaś, dostał go z Schönbergu. Poinformował

[80] *Der Großtyrann und das Gericht* – powieść historyczna Wernera Bregengruena (1892–1964), wydana w 1935 roku i uchodząca za jedno z niewielu dzieł literackich epoki, krytycznych wobec nazizmu.

mnie, że w Januschau znaleziono ponoć dywan z mnóstwem wyszytych herbów, i że teraz leży on na łóżku jednego z kolegów niedaleko stąd. Jest to tak zwany kobierzec ślubny mojej rodziny i oczywiście zastanawiam się, jak mógłbym niepostrzeżenie wejść znowu w jego posiadanie.

I znowu wiosna wybucha z całą mocą. Noc z 23 na 24 marca wypełniało gwizdanie i świergotanie niezliczonych ptaków, nad ranem śpiewają szpaki na dachach, kaczki i gołębie przelatują nad jeziorem, a na drugim brzegu widać czajki w locie godowym. Coraz bardziej topnieje lód. W południowym słońcu wylatują pierwsze motyle. Nagle temperatura podniosła się o 20 stopni.

Dwa dni później idę przez las. Słysząc nawoływania żurawi, czaple stoją przy gniazdach na wyspie. Nad brzegiem, gdzie stopniał już lód, igrają kaczki i perkozy. To łaska, że mogę raz jeszcze przeżywać budzenie się natury.

30 marca przypada Niedziela Palmowa. Poprosiłem panią S., żeby pojechała ze mną do Heinrode, skąd mogliśmy pójść do miejsca, gdzie ponad dwa lata temu zginęli matka i brat. Była przy tym i może mi wszystko dokładnie pokazać. W Altmarku odwiedzamy katolickiego proboszcza. To jeszcze ten sam, u którego nocowali wówczas uchodźcy z konwoju przed wkroczeniem Rosjan. Zostajemy na obiedzie, a potem idziemy bardzo gliniastą drogą do małej, leżącej przy linii kolejowej miejscowości Kontken, gdzie wówczas zatrzymała się kolumna uciekinierów. Pod ścianą domu, w miejscu, gdzie leżeli zmarli, bawią się dzieci. Nieco dalej, na terenie ogrodu sterczy niewielki, ręcznie zrobiony drewniany krzyż bez napisu. Pewien człowiek z okolicy opowiada nam, że trzy tygodnie później przybył tu jako pierwszy Polak i pogrzebał zmarłych. Poza tym jednym grobem w ogrodzie, wszyscy leżą właśnie pod tą ścianą, przy której teraz bawią się dzieci.

Kiedy wędrujemy z powrotem na dworzec, nad równiną przelatują

nisko klucze dzikich gęsi. Siadamy w przydrożnym rowie, czekamy na pociąg i czytamy fragment z Biblii o wejściu Jezusa do Jerozolimy.

Na Wielkanoc jesteśmy znów w Schwalgendorfie. Pani S. zrezygnowała z pracy w Rosenbergu i została w Schwalgendorfie, by pomagać rodzicom. Drugiego dnia świąt jestem zapraszany od domu do domu, do Niemców i Polaków, wszędzie muszę coś zjeść, na koniec zaś najwięcej u sekretarki leśniczego i jej matki, która zawsze zwraca się do mnie „panie profesorze”.

Od czasu, gdy nie ma już Rosjan, Niemcom w Faulenie i wielu innych miejscowościach dzieje się z dnia na dzień coraz gorzej. Utrzymać się mogą już właściwie tylko z kradzieży i żebractwa. W szczególnie złym położeniu jest żona owczarza Schmollli. Uchowała piątkę małych dzieci i chodzi ubrana tylko w postrzępiony koc, w którym wycięła dziury na ręce. Nie jest już całkiem przy zdrowych zmysłach i kilkakrotnie była bliska rzucić się do stawu. Do tej pory udało mi się uchronić ją od najgorszego. Od miesięcy wmawia się ludziom, że wkrótce pójdzie kolejny transport do Niemiec i wszyscy się nim zaberą. Siedzi więc w jednym pomieszczeniu 15–20 osób, wszyscy z węzełkami, i czekają na wyjazd. Również i w Brausenie egzystencja ludzi jest coraz bardziej nędzna.

Dwie kobiety żyją całkiem samotnie w Januschau. Wiedzie się im trochę lepiej. Najwidoczniej znalazły nasze zakopane srebra. Dowiedziałem się o tym od pewnego polskiego sklepikarza, któremu niedawno sprzedały trzy chowane jeden w drugi srebrne pucharki. Pokazał mi je i gotów jest mi je odsprzedać za cenę kupna. Żąda 500 złotych, a więc śmiesznie małej sumy. W sklepiku znajduje się jeszcze wiele innych przedmiotów, które wcześniej należały do nas.

Nie warto mu jednak o tym opowiadać, bo jest dla mnie zawsze bardzo uprzejmy, zwłaszcza po bezbolesnym wyrwaniu mu całej fury zębów. Z wiadomych powodów tamte kobiety zaoferowały mi tylko

sporo śpiewników i moją Biblię od chrztu, którą też znalazły. Biorę ją z wdzięcznością i ukrywam w Schwalgendorfie.

To zadziwiające, jak w krótkim czasie rozmnożył się drób. Chłopi głównie tym się żywią, a jako zapłatę za pomoc lekarską z upodobaniem przynoszą jaja. Porównywalnie są o wiele tańsze niż wszystko inne. 15–20 jaj za wyrwanie zęba albo inny zabieg to wcale nie rzadkość. W ten sposób można złagodzić niejedną biedę. W mieście też jest wiele kur. Na przykład krawcowa pracuje w swym pokoju w otoczeniu sześciu kwok na jajach. Ludzie trzymają swój inwentarz, nawet ten największy, możliwie blisko siebie, bo przyzwyczajali się, że dookoła kradną, albo obawiają się, że ktoś wyrzuci ich z mieszkania i będą musieli zostawić wszystko, czego nie ma pod ręką.

10 kwietnia zjawia się u nas pewna znajoma, młoda Polka i donosi, że UB w Deutsch Eylau chciałoby ze mną jak najszybciej porozmawiać. Powinienem pojechać tam najbliższym pociągiem. Pytam, co to oznacza i czy nie powinienem od razu zniknąć. Ona zapewnia, że nie jest to konieczne, bo nie chodzi o mnie. Z mieszanymi uczuciami udaję się więc do paszczy lwa. Niezależnie od sprawy taka wizyta musi zawsze budzić wewnętrzny opór. Już sam wygląd tego lokalu wywołuje lęk. Każdy dźwięk dochodzący zza zamkniętych tam drzwi każe wyobrazić sobie coś okropnego. Nie zmienia się to nawet w momencie, kiedy nagle, stosunkowo uprzejmie, zwracają się do ciebie po niemiecku. To też może być podstęp. Tym razem jednak istotnie nie chodzi o mnie, lecz o stosunki panujące w naszym szpitalu. Udzielam skąpych informacji, ponieważ nie widzę powodu, by kogoś dezawuować. Szczególnie wnikliwie pytają o miejsce przechowywania alkoholu z amerykańskich darów. Nie zatajam przed nimi, że sami od czasu do czasu się nim częstujemy. Budzi to ich szalone rozbawienie. Nie wierząc własnym uszom, słyszę coś w rodzaju podziękowania za dotychczasową nieodpłatną pracę, a potem cały i zdrów

stoję znowu na ulicy.

Po chłodnych dniach, w połowie kwietnia znów się zrobiło bardzo ciepło. 19 kwietnia spacerujemy boso po lesie, a ja biorę krótką kąpiel w jeziorze Urowiec. Jest już pierwsza jaskółka. Kiedy wychodzę z wody, na przeciwległym brzegu z bajora podrywają się dwa jelenie. Parę dni później zjawia się praktykant leśniczego z dwoma rowerami, ponieważ mam z nim pojechać do chorego. Chcę mu pokazać kawałek tej pięknej okolicy, wracamy więc nie przez Grünhof, lecz na przełaj przez las. Szybko jednak zrywa mu się łańcuch i musimy prowadzić rowery. Jest troszkę przestraszony, bo robi się coraz ciemniej, a my zagłębiając się coraz bardziej w las. Ale zaraz dochodzimy nad jezioro Czerwica i pokazuję mu kormorany, o których już słyszał. Jednak potem odczuwa wyraźną ulgę, kiedy nagle w nieprzeniknionych ciemnościach kończy się las i stajemy przed domem leśniczego.

W niedzielę, 27 kwietnia byłem w Januschau, szukając na łąkach jaj czajek. W lasach kwitną zawilce, przylaszczki i wilcze łyko. Nad stawem rybnym na dużej leśnej łące, która niegdyś była szczególnie ważna podczas polowań, wyszły mi naprzeciw cztery jelenie. Z bukietem kwiatów na groby szedłem przez opustoszałe pola wąską ścieżką, którą wydeptaliśmy w zeszłym roku, chodząc do Schwalgendorfu. Przy kanale Kronprinzengraben znalazłem gniazdo z czterema jajami czajek, ale nie tknąłem ich, bo nie jesteśmy w nędzy. Czajka podziękowała głośnym, radosnym zawołaniem, a ja odpowiedziałem spontanicznie dzikim okrzykiem radości. Jak wyzwalająco działa taki krzyk, którego nikt nie słyszy! Ostatnio przyswoiłem sobie mnóstwo nieznanym mi dotąd melodii i pieśni ze śpiewnika, no i śpiewam je teraz gromkim głosem na moich wędrownkach.

Często bywam w Finckensteinie i okolicznych miejscowościach, najczęściej pieszo, czasem przedziwnymi środkami lokomocji. Podczas

tych jazd zawsze coś się zdarza, albo lądujemy na drzewie albo w przydrożnym rowie, innym razem koń nie chce iść dalej, odpada koło, łamie się dyszel, jeśli w ogóle takowy jest, albo pęka uprzęż. Nawet bez żadnych awarii idzie to wszystko wolniej niż na piechotę. Nie mogą jednak robić przykrości ludziom, którzy są bardzo dumni ze swego jeżdżenia.

29 kwietnia poszedłem do Schwaigendorf u odebrać stamtąd panią Aust. Ktoś opowiadał mi o małym transporcie, który następnego ranka miał wyruszyć przez Stettin do Niemiec. A ona tak bardzo chciałaby jeszcze zobaczyć syna, który na Zachodzie ma leśniczówkę. Jeden z gospodarzy w Schwalgendorfie dał nam swego konia i przybyliśmy do Rosenbergu w samą porę, by panią Aust dołączyć do grupy zgromadzonych na dworcu kobiet. Niestety, nie mieliśmy szczęścia. Kobiety zostały przegnane – żadnego transportu nie będzie, a normalnym pociągiem jechać im nie wolno. Wobec tego umieściłem panią Aust w Brausenie, żeby na wszelki wypadek była w pobliżu.

4 maja wczesnym rankiem zavezowano mnie do Brausenu do produ. Był mróz przy wschodzącym słońcu. Właśnie chciałem się pożegnać, kiedy nadeszła wiadomość, że około dziesiątej pojawią się ciężarówki, którymi mają wszystkich przewieźć do obozu w Deutsch Eylau. Stamtąd mają być ponoć odtransportowani do Niemiec. Chciałem zaczekać i to zobaczyć. Rzeczywiście przyjechały ciężarówki i potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Każdemu wolno było zabrać tylko niewielki pakunek. Dołączyliśmy do tej grupy panią Aust, choć liczbowo nie była uwzględniona.

Po ich szczęśliwym odjeździe wracam do Rosenbergu. Jak widzę, biorą też Niemców z Faulenu. Przyjmuję to z ulgą, bo oni nie mają już z czego żyć. Po południu leżę na łóżku i zastanawiam się, czy by znowu nie zrobić pary butów. Wtem do pokoju wchodzi trzech milicjantów i pytają mnie: „Doktor, do domu?”. – „Tak, z przyjemnością. Kiedy?” –

odpowiadam. – „Zaraz, z nami!” – „Ile mogę zabrać?” – „40 funtów.” – „Tyle nawet nie mam.”

Szybko pakuję swoje rzeczy do plecaka i pospiesznie żegnam się ze współpracownikami, które są zupełnie wytrącone z równowagi. Potem zabierają mnie na posterunek. Ciągłe tam ktoś przychodzi, żeby się ze mną pożegnać. Nie pozostają bez lekarza, gdyż po powołaniu przed paroma tygodniami doktora B. do marynarki wojennej, w zastępstwie pojawił się miły kolega i już obejrzał dokładnie szpital. Prawdopodobnie tylko dlatego pozwalają mi wyjechać.

Noc muszę spędzić na posterunku. Komendant zabiera mnie do siebie do domu na kolację i mimo panującej tam ciasnoty zaprasza mnie na nocleg. Jednak jego nowy kolega nie zgadza się na takie rozwiązanie, wobec czego odprowadzają mnie z powrotem na posterunek. Tymczasem przesłuchują tam prawie nagiego Rosjanina zatrzymanego podczas jakiejś rozróbki, który przy tej okazji nieźle od nich obrywa.

Rano razem z byłym niemieckim żołnierzem, który pracował tu jako kowal, wędruję pod obstawą na dworzec. Towarzyszą nam ludzie, którzy przyjaźnie machają nam na pożegnanie. Jedziemy do Deutsch Eylau. Tam prowadzą nas do obozu, gdzie czekają już ludzie odtransportowani poprzedniego dnia.

Trzy dni czekamy na transport. Mają nas doczepić do pociągu, który przybędzie z Allensteinu. Właściwie nie wolno nam opuszczać obozu, ale milicjanci stale zabierają mnie do swych rodzin. Mam więc okazję wydać na żywność wszystkie polskie pieniądze, które w innym razie musiałbym oddać. Milicjanci wyrażają się bardzo sceptycznie o miejscu przeznaczenia naszego transportu. Zwłaszcza zaś uważają, że to mało prawdopodobne, by mnie jako lekarza wypuszczono z Polski. Powinienem być więc przygotowany, że po drodze wyciągną mnie z transportu i zatrudnią gdzie indziej.

W obozie nieoczekiwanie dostajemy dwa razy dziennie zupe, a pożegnalny rabunek przebiega też stosunkowo bezboleśnie. Na szczęście jest przy tym starosta, którego już poznałem jako przyjaznego człowieka. Zapobiega przynajmniej rozpruwaniu ubrań, choć to i owo, co zostało zaszyte, trzeba oddać. Bardzo chciałbym ocalić trzy srebrne pucharki i pytam starostę, co dałoby się zrobić. Własność państwa, trzeba oddać – opowiada. Ponieważ jednak widnieje na nich moje nazwisko, sprawa staje się sporna. Starosta zastanawia się, w końcu daje znak szefowi grupy rabunkowej i akcja dobiega końca.

Zanim w końcu odprowadzają nas na dworzec, wydarza się coś niezwykłego. Musimy ustawić się w szeregu, około 400 ludzi, a potem starosta prosi mnie, żebym powiedział do zebranych kilka słów w jego imieniu. Zakłopotany pytam, co z grubsza ma na myśli. Na co on, że bardzo mu zależy, by podkreślić, iż sposób traktowania nas, Niemców, nie jest żadną szykaną, lecz wynika z przepisów. Niemcy też tak postępowali z Polakami. Dlatego musimy to odpokutować, choć może pojedyncze osoby nie zawiniły. Staję więc przed ludźmi i mówię mniej więcej tak: „Drodzy rodacy, posłuchajcie! Otóż panu staroście jest przykro, że w takich okolicznościach musimy opuszczać nasze strony ojczyste. On jednak nie może tego zmienić, ponieważ nasi ludzie przedtem tak samo postępowali z Polakami – niestety, to prawda. Chcielibyśmy mu jednak podziękować za tę dobrą zupe, którą dostawaliśmy w obozie, i poprosić, by zadbał o równie dobre potraktowanie następnego transportu. Miejmy nadzieję, że naprawdę jedziemy do Niemiec”.

Wieczorem wlekliśmy się już pociągiem towarowym, w każdym wagonie po 30 osób, przez Toruń, Bydgoszcz i Poznań. Pola wszędzie leżały odłogiem, ale miasta wyglądały dużo lepiej. W czasie jazdy mogliśmy otworzyć drzwi i siedzieć ze zwieszonymi nogami.

Po dwóch dniach dojechaliśmy do Kohlfurtu. Tam napotkaliśmy inne

transporty, staliśmy przez dwa dni, posypali nas proszkiem na wszy i jeszcze raz skontrolowali. Obaj zatrudnieni tam niemieccy lekarze zaprosili mnie do siebie na nocleg. Gdyby mogli, chętnie pojechaliby z nami. Jednak mimo bliskości granicy uciekać stamtąd było podobnie trudno, jak u nas. Nocna przeprawa przez silnie strzeżoną Nysę pozostawała tylko *ultima ratio*.

A potem przejechaliśmy, jak we śnie, bardzo powoli przez małą rzekę. Kiedy pociąg zatrzymał się, pozwolono nam wysiąść i nikt nas nie wołał z powrotem. Byliśmy w Niemczech.

Wieczorem dojechaliśmy do Wehrkirchu^[81]. Ujrzeliśmy tam powitalny transparent z wizerunkiem Thälmana^[82]. Zabrano chorych, dobrze ich traktując. W nocy pociąg wolno potoczył się dalej i nad ranem dojechał do Hoyerswerdy^[83]. W pobliżu znajdował się obóz Elsterhorst^[84], nasza ostatnia stacja kontrolna. Był to prostokątny teren, ogrodzony paroma rzędami drutów kolczastych, w środku przedzielony drogą, po której obu stronach stały baraki. Tam nas wprowadzono. Kilkaset metrów dalej, w otoczeniu sosen, znajdował się podobny, ogrodzony kompleks dla chorych. Obsada lekarzy i pielęgniarek była wystarczająca. Przyjęli mnie do siebie, dali mi pokój i pozwolili uczestniczyć w badaniach. Dostałem też jeden oddział.

Patrząc na moich pacjentów, czułem się, jakby ktoś przeniósł mnie

[81] Dzisiaj Horka, Łużyce Górne, Saksonia.

[82] Ernst Thälmann (1886–1944) – działacz Komunistycznej Partii Niemiec, członek Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, więziony w Sachsenhausen, potem w Buchenwaldzie, stracony w 1944 roku po zamachu na Hitlera.

[83] Miasto na Łużycach Górnych, Saksonia.

[84] Obóz nieopodal miejscowości Elsterhorst, dzisiaj Nardt koło Hoyerswerdy, Saksonia.

jeszcze raz do Königsbergu. Byli wśród nich prawie wyłącznie pacjenci z dystrofią, wygłodzeni ludzie, którzy ledwo żyli, szkielety z martwymi twarzami i napuchniętymi nogami. Czym sobie zasłużyłem, że znalazłem się wśród nich w kwitjącym zdrowiu i w pełni władz umysłowych. Wszyscy pochodzili ze specjalnej części obozu, otoczonej dodatkowo jeszcze jednym płotem z drutów. Umieszczali w niej tzw. opryszków, głównie młodych ludzi, którzy z powodu niemieckiego pochodzenia zostali najpierw wywiezieni z krajów naddunajskich do Rosji, a teraz wydalenii do Niemiec. Uchodzili za szczególnie zezwierzęconych i surowo izolowano ich od świata zewnętrznego. W pobliżu znajdował się ich cmentarz – mały kwadrat białego piachu wrzosowiska z poutykanymi w ziemi krzyżykami z gałęzi. Rozmawiać z nimi można było tylko z największą delikatnością. Instynktownie czuło się: tu możesz zrobić tylko to, co niezbędne. Tylko o nic nie pytać, niczego w nich nie poruszać. Najdrobniejsze drgnięcie duszy mogłoby zgasić ducha życia.

Zielone Świątki spędzamy jeszcze w obozie. Potem rozchodzą się nasze drogi, tzn. ja uchylam się od czekającej nas kwarantanny tyfusowej i podejmuję ucieczkę. Najpierw pod drutem kolczastym przepchnąłem panią Aust w ramiona czekającego na nią krewnego, a wtedy mnie też już nic nie mogło tu zatrzymać. Przerzuciłem bagaż, a sam przelazłem przez płot i pierwszym pociągiem pojechałem do Berlina.

A tam powitania i spotkania! Wpadłem w rodzaj rauszu i tak spędziłem pierwsze dni i tygodnie. Jak niewiele wiedziało naprawdę, co spadło na nas na Wschodzie, ile można im było opowiedzieć! Potem jednak pewnego razu zdarzyło się, że człowiek, któremu coś opowiadałem, wyjął z kieszeni kawałek chleba, przełamał i podał mi – normalny gest z okresu nędzy. Wówczas wiedziałem: oto czas stawiać pierwsze kroki na drodze, którą umożliwi mi moje nowe życie. Zadawałem sobie pytanie, jak to nowe życie ma wyglądać i kto ma o tym decydować. Czy będzie pełne

obojętności i niepotrzebnie przeżyte? A może Bóg w swym miłosierdziu sprawi, że mnie i innym, którzy mają za sobą to samo, dana będzie łaska, by nasze życie mogło powiedzieć coś o tym, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy?

POSŁOWIE

Hans von Lehndorff zaczyna swoją opowieść od lata 1944. Nie czyni tego bez powodu, bo wtedy, 20 lipca, miał miejsce nieudany zamach na Hitlera. Od 1941 roku Lehndorff związany był z Kościołem Wyznającym (*Bekennende Kirche*)^[85] Jego członkowie należeli do mniejszości wśród ewangelickich duchownych i wiernych, większość stanowili tzw. Niemiecy Chrześcijanie (*Deutsche Christen*), którzy zaakceptowali faszystowską zasadę wodzostwa i ustawy rasowe.^[86]

Kościół Wyznający, podobnie jak wcześniejszy ruch Ewangelia i Kościół (*Evangelium und Kirche*), zrodził się z opozycyjnej postawy wobec totalitarnej narodowosocjalistycznej ideologii. Z czasem przyciągnął liczniejszych duchownych i wiernych, był w stanie przetrzymać represje ze strony władz państwowych. Jego czołowymi postaciami byli pastor Martin Niemöller, Otto Dibelius i Dietrich Bonhoeffer, którego naziści zamordowali w obozie koncentracyjnym.

Przesłanie Kościoła Wyznającego nie jest łatwe do jednoznacznego określenia, mimo że jego sprzeciw wobec totalitarnej ideologii narodowego socjalizmu nie budzi wątpliwości. Wielu historyków kwestionuje akceptację zasad demokratycznych przez związanych z nim duchownych, podkreśla ich poparcie walki z komunizmem, także aprobataę, a nawet początkową fascynację części z nich ideologią nacjonalistyczną

[85] Hans von Lehndorff, *Die Insterburger Jahre. Mein Weg zur Bekennenden Kirche*, OH. Beck, München 1969.

[86] Heinz Neumeyer, *Kirchengeschichte von Danzig und Westpreußen in evangelischer Sicht*, t. 2, *Die evangelische Kirche im 19. und 20. Jahrhundert*, Gerhard Rautenberg, Leer 1977.

i narodowosocjalistyczną. W tej perspektywie Kościół Wyznający objawia się jako ruch sprzeciwu wobec narodowego socjalizmu z pozycji narodowo-konserwatywnych i antyliberalnych, odmiennych od wartości, na których oparty został powojenny system RFN^[87]. Sam pastor Niemöller nie krył, że w 1939 roku starał się o przyjęcie do marynarki wojennej, uznając – mimo doznanych prześladowań – za swój obowiązek obronę ojczyzny podczas wojny, ani też tego, że nie uważa zachodniej demokracji za odpowiadającą niemieckiej tradycji i niemieckiemu społeczeństwu.^[88]

Mimo wspomnianych ograniczeń, Kościół Wyznający z czasem lepiej określał granice, których przekraczać rządzącym nie wolno: w 1936 roku protestował przeciwko systemowi opartemu na ucisku, przemocy i obozach koncentracyjnych, prześladowaniom chrześcijan żydowskiego pochodzenia, następnie przeciwko eutanazji osób psychicznie chorych, a dopiero w 1943 roku – chociaż w ograniczonym stopniu i zapewne niewystarczająco – przeciw prześladowaniu i mordowaniu Żydów. Do końca miał trudności ze zdystansowaniem się od państwa, próbując jednak je oddzielić od ideologii narodowego socjalizmu.

W tym kontekście postrzeć trzeba także postawę Lehndorffa. Z jednej strony, fascynuje i budzi do dzisiaj podziw jego wierność wyznawanym zasadom, humanizm, dystans do otaczającej go totalitarnej ideologii, której uległa ogromna część niemieckiego społeczeństwa. Być może nawet ciężko wyobrazić sobie, jak trudno w takiej sytuacji zachować samodzielne, krytyczne spojrzenie, nie pójść z tłumem, nie entuzjasmować się militarnymi zwycięstwami.

Z drugiej strony, jego poglądy i wartości nie były oderwane od czasów, w których żył. Stąd historyk dostrzega w nich także pewne ograniczenia,

[87] Clemens Vollnhals, *Evangelische Kirche und Entnazifizierung 1945–1949 – Die Last der nationalsozialistischen Vergangenheit*, München 1989, s. 12.

[88] *Ibidem*, s. 13.

które Lehndorff zaczyna pod wpływem doświadczeń wojny przełamywać, a śledzenie tych przemian jest jednym z ciekawszych doświadczeń podczas lektury. Gdy dostrzega się tę dwoistość, przekonywające stają się odniesienia w *Dzienniku* do więzi zrozumienia i zaufania, jakie łączyły Lehndorffa z Niemcami, którzy podobnie jak on pojmowali wiarę i wynikające z niej zobowiązania. Zrozumiałe jest także bardzo silne eksponowanie przez niego Ewangelii, interpretowanie w oparciu o nią wydarzeń dziejących się wokół. Natomiast odbiciem problemów Kościoła Wyznającego z określeniem jasnego, negatywnego stanowiska wobec zaborczej wojny jest sposób, w jaki Lehndorff pisze o osobach innej narodowości. 9 kwietnia 1945 wspomina, że byli w jego szpitalu także Francuzi i Rosjanie, bez jakiegokolwiek nawiązania do ich położenia. Nie znajdujemy w *Dzienniku* żadnego odniesienia do losu Żydów, Polaków czy Rosjan pod okupacją niemiecką. Byli to ludzie, którzy w wyniku wojny znaleźli się w otoczeniu Lehndorffa, którego wydaje się głównie interesować, czy wypełniają swoje „obowiązki”.^[89]

W zapiskach z 13 kwietnia 1945 pojawia się polski tłumacz, który próbuje pomóc Lehndorffowi podczas przesłuchania przez władze sowieckie. 1 maja 1945 z kolei autor wspomina o przejściu w obozie w Rothenstein budynku zajętego wcześniej przez Polaków, a pozostawionego w „wiadomym stanie” (*üblicher*), czyli zrujnowanego. Odnosi się wrażenie, że dla Lehndorffa problemem nie jest los innych narodowości podczas wojny, nie dostrzega ich ucisku. Także to, co widać

[89] Lehndorff musiał stykać się z problemem cudzoziemskich robotników przymusowych, gdyż wraz z 2 jeńcami wojennymi stanowili oni w rolnictwie w Prusach Wschodnich w 1944 roku ponad 63% zatrudnionych (Bohdan Kozieliński-Poklewski, *Zagraniczni robotnicy przymusowi w Prusach Wschodnich w latach II wojny światowej*, PWN, Warszawa 1977, s. 201). Musieli być na co dzień dostrzegalni, szczególnie dla osoby pełniącej funkcję lekarza.

w zapiskach z okresu przebywania w okręgu mazurskim (od maja 1946 – województwie olsztyńskim), to obraz, w którym Lehndorff najpierw żyje i walczy o przetrwanie we własnym niemieckim świecie, powoli dopiero otwierając się na polskie otoczenie. Być może to uczenie się dostrzegania i rozumienia ludzi innej narodowości jest jedną z bardziej interesujących, a zarazem niedocenianych przemian Lehndorffa widocznych w *Dzienniku*.

Kościół Wyznający nie miał charakteru zorganizowanej opozycji, nie był politycznym ruchem oporu, lecz formacją polegającą na odwołaniu się do zasad religijnych i etycznych, odrzucanych w III Rzeszy. Był sprzeciwem duchowym. Dyskusje o historii sprzeciwu wobec nazizmu w samych Niemczech trwają do dzisiaj i nie są łatwe. Dotyczą systemu totalitarnego, w którym otwarte wyrażanie sprzeciwu nie było możliwe. Czy była w nim już oporem odmowa współdziałania z władzami? W dyskusjach historyków padały sformułowania o duchowym oporze lub opozycji, wprowadzano też obok „oporu” (*Widerstand*) szersze pojęcie *Resistenz*, które można tłumaczyć także jako opór, sprzeciw czy odporność na indoktrynację.^[90]

Dodatkową trudność stwarza fakt, że nie wszyscy przeciwnicy narodowego socjalizmu byli demokratami (m.in. neokonserwatyści, komuniści), nie wszyscy też byli jego przeciwnikami od początku. Przypomnieć można tu znaną postać wykonawcy zamachu na Hitlera, [90] Por. Marek Maciejewski, *Niemieckie elity a hitleryzm. O stosunku rewolucyjnych konserwatystów do nazizmu w Rzeszy demokratycznej i hitlerowskiej*, Forum, Wrocław 1994, s. 277–284. Na zróżnicowanie oporu w Niemczech zwraca uwagę już Ger van Roon, *Widerstand im Dritten Reich. Ein Überblick*, C.H. Beck, München 1998 (pierwsze wydanie w 1968 roku). Definiuje on opór jako postawę małych grup i pojedynczych osób (s. 15), wywodzących się z różnych środowisk. Podsumowanie dyskusji na ten temat: Peter Steinbach, *Opór-sprzeciw-rezystencja. Postawy społeczności niemieckiej w Trzeciej Rzeszy a pamięć zbiorowa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2001.

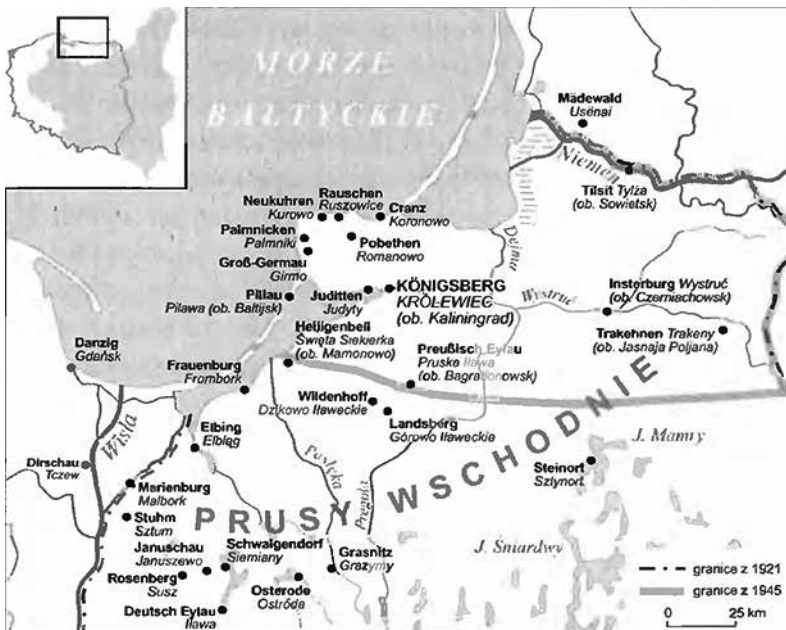
pułkownika Clausa Schenka Grafa von Stauffenberga, któremu zarzuca się akceptację rasistowskiej polityki i popieranie agresywnej wojny. Nawet jeżeli przyjąć łagodniejszą wykładnię pewnych sformułowań Stauffenberga dotyczących Polski w 1939 roku, to i tak panuje zgodność, że obcy był mu system demokratyczny, bliski zaś – nacjonalizm. Wartości, które wyznawał, umożliwiły mu przeciwstawienie się narodowemu socjalizmowi, ale nie mogłyby być podstawą dla budowy powojennych demokratycznych Niemiec.^[91]

Staufenberg związany był z najbardziej znaną grupą przeciwników narodowego socjalizmu: Kręgiem z Krzyżowej (*Kreisauer Kreis*), z czołową postacią Helmutha Jamesa Grafa von Moltkego. Stauffenberg był zwolennikiem zamachu na Hitlera, von Moltke przeciwnikiem, nie akceptując przemocy. Również dla Lehndorffa planowany zamach stanowił problem etyczny: czy zamach na Hitlera zgodny jest z zasadami Ewangelii? Ostatecznie gotów był pójść dalej niż pasywny opór, włączyć się do aktywnego sprzeciwu i uczestniczyć w zamachu. Jego kuzyn, Heinrich von Lehndorff, związany blisko z zamachowcami, stracony został 4 września 1944. Natomiast Hans von Lehndorff pozostał, ze względów od niego niezależnych, poza spiskiem. Nie dotknęły go represje, chociaż traktowany był przez władze jako politycznie niepewny.

Mógł więc on przyglądać się wydarzeniom, których pierwszą zapowiedź stanowił opisywany przezeń napływ bezpieczeństwa stad bydła, następnie – ludności ewakuowanej przez władze niemieckie ze wschodu. Wspominane przez Lehndorffa odgłosy frontu były echem rozpoczętej 22

[91] Spośród polskich autorów problem oporu w III Rzeszy interesował przede wszystkim Karola Jonce: *Dwa nurty politycznej ideologii antyhitlerowskiej w III Rzeszy*, PWN, Warszawa 1990; pod jego redakcją *Studia nad antyhitlerowską opozycją w Trzeciej Rzeszy: 1933–1945*, PWN, Warszawa-Wrocław 1990, oraz *Denken mit Moltke: Gedanken über Kreisau und Krzyżowa*, „Rotgryf”, Krzyżowa-Świdnica 2006.

czerwca 1944 ofensywy sowieckiej, która doprowadziła do zajęcia Prus Wschodnich przez Armię Czerwoną. W tym momencie koniec Prus Wschodnich jako niemieckiego kraju był już tylko kwestią miesięcy.^[92]



W krótkim czasie wojska sowieckie rozbiły kilkadziesiąt dywizji niemieckich i doszły do granicy Prus Wschodnich. Jednakże władze III Rzeszy zdecydowane były bronić tego obszaru, także za cenę wojny totalnej.^[93] Szczególnie negatywną rolę odegra gauleiter Erich Koch,

[92] Andreas Kossert, *Ostpreußen. Geschichte und Mythos*, Siedler, München 2005, s. 318.

[93] Andrzej Sakson, *Stosunki narodowościowe na Warmii i Mazurach 1945–1997*, Instytut Zachodni, Poznań 1998, s. 16 i następane.

przeciwny wszystkiemu, co – według niego – osłabiać mogło wolę walki. Oznaczało to między innymi opóźnianie ewakuacji ludności cywilnej i rozbudowywanie *Volkssturmu*, złożonego z mężczyzn zbyt młodych lub zbyt starych, by służyć w armii.^[94] Jednakże Hitler zgodził się na czasową ewakuację obszaru Kłajpedy, zakończoną w październiku.

Ewakuacja pół miliona mieszkańców Prus Wschodnich do końca 1944 roku przebiegła w sposób dość dobrze zorganizowany, natomiast w 1945 roku zamieniła się w chaos. To też stanowi kontekst ironicznych uwag Lehndorffa o członkach *volkssturmu* mających bronić linii Dejmy (Deime-Linie), przebiegającej na północ od Pregoły. Lehndorff nie znał szczegółów niemieckiej polityki, ale potrafił ocenić, jaką wartość bojową mają te jednostki.

16 października 1944 Armia Czerwona rozpoczęła działania wojenne na terenie Prus Wschodnich, zajmując ich północno-wschodnie powiaty. Władze niemieckie ewakuowały wtedy około 60 tysięcy Niemców, kierując ich głównie do zachodnich powiatów prowincji. Zanim jeszcze 21 października 1944 doszło do najbardziej chyba znanej sowieckiej zbrodni wojennej na ludności cywilnej w Nemmersdorfie (obecnie Majakowskoje), Lehndorff notował krążące informacje o okrucieństwach popełnionych przez czerwonooarmistów na ludności cywilnej w kilku zajętych przez nich miejscowościach, odbitych następnie przez wojska niemieckie. W notatkach z pierwszych miesięcy 1945 roku pisał także o zbrodniach w Metgethen na przedmieściach Königsbergu, gdzie ofiarami gwałtów i brutalnych mordów czerwonooarmistów była niemiecka ludność

[94] Erich Koch budzi zainteresowanie przede wszystkim niemieckich historyków. Już w XXI wieku ukazały się między innymi opracowania: Ralf Meindl, *Ostpreußen Gauleiter. Erich Koch: eine politische Biographie*, Fibre, Osnabrück 2007; Armin Fuhrer, Heinz Schön, *Erich Koch, Hitlers brauner Zar. Gauleiter von Ostpreußen und Reichskommissar der Ukraine*, Olzog, München 2009.

i ukraińscy robotnicy przymusowi. Metgethen zajęte zostało przez Armię Czerwoną 1 lutego, a odbite przez wojska niemieckie 19 lutego 1945.

W ocenie Lehndorffa – wydarzenia w Metgethen zostały wykorzystane propagandowo przez narodowych socjalistów dla wzmocnienia ducha oporu. W świetle dzisiejszej wiedzy na temat Nemmersdorfu trudno nie zgodzić się z tą oceną. Wiadomo z całą pewnością, że czerwonoarmiści zastrzelili tam część pozostającej na miejscu ludności cywilnej. W wątpliwość podawane są natomiast informacje o masakrze, w trakcie której cywilów nie tylko mordowano, ale także gwałcono oraz torturowano i istnieją podstawy by przyjąć, że obraz tych wydarzeń w dużym stopniu wykreowany został przez władze niemieckie na potrzeby propagandy wojennej.^[95] Miał służyć mobilizacji Niemców do stawiania oporu wojskom sowieckim.

Niezależnie od tej propagandowej manipulacji, informacje o brutalnym traktowaniu niemieckiej ludności cywilnej były zapowiedzią losu, jaki miał stać się udziałem mieszkańców Königsbergu. Czerwonoarmiści wkroczyli na ziemię znienawidzonego wroga, pamiętając o bezwzględnej polityce niemieckiej w ZSRR. Nie oznacza to, że w taki sposób zachowywali się wszyscy czerwonoarmiści, ale wystarczająco wielu, aby zdeterminować los cywilnej ludności niemieckiej w pierwszej fazie okupacji.

W końcu października 1944 Niemcom udało się powstrzymać ofensywę sowiecką, a następnie nastąpiły fatalne warunki atmosferyczne, podczas których Armia Czerwona przygotowywała się do ataku. Zasadnicza, tzw. wschodniopruska, ofensywa ruszyła 13 stycznia 1945. Naprzeciwko niemieckich wojsk, liczących 580 tysięcy żołnierzy i 200

[95] Por.: Bernhard Fisch, *Nemmersdorf, Oktober 1944. Was in Ostpreußen tatsächlich geschah*, Das Neue Berlin, Berlin 1997. Por. też o micie Nemmersdorfu: Eva Hahn, Hans Henning Hahn, *Die Vertreibung im deutschen Erinnern. Legenden, Mythos, Geschichte*, Ferdinand Schöningh, Paderborn 2010, s. 52–65.

tysięcy volkssturmistów, stanęły jednostki 2 i 3 Frontu Białoruskiego w sile prawie 1,7 miliona żołnierzy – z kilkukrotną przewagą w artylerii, czołgach i samolotach.^[96] 18 stycznia Armia Czerwona przełamała front, 20 stycznia zajęła Tilsit, dwa dni później Insterburg, w którym wcześniej mieszkał i pracował Lehndorff. Po ewakuacji do Königsbergu mógł on obserwować oblężenie i zdobycie stolicy Prus Wschodnich, w tym mozaikę postaw ludzkich – lekarzy uciekających z miasta lub zostających w poczuciu obowiązku do końca, Niemców sceptycznych wobec narodowego socjalizmu lub do końca wierzących w Hitlera. Dla Lehndorffa wiara religijna była kluczowym motywem podjęcia decyzji o pozostaniu w mieście, w którym niektórzy mieszkańcy zastanawiali się nad popełnieniem samobójstwa, zanim nadejdą Sowieci.

26 stycznia wojska sowieckie doszły do Zalewu Wiślanego na północ od Elbinga oraz w podobnym czasie na zachód od Königsbergu. Po próbie niemieckiej kontrofensywy walki pod Elbingiem trwały do 10 lutego i skończyły się zajęciem miasta przez wojska sowieckie, czyli przerwaniem drogi lądowej z Königsbergu do Gdańska. Było to ważne, ponieważ trwała wtedy ewakuacja ludności, przeradzająca się w ucieczkę. Część uciekinierów kierowała się drogą lądową, przez Pomorze, chcąc przekroczyć Odrę. Inni zmiierzali przez Königsberg do portu w Pillau i dalej próbowali uciekać drogą morską.

Przerwanie drogi lądowej gwałtownie pogorszyło sytuację – stąd też w *Dzienniku* tak często powraca port w Pillau. Uciekający na zachód musieli kierować się przez zamrznięty Zalew Wiślany i Mierzeję

[96] Z publikacji w języku polskim por.: Wiesław Wróblewski (red.), *Działania militarne w Prusach Wschodnich*, Wojskowy Instytut Historyczny Akademii Obrony Narodowej, Departament Społeczno-Wychowawczy MON, Departament Systemu Obronnego MON, Dowództwo Wojsk Lądowych, Warszawa 1998, s. 331–342; Kurt Dieckert, *Bój o Prusy Wschodnie*, Maszoperia Literacka, Gdańsk 2011.

Wiślaną w stronę Gdańska albo dotrzeć do Pillau – w nadziei na transport morski. Wielu z nich zginęło po drodze – na skutek wyczerpania lub ataków lotniczych czy torpedowych. Ofiary te, zwłaszcza pasażerowie storpedowanych okrętów, stanowią ważny element niemieckiej pamięci historycznej: „Steuben” został zatopiony z ponad 3600 osobami na pokładzie, „Wilhelm Gustloff” z ponad 9300, „Goya” z ponad 6600.^[97]

Najwyższe szacunki strat podczas ewakuacji i ucieczki dochodzą do 500 tysięcy, ale w opinii większości historyków są zawyżone: liczba ofiar wynosiła przypuszczalnie około 150 tysięcy osób. Była tak wysoka, gdyż trwała zima, władze niemieckie nie opracowały planów ewakuacji i nie podjęły do niej przygotowań, front przesuwał się szybko do przodu, toczyły się zacięte walki, a ludność wydana była na ataki wojska.^[98] Większości jednak ucieczka się udała. Jaka część ludności niemieckiej pozostała na północy wokół Königsbergu oraz w południowej części Prus Wschodnich, dokładnie nie wiadomo. Przyjmuje się, że region Königsbergu był silniej wyludniony niż Warmia i Mazury.^[99]

Sytuacja Königsbergu stawała się coraz trudniejsza, gdyż na południu front przesuwał się nieubłaganie na zachód. 21 stycznia 1945 Armia Czerwona przekroczyła granicę Rzeszy na wschód od Breslau, chociaż miasto broniło się nadal – aż do maja. W połowie lutego wojska sowieckie przekroczyły Odrę. 30 marca Lehndorff zapisał, że dwa tygodnie wcześniej zniszczony został Gdańsk, który wojska sowieckie zajęły właśnie tego dnia. Marzec przyniósł także ostateczne rozstrzygnięcie losu

[97] Liczba ofiar za: Andreas Kosserr, *Ostproußen...*, s. 323.

[98] O stratach: Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 19–20.

[99] Claudia Kraft, *Wstęp*, [w:] Włodzimierz Borodziej, Claudia Kraft (red.), *Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów*, t.I. *Władze i instytucje centralne. Województwo olsztyńskie*, Neriton, Warszawa 2000, s. 387–388.

Prus Wschodnich wraz z kolejną ofensywą 2 i 3 Frontu Białoruskiego. Końcowa walka o Königsberg nastąpiła 6–9 kwietnia 1945, gdy miasto zostało okrążone i Armia Czerwona przystąpiła do ostatecznego ataku.

Walki były zacięte. Pierwszego dnia wojska sowieckie przerwały połączenie kolejowe Königsberg-Pillau na północnym zachodzie. Po dwóch dniach miasto odcięte zostało od wojsk niemieckich, znajdujących się na zachód od niego na półwyspie sambijskim. Niemcom nie udało się próba przerwania okrążenia i ewakuowania ludności w tym kierunku. Pod datą 9 kwietnia 1945 pojawia się w *Dzienniku* informacja o zajęciu miasta, tego dnia wieczorem komendant „twierdzy” generał Otto Lasch podpisał kapitulację. Dla niemieckiej ludności cywilnej zaczął się okres jeszcze trudniejszy, którego opis znajdujemy – przy całej powściągliwości Lehndorffa – w *Dzienniku*: gwałty i choroby weneryczne, rabunki, torturowanie i masowe egzekucje, oficerowie zachowujący się podobnie jak żołnierze, zainteresowani jedynie rabunkiem, alkoholem i kobietami.

Lehndorff odnotowuje informację, że żołnierze dostali na sześć–osiem dni wolną rękę w mieście^[100]. Pisz o sowieckich żołnierzach niejako o typowych dla Rosji, ale o „ludziach bez Boga”. Treść jego informacji nie różni się od innych wspomnień z zajętego przez Armię Czerwoną Königsbergu. Te fragmenty *Dziennika* zbliżają nas do trudnego problemu stosunku żołnierzy Armii Czerwonej do ludności na zajętych obszarach.

Większość niemieckiego społeczeństwa miała jeszcze przez długie powojenne dekady problemy z rozliczeniem się z własnym zaangażowaniem w ideologię narodowego socjalizmu, a niekiedy i w zbrodnię w jej imię popełnione. Zapominano o złu uczynionym wcześniej

[100] Informacja ta jest trudna do zweryfikowania, ale nie było rzeczą wyjątkową dawanie czerwonooarmistom kilku dni na łupienie miasta. Por. Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 23. O historii Królewca por. też: Isabel Denny, *Upadek twierdzy Hitlera. Bitwa o Królewiec*, Bellona, Warszawa 2008.

innym w imieniu Niemiec, a pamiętano dokładnie własne krzywdy. Lehndorff w nazizm zaangażowany nie był, chociaż odnosi się wrażenie, że postrzega on Armię Czerwoną jako swego rodzaju karę dla Niemiec, mniejszą wagę przywiązując do związków przyczynowych między niemiecką polityką okupacyjną a zachowaniem czerwonoarmistów. Podobnie, we fragmentach *Dziennika*, w których opisuje swój pobyt na terenach Prus Wschodnich przyłączonych do Polski, wyjątkowo rzadko pojawia się namysł, czego doświadczyli od Niemców Polacy, których spotyka. Dochodził do granicy refleksji, której wówczas jeszcze przekroczyć nie potrafił.

W końcowej fazie wojny zdarzały się sytuacje, gdy Armia Czerwona zachowywała się wobec ludności niemieckiej poprawnie, a nawet broniła jej przed zemstą ze strony Polaków czy Rosjan. Kiedy indziej to Polacy bronili jej przed Armią Czerwoną.^[101]

Przedmiotem dyskusji stały się w ostatnich latach gwałty dokonywane przez armię sowiecką w Niemczech i innych krajach.

Liczba kobiet zgwałconych w Berlinie szacowana jest na 100 tysięcy, w Budapeszcie – na 50 tysięcy, z których część zmarła, łączne szacunki dochodzą do 2 milionów.^[102]

W Königsbergu sytuacja nie polepszyła się istotnie, gdy minął pierwszy

[101] Por. Albert Seaton, *The Russo-German War, 1941–1945*, Presido Press, Novato 1990, s. 545 (polskie wydanie *Wojna totalna. Wehrmacht przeciw Armii Czerwonej 1941–1945*, Wydawnictwo Wingert, Łódź 2010).

[102] Z najważniejszych pozycji wymienić należy: Norman M. Naimark, *The Russians in Germany: The History of the Soviet Zone of Occupation, 1945–1949*, Harvard University Press, Cambridge, MA 1995; Anthony Beevor, *Berlin. Upadek 1945*, Znak, Warszawa 2010. Częścią dyskusji był także film *Kobieta w Berlinie (Anonyma – Eine Frau in Berlin)* z roku 2008, którego bohaterka wybiera sobie chroniącego ją sowieckiego oficera, aby uniknąć masowych gwałtów.

okres chaosu po zdobyciu miasta. Niemców wykorzystywano do pracy przymusowej. Wkrótce zapanował głód, szerzyły się choroby. Pod datą 19 kwietnia 1945 Lehndorff zanotował o zupie przyrządzonej z żytniej śruty: jak to możliwe, że wcześniej karmiono tym tylko świnię. Jego opis dobrze odzwierciedla sytuację, mimo że dotyczy obozu. Szacuje się, że w kwietniu w mieście pozostawało około 110–126 tysięcy Niemców, według Andreasa Kosserta w sierpniu 1945 było ich jeszcze około 84 tysięcy, a w całej sowieckiej części Prus Wschodnich – ponad 174 tysiące. W wyniku fali przemocy, a następnie głodu, chorób i niefunkcjonowania całej struktury miasta (prąd, zaopatrzenie w wodę), ogromna ich część straciła życie. Wraz z deportacjami do pracy przymusowej w ZSRR-doprowadziło to do spadku liczby Niemców w Königsbergu do około 20 tysięcy.

W październiku 1945 Lehndorff podjął decyzję o ucieczce do tej części Prus Wschodnich, którą włączono do Polski (Warmia, Mazury, Powiśle). Nie był wyjątkiem – wielu Niemców szukało możliwości przetrwania, przechodząc do litewskiej i polskiej części. Opuścił Königsberg w miesiącu, w którym miasto (17 października) zostało oficjalnie włączone do ZSRR; w lipcu 1946 przemianowano je na Kaliningrad. Nie jest jasne, jakie były sowieckie plany w odniesieniu do niemieckiej ludności miasta, prawdopodobnie nie były one precyzyjne, ale nie przewidywały wysiedlenia. Przez pierwsze dwa lata pozwolono na wyjazd do Niemiec jedynie 3400 osobom, głównie antyfaszystom i mającym tam rodziny. Była to restrykcyjna polityka nastawiona na zatrzymanie ludności. W 1947 roku władze sowieckie były zaskoczone, gdy po stworzeniu możliwości wyjazdu okazało się, że wszyscy niemieccy mieszkańcy obwodu kaliningradzkiego chcieli przesiedlić się do Niemiec^[103]

[103] Bert Hoppe, *Auf den Trümmern von Königsberg. Kaliningrad 1946–1970*, Oldenburg, München 2000, s. 28–30.

Od października 1947 do końca listopada 1948 wysiedlono stamtąd transportami przez Polskę ponad 100 tysięcy Niemców^[104], w tym 24 tysiące z Kaliningradu^[105].

Gdy autor *Dziennika* wyruszył na południowy zachód, Prusy Wschodnie były już podzielone na część polską i sowiecką. Tym samym droga przez znane Lehnorffowi tereny była już faktycznie wędrówką przez granicę, która formalnie ustanowiona została umową z 16 sierpnia 1945. Andrzej Sakson określił ją jako „granicę afrykańską”, czyli biegnącą prosto, nieuwzględniającą granic powiatów lub warunków geograficznych, służącą przede wszystkim lepszej ochronie obwodu kaliningradzkiego.^[106]

Cel wędrówki Lehndorffa znajdował się w niewielkiej odległości na zachód od Olsztyna, czyli w utworzonym 14 marca 1945 okręgu mazurskim. 30 marca na jego czele jako pełnomocnik rządu RP stanął pułkownik Jakub Prawin. 29 maja 1946 w miejsce okręgu mazurskiego ustanowiono województwo olsztyńskie. Okręg i województwo nie objęły całej części Prus Wschodnich, którą przyłączono do Polski, gdyż latem 1945 wyłączono z niej trzy północno-wschodnie powiaty (Ełk, Olecko, Gołdap) przyłączone do województwa białostockiego, a cztery dawne powiaty zachodniopruskie (Elbląg, Kwidzyn, Malbork, Sztum) – do województwa gdańskiego.

Oparcie dla Lehndorffa stanowiła pozostała ludność niemiecka, która jeszcze nie została wysiedlona. Odnotowuje on zaniepokojenie informacjami o wysiedleniu, także o tym, że więcej Niemców pozostało na katolickiej Warmii niż na protestanckich Mazurach. Sytuacja na tych ziemiach nie była stabilna. Od stycznia 1945 tworzona była tam, podobnie

[104] Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 79.

[105] Andreas Kossert, *Ostpreußen...*, s. 334.

[106] Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 42.

jak na innych terenach powojennej Polski, sowiecka administracja wojskowa. Początkowo to komendantury wojenne miały pełnię władzy. Wobec trudności z dostępem do archiwaliów w Rosji nie są znane struktury, zadania i skład osobowy działających w Prusach Wschodnich frontów, jednostek NKWD, wojsk specjalnych, konwojowych etc. Dotyczy to także sowieckich obozów, wykorzystywania obozów ponemieckich jako punktów zbornych dla jeńców i ludności cywilnej przed wywózką do pracy przymusowej w ZSRR, ich struktury i dokładnej liczby osób, które przez nie przeszły.^[107] Przepuszczalnie na całym terenie Prus Wschodnich istniało 45 sowieckich obozów, do których trafiło 200–250 tysięcy więźniów; około 42 tysiące zmarło przed deportacją do ZSRR. Deportacje zakończyły się w kwietniu 1945.^[108]

Wiadomo też, że na ziemiach polskich panowała tzw. dwuwładza; obok siebie funkcjonowały sowieckie komendantury wojenne oraz powstające dopiero struktury polskich władz administracyjnych. Początkowo pierwsze z nich dominowały bezapelacyjnie, z czasem ich znaczenie ulegało ograniczeniu. Przejmowanie władzy przez tworzoną powoli polską administrację trwało od maja do sierpnia 1945. Oznaczało to, że lokalnie wiele zależało od stosunku miejscowego sowieckiego komendanta wojennego do Polaków i Niemców. Ponadto komendantury opierały się na zachowanej niemieckiej strukturze administracyjnej i kierowały się głównie względami pragmatycznymi: sprawnym wykonywaniem poleceń, uruchomieniem zakładów przemysłowych, rolnictwem, zapewnieniem potrzebnej siły roboczej. Wielu komendantów

[107] Por. *Wstęp*, [w:] Tadeusz Baryła (red.), *Warmiacy i Mazurzy w PRL. Wybór dokumentów. Rok 1945*, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, Olsztyn 1994, s. V-VIII. Do pracy przymusowej w ZSRR deportowano prawdopodobnie z Prus Wschodnich 60–100 tysięcy osób (Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 26–27; Claudia Kraft, *Wstęp...*, s. 389).

[108] Claudia Kraft, *Wstęp...*, s. 389.

niespecjalnie interesowała polska polityka narodowościowa i weryfikacja narodowości części Mazurów i Warmiaków. Przymuszczałnie też Stalin był zainteresowany podtrzymaniem niepewności władz polskich co do przynależności dawnych niemieckich terytoriów.^[109] Umożliwiało to ludności niemieckiej wykorzystywanie polsko-sowieckich napięć, a zatrudnienie przez wojsko sowieckie nierzadko chroniło przed represjami władz polskich. Sytuacja ta zaczęła ulegać zmianie od lata 1945. Dwuwładza stanowi kontekst zapisu z *Dziennika* z 14 kwietnia 1946, informującego o umiejętności wygrywania przeciwko sobie Rosjan i Polaków (praca u Rosjan chroni przed polską milicją itd.)

Lehndorff pozostał przez pewien czas w okręgu mazurskim jako lekarz.^[110] W znanym mu otoczeniu zmieniało się wiele – odbywała się weryfikacja narodowościowa, wysiedlano Niemców, napływali nowi, polscy mieszkańcy. Zarówno region, jak i jego społeczność były mało stabilne. Ziemie te w Polsce uchodziły za „dziki Zachód”, na którym panuje bezprawie, korupcja i prawo silniejszego. Do „silniejszych” należała także milicja i Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.^[111]

Władze polskie postanowiły wraz z wysiedleniem Niemców dokonać tzw. weryfikacji narodowościowej, czyli umożliwić uzyskanie

[109] O dwuwładzy por.: Piotr Madajczyk, *Przyłączenie Śląska Opolskiego do Polski 1945–1948*, ISP PAN, Warszawa 1996, s. 94–108; Bernadetta Nitschke, *Wysiedlenie ludności niemieckiej z Polski w latach 1945–1949*, Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Tadeusza Kotarbińskiego, Zielona Góra 1999, s. 89–94; Claudia Kraft, *Wstęp...*, s. 390–395.

[110] Od 1946 roku pracował w Januszewie (Januschau) i Suszu (Rosenberg), który wcześniej należał do prowincji Prusy Zachodnie (Westpreußen), od 1922 roku do Prus Wschodnich, a po agresji niemieckiej na Polskę do Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie (Reichsgau Danzig-Westpreußen).

[111] O sytuacji na Mazurach: Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 46–47.

obywatelstwa polskiego i pozostanie w Polsce tym obywatelom niemieckim, którzy byli w stanie udowodnić swoją polską narodowość. Możliwość taką mieli Mazurzy i Warmiacy. Pełnomocnik rządu RP na okręg mazurski wydał 24 października 1945 odezwę z wezwaniem do rejestracji, akcja ta spotkała się jednak z niewielkim odzewem, stąd konieczne były dalsze regulacje. Polską przynależność narodową udowodnić można było pochodzeniem albo „łącznością z narodem polskim”, która mogła być dowiedziona „przynależnością do organizacji polskich lub udziałem w walce o sprawę polską, względnie wynikać z postawy wewnętrznej i języka bądź pielęgnowania w rodzinie polskich obyczajów, bądź ze związku z polską kulturą ludową”. Jak ocenia Andrzej Sakson, większość Warmiaków zadeklarowała narodowość polską „w zasadzie dobrowolnie” i masowo.^[112]

Lehndorff przebywał w części zamieszkałej przez ludność mazurską, która w znacznie silniejszym stopniu identyfikowała się z niemieckością. Latem 1947 nadal prawie jedna trzecia spośród około 120 tysięcy Mazurów odmawiała tam poddania się weryfikacji. Na motywy narodowościowe nakładały się urazy wynikające ze złego traktowania przez polskich osadników i urzędników. Z perspektywy Lehndorffa (zapis z 9 czerwca 1946) deklaracja bycia Mazurami była jedynie formą walki Niemców o przeżycie.

Polskie postrzeganie weryfikacji narodowościowej uległo w trakcie dyskusji ostatnich dwudziestu lat ogromnej zmianie. Autorzy polskich opracowań odeszli od propagandowego obrazu, w którym ostrą linią dają

[112] Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 89–93.

się oddzielić w społecznościach pogranicza polskość od niemieckości.^[113]

Wiemy, że tożsamość narodowa była po części stopniowalna, można było czuć się w mniejszym lub większym stopniu Polakiem, a osoby deklarujące polską narodowość kierowały się przeróżnymi motywami (także chęcią pozostania na rodzinnym gospodarstwie). Wiadomo ponadto, że w społeczności mazurskiej daleko posunięte były procesy identyfikowania się z niemieckością. Mimo to tzw. weryfikacja nie była jedynie akcją propagandową, służącą legitymizacji przyłączenia ziem na zachodzie i północy. W zapisach Lehndorffa pobrzmiewa, być może, mit Prus Wschodnich jako najdalej na wschód wysuniętego bastionu niemieckości, co do której nie ma żadnych wątpliwości, która jest tak jednoznaczna, jak wyobrażenie wspólnoty narodowej dominujące w pierwszej połowie XX wieku.

Lehndorff był także świadkiem wysiedleń ludności niemieckiej. Po ewakuacji, uciezkach i deportacjach do ZSRR, w końcowej fazie wojny nadeszły tzw. dzikie wysiedlenia i dobrowolne wyjazdy, trwające aż do konferencji w Poczdamie (17 lipca do 2 sierpnia 1945). Niekiedy Niemcy wypędzani byli ze swoich domów przez napływającą ludność polską albo zainteresowanych rabunkiem ich mienia (szabrownicy, milicja i UBP). Szczególnie brutalni byli Polacy z pogranicznych powiatów kurpiowskich. Kiedy indziej sami Niemcy starali się o wyjazd z powodu skrajnie trudnych warunków życia, wykorzystywania ich do pracy przymusowej (rolnictwo,

[113] Pojęcie społeczności pogranicza i pogranicza społecznego wprowadził do polskich dyskusji Andrzej Sakson: *Mazurzy – społeczność pogranicza*, Instytut Zachodni, Poznań 1990. W ostatnich latach pojęcie to wydaje się rzadziej używane, mimo że umożliwia znacznie lepszy opis niż na przykład kontrowersyjni „autochtoni”. Por. też: Leszek Belzyt, *Między Polską a Niemcami. Weryfikacja narodowościowa i jej następstwa na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1945–1960*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 1996.

odgruzowywanie), braku zajęcia odpowiadającego kwalifikacjom zawodowym i odpowiednio wynagradzanego, braku jedzenia i opieki lekarskiej, szerzących się chorób. Nierzadko byli faktycznie wyjęci spod prawa i zagrożeni wysłaniem do obozów, do tego zaś tracili nadzieję, że nowo ustanowiona granica ulegnie zmianie i zamieszkanе przez nich ziemie staną się znowu częścią Niemiec. Opisy losów osób niemających żadnych źródeł utrzymania, żyjących z wyprzedawania resztek posiadanych rzeczy i nadzieją na dołączenie do najbliższego transportu, znajdujemy także u Lehndorffa.

Parcie do wyjazdu z powodu katastrofalnych warunków życia oraz nacisków władz polskich widoczne było szczególnie jesienią 1945. Szacuje się, że z Warmii i Mazur od zakończenia wojny do rozpoczęcia planowych transportów w 1946 roku wyjechało do Niemiec 25–98 tysięcy osób. Jeszcze w lutym 1946 liczba Niemców określana była na około 134 tysiące, co podówczas stanowiło prawie jedną trzecią mieszkańców województwa olsztyńskiego. Część z nich została zweryfikowana i nie podlegała wysiedleniu. Pierwszy planowy transport wyruszył 14 sierpnia 1946. Do stycznia 1947 wywieziono prawie 21 tysięcy, a do końca 1947 roku 62 tysiące osób. W 1948 roku wyjechało już tylko 5300 Niemców.^[114]

Z czasem – dotyczyło to całej Polski – zmieniały się metody wysiedleń. Wprawdzie nadal nie odpowiadały w pełni ustalonym zasadom, ale były mniej brutalne, wysiedlanym pozwalano na zabranie większej ilości dobytku, mniej narażeni byli na niebezpieczeństwo przemocy i rabunku. Wprawdzie Lehndorff jako lekarz był traktowany lepiej niż przeciętny Niemiec, ale można przyjąć, że te zmiany widoczne są w scenie opisanej 4 maja 1947, gdy milicjanci przyszli do niego z propozycją włączenia do transportu. Podjął decyzję o dołączeniu do transportu, który wyruszył do

[114] Andrzej Sakson, *Stosunki...*, s. 66–68; Claudia Kraft, *Wstęp...*, s. 397–398.

Niemiec 7 maja.

Lehndorff konfrontowany był z jeszcze jednym procesem radykalnie zmieniającym jego małą ojczyznę – z napływem polskich osadników. Przybywali oni głównie z dwóch kierunków. Przybysze z Polski centralnej często nastawieni byli na szybki zysk, także przez szaber i rabunek, chociaż obok nich pojawiali się także zwykli osadnicy, szukający swojej szansy lub nawet kierujący się misją zagospodarowania nowych ziem. Ponadto napływać zaczęli polscy wysiedleńcy z dawnych polskich ziem wschodnich, zaanektowanych przez ZSRR. Zgodnie z ówczesną oficjalną terminologią byli repatriantami. Możemy ich także nazwać wypędzonymi, ponieważ trudno określić ich decyzję jako dobrowolną: uciekali przed ukraińskim terrorem, represjami lub administracyjnymi szykanami władz sowieckich, albo po prostu przed niebezpieczeństwem pozostania w stalinowskim, totalitarnym imperium. Do 1948 roku napłynęło ich do województwa olsztyńskiego ponad 120 tysięcy, głównie w pierwszym okresie po zakończeniu wojny.

Z *Dziennika* można odczytać, jak ewoluuje nastawienie Lehndorffa do polskiego otoczenia, widać jego odchodzenie od skoncentrowania się na losie Niemców i relacji między głęboko wierzącym chrześcijaninem a narodowosocjalistycznym systemem oraz otwarcie na opisany powyżej zmieniający się świat. Oczywiście nie brakuje odniesień do różnic kulturowych, w tym picia w większych ilościach i od wczesnych godzin porannych alkoholu. Jednakże, pracując w szpitalu w Suszu, autor *Dziennika* zaczyna rozumieć nowych polskich mieszkańców. W zaczątych 6 sierpnia notatkach pisze o najprzeróżniejszych Polakach napływających do miasta, których łączy jedno: pozbawienie korzeni. Widzi, jak – pozbawieni korzeni – w nowym miejscu próbują ułożyć sobie na nowo zniszczone przez wojnę życie. Słucha ich historii o prześladowaniach doznanych ze strony niemieckiej i sowieckiej. Czuje się zawstydzony,

gdy w trakcie rozmowy Polacy dystansują się od pragnienia zemsty i nie utożsamiają Niemiec z Hitlerem i narodowym socjalizmem. Zauważa, że najlepiej może rozmawiać o trudnych sprawach z tymi, którzy wycierpieli najwięcej. Jego postawa budzi szacunek polskiego otoczenia. W tym okresie notuje, jaką satysfakcję sprawia mu postrzeganie go przez otoczenie jako człowieka, co, jeżeli przypomnimy nastroje panujące wówczas w Polsce, oznacza w podtekście: a nie jako – jak wtedy małą literą pisano – „niemca”. Ale stwierdzenie o złu uczynionym „w imię Niemiec” nie przychodzi mu łatwo i pada bodajże tylko raz.

Lehndorff dostrzega konflikty, o których dzisiaj dobrze wiemy. Pisze o ludziach szukających szansy wzbogacenia się. Wspomina na przykład Niemców wracających z sowieckiej niewoli do swoich domów zajętych przez Polaków, którzy – chcąc pozbyć się dawnych właścicieli – donoszą na nich jako rzekomych zaangażowanych nazistów do UBP. Zaskakuje, że takich informacji o konfliktach z Polakami jest w *Dzienniku* stosunkowo niewiele. Znajdziemy tu natomiast sporo ostrych i negatywnych uwag o instytucjach komunistycznego państwa: milicji i UBP (nazwanym przez Lehndorffa Gestapo). To one, a nie polska ludność, są powodem najpierw obaw, a po ustabilizowaniu się jego sytuacji – niechęci. Czuje złowrogą atmosferę, szczególnie panującą wokół tej drugiej instytucji. W tej kwestii nie różni się od ocen formułowanych w nowszej historiografii. Co ciekawe, poza tym w *Dzienniku* nie pojawiają się prawie żadne krytyczne uwagi dotyczące innych polskich władz, tworzenia struktur polskiego państwa w okręgu mazurskim i województwie olsztyńskim. Skłaniało to niekiedy do oceny, że Lehndorff czuł respekt wobec władz sowieckich, a Polaków traktował z „protekcjonalnością, pogardą lub ignorancją”. Nie wydaje się odpowiadać to prawdzie. Wobec władz sowieckich Lehndorff odczuwał raczej strach, dostrzegając, że do nich w pierwszym okresie należała realna władza. Trudno też mówić o pogardzie wobec Polaków.

To raczej postępujące otwarcie na Polaków, przełamywanie ignorancji, połączone z niemożliwością zaakceptowania dokonujących się zmian politycznych, ich ignorowaniem i życiem we własnym świecie.

Prusy Wschodnie przestały istnieć. Ich najmniejsza część, okręg Kłajpedy (2708 km²), weszła w skład Litwy, najpierw jako sowieckiej republiki, dzisiaj suwerennego państwa. Königsberg stał się Kaliningradem i wraz z pozostałymi wschodnimi i północnymi obszarami utworzył okręg kaliningradzki (15.100 km²) jako część Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a następnie Federacji Rosyjskiej. Największa, środkowa i zachodnia część dawnej prowincji – Mazury, Warmia i Powiśle – weszła w skład państwa polskiego.

Po wojnie Hans von Lehndorff pracował w ewangelickim szpitalu Viktoria-Hospital w Bad Godesbergu koło Bonn. Jego dziennik ukazał się po raz pierwszy w 1960 roku, początkowo bez rozgłosu, jako niepozorny, trzeci zeszyt w ramach serii „*Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mitteleuropa*“^[115] Dziennik był relacją wstrząsającą, bo rzeczową, niepatetyczną, ale i nieukrywającą politycznego nastawienia autora. Na początku lat 60. społeczeństwo zachodniemieckie dalekie było od zrozumienia rangi oporu przeciwko narodowemu socjalizmowi. Córka wspomnianego na początku Heinricha von Lehndorffa, Vera, która zrobiła karierę jako pierwsza pochodząca z RFN międzynarodowa supermodelka, wspominała po latach, że matka wpajała jej, by nigdy z obcymi nie rozmawiać o ojcu, gdyż wielu Niemców postrzegało go jako zdrajcę ojczyzny.^[116] W entuzjastycznym artykule zamieszczonym w „Die

[115] Hans von Lehndorff, *Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mitteleuropa*, 3. Beiheft. Ein Bericht aus Ost- und Westpreußens 1945–1947, Bundesministerium für Vertriebene, Flüchtlinge und Kriegsgeschädigte, Bonn 1960.

[116] *Ich habe lange geglaubt, nur Unheil zu bringen*, „Die Welt“ z 13 listopada 2011.

Zeit“ koncentrowano się na refleksji Lehndorffa z okresu największych cierpień niemieckiej ludności, pomijając jedną trzecią dziennika, w której opisuje on okres spędzony w polskiej części dawnych Prus Wschodnich.^[117] W ówczesnej zachodniemieckiej perspektywie lat 60. istotna była martyrologia ludności niemieckiej w Königsbergu oraz pokazanie postaw ludzkich nieakceptujących narodowego socjalizmu i umiejących w tak dramatycznej sytuacji zachować ludzką godność. Nie pasował do tego obrazu mniej jednoznaczny opis prawie dwóch lat spędzonych w części Prus Wschodnich, która przypadła Polsce.

Prof. Piotr Madajczyk

[117] Josef Müller-Marein, *Bittet, daß eure Flucht nicht im Winter geschehe. Die Niederschriften des Chirurgen Dr. Graf Lehndorff und das Schicksal der Deutschen*, „Die Zeir“ z 19 maja 1961.



Prusy Wschodnie. Widok z lotu ptaka na pałac w Steinortie (Sztynort), majątek rodzinny Lehndorffów; Hans von Lehndorff był tu częstym gościem.

Fot. z książki Very Lehndorff, Jorna Jacoba Rohwera, Veruschka. Mein leben, Köln 2011



Maria von Lehndorff, z domu Oldenburg,
(1886–1945), matka Hansa von Lehndorffa.

Fot. z książki Hansa von Lehndorffa

Menschen, Pferde, weites Land, München

2006



Bracia von Lehndorff w szkole jeździeckiej
Düppel w okolicach Berlina. Od lewej:
Heinfried (1908–1945), Hans, Georg
(1911–1943), Elard (1913–1940).

*Fot. z książki Hansa von Lehndorffa
Menschen, Pferde, weites Land, München
2006*



Pałac w Januschau (Januszewo), lata 30.

Fot. Fritz Krauskopf, udostępniła Christa Mühleisen



Pałac w Januschau, lata 30. Szambelan Elard von Oldenburg. W 1937 roku właścicielem pałacu i majątku Januschau został jego wnuk Heinfried graf von Lehndorff. Bratem ostatniego właściciela był Hans graf von Lehndorff.

Fot. Fritz Krauskopß udostępniła Christa Mühleisen



Pregola w Königsbergu, styczeń 1943.

Fot. Ullstein Bild / BE&W



Königsberg, 1944. Po prawej pomnik
cesarza Wilhelma.

Fot. Ullstein Bild / BE&W



Königsberg, luty 1945. Niemieccy cywile oczekujący na ewakuację z oblężonego miasta.

Fot. Ullstein Bild / BE&W



Königsberg, 1945. Ewakuowana ludność wsiada na statek F.S.S. „Wedel“.

Fot. Bundesarchiv Koblenz



Pillau (Pilawa), luty 1945. Ewakuacja

Niemców z Prus Wschodnich.

Fot. AKG / BE&W



Königsberg, 12. kwietnia 1945. Jeńcy niemieccy.

Fot. Bundesarchiv Koblenz



Königsberg, 8 kwietnia 1945. Po kapitulacji niemieckiej. W tle pomnik króla Fryderyka Wilhelma III, po prawej widoczne ruiny Uniwersytetu Albertyna.

Fot. AKG / BE&W